



Jeden z największych
bestsellerów New Adult

Seria
Beautifully Broken
Tom 3

ZANIM
MIŁOŚĆ
nas połączy

Czasem musimy upaść, by miłość nas podźwignęła.

COURTNEY COLE


AMBER

ZANIM
MIŁOŚĆ
nas połączy

COURTNEY COLE

Przekład
Elżbieta Janota



*Życie jest przerażające, a marzenia rozpryskują się na kawałki.
Ta książka jest dla wszystkich na tyle odważnych, aby te kawałki na nowo posklejać.*

Prolog

JACEY

Wtedy

Wymierzony policzek słysząc na całej plaży.

Odgłosu ciała spotykającego ciało, ostrego i głośnego, nie sposób pomylić z czymkolwiek innym i moja głowa podrywa się w górę: widzę chudą dziewczynkę w czerwonym kostiumie kąpielowym stojącą przed największą terrorystką na plaży, szóstoklasistką Heather.

Letnie słońce grzeje niemiłosiernie, ale moje policzki rozpalają się jeszcze bardziej, gdy dostrzegam brzydki grymas na twarzy Heather górującej nad mniejszą dziewczynką. Dziewczynką, która nie może mieć więcej niż dziewięć czy dziesięć lat i która teraz trzyma dłoń przy policzku.

Rozglądam się wokół, ale w pobliżu nie ma dorosłych i Heather o tym wie. Jej wredny uśmieszek poszerza się jeszcze, gdy pochyla się nisko nad dziewczynką; ma zamiar wyrządzić więcej szkód niż tylko pozostawić na jej policzku ślad ręki.

Nie potrzeba więcej, żebym poderwała się z ręcznika i ruszyła pędem przez plażę w ich kierunku; fontanny piasku pryskają mi spod stóp. Docieram na miejsce akurat w porę, by zobaczyć, jak Heather wyrywa z rączki dziewczynki pieniądze.

Po jej policzku spływa łza, na co Heather szczyrzy zęby.

– Idź wypłacz się mamusi, mała – drwi tak wrednie, jak potrafią jedynie gimnazjalni dręczyciele.

Sam ten widok sprawia, że robi mi się ciemno przed oczami, zapominam o rozsądku i rzucam się ku nim dwóm. Zapominam, że Heather znęcała się nade mną każdego dnia każdego lata, zapominam, że z pewnością nie jestem wcale starsza od chudej dziewczynki w czerwonym kostiumie.

W tej chwili to nie ma znaczenia.

– Co, do cholery, Heather? – rzucam, zatrzymując się przed nimi gwałtownie. Druga dziewczynka, ta chuda, głośno wciąga powietrze, słysząc brzydkie słowo. Za takie przewinienie mogłabym zostać uziemiona, ale babcia jest daleko, siedzi w cieniu. – Oddaj jej pieniądze.

Heather gapi się na mnie z góry, a na jej pulchnym podbródku błyszczący pot.

– Bo co, kreweto? Co mi zrobisz, jak nie oddam?

Zadzieram głowę i spoglądam jej w oczy.

– Powiem wszystkim, wliczając w to twoich przyjaciół, co robiłaś jakiś czas temu pod moło z Jamiem Rawlinsem. Widziałam cię. Widziałam, co robiłaś. I jeśli nie oddasz jej pieniędzy, powiem wszystkim.

Oczy Heather rozszerzają się, a potem zwężają.

– Nie ośmieliłabyś się.

Kiwam głową, czując większy spokój, niż pewnie powinnam w obecnej sytuacji.

– Właśnie że tak.

Heather spogląda ponad wodami jeziora i namyśla się nad tym przez chwilę, a wreszcie rzuca mi wymięte banknoty pod nogi.

– Mam nadzieję, że to jest tego warte – mówi żarliwie. – Bo zamienię twoje życie w piekło.

– Wszystko mi jedno – rzucam, starając się sprawić wrażenie nieprzejętej. – I tak już próbujesz.

Heather wlepia we mnie wzrok, po czym odchodzi, a ja pochylam się, by podnieść pieniądze i wręczam je chudej dziewczynce. Uśmiecham się do niej.

– Proszę. Przykro mi, że jest taka wredna. Myślę, że ktoś codziennie sika jej do płatków śniadaniowych.

Zdaje się, że dziewczynce odjęło mowę, bo gapi się na mnie przez chwilę szeroko otwartymi niebieskimi oczyma, a potem nieśmiało podaje mi białą muszelkę.

– Dziękuję, że odzyskałaś moje pieniądze na lody – mówi tak cicho, że muszę się wysilić, aby ją usłyszeć. – Zbieram muszle. Trudno znaleźć w jeziorze duże i ładne.

Uśmiecham się ponownie.

– Racja, trudno. Dzięki! Zamierzam popłynąć aż do boi. Chcesz się przyłączyć?

Dziewczynka spogląda w dal na sfatygowaną linię boi, które podskakują w górę i w dół, kołysane prądem prawie sto metrów od brzegu. Wygląda na trochę niepewną, trochę przestraszoną.

– Nie mogę – odpowiada w końcu. – Mama by mnie zabiła. Prąd jest zbyt silny.

Kiwam głową, jakbym rozumiała, jak to jest mieć matkę, która się przejmuje. Moja własna nie wie nawet, że umiem pływać.

– Okej – zwracam się do dziewczynki. – Do zobaczenia.

Obserwuje mnie, jak biegnę z powrotem i upuszczam muszelkę na ręcznik, a potem daję nura w wodę, płynąc nad i pod zimnymi falami niczym foka. Kiedy wreszcie docieram do rzędu boi, obłapiam jedną z nich, trzymam się mocno, gdy podskakuje, i chłodnymi palcami odgarniam włosy z twarzy.

Zerkając w stronę plaży, szukam wzrokiem dziewczynki w czerwonym kostiumie, ale nigdzie jej nie widzę. Zniknęła, a ja coś sobie uświadamiam.

Nawet nie zapytałam, jak ma na imię.

Rozdział 1

DOMINIC

Teraz

Lubię patrzeć.

Wiem, że nie powinienem, ale naprawdę mam to gdzieś. Lubię mignięcia nagiej skóry, spoczone kończyny, zapachy seksu, samo pieprzenie...

Patrzanie sprawia, że coś czuję. To jedna z niewielu rzeczy, które działają w ten sposób.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, Dominic – mruczy Kira, podczas gdy jej dłonie rozchylają moją rozpiętą koszulę, jej długie brązowe włosy powiewają w lekkiej bryzie, łaskocząc mnie w pierś, a ona patrzy razem ze mną. – Jesteś taki sam... Świr. Kocham to.

Nie odpowiadam, bo ma rację. Jestem cholernym świrem. Ona to wie i ja to wiem, ale obojgu nam to zwisa. Jeśli już, to Kirze się to podoba. Musi tak być, skoro wytrzymała przy mnie przez tak długi czas. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny... i z całą pewnością wie, co lubię.

Mimo że jest piękna i znajoma, ignoruję jej palce, które błądzą po mojej skórze, pocierają czubki moich sutków i zsuwają się w stronę krocza. Mój kutas opiera się dziś jej dotykowi i pozostaje miękki w moich spodniach. Nie dlatego że nie jest atrakcyjna czy seksowna, bo jest.

Ale dlatego że to, co piękne i znajome, mnie nie kręci. Prawie wszystko już raz widziałem i robiłem dwa razy. Normalne rzeczy już na mnie nie działają.

To zakazane rzeczy sprawiają, że mój kutas się podnosi. Mroczne rzeczy, złe rzeczy.

Patrzę w dół z balkonu, ponad połyskującym basenem pod nami, ponad marszczącą się wodą, która na wszystko wokół rzuca niebieskie światło, na falujące w ciemności sylwetki. Sylwetki dwóch pieprzących się osób.

Świadomość, że nie powinienem patrzeć, jest tym, co mnie ekscytuje, więc nie odrywam oczu od pary uprawiającej seks przy basenie mojego brata.

Upijam kolejny łyk whisky, chwilę trzymając ognisty płyn w ustach, zanim przełknę, pozwalając, by owinął palce wokół mojego żołądka, rozgrzał wnętrzości.

Obserwuję parę, opieram się o balustradę, na wpół ukryty w cieniu, otoczony nocą. Tak właśnie lubię.

Scena rozgrywająca się przede mną nabiera brutalności.

A mój penis twardnieje.

Dziewczyna zatapia zęby w szyi faceta, potem szepcze coś niedosłyszalnie do jego ucha, słowa, które syczą w jej ustach, gdy przeciąga zębami po jego skórze. Ostro, agresywnie, brutalnie. Widzę czerwoną ścieżkę bólu, jaką po sobie zostawia.

– Czy ona go właśnie ugryzła? – pyta Kira z rozbawieniem, jej dłoń tkwi nieruchomo na wysokości mojego pasa.

Kiwam głową. Tak było. A ja zrobiłem się od tego twardy jak skała. Uwielbiam oglądać ból. To odciąga moją uwagę od tego, który sam czuję.

Facet uśmiecha się; też mu się to podoba. Unosi jej nogi na swoje ramiona i wbija się w nią. Mocno.

Potem uwalnia jedną rękę i łapią ją za szyję. Mocno. Jego palce zagłębiają się w delikatną skórę, wciskają się w ciało, zostawiając czerwone ślady, które rano mogą stać się fioletowe.

Ale jej też się to podoba.

Poznaję po sposobie, w jaki drapie go po plecach i jęczy o więcej. Po tym, jak przyciąga go jeszcze bliżej do siebie, unosząc biodra, by wziąć go głębiej. Po tym, jak nawet nie próbuje odciągnąć jego dłoni od swojego gardła.

Zawsze fascynuje mnie widok kobiet, które lubią być poniżane, tych, które lubią ostry seks, tych, które pragną być dominowane lub upokarzane.

Nie ma to najmniejszego sensu, ale widuję to cały czas, coraz więcej i więcej, szczególnie tutaj, u mojego brata, na którejs z jego niekończących się imprez. Wokół jego basenu, w jego jacuzzi, na jego trawniku. Zdaje się, że ludzie tracą zahamowania, kiedy przechodzą przez bramy jego posiadłości, co również nie ma sensu. Większość z nich nawet go nie zna, nie tak naprawdę. Ale to nie powstrzymuje ich przed czuciem się tu bardzo jak u siebie.

Wystarczy powiedzieć, że kiedy wpadam, nigdy nie brakuje mi rozrywki.

– Myślisz, że wiedzą, że im się przyglądamy? – Kira staje na palcach, mrużąc mi ciepłym oddechem do ucha i muskając palcami moje jaja.

Zerkam znów na parę, patrzę, jak twarz faceta kurczy się i wykrzywia, jak dziewczyna jęczy i wierci się pod nim. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy, ale coś mi mówi, że gdyby wiedzieli, nie przeszkadzałoby im to.

– Ta dziewczyna chyba podawała mi szampana! – woła Kira, wychylając się dalej, żeby lepiej zobaczyć.

– Chyba się nie mylisz – odpowiadam, wpatrzony w skąpy uniform kelnerki, który dziewczyna ma na sobie. Zastanawiam się krótko, co myśli sobie jej szef – że gdzie ona niby teraz jest? Z pewnością nie ma pojęcia, że pieprzy się z jednym z gości przy basenie.

Ale to nie mój problem.

Teraz moim problemem jest wyrzucenie między nogami. Zrobiło się grubsze i cięższe, więc poruszam się, żeby zmniejszyć ucisk dżinsów na kutasa. Muskam dłonią materiał okrywający krocze, dotykam się tam. Tylko troszeczkę. Szybko i sprawnie.

Nie mam zamiaru dochodzić tu, na widoku. Z uwagi na to, jak zarabiam na życie, nauczyłem się, by nie robić nic na widoku. Prasa oszalałaby z zachwyty, gdyby wyciekły zdjęcia, na których walę konia.

Kira bierze rozwiązanie problemu na siebie, jak zawsze, gdy jestem w mieście. Popycha mnie w tył, do cienia, gdzie ściąga przede mną swoje krótkie spodenki. Nie nosi bielizny.

Ma rację. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Przeleć mnie ręką, a sam patrz na nich – nakazuje mi miękko, jej zielone oczy błyszczą. – Zrób to, Dom. A potem pozwolę ci dojść sobie na twarz, tak jak lubisz.

Sięgam w jej stronę. Stoi przede mną bezwolnie, z głową opartą na moim ramieniu, kiedy na przemian wsuwam i wysuwam z niej dwa palce. Wiem dokładnie, gdzie jej dotykać. Wciąga powietrze i muszę się uśmiechnąć. Znam każdy centymetr jej ciała. I taka znajomość ma swoje zalety.

Jest niemożliwie mokra, jakby czekała na to, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Tak oczywiście nie było. Układ między mną i Kirą opiera się na wygodzie. Jest nam wygodnie, bo się znamy, ufamy sobie. I żadne uczucia nie wchodzą w grę. Ona i ja jesteśmy pod tym względem tacy sami.

Słyszę, jak dziewczyna przy basenie jęczy głośno, co sprawia, że moje palce poruszają się szybciej, pieszcząc Kirę mocniej, w rytmie spoconych pchnięć tamtego gościa. Kira jęczy wraz z dziewczyną przy basenie, a ja zamykam oczy, wsłuchując się w odgłosy seksu. Z dłonią skrytą w kroczu Kiry niczego poza odgłosami nie potrzebuję.

Gdybym był przyzwoity, wycofałbym się z balkonu, dając parze nieco prywatności, zapewniając Kirze lepsze ukrycie w cieniu... na wypadek, gdyby ktoś się na nas natknął.

Ale pieprzyć to. Nie jestem przyzwyczajony. Już nie.

Po kilku kolejnych minutach ostrego rżnięcia facet wysuwa się z kelnerki i chwyta ją mocno, zrzucając z leżaka i popychając w dół, aby przed nim uklękła. Widzę, jak jej skóra trze o płytki, potrafię też odczytać słowa z ruchu jego warg.

„Obciągnij mi”.

Nieruchomieję, gdy dziewczyna kręci głową, próbując się wywinąć, ale on prędko chwyta ją za włosy i zmusza, by wzięła go do ust. Zmusza ją, by zlizwała z niego swój własny smak.

Teraz już zdecydowanie jej się to nie podoba. Gorączkowo uderza w niego ramionami, ale on trzyma ją mocno za włosy, owijając je sobie wokół dłoni, i nie ma zamiaru jej puścić.

Patrzę, jak po jej twarzy przemyka strach i w odpowiedzi coś ściska mi się w brzuchu.

Kurwa.

Kira unosi głowę, bo moja dłoń ani drgnie.

– Co?

Oczy, które we mnie wlepią, są zamglone. Kiwam głową w stronę basenu, wskazując szarpaninę, która się tam odbywa, dziewczynę, która desperacko usiłuje wyzwolić się z uścisku tego dupka.

– Szlag – wzdycha Kira. – Zignoruj to, Dom. To nie twój problem. Jeszcze tu nie skończyliśmy.

Ja też wzdycham, bo wiem, że nie mogę tego zignorować.

To się zdarza zdecydowanie zbyt często. Ludzie przychodzą tu, upijają się i tracą kontrolę. W ogóle nie warto ich zapraszać, ale Sin mimo to organizuje imprezy. Twierdzi, że dzięki temu wciąż coś znaczy, cokolwiek przez to, cholera, rozumie. Ja nie mam problemu ze znaczeniem czegoś, choć nie urządzam żadnych imprez.

Strząsam dłoń Kiry ze swojego nadgarstka, przełykam resztę drinka i schodzę po schodach, puszczając mimo uszu jej okrzyki protestu.

Chwilę zajmuje mi dyskretne przepchanie się przez tłumy ludzi rozproszone po domu i pokonanie trawnika oraz kamiennej ścieżki prowadzącej do basenu. Ale wkrótce docieram do pary, bez chwili zwłoki łapię kołosa od tyłu i odciągam. Syczy, gdy zęby dziewczyny drapią jego kutasa.

Dobrze mu tak. Ten fiut mi przeszkodził.

Skomli, a ja rzucam go na ziemię, z satysfakcją zauważając, że zadrapuje sobie twarz o kamienne płytki, zanim przetacza się na trawnik.

– Wypierdalaj – warczę na niego. – Tutaj nikogo się do niczego nie przymusza.

– Ta suka tego chciała – protestuje, podnosząc się. – Prosiła się o to.

Potrząsam głową.

– Z moich informacji wynika, że „nie” znaczy „nie”. To nie żaden nowy sposób na „proszenie się o to”.

Wypierdalaj.

Facet znów na mnie spogląda, rozpoznaje mnie i odchodzi sztywnym krokiem bez słowa więcej. Chwytam ręcznik kąpielowy i okrywam nim ramiona dziewczyny.

Jej skąpy uniform, już wcześniej ledwie zakrywający cokolwiek, teraz zwisa jej wokół talii, najwyraźniej rozerwany podczas przepychanki. Dziewczyna wygląda na skrępowaną, ale szczerze mówiąc, ja ledwie ją zauważam. Jest młoda i ma sterczące cycki – tak samo jak tysiące innych kobiet. Prawie na mnie nie działa. Głównie dlatego że mam świadomość, że z radością by mi się oddała, gdybym tylko zechciał. Przez krótką chwilę rozważam, czy nie zaprosić jej, aby dołączyła do mnie i Kiry, ale nie robię tego. Jest pijana, ale nawet jeśli jest zbyt pijana, by pamiętać, właśnie prawie została zgwałcona.

– W porządku? – pytam ochryple. Kiwa głową, pociągając nosem, i w tym momencie pospiesznie zbliża się do nas inna dziewczyna, prześliczna blondynka w takim samym uniformie.

– Cholera, Kaylie. Co się stało?

Blondynka jest wyraźnie zaniepokojona i przejęta; gdy Kaylie opowiada o tamtym dupku, odwracam się, żeby znowu skryć się w cieniu. Niezależnie od mojej profesji, staram się unikać świateł reflektorów,

kiedy kamery nie pracują. Niestety oddalam się tylko kawałek, gdy Kaylie łapie mnie za ramię i obejmuje ciasno w pasie.

– Dziękuję – wyrzuca z siebie roztrzęsionym głosem, jej ramiona przypominające cienkie paski nie pozwalają mi choćby drgnąć. Patrzą na nią z góry, omijając wzrokiem rozmazany przez łyzy eyeliner i spoglądając prosto w jej spanikowane oczy.

– Żaden problem. Ale musisz unikać podobnych sytuacji. Nie zawsze znajdzie się ktoś, kto się wmiesza i cię uratuje.

Sądząc po jej zszokowanej minie, mogłem być dla niej nieco za ostry. Ale, do cholery. Kobiety muszą być ostrożniejsze. Nie może paradować prawie bez ubrania, pozwalać sobie na brutalny seks z nieznajomym i oczekiwać, że ten zachowa się jak dżentelmen. Mężczyźni w przeważającej większości nie są dżentelmenami. Jesteśmy dupkami.

Kaylie wpatruje się we mnie, zbyt pijana albo naćpana, żeby odpowiedzieć. Ale jej przyjaciółka nie siedzi cicho.

Duże brązowe oczy rzucają mi gniewne spojrzenie.

– Czemu ją pouczasz? Ktoś dopiero co ją zaatakował, jakbyś nie zauważył.

Przewracam oczami.

– Tak to nazywasz? Uprawiała z tym dupkiem ostry seks w publicznym miejscu, kiedy powinna była pracować, mógłbym dodać. Jak dla mnie wyglądało to na incydent, który po prostu wymknął się spod kontroli. Przerwałem go dla niej. Proszę bardzo.

Śliczna blondynka wgapia się we mnie w oszołomieniu.

– Czy ty insynuujesz, że ona nie jest w tym wszystkim ofiarą, że to wydarzyło się z jej winy?

Wzdycham.

– Oczywiście, że nie. Mówię tylko, że w ogóle nie powinna była zachęcać pijanego nieznajomego, żeby brutalnie ją przeleciał. Dobranoc.

Zaczynam się oddalać, ale ona najwyraźniej jeszcze nie skończyła.

– Za kogo ty się, do cholery, uważasz? – pyta. – Może nie słyszałeś, ale naprawdę nie powinno się obwiniać ofiary.

– Ja jej nie obwiniam... – zaczynam, ale przerywa mi jej głośny oddech, kiedy wchodzę głębiej w krąg światła, a ona dostrzega moją twarz.

– Jasna cholera! – wyrzuca z siebie. – Pieprzony Dominic Kinkaide!

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, nieznacznego, takiego, który ledwie podwija w górę kąciki ust.

– Wystarczy Dominic. Zwykle daruję sobie to „pieprzony”. Chyba że ktoś akurat faktycznie mnie pieprzy.

Uśmiecha się w zapierający dech w piersiach sposób, co powinno jakoś na mnie wpłynąć. Ma duże cycki, nogi ciągnące się kilometrami i jest prawie naga. Powinna na mnie działać. Ale nie działa. Bo nic już na mnie nie działa. Jestem kurewsko znużony życiem.

– Słyszałam, że zwiastujesz kłopoty – ogłasza rzeczowym tonem, lustrując mnie wolno od stóp do głów ognistym spojrzeniem. – Dobrze się składa, że lubię kłopoty.

– Założę się, że lubisz – odpowiadam, starając się zignorować to, jak dziewczyna zachowuje się teraz, gdy już wie, kim jestem. Wszystkie się tak zachowują. Każda jedna. Robi się to monotonne. Czy żadna nie może mnie zaskoczyć, choć raz? – Miło było cię poznać.

Odwracam się i ruszam w stronę domu, lecz ona dogania mnie w dwóch krokach i chwyta za ramię. Zatrzymuję się.

– Ale wcale tego nie zrobiłeś – zauważa z wahaniem, teraz nieco niepewna. – Nie poznałeś mnie. Mam na imię Jacey.

Wzdycham.

– Twoje imię nie ma znaczenia.

Idę dalej, ignorując to, jak wciąga powietrze, jak woła za mną z przejęciem, jak poddaje się i milknie, uznając swoją porażkę.

Może i jestem dupkiem, ale nie kłamię.

Jej imię nie ma znaczenia.

Nie dla mnie.

Zostawiam całą tę scenę za sobą, tracąc ją z oczu i wyrzucając z myśli. W ciągu kilku minut staję znów przed Kirą.

– Wszystko załatwione? – mruczy, wyciągając ku mnie ręce. Kiwam głową, ukrywając twarz w jej ciężkich nagich piersiach, podczas gdy ona rozpiną mi pasek. – Zwiąż mi tym ręce i skończ mi na twarzy.

Nie musi prosić dwa razy.

– Jesteś taką sprośną dziewczynką – szepczę jej do ucha, popychając ją na kanapę i spinając jej ręce nad głową, na tyle mocno, by skóra paska wrzynała się w jej ciało. Tak jak lubi.

A potem chwytam swojego kutasa w dłoń i napieram na zaciśnięte palce tak jak ja lubię.

Na sekundę, z jakiegoś dziwnego powodu, w wyobraźni zjawia mi się twarz tej blondyny, jej oczy, duże i brązowe. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, ale potrząsam głową, by pozbyć się myśli. Zamiast tego skupiam się na obecnie poruszanej sprawie.

W przeciągu dwóch kolejnych minut dochodzę na twarz Kiry, tryskając kremowym łukiem, który ochlapuje jej opaloną skórę. Zlizuje kropelkę z warg i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Proszę bardzo, mój kochanku.

– Nie nazywaj mnie tak. – Kręcę głową, wciągając z powrotem dzinsy i opadając na kanapę obok niej. Kira przewraca oczami.

– Dlaczego? Przecież tym właśnie jesteśmy. Zawsze do mnie wracasz, Dom. Wiesz o tym.

Bez słowa rozpinam pasek, rzucając go na podłogę. Może i wracam do niej zawsze, gdy przyjeżdżam do domu, ale jej nie pieprzę. Nie tak naprawdę. Od lat nie pieprzyłem nikogo tak naprawdę.

– „Kochanek” sugerowałyby, że wkładam kutasa do twojej słodkiej cipki. – Spoglądam na nią, potem przesuвам palcem po wypukłości jednego z jej cycków i ześlizguję się w stronę jej krocza. Wygina się w stronę mojego dotyku. – A wiesz, że tego nie zrobię.

Gwałtownie cofam rękę, a Kira się krzywi.

– Taaak, wiem o tym. Nie wiem tylko dlaczego. Dominic, ty też masz potrzeby. Nie może ci wystarczać podglądanie, jak inni ludzie się pieprzą, masturbowanie się i kończenie na moją twarz. Seks to nie tylko seks, Dom. Potrzebujesz też wszystkich tych dobrych rzeczy, które idą z nim w parze.

– Och, potrzebuję ich, tak? – pytam rozbawiony. – Jakich na przykład? Kobiet, które się do mnie przywiążą i będą miały nadzieję na ślub? Albo martwienia się, czy nie złapię jakiejś pieprzonej choroby, albo...

– Przestań już – przerywa mi Kira, wbijając we mnie wzrok. – Znam cię, Dom. Wiem, dlaczego robisz to, co robisz. Nie chcesz znowu się do kogoś zbliżyć. Nie chcesz dać nikomu takiej władzy nad sobą. Ale, Dom... Już czas. Już czas, żebyś wreszcie o niej zapomniał i wrócił do życia.

– Po pierwsze, nie rozmawiam o niej – pouczam Kirę lodowatym tonem, przygważdżając ją spojrzeniem. – Doskonale o tym wiesz. A po drugie, czyżbyś insynuowała, że teraz nie żyję?

Kira wzdycha i wkłada koszulkę, pomijając stanik. Wpycha go do torebki i zerka na mnie.

– Dobrze wiesz, co insynuuję. Od sześciu lat jesteś samą skorupą, Dom. Od sześciu cholernych lat. To długo. Byłam cierpliwa. Robiłam wszystko, czego potrzebowałeś. Ale przychodzi czas, kiedy dziewczyna pragnie, żeby ją ktoś przeleciał. Mam swoje potrzeby, Dominic.

Muszę się roześmiać na myśl, że miałbym być jedynym, na którym Kira polega w kwestii tych „potrzeb”.

– Och, tak. Bo nie masz nikogo innego, kto by je spełniał, kiedy mnie tu nie ma, co?

Wpatruje się we mnie.

– Czasem straszny z ciebie dupek. Idę jutro wcześniej do pracy, więc muszę się zbierać. Zadzwoń do mnie jutro, okej?

Kiwam głową, choć wiem, że tego nie zrobię. Chowam twarz w poduszkach kanapy, zdając sobie sprawę, że nagle poczułem się wyczerpany i chcę jedynie spać. Nie słyszę nawet, jak Kira wychodzi. Słyszę za to, jak w kilka minut później do pokoju wchodzi ktoś inny, akurat gdy jestem gotowy zapaść w sen.

– Dom, co z tobą, do kurwy nędzy? Miałeś mnie odciągnąć od stołu, zanim przegram koszulę.

Z wahaniem otwieram jedno oko, żeby spojrzeć na mojego brata, i odkrywam, że naprawdę przegrał koszulę. Stoi przede mną z gołą klatą. Mój wzrok nurkuje niżej i aż się wzdrygam.

Przegrał też spodnie.

– Co ty odwalasz, Sin? Włóż coś na siebie, do cholery.

Mój brat wyszczerza zęby w uśmiechu, tym pewnym siebie i zadziornym, który tak kochają jego fanki, i opada na kanapę obok mnie, z gołym tyłkiem, kładąc skrzyżowane nogi na stoliku kawowym.

– Nie musiałbyś się tym przejmować, gdybyś odciągnął mnie od pokera, jak cię prosiłem. – Wzrusza ramionami, chwytając moją szklankę z whisky i osuszając ją jednym haustem. – Te pijane laski znajdują się na pokerze. A może po prostu chciałem się rozebrać. Jedno albo drugie.

Wgapiam się w niego.

– Nie mogłem cię wyciągnąć, bo zajmowałem się w twoim imieniu pewną sytuacją. Kurwa, stary. Musisz skończyć z tymi imprezami. Kogoś w końcu zgwałcą albo zamordują i ten ktoś poda cię do cholernego sądu.

Sin tylko się szczyrzy, niewzruszony.

– Nie poda, skoro będzie martwy.

Z tą logiką nie sposób się kłócić. Zamiast tego opowiadam mu, co przegapił, nie żeby szczególnie się tym przejął. Cały czas się z tym spotyka.

– Dzięki, że to załatwiłeś – mówi swobodnie, jakby prawie gwałty zdarzały się na co dzień. Przewracam oczami.

– Do usług. Czy teraz możesz się, do cholery, ubrać?

Porusza sugestywnie ciemnymi brwiami.

– Jasne. Jeśli czujesz się zagrożony, patrząc na mój sprzęt. Może i jesteś starszy, ale ja jestem większy i to się liczy.

Jest też śmieszny. Nie jest ani o centymetr większy niż ja, ale nie strzępię języka na wypominanie mu tego.

Wyszarpuje z mojej walizki jedną z moich koszul i przeciąga przez głowę. Potem wyciąga moje dzinsy. Nie wkłada bielizny, co oznacza, że będę musiał te spodnie spalić.

– Zapomniałem spytać, jak długo zostajesz – rzuca, sadowiąc się z powrotem na kanapie i nie bacząc, że właśnie zrujnował moje ulubione dzinsy. – Mam nadzieję, że wystarczająco długo, żeby załapać się na koncert. Duncan od miesięcy o niczym innym nie mówi... W kółko tylko, że nie przyjdiesz nawet zobaczyć, jak grają twoi biedni młodsi bracia.

Przewracam oczami.

– Biedni młodsi bracia? Myślę, że obaj jakoś sobie radzicie.

Sin parska.

– Nie lepiej niż ty, brachu. Ale co tam. W przyszłym miesiącu szykuje się występ w Chicago. Jeśli chciałbyś przylecieć, załatwimy ci wejście za scenę.

Kręcę głową.

– Spróbuję. Za kilka tygodni zaczynamy kręcić. Ale zobaczę, co da się zrobić. Nie chciałbym zasmucić małego Duncana.

– Co ze mną?

Mój najmłodszy brat wchodzi do pokoju spacerowym krokiem i opada na kanapę obok Sina. Żaden z nich nie ma najmniejszych problemów z naruszeniem cudzej przestrzeni osobistej, to pewne, bo wszyscy trzej ciśniemy się na jednym siedzisku. A jesteśmy na to o wiele za duzi.

– Nic – zapewniam Duncana. – Mówiłem tylko, że nie chciałbym ci wymierzyć ciosu prosto w jajniki, nie zjawiając się na waszym następnym koncercie. Będę się starał jak cholera, żeby tam być.

– To ostatnia rzecz, o jakiej teraz myślę – ogłasza Duncan, otwierając puszkę piwa. – W każdej chwili możesz zobaczyć, jak stukam w bębny. A dzisiaj chciałbym stuknąć te półnagie kobiety, które czekają tuż za tymi drzwiami. Kurwa, uwielbiam twój dom, stary – oznajmia Sinowi. – Och, i pytała o ciebie jedna laska. Powiedziała, że chce się upewnić, że wiesz, że twój brat ją uratował. Czy coś.

Sin przewraca oczami, ale ja szturcham go łokciem.

– To pewnie ta dziewczyna z basenu. Lepiej z nią pogadaj i podpisz jej się na cyckach albo coś. Musisz ją uszczęśliwić, żeby nie przyszło jej do głowy zadzwonić na policję. Nie chcesz tego rodzaju prasy, stary. Nie po Amsterdamie.

Sama wzmianka o tym, jak miesiąc temu brukowce sponiewierały zespół Sina z powodu dziwkiej imprezy urządzonej w Amsterdamie, wystarczy, aby ich obu otrzeźwić. Były tam nieletnie dziewczyny, fanki, które skłamały na temat swojego wieku, i gdyby prawo w Europie nie było bardziej pobłażliwe niż to w Stanach, moi bracia mieliby przechłapane.

Sin kiwa teraz głową.

– W porządku. Zaprowadź mnie do niej – poleca Duncanowi. Mnie wręcza butelkę whisky i pyta: – Nie męczy cię czasem to, że zawsze masz rację? Jezu.

– Jak dotąd nie – odpowiadam, pociągając kilka łyków, a potem osuwam się z powrotem na kanapę, zamykając oczy. – Chociaż to ciężkie brzemię.

Moi bracia chichoczą, wychodząc, a ja odprężam się, rozkoszując się tym, jak whisky rozluźniła moje mięśnie, jak ciepło rozchodzi się po wszystkich zakamarkach mojego ciała. Pomaga mi utrzymać stan otępienia... a otępienie to cholernie pożądana rzecz.

Kiedy jestem otępiały, czuję się na tyle bezpiecznie, by wsunąć dłoń do kieszeni. Nie sięgam do kutasa, chociaż to też w moim przypadku normalka. Nie, zaciskam palce wokół chłodnego kamyka na łańcuszku, który zawsze tam jest, oprawiony w białą muszelkę i spoczywający na mojej nodze.

Ostatnią rzeczą, jaka wypełnia mi umysł przed zaśnięciem, jest kolor.

Akwamaryna.

Rozdział 2

DOMINIC

Kiedy otwieram oczy, okazuje się, że minęły prawie dwie godziny. Wiem to dzięki niewyraźnemu zielonemu wyświetlaczowi zegara. Jestem trochę zdezorientowany, gdy siadam i rozglądam się wokół, widząc meble, które nie należą do mnie, a potem przypominam sobie, że to nie mój dom. Spędzam weekend u brata.

– Dzień dobry, słoneczko. – Ten cichy głos mnie zaskakuje.

Odwracając gwałtownie głowę, dostrzegam śliczną blondynkę z dziwnym imieniem, tę znad basenu.

Jacey.

Siedzi w ciemności, bawiąc się telefonem. Czy ona patrzyła, jak śpię? Czy jest po prostu zbyt grzeczna, żeby mnie obudzić?

Tak czy inaczej, tłumię w sobie gniewny pomruk na takie pogwałcenie mojej prywatności.

– Co ty tu robisz?

Przycupnęła na skraju łóżka, obserwuje mnie. Jest nawet bardziej atrakcyjna, niż to zapamiętałem, długie nogi, pełne piersi, szczupłutka talia. Zazwyczaj wolę wyższe kobiety, ale ta dziewczyna ma idealne proporcje... i jest w niej coś boleśnie seksownego. Coś w niej po prostu krzyczy „przeleć mnie”.

Wzrusza ramionami, ignorując moje poruszenie, długie jasne włosy opadają jej bokiem na ramię.

– Twój brat mnie tu przysłał. Wygląda na to, że moja przyjaciółka Kaylie spędzi tu noc. Z nim.

– I? – Unoszę brew.

Czy to ma mnie zszokować? Z Sinem takie rzeczy zdarzają się cały czas. W ogóle się nie przejmuje faktem, że bierze dziewczynę po kimś. Mówi, że po to właśnie wymyślono prezerwatywy. Pieprzone gwiazdy rocka. Przeleczą wszystko, co się rusza.

Jacey wpatruje się we mnie bez zawstydy i wcale nieoniesmielona, jej ciemne oczy błyskają w mroku.

– Miała mnie odwiedzić do domu. Twój brat powiedział, że z przyjemnością ją wyręczysz.

– Och, tak powiedział, tak? – Rośnie we mnie irytacja, zerkam na zegar. Druga, kurwa, w nocy.

Dziewczyna kiwa głową.

– Taaak. Powiedział, że użycza ci miejsca w garażu, żebyś mógł tu trzymać swój samochód, więc mógłbyś chociaż raz czy dwa przejechać się nim w jego interesie.

– Kazał ci to powtórzyć, co?

Znów kiwa głową.

– No. Powiedział, że wolałby, żebyś to ty mnie odwiózł, niż żebyśmy wzywali taksówkę. Nie chce, żeby jakiś przypadkowy taksjarski tweetował o imprezie.

Niechętnie to przyznaję, ale to dość mądre posunięcie. Wszyscy wokół uwielbiają nowinki na temat Sina Kinkaide’a, a on stara się utrzymać w tajemnicy te swoje imprezy. Albo przynajmniej ich naturę. Wzdycham. Kurwa.

– Okej – zwracam się do niej ze zmęczeniem w głosie. – Zawiozę cię. Daj mi minutę.

– Nie spiesz się – mówi łaskawie, opierając się o jedwabne poduszki na łóżku. Nie mogę nic poradzić

na to, że jej minimalistyczny uniform robi na mnie wrażenie. Zasłania ledwie odrobinę więcej niż kostium kąpielowy i jej cycki wycierają górą. Odwracam wzrok, nie chcąc, by zauważyła, że podziwiam jej gorące ciało.

Takie dziewczyny... wyczuwają najdrobniejszy ślad zainteresowania i w gryzają się w niego jak piranie. Widziałem to już setki razy. Nie szkodzi, że teraz udaje niezainteresowaną, jakby to, kim jestem, nie robiło na niej wrażenia. Wkurza się zwyczajnie, że wcześniej ją zgasilem.

Idę do łazienki, ochlapuję twarz zimną wodą, a potem wracam i biorę z nocnej szafki kluczyki.

– Okej. Chodźmy.

Idzie za mną na dół przez dudniącą muzykę i wśród ludzi, tych tańczących i tych pieprzających się w ciemnych kątach. Naprawdę. Imprezy Sina wymykają się spod kontroli. Jestem do zgonnie wdzięczny, że nie żyję jego życiem, że ludzie nie zalewają mojego domu dniem i nocą.

Może i cały świat zna moją twarz, ale w istocie bardzo cenię sobie swoją prywatność. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam, pod koniec weekendu jestem już gotowy na powrót do domu. Może nie brakuje tu rozrywki, ale wykańcza mnie unikanie tych wszystkich ludzi, którzy chcą mieć ze mną coś do czynienia.

Prowadzę dziewczynę przez siedem stanowisk garażowych do miejsca, gdzie parkuje mój grafitowy nine eleven. To mój wóz na Chicago. Trzymam go tu, żeby mieć czym jeździć, kiedy wracam do domu, czym wybrać się na tor wyścigowy, kiedy się nudzę. U siebie w Kalifornii mam taki sam, bo co może być lepsze niż jedno porsche? Dwa.

Jacey przygląda się autu, jej ciemne oczy rozszerzają się w podziwieniu, ale nie odzywa się ani słowem. Po prostu wsuwa się do środka, a ja przy tej okazji zauważam, że z całą pewnością ma na sobie majtki. Dostrzegam mignięcie czerwonej satyny. Uśmiecham się pod nosem, bo ona tego nie wie, ale ja cholernie lubię czerwoną satynę na kobiecie.

Zapina pas, moszcząc się na siedzeniu, jakby się w nim urodziła, nieświadoma mojej aprobaty w kwestii jej bieliźnianych wyborów.

– Gdzie mieszkasz? – pytam, gdy silnik bokser z rykiem budzi się do życia, w sposób typowy jedynie dla porsche.

– Przy Osiedzi Siódmej ulicy – odpowiada, wyglądając przez okno, podczas gdy toczymy się podjazdem mojego brata, mijając jego wypielęgnowane trawniki.

– Calumet Heights? – upewniam się, przywołując obraz starszej części Chicago. Kiwa na potwierdzenie.

– Ooo, wciąż pamiętasz rodzinne miasto. Jestem pod wrażeniem.

Przewracam oczami, niepewny, czy to był sarkazm, czy nie.

– Nigdy nie zapomnę, skąd pochodzę.

Silnik mruczy, kiedy kierujemy się do bramy, a ja niedbale zerkam w bok, spodziewając się ujrzeć zielone trawniki, drzewa oraz cienie zaścielające posiadłość brata. Ale dostrzegam coś innego i zamieram, moje dłonie zaciskają się na kierownicy, gdy wciskam hamulec.

– Co, do cholery? – wypluwa z siebie zdezorientowana Jacey, kiedy jej ciało leci do przodu. Ale ja już wysiadłem z auta i wielkimi krokami zmierzam ku dwójce ludzi siedzących na ławce po naszej lewej.

Moja siostra Fiona i mój niegdysiejszy najlepszy przyjaciel, pieprzony Cris Evans, w zdziwieniu podnoszą na mnie wzrok z ciemności, w której jej ramiona owijały się wokół jego szyi. Jeszcze pół minuty temu jego język tkwił w jej gardle.

– Co, do... – udaje się wydusić Crisowi, zanim podrywam go z ławki i rzucam na ziemię. – Dominic, co, do kurwy? – szczeka, zbierając się z trudem i balansując na swoich cholernych patykowatych nóżkach, gotowy na mnie skoczyć, jeśli zostanie do tego zmuszony.

Uśmiecham się ponuro i zerkam na Fionę.

– Co tu się, do cholery, wyrabia, Fi? Powiedz mi, że to nie to, na co wygląda.

Moja siostra wzdycha i spokojnie wstaje, zbliżając się do mnie ostrożnie.

– To raczej to, na co wygląda. Cris i ja się spotykamy, Dom. Chciałam ci powiedzieć, ale biorąc pod uwagę, jak to między wami wygląda... no cóż, bałam się twojej reakcji.

Ignoruję wrażenie, że moje serce pompuje lodowato zimną wodę.

– No jasne – odpowiadam z opanowaniem. – Oczywiście, że się spotykacie. Ponieważ najwyraźniej chciałaś znaleźć sobie największego palanta na tej planecie. Jeśli tak, to świetna robota.

– Dom. – Fiona znowu wzdycha. – Nie wiem, co on ci zrobił, ale sześć lat to cholernie długi czas na chowanie urazy. Musisz przejść nad tym do porządku dziennego i skończyć z tą aferą. Kocham go, a ty będziesz musiał jakoś z tym żyć.

– Ty... co? – Słowa na moim języku stają się jakby drewniane, suche i ciężkie. Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie usłyszałem.

Fiona wbija we mnie wzrok, jej zielone oczy starannie mnie oceniają.

– Kocham go.

Słyszę, jak Cris oddycha tuż przede mną, widzę Jacey stojącą kawałek dalej, ale wszystko poza tym jednym faktem momentalnie blednie. Cris i Fiona. Razem.

Nie potrafię pojąć, jak moja młodsza siostra może mi w ten sposób wbijać nóż w serce.

– Jak mogłaś to zrobić? – pytam jej. – Wiesz, co do niego czuję, Fiono. Czy powiedzenie, że „rodzina jest najważniejsza” nic dla ciebie nie znaczy? Jesteś o wiele lepsza niż on i on na ciebie nie zasługuje. Poza tym jest dla ciebie za stary, do cholery. Jezu.

Następuje chwila ciszy, gdy Fiona opiera ręce na biodrach, a potem wybucha:

– Jezu Chryste – rzuca wściekle. – Musisz się opamiętać. Cris był twoim najlepszym przyjacielem, Dom. Ja też z nim dorastałam. I przez te wszystkie lata oczekiwałam, że wszyscy po prostu uwierzmy ci na słowo, że taki z niego potwór, chociaż nie wyjaśniłeś dlaczego. Jeśli chcesz, żebyśmy stali za tobą murem, musisz nam podać dobry powód. Jeżeli naprawdę zrobił ci coś tak kurewsko okropnego, to musisz mi zdradzić, co to, do cholery, było.

Przełykam z trudem ślinę, bo jedynym sposobem, aby skutecznie przestrzec ją przed Crisem, jest powiedzenie prawdy. A tego nie umiem zrobić. Rana jest tak cholernie głęboka; otwarta i niezagojona. Minęły lata, a ona wciąż kłuje tak samo. Ledwo mogę o tym myśleć, a co dopiero mówić.

Biorę głęboki oddech, potem następny. W tym czasie zauważam, że Jacey podeszła bliżej i czeka w cieniu, przyglądając się nam niepewnie. Odwracam od niej wzrok, spoglądając ponownie na siostrę.

– Nie możesz po prostu mi zaufać? – pytam wreszcie powoli. – Jestem twoim starszym bratem, nie możesz mi, do cholery, zaufać?

Cris zaczyna coś mówić, ale warczę na niego. Siostra wyciąga w jego stronę rękę w ostrzegawczym geście, a potem znów patrzy na mnie. Zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że rozmowa z Crisem jedynie mnie rozwścieczy.

– Dominic, kocham cię, choć jesteś uprzedzony i uparty. Ale dorastaliśmy razem z Crisem i jemu też muszę ufać. Wiem, że to z pewnością wiąże się jakoś z Emmą. Ale Dom, jej już nie ma. Cokolwiek się wydarzyło, to już nieistotne.

Kurwa. Sama wzmianka o Emmie to zabójczy cios w brzuch i mam ochotę zgiąć się wpół, by znów złapać oddech. Mam również ochotę przerzucić sobie siostrę przez ramię i zanieść ją gdzieś... daleko, daleko od Crisa.

Nieistotne? Nieprawda. To będzie istotne do końca moich dni.

Fiona wpatruje się we mnie, czekając na odpowiedź. Ale słowa nie przychodzą.

Nie mogę powiedzieć jej wszystkiego, co powinna wiedzieć. Nie potrafię wydusić brzydkiej prawdy z piersi, gdzie ukrywała się przez tak długi czas. Niech lepiej leży tam dalej, pogrzebana. Jeśli czegoś się w życiu nauczyłem, to właśnie tego.

– Czemu nie zapytasz Crisa, co zrobił? – pytam bez ogródek, wierząc wzrokiem dziurę w pierdolonym

czole mojego byłego najlepszego przyjaciela. – Po prostu go spytaj. Zobaczymy, czy powie ci prawdę.

Cris otwiera usta, ale Fiona kręci głową.

– Nie będziemy w to teraz brnąć, Dominic. Porozmawiamy o tym, kiedy się uspokoimy. I czy sądzisz, że nie pytałam? Stwierdził, że jeśli sam zechcesz o tym mówić, to mi powiesz.

Co za kutas.

Cris odchrząkuje, a ja wpatruję się w niego uważnie. Nie było go całymi latami, najpierw wyjechał na studia, potem rozkręcał interes. Ale wygląda tak samo jak zawsze. Przydługie jasne włosy, niebieskie oczy, patykowata sylwetka. Czas nie utwardził go tak, jak utwardził mnie. Kolejna rzecz, która mnie w nim wkurza. Odzywa się teraz, z wahaniem:

– Dom, musimy z tym skończyć. Minęły lata, lata obwiniania mnie o coś, co nie było moją winą. Już czas, by o tym zapomnieć. – Opuszcza swoje cholerne patykowate dłonie i gapi się na mnie, czekając na reakcję, a ja jedynie patrzę na niego z niedowierzaniem.

Przez chwilę nie widzę stojącego przede mną mężczyzny, nie widzę nawet chłopca, z którym dorastałem... chłopca, z którym grałem w Małej Lidze, z którym budowałem forty i łapałem żaby. Widzę imię.

Jego imię.

Wypowiedziane ustami mojej umierającej dziewczyny. Wzdrygam się na wspomnienie tego, jaka była blada i zimna, jak się trzęsła, jak ledwo potrafiła mówić, a jednak udało jej się wydusić jego imię.

Wbijam w niego wzrok, z całych sił starając się powstrzymać przed owinięciem dłoni wokół jego szyi i ściśnięciem.

– Coś, co nie było twoją winą? Serio? Bo ostatnią rzeczą, jaka padła z jej ust, było twoje imię. Twoje. Imię. Nie moje. Nie jej mamy albo taty. Twoje. Obaj wiemy, dlaczego to właśnie ono było jej ostatnim słowem. A ty masz czelność stać tu i mówić mi, że nie mam prawa się na ciebie wściekać?

Cris patrzy na mnie z bolesnym wyrazem twarzy, oczy ma czujne. Słyszę, jak Fiona wciąga powietrze, ale zaraz zasłania usta dłonią i nie wydaje już z siebie głosu. Jestem pewien, że po raz pierwszy słyszy o tym wszystkim... o ostatnich słowach Emmy.

Cris robi krok w moją stronę.

– Nie to powiedziałem. Powiedziałem, że to nie była moja wina. Nie mówiłem, że nie masz prawa się wściekać. Bo masz. Masz prawo wkurzać się na tę całą pieprzoną sytuację. Ale minęło dużo czasu. I nie wiesz wszystkiego. Nie chciałeś ze mną rozmawiać przed moim wyjazdem i nigdy nie odbierałeś telefonu, więc nie mogłem wyjaśnić...

– I nie mam zamiaru teraz tego zmieniać – przerywam mu. – W dupie mam wszystko, co chcesz mi powiedzieć. I gównu mnie obchodzi, że minęło dużo czasu. Ja nigdy nie zapomnę o tym, co się stało.

– Spotykam się z Fioną – ogłasza wprost Cris. – Więc musisz spróbować.

Potrząsam głową.

– Wal się. To decyzja Fiony, nie moja. Powinieneś wiedzieć o mnie choćby tyle, że nigdy nie robię tego, za co nie mam ochoty.

Odwracam się, żeby odejść, a on mówi:

– I ty się dziwisz, że Emma zrobiła, co zrobiła?

Wtedy złość uderza mi do głowy.

Na obrzeżach pola widzenia falują mi czerwone plamy, jakby chciały zamglić mi wzrok, a ja z rykiem rzucam się na Crisa. Nic nie słyszę, nic nie myślę. Mogę się tylko poruszać. Wszystko staje się tylko smugą złożoną z pięści, przekleństw i sapnięć.

Czuję, że ściskam w dłoni jego włosy, a potem moje knykcie spotykają się z jego twarzą, raz po raz; jego szczęką, kość policzkowa, oko. Następne, co do mnie dociera, to że Jacey wpycha się między nas, łapie mnie, gdy jestem w połowie wyprowadzania ciosu. Brzeg pięści ociera się o jej policzek, a jej ręka podrywa się do twarzy, ujmuje ją. Ale Jacey wciąż walczy, by nas rozdzielić.

Fiona biegnie do Crisa, jej palce dotykają ostrożnie jego krwawiącej wargi, jej ramiona przytulają go mocno.

– Dom, kurwa, co z tobą?! – wrzeszczy, obejmując ramiona Crisa, jakby go przede mną osłaniała. – Jesteś porąbany. Spierdalaj stąd.

Staram się ignorować ból, jaki mi to sprawia... myśl, że moja siostra nie tylko spotyka się z moim najgorszym wrogiem, ale też miała czelność przyprowadzić go tutaj, choć musiała wiedzieć, że i ja tu będę.

To bez wątplenia zdrada i ja nigdy bym jej czegoś takiego nie zrobił. Biorę oddech, nierówny i kłujący, i wbijam w nią spojrzenie, nie chcąc powiedzieć niczego więcej, czego bym potem żałował.

– Ja tu mieszkam, kiedy jestem w mieście, Fiona. Ty stąd spierdalaj. I weź ze sobą tę nic niewartą zakalę.

Fiona patrzy na mnie z urazą, wściekłością i niedowierzaniem, oddalając się z Crisem. Zanim ja i Jacey zdążamy wsiąść z powrotem do samochodu, wokół nas ozywają czerwone i niebieskie światła. Migają nam po twarzach, oświetlając nas wśród nocy.

– O cholera, ktoś wezwał policję.

Jacey gwałtownie wciąga powietrze i spogląda na mnie, jedną rękę trzyma bezwładnie na moim ramieniu, drugą przyciska sobie do policzka. Jest powalana krwią, a ja nie mam pewności, czy to moja, czy Crisa. A może nawet jej własna. Ale nie dają mi czasu, żebym się dowiedział.

Podchodzi do nas dwóch gliniarzy, a to, co dzieje się potem, rozmywa się w mojej pamięci, tak za sprawą całej tej pochłoniętej przez mnie whisky, jak i faktu, że Cris przywalił mi mocno w skroń.

„Ile pan wypił?”

„Kto sprowokował bójkę?”

„Czy mogę przeszukać pański samochód?”

„Synu, czy to twoje narkotyki?”

Podnoszę zamglony wzrok i widzę, że jeden z gliniarzy trzyma w górze torebkę pełną trawki. Rozmywa się w trzech gliniarzy, którzy ponownie się jednoczą, kiedy moje spojrzenie na zmianę traci i nabiera ostrości.

– Nie jestem pana synem – mamroczę. Jacey wciąga głośno powietrze i słyszę, jak przysięga, że narkotyki nie należą też do niej i że ja nie myślę teraz jasno, że nie jestem sobą. Chcę posłać jej ciężkie spojrzenie za te czynione w moim imieniu wymówki, ale zdaje się, że straciłem kontrolę nad mięśniami twarzy. Widzę, jak lekko odpycha policjanta, gdy ten łapie ją za nadgarstki, ale to już ostatnia rzecz, jaką dostrzegam. Podbródek opada mi na pierś, a mój wzrok wbija się w ziemię.

Na trawie zbiera się rosa. Zauważam to, kiedy skuwają mi ręce i wpychają na tył radiowozu. Słyszę głos siostry, oszalały i wściekły, ale nie rozumiem słów. Utrzymywanie przytomności robi się troszkę zbyt trudne, więc pozwalam głowie opaść w tył, na siedzenie policyjnego auta.

Migawki i fragmenty tego, co przed chwilą zaszło, przelatują mi przez głowę. Wystraszone oczy Jacey, to, jak wskoczyła w środek szarpaniny i próbowała pomóc... to, jak walnąłem ją w twarz, a ona się nie wycofała.

„On nie jest sobą” – oznajmiła gliniarzowi. Niemal się uśmiecham. Tak jej się zdaje?

Czuję, jak krew kapie mi z knykci na kajdanki i na plecy, i myślę o słowach Crisa.

„I ty się dziwisz, że Emma zrobiła, co zrobiła?”

Jezu. Żołądek zwija mi się w węzeł i siłą zmuszam gardło, by się nie zamknęło, płuca, by nadal pracowały.

Emma.

Sama myśl o niej wywołuje milion emocji, których nie potrafię nazwać ani przetworzyć, a które rozpraszają się spiesznie po mojej skórze, gdzie pełzają, wyciągając pazury ku mojemu sercu. Dżgają je raz po raz, aż nic już nie czuję.

To właśnie mnie spotkało. To dlatego jestem taki pusty.

Tak niezdolny do odczuwania czegokolwiek.

Emma.

Zaciskam powieki, próbując jej sobie nie przypominać, nie widzieć jej uśmiechających się do mnie ust z tamtych czasów i nie wyobrażać sobie, jak musi wyglądać teraz... zakopana w ziemi, gnijąca, aż nic z niej nie zostanie.

Kurrrrrwaaa. Czuję, jak zaciskają się moje drogi oddechowe, mocniej i mocniej, więc odchylam głowę w tył, łapiąc powolne oddechy.

Nie dziwię się, że Emma zrobiła, co zrobiła. Nie zastanawiam się dlaczego. Ja wiem dlaczego. Łączy się z tym cała masa porąbanych okropieństw, o których nie mogę myśleć, nie oblewając się zimnym potem. To popieprzone, ale tak już mam.

Czy mi się to podoba, czy nie, jestem, jaki jestem, z jej powodu. Dlatego że ją kochałem i dlatego że zrobiła, co zrobiła.

Rozdział 3

JACEY

O. Mój. Boże.

Zamykam oczy, by chronić się przed sugestywnymi nawoływaniami i sprośnymi komentarzami, ale czego się, do cholery, spodziewałam? Tkwię w cholernej celi na komisariacie ubrana jedynie w muszkę, gorset i mocno wycięte szorty. Wystają mi z nich pośladki, na miłość boską. I siedzę w samym środku grupy prostytutek.

Ciekawostka: wszystkie mają na sobie więcej niż ja.

Kolejna ciekawostka: jestem tu jedyną osobą ze spuchniętą twarzą i ubraniem uwalanym krwią. W ich oczach wyglądam pewnie, jakby mój diler (albo alfons!) stłukł mnie na kwaśne jabłko.

Opierając głowę o chłodną ścianę za mną, udaję, że jestem gdziekolwiek indziej. Jestem na plaży, robię zakupy przy Michigan Avenue, wybrałam się na manikiur.

Ale to nieprawda. Zimna betonowa ława wbijający mi się w uda oraz zatęchła woń celi przypominają mi bezbłędnie, gdzie się znajduję.

– Jacey Vincent! Czas na twój telefon!

Dzięki Bogu.

Gliniarz otwiera drzwi, a ja zrywam się w ich stronę, wdzięczna za możliwość wyrwania się z tej celi.

Prowadzi mnie z powrotem do biurka, gdzie wcześniej zdjęli mi odciski palców, podczas gdy telefonował ktoś inny.

– Masz dwie minuty – oznajmia mi twardo. Jego oczy prześlizgują się po mnie i widzę, co sobie myśli... że jestem kolejną sfatygowaną dziwką, jak dziewczyny w celi.

Mam przez to ochotę zwymiotować. Ale powstrzymuję się. Zamiast tego trzęsącymi się palcami wybieram jedyny numer, jaki przychodzi mi na myśl. To pierwsze imię, które zjawia się obecnie w mojej głowie, kiedy potrzebuję pomocy.

Brand.

Mój przyjaciel z dzieciństwa. Najlepszy kumpel oraz wspólnik mojego brata.

Odkąd parę miesięcy temu mój brat Gabe ożenił się z moją najlepszą przyjaciółką Maddy i przeprowadził wraz z nią do Connecticut, nie został mi już nikt inny, do kogo mogłabym się zwrócić. Ale to nawet lepiej. I Gabe, i Maddy porządnie przetrzepaliby mi tyłek za tę aferę, choć nie jestem na sto procent pewna, czy Brand też tego nie zrobi.

Tak czy owak, tylko na niego mogę liczyć, że wyciągnie mnie z tej zapomnianej przez Boga, zasranej dziury. Tak samo jak tylko na niego mogłam liczyć, gdy kilka tygodni temu strzeliła mi opona i ktoś musiał zgarnąć mnie z autostrady.

Odbiera chrapliwie po trzecim dzwonku.

– Taa?

– Brand? – Mój głos drży. Opanowuję się i przełykam z trudem ślinę. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Jace? – Brand staje się teraz czujny, a jego głos przytomny. – Wszystko w porządku?

Rozglądam się wokół po posterunku, zerkam na poźółkłe ściany, surowych gliniarzy, kryminalistów

czekających na wpisanie do rejestru. Zaciskam powieki.

– Tak. Nie. Może. Zostałam aresztowana. Możesz po mnie przyjechać?

Następuje krótka, pełna napięcia pauza.

– Jesteś na komisariacie? – pyta wreszcie Brand, a ja muszę mu oddać sprawiedliwość. Jego głos jest gładki i spokojny. – Za co cię aresztowali?

– Posiadanie marihuany i napaść na funkcjonariusza.

Brand już nie jest spokojny. Bluzga strumieniem przekleństw.

– Coś ty sobie, do kurwy nędzy, myślała? – pyta na końcu. Ale zanim zdążę odpowiedzieć, stojący obok gliniarz dotyka mojego ramienia.

– Zostało dwadzieścia sekund.

Moje serce przyspiesza. Co jeśli Brand nie przyjedzie?

– Brand, mam tylko dwadzieścia sekund. Proszę, możesz mnie odebrać? Nie mam nikogo poza tobą. Narkotyki nie były moje. Wy tłumaczę ci na miejscu.

– Koniec czasu – oznajmia gliniarz zdecydowanie, zabierając mi słuchawkę i odkładając na widełki. Gapię się na nią zszokowana.

– Ale ja nawet nie wiem, czy on przyjedzie – mówię gliniarzowi bezradnie.

– To już twój problem – odpowiada, łapiąc mnie za łokieć i prowadząc z powrotem do celi. Każdy nerw w moim ciele buntuje się przeciw ponownemu wkroczeniu za kratę, ale nie mam wyboru.

Gliniarz wpycha mnie do środka i zamyka za mną drzwi.

Stoję samotna i zrozpaczona, a wszystkie kobiety wybuchają okrzykami i wyciem; przez krótki dezorientujący moment sądzę, że to z mojego powodu, dlatego że znów mnie tu wtrącono, a one uznały to za zabawne.

Ale potem zauważam, że wszystkie pędzą do krat, przyciskając twarze do metalu, by lepiej widzieć.

Wykorzystuję tę okazję, żeby zająć miejsce na jednej z pustych ław, niemniej jednak wyciągam szyję, by sprawdzić, co u diabła sprawiło, że drą się jak opętane.

Szybko zdaję sobie sprawę, że to nie co, a *kto*.

A dokładnie: Pieprzony Dominic Kinkaide.

„Wystarczy Dominic. Zwykle darowuję sobie to »pieprzony«. Chyba że ktoś akurat faktycznie mnie pieprzy”.

Wspomnienie jego zachrypniętego głosu powoduje, że mój oddech przyspiesza troszkę, kiedy patrzę, jak eskortują go korytarzem między celami.

Nawet z podrapaną twarzą jest seksowny. Ręce zwisają mu luźno przy bokach, kajdanek brak, czyli że wpłacono za niego kaucję. Zatrzymuje się przed moją celą, staje przed kratą, ignorując oszalałe kobiety, które sięgają ku niemu.

„Dominic, podpiszesz mi się na ramieniu?”

„Dominic, mogę cię pocałować?”

„Dominic, dotknij mnie, dotknij mnie”.

– Sekundę – zwraca się Dominic do gliniarzy. Jeden kiwa głową, drugi warczy na kobiety:

– Cofnąć się!

Dominic podchodzi do krat, wpatrując się we mnie. Nieproszona, nieświadomie, podnoszę się na nogi.

Nasze spojrzenia się spotykają; to jego aroganckie zielone spojrzenie, z którego jest znany, złączone z moim.

Pomoże mi. Powie im, że to wszystko jedno wielkie nieporozumienie, że narkotyki jednak należały do niego i wyciągnie mnie stąd.

Uśmiecham się z ulgą, podchodząc bliżej.

Ale on nic nie mówi. Gapię się tylko na moją twarz, na siniak tworzący się na moim policzku. Sięga między kratami i dotyka go lekko, jego kciuk ledwie muska moją skórę.

– No, no – ostrzega jeden z gliniarzy. – Tylko bez dotykania.

Dominic cofa rękę i pozwala jej opaść bezwładnie.

Wyraz jego twarzy sprawia, że mój żołądek związuje się w supeł... Taki bezbronny. Taki zmęczony.

Taki znużony. Znużony życiem.

Jednak wszystko w nim jest olśniewające. Te cholerne, mocno zarysowane kości policzkowe... Boże, niezależnie od wszystkiego, mam ochotę sięgnąć i prześledzić palcem ich zarysy. Jego szczęka jak spod dłuta, pokryta najseksowniejszym z zarostów, ciemne włosy rozwichrzone w stylu „mam-wszystko-gdzieś”. I, w przeciwieństwie do innych aspirujących gwiazd, Dominic chyba naprawdę ma wszystko gdzieś. Wszystko.

Ale najbardziej uderzające są te jego cholerne zielone oczy, ciemne, ciemne, ciemne, ale jakimś cudem obrzeżone złotawym brązem i upstrzone złotymi plamkami. Gdy wbija we mnie wzrok, to tak, jakby mnie palił, jakbym płonęła. I tylko on może mnie ugasić.

Wiem, że to brzmi głupio. Ale jego spojrzenie jest do tego stopnia intensywne. Zdaje się, jakby potrafił mi zajrzeć do środka, głęboko w moje najbardziej osobiste myśli, w miejsca, gdzie skrywam sekrety. Ale nagle opuszcza ramiona, a jego twarz traci jakikolwiek wyraz.

– Przepraszam – mówi prosto.

Odwraca wzrok, jakby migawka zasłoniła obiektyw aparatu. Jakbym w ogóle dla niego nie istniała, jakbym stała niżej niż on i nie była warta dalszej uwagi. Ogień zgasł.

Kiwa głową eskortującym go policjantom i ruszają znowu, zmierzając w stronę wolności, podczas gdy ja tkwię tutaj.

Przez niego.

– Zaczekajcie! – wołam za nimi. – Tylko chwilkę. Nie zasłużyłam, żeby tu być! – Ale oni ignorują mnie i idą dalej, więc milknę, bo nie zamierzam błagać.

Aresztowali nas oboje z winy Pieprzonego Dominica Kinkaide’a, a on w przeciągu godziny wychodzi za kaucją, tylko dlatego że jest cholerną gwiazdą. A mnie zostawia, żebym tu, kurwa, gniła.

Przewracam oczami na jego arogancję, na tę sytuację, na mojego paskudnego pecha. Życie jest czasami tak strasznie do bani, a teraz z minuty na minutę robi się coraz bardziej do bani.

Znów opieram się zgarbiona o cementową ścianę i rozważam nad moim zezowatym szczęściem. I nad kiepskimi decyzjami, które ściągają na mnie to zezowate szczęście. A to, rzecz jasna, kieruje mnie w inną stronę i myślę o najkiepszejszej ze wszystkich moich decyzji.

O moim byłym chłopaku. Jaredzie.

Zabił kogoś z mojego powodu i obecnie przebywa w więzieniu za spowodowanie śmierci w wypadku drogowym. Nie mogę się nadziwić tej ironii losu, że w tym momencie oboje siedzimy zamknięci w celach.

Na tę myśl przetykam z trudem ślinę. Naprawdę jestem w takiej samej sytuacji, jak ten psychotyczny pojeb. O. Mój. Boże.

Po wszystkim, co w ciągu ostatnich miesięcy zrobiłam, żeby zostawić go za sobą... Chodzę na terapię, każdego dnia podejmuję świadome decyzje, żeby nie zachowywać się w sposób lekkomyślny lub nieokiełznany (choć i to, i to leży głęboko w mojej naturze), a jednak oto jestem... w takiej samej sytuacji jak i on.

Zamknięta.

Przetykam głośno. Może to poetycka sprawiedliwość. Może po wszystkich kłopotach, jakie on sprowadził na głowy mojej rodziny i przyjaciół, na to właśnie zasługuję. Może nigdy się od tego nie uwolnię, nieważne jak bardzo będę się starać. Wzdycham i patrzę, jak zegar na ścianie za kratami odlicza minuty.

Po upływie najgorszej godziny mojego życia wreszcie słyszę słowa, na które czekałam, rozlegające się głośno wśród cel:

– Jacey Vincent. Ktoś po ciebie.

Oddycham z ulgą i zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu martwiłam się, że może Brand nie przybędzie mi na ratunek. Że może zadzwonił do Gabriela, a mój brat kazał mu zostawić mnie tu na trochę, żebym się podusiła i przemyślała swoje zachowanie albo coś w tym rodzaju.

Ale nie zrobił tego.

Dzięki Bogu.

Jednak gdy widzę jego twarz – przeszedłszy już długim wykafelkowanym korytarzem otoczonym celami, minawszy wszystkie dziwki i pijaków – nie jestem wcale pewna, czy powinnam dziękować Bogu za ratunek ze strony Branda. Powinnam się raczej modlić za swoją duszę, bo Brand jest wściekły, a jego mina świadczy, że istnieje realne prawdopodobieństwo, iż mnie zamorduje.

Jego ogromna sylwetka praktycznie wypełnia lobby, gdzie na mnie czeka, i nigdy jeszcze nie widziałam go tak zagniewanego jak teraz. Musi mieć ze dwa metry wzrostu, a zbudowany jest jak dom z cegły, na jego ciele nie ma ani grama tłuszczu, przez co sprawia dość onieśmielające wrażenie, szczególnie gdy jest wkurzony.

Służył z moim bratem w Rangersach i wygląda, jakby dopiero co zrzucił mundur, chociaż minęły już prawie dwa lata. Pozwolił swym jasnym włosom nieco podrosnąć, tak że są teraz modnie nieporządne i muskają kołnierzyk koszulki. Gdyby nie był dla mnie jak brat, uznałabym, że jest seksowny. Zdaje się, że kobiety w recepcji podzielają tę opinię. Wszystkie damskie oczy w okolicy wlepione są w Branda. Ale jego własne wlepione są we mnie.

Jego niebieskie oczy przybierają twarde wyraz i połyskują, kiedy obserwuje, jak się zbliżam.

Jest wkurzony.

Przełykam ślinę.

– To nie tak, jak myślisz – mówię zapobiegawczo, kiedy się z nim zrównuję. – Narkotyki nie były moje.

Jego wzrok skupia się na moim policzku.

– Nic ci nie jest? – pyta ostro. Kręcę głową, ostrożnie muskając palcami policzek.

– Nie, nic... Próbowałam przerwać bójkę, ale...

Brand przerywa mi, łapiąc mnie za ramię i ciągnąc w stronę drzwi.

– To nie tak, jak myślę? Czyli że nie zostałem właśnie wezwany na komisariat policji o czwartej nad ranem, żeby wyciągnąć cię z celi? A kiedy się tu zjawiam, twarz masz napuchniętą i jesteś ubrana jak pieprzona prostytutka. W tej chwili jest mi prawie wszystko jedno, co zrobiłaś, a czego nie, Jacey. Miałaś rzucić pracę w Saffron. Gabriel dostanie szau.

– Nie mów mu – proszę, gdy Brand otwiera drzwi. Mimo że jest wkurzony, zauważam, że osłania mnie własnym ciałem, ukrywając mnie przed wzrokiem ludzi z lobby. Jakby to mogło w jakiś sposób załagodzić wstyd płynący z wyładowania tu. Ale to i tak słodki gest, zwłaszcza że jest taki wściekły.

Brand patrzy na mnie lodowato.

– Twój brat się o tym dowie – oznajmia mi stanowczo. – Jezu, Jacey. Po tym wszystkim, co się stało z Jaredem, po terapii, którą już przeszłaś... Zaczynaliśmy wierzyć, że naprawdę pobierasz się do kupy. Ale teraz atakujesz funkcjonariuszy policji. Chryste. Gdyby ten cały Kinkaide nie pociągnął za parę sznurków, nadal gniłabyś w celi. Ludzi, którzy napadają na gliniarzy, nie puszczają tak po prostu.

To sprawia, że zatrzymuję się wpół kroku.

– Dominic załatwił wycofanie zarzutów? – pytam zszokowana. Dlaczego nic nie powiedział, kiedy stał tam i gapił się na mnie? Rzucił jedynie... „przepraszam”. Ale za co, do cholery, przepraszal? Że walnął mnie w twarz? Przyczynił się do mojego aresztowania? Zostawił mnie, żebym gniła w celi?

Brand prowadzi mnie do swojej półciężarówki i z rozmysłem odwraca wzrok od mojego tyłka, kiedy wdrapuję się do środka.

– Taaak. Nie wiem, co zrobił, wiem tylko tyle, ile mi powiedzieli po przyjeździe. Teraz zarzucają ci

jedynie posiadanie marihuany. Masz szczęście. No, przynajmniej dopóki Gabe się o tym nie dowie. Skopie ci tyłek. Ubierasz się jak dziwka, zgarniasz napiwki za flirtowanie z klientami Saffron... Równie dobrze mogłabyś być striptizerką, na miłość boską. Gabe zrobił wszystko, co mógł, żeby ci pomóc, Jacey. Nie wiemy już, co z tobą począć.

Trzaska drzwiami po mojej stronie, a ja naprawdę czuję się winna.

Po tej katastrofie z Jaredem Gabe opłacił mi terapię. Razem z Maddy pozwalali mi godzinami wypłakiwać im się na ramieniu. Trzymali mnie za rękę, kiedy pomalutku starałam się stanąć na nogi.

A ponieważ straciłam posadę u Maddy, kiedy ta sprzedała restaurację, wpłacili zaliczkę za moje mieszkanie w Chicago z założeniem, że znajdę inną pracę na pół etatu, z której będę mogła opłacać rachunki, dopóki nie skończę szkoły. Saffron nie do końca odpowiadało ich wyobrażeniom w tej kwestii.

Gdy Brand wsuwa się do samochodu, odwracam się do niego.

– To nie moja wina, że ciągle pracuję w Saffron – rzucam obronnym tonem. – Próbowałam znaleźć normalną posadę kelnerki. Ale dopóki studiuje, nie dam rady na tym zarobić wystarczająco dużo kasy, żeby starczyło na rachunki. Praca w Saffron niewiele się różni od pracy w jakiejś sieciówce albo gdzieś. Muszę tylko flirtować i podawać szampana bogatym ludziom na prywatnych przyjęciach.

– Masz na myśli: bogatym facetom na prywatnych przyjęciach. – Brand krzywi się, wciskając kluczyki w stacyjkę. – To tylko szczebel wyżej od striptizerki, Jacey, i dobrze o tym wiesz.

– Zostały mi już tylko jedno zajęcia – odpowiadam cicho. – I zaliczam je online. Za kilka tygodni dostanę dyplom z biznesu. Pracuję nad tym, Brand. Pracuję nad wszystkim. Staram się, jak mogę. – Kiedy się poruszam, by jeszcze bardziej odwrócić się w stronę Branda, uderza mnie zapach jego wody po goleniu. Znajoma woń, symbolizująca coś ciepłego i bezpiecznego, *kogoś* ciepłego i bezpiecznego, sprawia, że uświadamiam sobie, że to już koniec. Nie siedzę już w chicagowskim areszcie.

Jestem bezpieczna.

Z Brandem jestem bezpieczna.

On prędzej umrze, niż pozwoli, żeby cokolwiek mi się stało.

Więc dlaczego nie mogę powstrzymać łez, które nagle cisną mi się do oczu?

Nie ma powodu, żeby zaczynać płakać właśnie teraz, ale chociaż usilnie próbuję się pohamować, nie potrafię. Łkania zmieniają się w zawrodozenie, to z kolei eksploduje w gwałtowny napad płaczu, od którego trzęsą mi się ramiona.

I kiedy tak nieutulenie płaczę, z każdym szlochem i każdym drżącym oddechem zdaję sobie sprawę, że przedstawiam sobą najgorszy koszmar Branda.

Rozdział 4

JACEY

Brand wpatruje się we mnie z przerażeniem.

– Jezu Chryste, Jace. Uspokój się. Już dobrze. Wszystko dobrze. – Usiłuje mnie pocieszyć, niezdarnie klepiąc mnie po plecach, jego wielkie dłonie zbyt mocno uderzają mnie po ramionach. – Już w porządku. Wiem, że się starasz. I świetnie sobie radzisz. Już wszystko dobrze.

Powtarza to w kółko, bo nie wie, co powiedzieć. Płacząca kobieta to jego kryptonit. Nie ma pojęcia, jak się z nią obchodzić.

Rzucam mu się w ramiona, chowam twarz w jego koszulce. Wiem, że całego go zasmarkam, ale nic mnie to nie obchodzi. Tak się cieszę, że tu jestem, w tej półciężarówce z Brandem. Ale, co ważniejsze, tak się cieszę, że nie jestem już w celi. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się bałam.

– Dzięki, że mnie wyciągnąłeś – rzucam, pociągając nosem. – Tak naprawdę wcale nie zaatakowałam funkcjonariusza policji. To był odruch... Chciał mnie złapać, a ja go odepchnęłam. Nie zamierzałam tego robić. A narkotyki nie były moje. Znaleźli je w samochodzie Dominica.

Brand zerka na mnie ze współczuciem, kiedy suniemy przez parking i wyjeżdżamy na ciemną ulicę.

– Opowiedz mi, co dokładnie się zdarzyło – nakazuje. – Wszystko.

Tak więc robię. Opowiadam mu wszystko. Jak tamten facet prawie zmusił Kaylie, żeby mu obciągnęła, jak Dominic Kinkaide, ten aktor, go powstrzymał, ale potem nagle mu się odmieniło i wdał się w bójkę, co skończyło się tym, że oboje nas aresztowano.

– Po prostu rzucił się na tego gościa – relacjonuję Brandowi. – A ten drugi wyrznął go porządnie w skroń, więc nie wiem, jakim cudem utrzymał się na nogach, ale udało mu się nieźle skopać tamtego kolesia. Dосkoczyłam do nich i próbowałam ich rozdzielić, a wtedy jeden z nich przypadkowo rąbnął mnie w twarz.

Jeden z nich. To był Dominic. Ale nie chcę tego mówić Brandowi.

– A potem przyjechali gliniarze i znaleźli trawkę w jego aucie. Powiedział, że to nie jego, a ja wiem, że na pewno nie była moja, więc postanowili aresztować nas oboje. Ten drugi koleś, Cris, oznajmił, że nie ma zamiaru wnosić zarzutów o napaść, więc wystarczyłoby, żeby Dominic przyznał, że zioło należy do niego, a pewnie by nas puścili. Ale on zaparł się jak ostatni dupek. Boże.

Głowa mi opada i chowam ją w dłoniach, a Brand zerka na mnie.

– Skąd masz pewność, że należało do niego? Wiesz, to że nie było twoje, nie znaczy jeszcze, że było jego.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Chyba faktycznie nie widziałam, żeby Dominic miał te narkotyki przy sobie. Gliniarze znaleźli je na tylnej wycieraczkę. Ale i tak.

– To jego samochód – oznajmiam po pewnym czasie z uporem. – Musiało być jego. Ale nieważne. Z całą pewnością wiem tylko, że nie było moje.

– No cóż, będziesz miała okazję oficjalnie o tym zaświadczyć w sądzie – odpowiada Brand z westchnieniem. – Musisz znaleźć sobie prawnika.

Kiwam głową, a potem opieram ją o szybę.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, zanim Brand nie odezwie się znowu:

– Więc naprawdę byłeś w domu Sina Kinkaide’a?

Nawet w samym środku mojego prywatnego dramatu nie mogę się nie uśmiechnąć na szacunek pobrzmiwający w jego głosie. Tak się składa, że wiem, że Devil’s Own to jeden z jego ulubionych zespołów. Bez przerwy puszcza ich muzykę, kiedy ćwiczy.

– No – odpowiadam. – I Sin Kinkaide jest naprawdę zajebisty. Był dla nas taki miły... dużo miłszy niż można by się po nim spodziewać.

Brand unosi brew.

– Nie to co Dominic?

Wzruszam ramionami, wspominając ponure spojrzenie Dominica oraz to, jak rzucił się na swojego dawnego przyjaciela.

– Nie wiem. Sławni ludzie nie są tacy jak my... Działają na innych zasadach. Uratował Kaylie, więc nie może być taki znowu zły.

Wzmianka o Kaylie przypomina Brandowi o drugiej dyskutowanej przez nas kwestii, więc znów robi się surowy.

– Żadna z was nie powinna tam pracować. Nie obchodzi mnie, że można dobrze zarobić. Może moglibyśmy cię z Gabem zatrudnić jako naszą asystentkę. Potrzebujemy nowej, bo poprzednia zrezygnowała. Praca w Saffron naraża cię na niebezpieczne sytuacje. Popatrz, co stało się dzisiaj! Wskakujesz w sam środek bijatyki, Jacey, serio? A ja nawet nie mogę nikogo skopać za to, że cię skrzywdził... bo sama jesteś sobie winna. Dobrze wiesz, że nie powinnaś wpychać się między walczących.

Gapię się w podłogę, próbując nie rozpląkać się od nowa. Brand pewnie ma rację. Jestem zbyt łatwowierna. Setki razy zakochywałam się w nieodpowiednich facetach, a za każdym razem mnie to zaskakuje. Jestem beznadziejna w ocenianiu ludzkich charakterów. I przez ten kiepski osąd wpędzam się w najgorsze z kłopotów. Ale pracuję nad tym wszystkim. Ponieważ już robię, co mogę, nie wiem nawet, co powiedzieć. Brand zwyczajnie nie rozumie.

– Słuchasz mnie? – pyta Brand zrzędliwie.

Przytakuję ze zmęczeniem. Cała noc na nogach, aresztowanie i jego niekończący się wykład zbierają swoje żniwo, bo czuję, jak z minuty na minutę moje ramiona garbią się coraz mocniej.

– Nie chcę pracować dla ciebie i Gabe’a – odpowiadam słabo. – Muszę być samodzielna. Tego między innymi nauczyłam się na terapii. Dziękuję za propozycję, ale muszę radzić sobie sama.

Przygotowuję się na kolejny wykład, ale na szczęście koniec jest już w zasięgu wzroku. Brand zatrzymuje się przy krawężniku przed moim domem i przez sekundę tylko siedzi, wpatrując się najpierw w swoje duże dłonie, a potem we mnie.

– Cholernie mnie wystraszyłaś, Jacey – wyznaje cicho. – To znaczy, kiedy zadzwoniłaś i oznajmiłaś, że potrzebujesz pomocy. Zanim zdołałaś wyjaśnić, o co chodzi, przez głowę przemknęło mi ze sto myśli. Nie rób tego więcej. Kiedy Gabe przeprowadził się do Hartford, obiecałem mu, że będę na ciebie uważał, ale ty wcale tego nie ułatwiasz.

Wzdycha, a ja przełykam z trudem ślinę, czując się okropnie z tym, że przysporzyłam mu zmartwień. Posyła mi kolejne spojrzenie, jego jasne brwi ściągają się w wyrazie konsternacji.

– Nie wiem, co powiedzieć – ciągnie. – Wiem, że się starasz, ale staraj się bardziej. Musisz podejmować mądrzejsze decyzje. Proszę. Twój brat, ja, Madison... wszyscy doświadczyliśmy już wystarczająco wielu dramatycznych sytuacji, żeby starczyło na dwa życia, dobra?

Wyraz jego twarzy, poważny i znużony, sprawia, że ściska mi się gardło.

To prawda, doświadczył wystarczająco wielu dramatów, żeby starczyło na dwa życia. To się zresztą tyczy ich obu, jego i Gabe’a – jeszcze w czasach Rangersów. Są cholernymi bohaterami i nie powinni

musieć martwić się mną choćby przez minutę.

– Przepraszam – szepczę, nachylając się, by pocałować go w policzek. – Przepraszam, że nie jestem dość dobra. Nie wiem, dlaczego jakoś nie potrafię wszystkiego ogarnąć. Dziękuję, że po mnie przyjechałeś, Brand. I dziękuję, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Teraz prawie duszę się wzruszeniem, bo, naprawdę, na tak niewiele osób mogę niezawodnie liczyć. Mój tata jest beznadziejny, na mamie nie można polegać. Brand jest filarem siły i zawsze nim był.

Przypominając sobie, jak zawsze był przy mnie w potrzebie, ześlizguję się z siedzenia, zanim zdążę ponownie rozplakać się w jego szerokie ramię. Gdy odwracam się, żeby zamknąć drzwi, Brand spogląda na mnie, jego niebieskie oczy mają łagodny wyraz.

Jest w nich coś, coś delikatnego, coś odmiennego od sposobu, w jaki zwykle na mnie patrzy. Nagle jego spojrzenie wydaje mi się nie do końca braterskie i coś przewraca mi się w żołądku. Ale on zaraz to ukrywa.

– Jacey, ty jesteś dość dobra. Nie to miałem na myśli. Chciałem jedynie powiedzieć, że musisz bardziej się starać, by podejmować lepsze decyzje. I zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym. Zadzwoń do mnie, kiedy poznasz datę rozprawy. Pójdę z tobą.

Kiwam głową i zatrzaskuję drzwi, obserwując tylne światła półciężarówki, aż nie znikną.

To, co przed chwilą dostrzegłam w oczach Branda, mnie martwi. Bardzo. To ten sam wyraz, który widzę w oczach wszystkich pozostałych mężczyzn świata, ale u niego nigdy go nie zauważyłam. Aż do teraz.

Serce kurczy mi się w piersi. Brand nie może myśleć o mnie w żaden inny sposób niż jak o siostrze.

Potrzebuję go.

Potrzebuję, aby był tą osobą, którą jest dla mnie teraz, którą zawsze był, kimś w rodzaju brata. Kimś, na kogo mogę liczyć. Bo tak niewielu ludzi w moim życiu jest dla mnie takim kimś. I jeśli coś zmieni się między Brandem a mną – wszystko się zmieni, a ja nie poradzę sobie z kolejną sprawą dorzuconą do reszty tego bałaganu.

Z westchnieniem kieruję się do mojego małego bungalowu, po drodze kopnięciem zrzucając buty.

Otwieram drzwi do malutkiej kawalerki i wskakuję pod prysznic, by zmyć z siebie aurę aresztu. Czuję się obrzydliwie i nic nie mogę na to poradzić, jakby atmosfera celi wżarła mi się w skórę i jakby istniał tylko jeden sposób, żeby się jej pozbyć. Szorowanie, aż skóra przybierze jaskraworóżową barwę, aż niemal ją zedrę.

Kiedy wreszcie czuję się na tyle czysta, by się wytrzeć, wciągam bieliznę i podkoszulek i walę się na łóżko, zamierzając przespać kilka godzin.

Problem w tym, że sen nie nadchodzi.

Zostałam dziś aresztowana, na miłość boską. Co więcej, zostałam aresztowana w towarzystwie jednego z najślawniejszych aktorów na świecie. Palące zielone oczy Dominica nie chcą zniknąć z mojej głowy, wyraz jego twarzy mnie prześladowuje.

To tak, jakby mnie dostrzegł. Jakby dostrzegł, że ktoś umarł z mojego powodu. Dostrzegł, że coś jest ze mną tak dogłębnie nie w porządku, że nawet własni rodzice nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Że jestem wadliwa.

Zobaczył to wszystko. Spojrzał mi w oczy i to dojrzał. A potem odwrócił się i zostawił mnie, żebym gniła w celi sama.

Pieprzony dupek.

Może i jestem beznadziejna w ocenianiu ludzi, ale nawet ja to widzę.

Przewracam się z boku na bok w mojej pościeli z egipskiej bawełny. Z pieniędzmi też źle sobie radzę, zawsze wydaję je na rzeczy, na które nie powinnam. Do moich stałych finansowych szaleństw należy kupowanie pościeli z górnej półki. Ale nawet ona nie pomaga mi tej nocy zasnąć. Albo raczej: tego ranka. Zerkam na zegarek. Piąta trzydzieści.

Wiem, że Gabe jest już na nogach. Zwykle wstaje o piątej i idzie pobiegać. Tak, jest aż takim masochistą. Wzdycham i chwytam telefon, wybierając jego numer. Równie dobrze mogę mu powiedzieć i mieć to z głowy. Lepiej będzie, jeśli dowie się o wszystkim ode mnie niż od Branda.

– Co się stało? – Odbiera szybko; tylko trochę brakuje mu tchu i nie zaprzęta sobie głowy powitaniem. Wie, że coś musi być nie tak, skoro dzwonię o tak wczesnej porze.

– Nie zabijaj mnie, dobra? – rzucam. Słyszę, jak wzdycha.

– Niczego nie obiecuję – mamrocze.

Cała historia wylewa się z moich ust, a na koniec następuje długa chwila ciszy.

– Jace, całe szczęście, że ty jesteś tam, a ja tu – odzywa się Gabe wreszcie – bo naprawdę mógłbym cię zabić.

– Wiem – wzdycham. – Ale mówię serio, Gabe. Narkotyki nie były moje.

– Nie o to chodzi – odpowiada ze zmęczeniem w głosie. – Nadal pracujesz w Saffron i zdaje się, że zawsze trafiasz w nieodpowiednie miejsce w nieodpowiednim czasie. Musisz jakoś się ogarnąć. Nie wiem, co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić.

– Brand powiedział to samo. – Potrząsam głową, chociaż Gabe nie może tego zobaczyć. – Staram się, Gabe. Czuję się, jakbym cały czas robiła dwa kroki do przodu i jeden do tyłu.

– A musisz posuwać się wciąż do przodu – wzdycha. – Tylko tym sposobem dokądś dojdiesz.

Milczy przez chwilę.

– Nie mogę teraz przylecieć. Maddy ma termin za kilka miesięcy, w pracy niemożliwy kocioł, a staram się zrobić jak najwięcej, żeby móc wziąć trochę wolnego, kiedy dziecko się urodzi. Musisz poradzić sobie z tym sama. Podzwonię i załatwię ci jakiegoś prawnika, ale będziesz musiała sama się z nim spotkać. Dasz radę?

Staram się nie wpaść w złość. Oczywiście, że dam radę. Nie jestem kretyką.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Na pewno nie zrobią z tego wielkiej sprawy. To moje pierwsze wykroczenie. Sama znajdę sobie prawnika i wszystko będzie dobrze, bo jestem niewinna. Trawka nie była moja.

– Powiedz to sędziemu – mruczy Gabe, rozłączając się.

Tak właśnie robię w sześć dni później, pierwszy raz w życiu stając przed sędzią w obskurnej chicagowskiej sali rozpraw.

Podczas gdy Dominic Kinkaide siedzi za mną w otoczeniu czterech prawników przypadających na mojego jednego, mówię sędziemu wszystko: że jestem absolutnie niewinna i że trawka nie należała do mnie. Że mam trochę problemów, ale oczywiście staram się zrobić porządek we własnym życiu.

Ale to nie ma znaczenia. Dostrzegam to w stalowym spojrzeniu sędziego, kiedy usiłuję się bronić. Nic, co powiem, nie będzie miało znaczenia.

Mam przechłapanie.

Rozdział 5

DOMINIC

No cóż, to coś nowego. Nigdy jeszcze nie byłem na sali rozpraw.

To nie do końca prawda. Siedziałem w takiej ławie, kiedy występowałem w filmie *Unicestwienie*. Grałem sadystycznego seryjnego mordercę i gwałciciela, więc widziałem wewnątrz sali sądowej. Ale nigdy w prawdziwym życiu. Nigdy nie czekałem, aż mnie osądzą, aż ktoś inny zdecyduje o moim losie.

Nie w rzeczywistości.

Okazuje się, że prawdziwe życie jest kurewsko frustrujące.

Wzdycham ciężko i odwracam się do prawnika siedzącego najbliżej mnie. Jak pozostali trzej wokół niego, wciśnięty jest w białą, zapiętą pod szyję koszulę i ciemny garnitur, a jego twarz ma rzeczowy, profesjonalny wyraz. Mój menedżer ich zatrudnił, cały zespół prawniczych rekinów. Jeśli ci goście mnie z tego nie wyciągną, to nikt tego nie zrobi.

– Ile to potrwa? – pytam głównego adwokata. Tom, tak chyba ma na imię. Zerka na mnie.

– Tak długo, jak sędzia sobie zażyczy – odpowiada kwaśno. – Niech pan usiądzie wygodnie i się rozluźni. Wszystko będzie dobrze. Ma pan szczęście, że pan Evans odmawia wniesienia zarzutów, bo wtedy sądziliby pana nie tylko za narkotyki, ale i za napaść.

Opadam na krzesło zniecierpliwiony i zabijam czas, obserwując stojącą przede mną blondynkę. Jacey.

Dziewczynę, która może jest, a może nie jest odpowiedzialna za moje aresztowanie.

Przyglądam się jej poznaczonej śladami łez twarzy, słucham, jak szczerze opowiada o wszystkim sędziemu. Prawie wierzę, że narkotyki nie należały do niej. Ale skoro tak, to nie wiem, czyje były. Moje na pewno nie, do cholery.

Znów się ode mnie odwraca, więc omiatam ją spojrzeniem od stóp do głów.

Ma świetny tyłek, to trzeba przyznać, ledwie zakryty krótką spódniczką. Mój brat powiedziałby, że ma tyłek jak cebula – aż oczy łzawią na jego widok. Jeśli chodzi o mnie, potrafię sobie wyobrazić, że wsuwam w niego kutasa, że przyciskam twarz do jej łopatk, sięgam wokół...

Powstrzymuję się, wytrząsając tę przypadkową fantazję z głowy.

To nie czas ani miejsce. Odwracam się z powrotem do adwokata.

– Załatwił pan dla niej to zniesienie zarzutu napaści?

Patrzy na mnie.

– Taaak. Pociągnąłem za parę sznurków. Oskarżają ją jedynie o posiadanie marihuany, jak pana. Choć nie wiem, czemu to pana obchodzi. Już sam fakt, że to pewnie jej trawka...

Ja też nie wiem, czemu mnie to obchodzi. Nie licząc tego, że wcale mnie nie znając, rzuciła się w środek bójki i próbowała ją przerwać. A potem stanęła, taka mała, przede mną, jakby osłaniała mnie przed Crisem... mimo że przypadkiem walnąłem ją w twarz.

Czemu to zrobiła?

Nie mam, kurwa, pojęcia. Ale czuję się trochę odpowiedzialny za to, że się tam znalazła. Nawet jeśli trawka faktycznie należała do niej, Jacey nawet nie byłoby na miejscu zdarzenia, gdyby nie ja. I nie mogę przestać myśleć o wyrazie jej twarzy, kiedy minąłem ją siedzącą w tamtej celi, uwalaną krwią.

Wyglądała całkiem bezbronię w pomieszczeniu pełnym dziwek. To wtedy zadzwoniłem do adwokata i kazałem mu zająć się zniesieniem zarzutów napaści przeciwko niej. Gdybym tego nie zrobił, spędziłaby tam całą noc.

Nieświadoma moich rozmyślań na jej temat, Jacey stoi teraz przed sędzią, serwując mu płacziwą historię o tym, jak to próbuje poukładać sobie życie czy coś w tym stylu. Ale sędzia nawet nie mrugnie, tylko gapi się na nią surowo z wysokości swego biurka.

– Młoda damo, musisz dorosnąć. I wiem, że niektórzy sędziowie mają skłonność do łagodnego traktowania takich ślicznotek jak ty. Ale moją rolą nie polega na zachęcaniu do złego. Powinnaś zatem tu i teraz przekonać się, że to nie jest błaha sprawa. – Sędzia milknie, by posłać jej groźne spojrzenie. – Uznaję cię winną zarzutu posiadania marihuany. Skazuję cię na dziewięćdziesiąt dni prac społecznych w lokalnym centrum młodzieżowym oraz półroczny okres dozoru. Wyciągnij z tego naukę, młoda damo. Nie chcę cię tu więcej widzieć. Jeśli będziesz nienagannie wykonywać wszystkie zleczone ci prace, pomyślę nad usunięciem wyroku z twoich akt. Urzędnik sądowy przekaże ci szczegóły.

Jacey odwraca się ze łzami spływającymi po policzkach, a ja wciążam głośno powietrze, słysząc wyrok. Mój prawnik kręci głową.

– Niech się pan nie martwi. Musiała jakoś mu podpaść. Panu nic nie robi. Dziewczyna ma drugorzędny adwokata, który gównie umie. A pan ma mnie.

Niestety, gdy w kilka minut później stoję przed sędzią, zdaję sobie sprawę, że posiadanie czterech adwokatów wcale mi nie pomoże. A nawet może odnieść wręcz przeciwny skutek. Oczy sędziego błyszczą, kiedy spogląda na mój prawniczy zespół.

– A zatem, synu. Myślisz, że możesz przyjechać do Chicago i zażywać nielegalne narkotyki, a potem zatrudnić grupkę prawników i wyjść z przygody bez szwanku?

– Nie, proszę pana... – zaczynam, ale on nie daje mi szansy. Unosi dłoń.

– Nie, nie. Nie chcę tego słuchać. Uznaję cię winnym zarzutu posiadania marihuany i skazuję na dziewięćdziesiąt dni prac społecznych oraz półroczny okres dozoru. Wiem, że mieszkasz w Kalifornii, ale na czas odbywania kary pozostaniesz w Chicago.

Zanim zdążę powiedzieć choćby słowo, mój adwokat wypluwa z siebie:

– Sprzeciw! – protestuje. – Mój klient ma w Kalifornii zobowiązania. W przyszłym tygodniu rozpoczyna zdjęcia do nowego filmu. Musi wrócić do Kalifornii, aby móc pracować i zarobić na swoje utrzymanie. Czy nie może odsłużyć prac społecznych tam?

Sędzia spogląda na nas z góry ubawiony.

– Próbuje mi pan wmówić, że pański klient stanie na skraju ubóstwa, jeśli nie będzie mógł wrócić do Kalifornii? Trudno mi w to uwierzyć, ale jeśli tak jest, to będę oczywiście potrzebował jakiegoś oficjalnego potwierdzenia.

Mój adwokat wycofuje się spieszenie.

– Nie, oczywiście, nie to miałem na myśli. Chcę jedynie przypomnieć, że to jego pierwsze wykroczenie i że zasługuje na pewną pobłażliwość. Jeśli nie otrzyma pozwolenia na powrót do domu, wpłynie to w drastyczny sposób na harmonogram produkcji filmu, a to odbije się negatywnie na moim kliencie.

Teraz sędzia się uśmiecha, bez śladu wesołości.

– To już nie mój problem, panie mecenasie. Może da to pańskiemu klientowi nauczkę. Utrzymuję wyrok. Przepięstwo zostało popełnione tutaj, więc kara również będzie odbywana tutaj. Jeśli wykaże się pełną współpracę, usunę wzmiankę o wyroku z jego akt. Urzędnik przekaże wam szczegóły.

Siedzę w oszołomieniu, gapiąc się na swoje dłonie. Czy to naprawdę właśnie się wydarzyło? Utknąłem w Chicago na trzy miesiące? I mam teraz kartotekę? Cholera jasna. Wbijam spojrzenie w swojego kosztownego prawnika.

– A więc najwyraźniej pan też jest drugorzędnym adwokatem, który gównie umie.

Puszczam jego protesty mimo uszu, odpycham się od blatu i idę za urzędnikiem sądowym, żeby poznać detale wyroku. Zanim znika za jakimiś drzwiami, ruchem głowy wskazuje mi Jacey, która siedzi na ławce w korytarzu. Dołączam do niej i oboje siedzimy i czekamy. Już nie płacze, ale wciąż sprawia wrażenie zrozpaczonej.

– Możesz w to uwierzyć? – jęczy, kryjąc twarz w dłoniach. – O mój Boże. To szaleństwo. Gdybyś po prostu się przyznał, że zioło było twoje, wszystko rozeszłoby się po kościach. Jesteś gwiazdą filmową, do cholery. Jestem pewna, że masz wprawę w sprawianiu, by coś po prostu zniknęło.

Wpatruję się w nią uparcie.

– Ach tak, coś jak zarzut napaści?

Na jej policzkach wykwitają intensywnie czerwone plamy i Jacey odwraca wzrok.

– Dziękuję – mówi w końcu z wahaniem. – Nie wiem, czemu to zrobiłeś, ale dziękuję.

Gdy mówi, coś przemyka po jej twarzy i prędko odwraca się z powrotem do mnie.

– O mój Boże. Załatwiłeś uchylenie zarzutów, bo było ci głupio, że mnie w to wrobiłeś, prawda? Nie możesz sobie pozwolić na tego rodzaju rozgłos, więc udałeś, że narkotyki były moje. Ale nie jesteś całkiem bez serca, więc w ramach zadośćuczynienia usunąłeś zarzut o napaść. O. Mój. Boże.

Wlepia we mnie wzrok, a te nedorzeczne domysły odbijają się w jej oczach, kiedy ja kręcę z poirytowaniem głową.

– Ja pierdolę – warczę. – Zioło nie było moje. Kropka. Załatwiłem kwestię twoich zarzutów, bo tak mi się podobało.

Ostentacyjnie spoglądam w inną stronę, dając jej do zrozumienia, że skończyliśmy. Zamiast tego koncentruję się na kręcących się po korytarzu ludziach, w tym na blond osiłku czekającym w pobliżu. Pewnie chłopak Jacey. Dokładnie z takim typem faceta ją sobie wyobrażam: tępak, który bezmyślnie łązi za nią jak szczeniaczek. To ma sens. Jacey totalnie wygląda na dziewczynę, która pragnie kogoś, kto jedynie dostosowywałby się do jej życzeń. Prycham z pogardą, a potem zamykam oczy.

Na dwie minuty mam spokój, a potem dzwoni moja komórka i na ekranie wyświetla się nazwisko mojego menedżera. Wiem, że niecierpliwie czekał, by dowiedzieć się, co tu się wydarzyło, pewnie nerwowo postukując drogim włoskim półbutem o marmurową podłogę w swoim gabinecie.

Tak, jest aż tak ostentacyjny. Nedorzecznie ostentacyjny. Na dodatek jeździ ferrari, jaskrawożółtym dla maksymalnego efektu. Zawsze mu powtarzam, że musi mieć mikroskopijny fiutka, skoro potrzebuje aż tyle uwagi.

Odbieram, nie ciesząc się na tę rozmowę.

– Cześć, Tally.

– Jaki werdykt? – Tally nie zawraca sobie nawet głowy powitaniem.

– Utknąłem w Chicago na trzy miesiące – oznajmiam mu. – Prace społeczne. Półroczny dozór. Jeśli będę grzeczny, wymażą mi to z akt.

Tally bluzga strumieniem przekleństw, na który wzdrygnąłby się każdy marynarz czy kierowca ciężarówki. Odsuwam telefon od ucha i czekam, aż skończy.

Wreszcie bierze głęboki oddech, trochę się uspokajając.

– Kurwa. To jakieś żarty, Dominic. Ludzie ze studia się wściekną. Jedna rzecz, że rozpieprzy nam to harmonogram, ale do tego dochodzi fakt, że zatrudnili cię po części ze względu na twoją reputację. Nie jesteś awanturnikiem. Jesteś tajemniczą seksowną gwiazdą. Utrzymujesz osobiste sprawy w sekrecie, a ludzie próbują odgadnąć coś na twój temat. A to... to rozjebie ten schemat. Teraz wszyscy założą, że jesteś narkomanem, a nie taki wizerunek próbujemy stworzyć. Twój spec od PR-u już się tym zajmuje, usiłując jakoś to odkręcić. Ale przygotuj się. Wieści już przedostały się do sieci. Aha, dowiedz się też, czy możesz chociaż wracać do domu na weekendy. Może wtedy uda się nakręcić kilka scen. Spytaj, czy to będzie możliwe, i oddzwon do mnie. Odłóż telefon do studia do czasu, aż się nie odezwiesz.

Nie wysilam się nawet, żeby zauważyć, że studio nie będzie zadowolone z konieczności nadwerężenia

budżetu poprzez płacenie ekipie weekendowych stawek. On o tym wie. Rozłącza się bez kolejnego słowa, a ja pozwalam, by głowa opadła mi w tył i oparła się o ścianę, wgapiam się w sufit.

Czuję, że Jacey na mnie patrzy.

– Zwolnią cię? – pyta z wahaniem. Wzdycham.

– Może powinnaś była o tym pomyśleć, zanim przyniosłaś trawę do mojego samochodu.

Wbijam w nią intensywne spojrzenie, ale nawet się nie wzdrygnie.

– Ona nie była moja – odpowiada chłodno, a potem odwraca twarz i nic już nie mówi. Prawie jej wierzę. Szczerze mówiąc, trudno stwierdzić, kto mógł mieć dostęp do mojego auta. Przy wszystkich tych ludziach, którzy kręcą się po domu Sina, to mógł być każdy.

W końcu skądś wyłania się urzędnik sądowy i podchodzi do nas z małą stertą papierów.

– Oboje odpracujecie wyrok w „Gladiatorach Joego”, centrum młodzieżowym tu w mieście. Joe Hudson będzie waszym opiekunem. Jest tam właścicielem. Co tydzień musi wam podpisać coś takiego.

Urzędnik wręcza nam obojgu po jaskrawożółtym świstku.

– To coś w rodzaju raportu. Joe ma to wypełnić i podpisać. Jeśli się nie zjawicie, jeśli źle wykonacie waszą pracę, jeśli nie zrobicie tego, co się wam każe... jeśli chociażby kichniecie w nieodpowiedni sposób, Joe może odmówić złożenia podpisu. Uszczęśliwienie go leży w waszym najlepszym interesie. Sędzia Kumarowski się nie obcyndala, więc jeśli traficie tu ponownie, nie potraktuje was pobłażliwie. Z drugiej strony, jeśli wyjątkowo się postaracie, nagrodzi dobre sprawowanie usunięciem wzmianki o wyroku z waszych akt i zniesie półroczny okres dozoru.

Urzędnik spogląda na nas twardo.

– Jakies pytania?

Jacey kręci głową, ale ja podnoszę palec.

– Czy byłaby możliwość, żebym na weekend wracał do domu, by pracować?

Urzędnik gryzmoli coś na swojej kartce.

– Zapytam sędziego i dam znać. Pewnie nie będzie z tym kłopotu. Coś jeszcze?

Oboje z Jacey potrząsamy głowami.

– Dobrze. Możecie iść. Macie zgłosić się do Joego w poniedziałek przed dziesiątą.

Czuję się, jakby właśnie uczepiono mi kulę u nogi. Mam kogoś, do kogo muszę regularnie się zgłaszać, przed kim odpowiadam i, co najważniejsze, kto zatrzymuje mnie w Chicago.

Kurwa.

Blond osiłek pochyla się nad Jacey, poklepując ją po ramieniu, a ja odrywam się od ściany i ruszam korytarzem. Czuję, jak spojrzenie Jacey wwierca mi się w łopatki, ale ignoruję to. Powinna się teraz skupić na swoim chłopaku, a nie na mnie. Ale jak wszystkim pozostałym kobietom świata, podobam jej się ze względu na to, kim jestem.

Boże, nienawidzę tego. Na krótką chwilę w mojej głowie pojawia się wspomnienie tego, jak patrzyła na mnie ze swej celi w areszcie... tak miękko, spojrzeniem pełnym zaufania i otwartości. Jakby w ogóle nie знаła mojego nazwiska, jakbyśmy tam stali i byli po prostu sobą, ona i ja.

Ale to nieprawda. Doskonale wie, kim jestem, i to ją do mnie przyciąga. Nie różni się od wszystkich pozostałych.

Z westchnieniem schodzę po zapuszczonych schodach, a gdy wyglądam na zewnątrz, dostrzegam czekających dziennikarzy. Na sekundę nieruchomieję, wzdrygając się przed tym, ale nie mogę uciec.

Narzucam kaptur bluzy i skulony wynurzam się z budynku.

Rzucają się na mnie jak sępy, wpychają mi mikrofony w twarz, flesze błyskają, kamery nagrywają.

„Czy to prawda, że masz problem z narkotykami, Dominic?”

„Czy wybierasz się na odwyk?”

„Kim jest ta blondynka, Dominic? Czy to twoja dziewczyna?”

„Jak to wpłynie na twój najnowszy film?”

Ignoruję ich wszystkich, przepychając się przez tłum, i przez moment żałuję, że nie wziąłem ze sobą ochroniarzy. Co ja sobie, do cholery, myślałem?

Moja ekipa została w Hollywood, ale Sin zaoferował mi swoją... a ja odmówiłem. Chciałem tylko wejść i wyjść stąd dzisiaj, robiąc przy tym jak najmniejsze zamieszanie. Dlatego zabroniłem Sinowi i Duncanowi przychodzić. Już kiedy jeden z nas gdzieś się zjawia, bywa źle. Jeśli jesteśmy razem, cyrk wokół nas robi się niedorzeczny.

Daję nura na zatłoczony chodnik i gubię się wśród ludzi, biegnę wzdłuż ulicy, aż nie słyszę już pstrykania aparatów i trajkotania dziennikarzy. Musi minąć trochę czasu, ale w końcu zostaję sam, w ciszy opustoszałego chicagowskiego zaułka.

Opieram się o brudną ścianę, przesuwając wzrokiem po śmieciach, namazanych graffiti, szarości miasta. Nawet w samym środku wiosny centrum Chicago sprawia wrażenie ponurego i szarego. Może to i jest mój dom, ale, tak szczerze, wolałbym znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

Wciągam głęboko w płuca wonie miasta, a potem wypuszczam powietrze.

Jestem teraz tu. Będę tu przez kolejne trzy miesiące. Nie mam na to wpływu, więc pozostaje tylko jedno.

Jakoś to przełknąć.

Siedzę rozwalony w fotelu w sali projekcyjnej Sina, układam palce na kształt pistoletu i przykładam sobie do skroni, podczas gdy moja matka robi mi przez telefon wykład. Minęły dokładnie dwie godziny, zanim obejrzała w Internecie nagranie sprzed budynku sądu. „Dlaczego nie założyłeś krawata? Czemu upierasz się przy tych okropnych bluzach z kapturem?”

Sin śmieje się z drugiego końca pomieszczenia, skacząc po kanałach przeogromnego telewizora wiszącego na ścianie przed nami. Ma na sobie wyłącznie podarte dżinsy, które wyglądają, jakby w nich spał. Znowu nie włożył koszulki.

– Dominicu Jamesie Kinkaide – wzdycha mi matka do ucha. – Nie mogę uwierzyć, że masz kartotekę. Po prostu nie mogę. Ojciec będzie załamany.

– Och, tata będzie załamany? – powtarzam, a wargi mi drgają. – Ty nie, co? Tylko tata?

To taki rodzinny żart. Mama zawsze zwała wszystko na ojca. To on różnymi sprawami się zamartwia, nie może przez nas spać i tak dalej. Zawsze tata, nigdy ona. To zabawne, ponieważ ojciec jest najbardziej zdystansowaną osobą, jaką znam. Jeszcze zanim się urodziłem, zaczął pracować jako producent w przemyśle muzycznym. Ma nerwy ze stali. Twierdzenie, że to on się zamartwia, jest idiotyczne, ale żadne z nas, dzieci, nigdy jej tego nie wypomina.

Mama wzdycha.

– Co teraz zrobisz? Nie możesz zostać u Sina. We dwóch tylko wpakujecie się w kolejne tarapaty. Lepiej przyjeźdź do domu. Przygotuję twój pokój.

Myślę o domu mojego dzieciństwa, o Twierdzy Kinkaide'ów, ogromnej replice szkockiego zamku przycupniętej w samym środku czterohektarowej działki tuż za Chicago. Jest dziwaczna i oryginalna, zupełnie jak moja rodzina. I choć kocham ten dom dzieciństwa i moją rodzinę, nie ma szans, żebym zgodził się na trzy miesiące, podczas których mama wtrącałaby się w moje sprawy, a Fiona nudziła mi o Crisie.

– Dzięki za propozycję, mamó. Ale tu mi dobrze. Może nawet wynajmę własne mieszkanie, jeśli Sin nie zacznie nosić ubrań. Zobaczymy. Ale wszystko będzie dobrze. Nie martw się. I przekaż też tacie, żeby się nie martwił.

Sin parska.

– Tata umiera ze zmartwienia? – Wybucho śmiechem, a mama wzdycha.

– Sinclairze Alec Kinkaide – ruga go, choć mój brat jej nie słyszy. – Dość już tego.

Poruszam brwiami w stronę Sina, zanim znów zwracam się do mamy.

– Kocham cię, mammo. Wkrótce przyjadę się z wami zobaczyć.

Rozłączam się i ponuro zagłębiam w skórzanych poduszkach fotela.

– Rozchmurz się – świergocze Sin. – Puszczę jeden z twoich filmów, żeby poprawić ci humor.

Przewracam oczami, bo Sin wie, jak nie znoszę oglądać własnych filmów.

– Moje obecne kłopoty sprawiają ci o wiele za dużo radości.

Wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Cieszę się tylko, że nie jestem jedynym Kinkaidem z kartoteką. Dzięki. Teraz mama może rozdzielić swoje wykłady na nas dwóch.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – mamrocze. – I ja przynajmniej ograniczyłem zasięg moich zbrodni do amerykańskiej ziemi. Jestem pewien, że ty masz zakaz wjazdu do Holandii.

Sin przewraca oczami, ale potem wyraz jego twarzy nagle się zmienia.

– Rozmawiałaś z Fioną? – pyta z pewnym wahaniem. – Czy tylko z mamą?

Zaciskam szczęki.

– Nie, do cholery, nie rozmawiałem z Fioną. To jakaś chora sprawa z tym jej umawianiem się z Crisem. I nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś. Pozwoliłaś, żebym sam to, kurwa, odkrył.

Sin potrząsa głową.

– Przepraszam, Dom. Nie wiedziałem, że przychodzą na imprezę, inaczej bym ci powiedział. A oni nie wiedzieli, że jesteś w mieście. Ale, stary, Cris się zmienił. Nie wiem, co zrobił, że aż tak cię wkurwił, ale mocno się zmienił od czasu, kiedy kończyliście liceum. Powinieneś chociaż z nim porozmawiać. Sześć lat to dużo czasu, braciszku. Wiele się może zdarzyć.

– Taaak? – Unoszę brew. – Ludzie się nie zmieniają. Nie tak naprawdę. Mogą udawać, mogą obracać nowy kierunek, mogą mnóstwo rzeczy, ale żeby tak na serio sięgnąć w głąb własnej duszy i zmienić to, jakim się jest człowiekiem? Tego się nie da. A Cris ma kurewsko czarną duszę. Fiona nie powinna z nim być.

W poruszeniu uderzam się komórką po udzie, wlepiając wzrok w Sina. Odpowiada tym samym.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, stary. Nie wpłyniesz na nią, jest tak samo uparta jak ty. Choć ta cecha się przyda, skoro zaczyna pracować dla kapeli. Będzie z niej najlepszy menedżer, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

Krzywię się.

– Co wcale mi nie pomaga. Chyba że jako jej szef możesz ją wysłać do Los Angeles albo gdzieś, póki ja jestem tu?

Sin kręci głową z szerokim uśmiechem.

– Wybacz, stary. Potrzebuję jej tutaj. Organizują z Tallym naszą następną trasę. Poza tym, skoro oboje jesteście na miejscu, to może uda wam się raz na zawsze rozwiązać ten problem. A do tego, w ramach bonusu, dowiesz się wszystkich szczegółów z życia uczuciowego Duncana. Wierz mi, nudne to ono nie jest.

– Jezu. – Przewracam oczami. – Właśnie dlatego nie wracam tu zbyt często. Ta rodzina to jak rodem z jakiejś pieprzonej opery mydlanej.

Sin potrząsa głową, odwracając się z powrotem do ekranu.

– Witamy w domu, braciszku.

Rozdział 6

DOMINIC

Wyciągam rękę spod kołdry i pokazuję słońcu środkowy palec. Tak właściwie to pokazuję go całemu dniowi. W poniedziałki nigdy nie zdarza się nic dobrego.

Przewracam się z jękiem i zamglonym wzrokiem spoglądam na zegarek. Ósma. Otwieram usta, by ziewnąć, i odkrywam, że suchy język przywarł mi do jeszcze suchszego podniebienia.

Jezu. Zeszła noc to rozmyta smuga zbyt dużej ilości whisky, miękko wykończonych kajdanek i żądnych seksu pojękiwań Kiry.

„No chodź, Dominic. Po prostu mnie przeleć. Wiesz, że tego pragniesz”.

Przekonywała jak zwykle. Ale, jak zwykle, moja odpowiedź pozostała taka sama. Choć nie powstrzymało nas to przed zrobieniu paru innych rzeczy, które są pewnie nielegalne w jakichś dwudziestu stanach. Tyłek nadal mnie piecze od pasa, którego Kira użyła, i przez moment zastanawiam się, czy zostały mi ślady, potem jednak dochodzę do wniosku, że gównu mnie to obchodzi.

Pościel pachnie perfumami Kiry, mimo że wyszła już kilka godzin temu, a ja nagle odczuwam potrzebę zmycia tego z siebie. Ma to jakiś związek ze światłem dnia i takimi tam. To, co dzieje się w mroku, powinno w mroku pozostać.

Jeśli dwoje dorosłych z własnej i nieprzymuszonej woli oddaje się zboczonym praktykom, to czy faktycznie są one zboczone? Oto jest pytanie.

Wytaczam się z łóżka, biorę szybki prysznic i schodzę do kuchni Sina, żeby wykraść trochę kofeiny. Nie pamiętając, kiedy ostatnio miałem czas, by coś przegryźć, chwytam filiżankę kawy i kawałek zimnej pizzy z lodówki i kieruję się ku leżakowi przy basenie.

Pożeram pizzę w czterech gryzach, oblizuję palce i zamykam oczy. Światło jest zbyt jaskrawe. A cztery godziny snu zwyczajnie nie wystarczają.

Ale po chwili moją samotność przerywa chichotanie i czuję, że ktoś mnie obserwuje. Dlaczego wokół tego domu zawsze ktoś się kręci, do cholery? Człowiek ani przez chwilę nie może pobyć sam. Niechętnie otwieram oczy, żeby sprawdzić, kto mi się przygląda.

Po drugiej stronie basenu, pod jedną z dwóch wielkich altanek, dostrzegam dwie dziewczyny, które niezbyt udanie udają, że się na mnie nie gapią.

Są skąpo odziane w króciutkie szorty i odsłaniające brzuch topy, mają pewnie z osiemnaście czy dziewiętnaście lat, a na twarzach rozmazany makijaż, jaki widuje się u kobiet, które nie spały przez całą noc. Nie spały i oddawały się przez całą noc. Nawet stąd dostrzegam ich zamglone seksem spojrzenia.

Sina, faceta, który jest za te spojrzenia odpowiedzialny, nigdzie nie widać, więc trudno stwierdzić, co one tu teraz robią. Tak czy siak, nie moi goście, nie mój problem. Nie udaje mi się jednak wystarczająco szybko zamknąć oczu i przypadkowo nawiązuję kontakt wzrokowy z jedną z nich.

Kurwa. Teraz wiedzą, że nie śpię.

Podchodzą prosto do mnie, siadają na sąsiednim leżaku, wciąż chichocząc w tych swoich wczorajszych ciuchach, z rozmazanym makijażem. Powstrzymuję chęć, by przewrócić oczami.

– Ty jesteś Dominic Kinkaide, prawda? – pyta wysoka brunetka, rozmyślnie przyjmując pozę, w której

jej cycki są ściśnięte.

Kiwam głową.

– Zazwyczaj.

Znów chichoczą i teraz odzywa się mała blondynka:

– Sin mówił nam, że trochę tu pomieszkaś – oznajmia z dumą, podekscytowana faktem, że dopuszczono ją do tajemnicy.

Teraz naprawdę przewracam oczami. Nie mogę nic na to poradzić. Jezu. Te dziewczyny są zawsze takie same. To ryje mózg. Chętnie będą się tu kręcić i pozwolą się wykorzystać tylko po to, żeby móc potem opowiadać, że poszły do łóżka z Sinem Kinkaidem. Albo ze mną. Albo nawet z Duncanem, a on jest tylko pieprzonym perkusistą.

– Tak wam powiedział, co? – rzucam. – A gdzież to jest mój brat?

Brunetka wskazuje w stronę domu.

– Ciągłe w łóżku. Mamy mu przynieść kawę. Ma dziś rano ćwiczenia.

Unoszę brew.

– Masz na myśli próbę?

Rumieni się uroczo.

– No, tak.

Znów zamykam oczy.

– No cóż, zazwyczaj nie znajdziecie kawy przy basenie. Tylko w kuchni. Jeśli pójdziecie w tamtym kierunku, ktoś wam pomoże.

Więcej chichotów, potem cisza, choć wciąż wyczuwam ich obecność. Słyszę szept, potem po moim ramieniu prześlizguje się dłoń.

– Hej, jeśli sam nie miałeś jeszcze czasu na śniadanie, to może do nas dołączysz?

Na sugestywny ton głosu Blondyny unoszę powieki i widzę, że jej twarz przybrała ponętny, wyczekujący wyraz. Jest absolutnie jasne, że nie mówi o jedzeniu.

Co dziwne, twarz, która jeszcze chwilę temu wydawała mi się zmęczona i rozmazana, nagle staje się niemal kusząca, a przynajmniej nadająca się do użytku. Moje upodobania seksualne podnoszą swe brzydkie łby. Dwie dziewczyny, które zrobią wszystko, żeby mnie zadowolić? Możliwości są nieskończone.

– Co proponujesz? – pytam z cieniem zainteresowania.

To brunetka wyrywa się do odpowiedzi.

– My mogłybyśmy być twoim śniadaniem. Jeśli chcesz – dodaje, niemal nieśmiało.

Jej przyjaciółka kiwa zgodnie głową.

– Mam nadzieję, że masz duży apetyt.

Uśmiecham się wilczo, teraz już z całą pewnością zainteresowany.

– Cóż, słyszałyście kiedyś wyrażenie: „Oczy by jadły...”?

Jedna z nich się uśmiecha, a druga kiwa głową. Ja też kiwam i pochylam się w przód, mówiąc cicho, jakbym zdradzał sekret.

– Lubię patrzeć – oznajmiam im.

Brunetka natychmiast wstaje i delikatnie popycha moje ramiona do tyłu, aż znów opieram się wygodnie.

– Więc popatrz na to – rzuca pewnym tonem. Chwyta Blondynę i pociąga ją na leżak obok mnie. – Jestem Erika – ogłasza, popychając Blondynę, aż ta kładzie się na plecach. – A to jest Meghan.

– To nieistotne – mamroczę.

Ale one mnie nie słuchają. Brunetka ściąga z Blondyny szorty, zsuwa je z jej bioder, a potem liże każde miejsce, którego dotknęły jej palce. Kiedy przenosi uwagę na cycki drugiej dziewczyny, zdejmując z niej bluzkę, a potem biorąc do ust jeden z tych sterczących małych sutków, mój kutas twardnieje, więc

wyciągam go ze spodni.

Coś jest ze mną nie tak.

Szczytuję, oglądając rozkosz innych ludzi. Albo kiedy w grę wchodzi ból. Albo gdy chodzi o coś daleko, daleko wykraczającego poza normę. Nie podnieca mnie mój własny udział w grze. To popieprzone na milion różnych sposobów, ale teraz nie mam zamiaru tego analizować.

Teraz mam zamiar obserwować ocierające się o siebie, gorące ciała tych dziewczyn, bo właśnie to na mnie działa.

Patrzanie, jak splatają się ich języki, jak ich cycki przyciskają się do siebie... to też na mnie działa.

A potem Brunetka chowa twarz między nogami Blondyny, a Blondyna dochodzi w jej ustach... Już po mnie. Trzępię sobie, nie dbając o to, że niewiadoma liczba osób z personelu mogłaby wyrzeć z domu i zobaczyć, jak szczytuję na leżaku.

Po chwili Brunetka odpycha moją dłoń, zastępując ją swoimi ustami. Blondyna klęka przy moim jajach, liżąc je jak lody w wafelku.

– Pociągnij mnie za jaja – nakazuję Blondynie. Uśmiecha się diabelsko i robi, co jej każę. – Mocniej – mówię zdecydowanie. – Mocniej.

Ból przemyka przez moje ciało, kiedy dziewczyna wypełnia polecenie i coraz mocniej ciągnie za jądra. Lubię ból. Odgradza mnie od rzeczywistości.

Uśmiecham się i upijam łyk kawy, podczas gdy one pochylają się i nurkują przede mną, ciągną i ssą.

Okazuje się, że ten poniedziałek nie jest jednak taki zły.

JACEY

Zerkam na zegar w zapuszczonym, nagrzanym biurze. Dziesiąta trzydzieści siedem. Mieliśmy zjawić się tu, w „Gladiatorach Joego”, trzydzieści siedem minut temu.

Ja tak właściwie przyszedłam przed czasem, nie chcąc z miejsca narazić się Joemu. Urzędnik w sądzie powiedział, że najmniejszy drobiazg może dać Joemu podstawy do odmówienia mi podpisu na raporcie. Ale Dominic Kinkaide najwyraźniej nie przejmuje się takimi rzeczami. Spóźnia się.

Bardzo się spóźnia.

Żeby jakoś oderwać się od tych myśli, wyciągam telefon i dzwonię do mojej najlepszej przyjaciółki. No bo kto wykazałby więcej współczucia niż ona?

Maddy odbiera po drugim dzwonku.

– Cześć, dziewczyno – świergocze radośnie. – Co tam?

Krzywię się w grymasie.

– Nie udawaj, że nie wiesz – mówię marudnym tonem. – Wiem, że Gabe wszystko ci powiedział. Jestem do kitu. Wszyscy to wiedzą.

Maddy milczy chwilę.

– Czasami jesteś do kitu – przyznaje. – Ale przez większość czasu jednak nie. Nabroiłaś. Porządnie. A teraz to naprawiasz.

– To się zgadza – przytakuję, rozglądając się po zagraconym biurze Joego. – Jestem właśnie w centrum sportowym, czekam, żeby zacząć te prace społeczne. Obrzydliwie tu. I ci chłopcy. O mój Boże. Tacy przerażający. Wyglądają, jakby mogli zadźgać kogoś pod prysznicem.

Maddy chichocze.

– Ciebie nikt nie przeraża. To jedna z rzeczy, które w tobie kocham. Zbierz się w sobie i odbębni karę, Jace. Potem może łaskawie przyjedziesz się z nami zobaczyć. Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię – odpowiadam. – I muszę przyjechać, póki jesteś w ciąży. To moja jedyna szansa, żeby zobaczyć cię grubą.

Maddy się śmieje i ja też, bo jestem pewna, że moja najlepsza przyjaciółka nawet teraz nie jest gruba. Jest prześliczna jak zwykle. Ale zanim zdążymy powiedzieć sobie więcej, do biura wtacza się Joe po zaledwie dziesięciu minutach nieobecności.

– Muszę lecieć, Maddy – mamroczę pospiesznie. – Zadzwoń później.

Rozłączam się szybko i patrzę na nowego szefa. Jest wielkim mężczyzną z siwymi włosami, siwym wąsikiem i kwadratową szczęką, o szerokich barach. Wygląda, jakby można go było spotkać wśród rybaków na nabrzeżu czy coś. Ma około sześćdziesiątki i za grosz taktu. Naprawdę, zero.

– Za kogo ten dzieciak się uważa, do cholery? – burczy do mnie. A może do siebie, bo nawet nie podnosi na mnie wzroku, opadając ciężko na biurowy fotel. – Nic mnie nie obchodzi, że jest sławny. Nie mam zamiaru dwa razy brnąć przez wstępy. Jeśli nie zjawi się w ciągu pięciu minut, zaczniemy bez niego, a on może sobie znaleźć inne miejsce do odrobienia swoich godzin.

Joe spogląda na mnie surowo, jego stalowoniebieskie oczy wyrażają zdecydowanie.

– Nie toleruję leni ani spóźniałskich, panno Vincent. Lepiej, żebyś od razu się o tym dowiedziała.

– Tak jest, psze pana – dukam. Z jakiegoś powodu wygląda na gościa, do którego należy zwracać się „psze pana”. A jednak uśmiecha się na to, pierwszy raz odkąd się poznaliśmy. Ściągają mu się od tego kąciaki oczu, a potem uśmiech rozprzestrzenia się na resztę twarzy, rozjaśniając zmarszczki.

– Psze pana. Ha! To dobre. „Psze pana” to się mówiło do mojego ojca. Albo do sierżanta szkoleniowego, jeszcze w wojsku. Wystarczy Joe, młoda damo.

Nareszcie. Coś, co pozwoli nam przełamać lody. Zalewa mnie fala ulgi.

– Był pan w wojsku? – Szybko chwytam się tego wątku, zanim Joe zmieni temat i moja szansa przepadnie. Nie chcę wracać do gapienia się na zegar i wyczekiwania Dominica w niezręcznej ciszy. – Tak jak mój brat. Służył w Rangersach. W sumie to dopiero co dostał Medal Honoru.

Joe patrzy teraz wprost na mnie, wystarczająco zaciekawiony i pod wrażeniem.

– Naprawdę? To imponujące. Nie wręczają go za byle co. Co zrobił?

– Jego humvee został zbombardowany w Afganistanie, a on, wedle słów prezydenta, wykazał się ogromnym męstwem w obliczu niebezpieczeństwa i dokonał czynów wykraczających poza nakazy obowiązku. W skrócie, ryzykował własnym tyłkiem, żeby ocalić cudzy.

– Człowiek nie może zrobić już nic lepszego, panienko – oznajmia Joe szczerze, kiwając głową. – Powinnaś czegoś się nauczyć od swojego brata. Co on sądzi o tym, że znalazłaś się w takiej sytuacji?

Moje ramiona garbią się na samą myśl o tym, co Gabe o tym sądzi, a Joe parska śmiechem.

– Aż tak źle, co?

Uśmiecham się, a on odpowiada tym samym. Dzięki Bogu. Lody niewątpliwie zostały przełamane.

– Nie martw się – mówi odrobinę łagodniejszym tonem. – Głośno szczekam, ale nie gryzę mocno, o ile będziesz zachowywać się poprawnie i robić, co do ciebie należy. Te dzieciaki... – Urywa i przez szybę w drzwiach spogląda na nastolatków walących w worki treningowe w przesiąkniętej potem sali. – Oni nie mają zbyt wiele, rozumiesz? Jeśli nie przychodziliby tutaj, wpakowaliby się w kłopoty na ulicy. A tego nie chcę. Twoim zadaniem jest utrzymać ich w ryzach. A w tym celu sama musisz się w nich utrzymywać. *Capisci?*

Kiwam szybko głową.

– Joe, naprawdę, to pierwszy raz, kiedy się w coś wpakowałam. Ta trawka nawet nie była moja... – Ale Joe unosi dłoń.

– To nie moja sprawa – ogłasza. – Ja mam się tylko upewnić, że nie wpakujesz się w coś znowu. Słyszysz?

Znów jest surowy, a ja pojmuję, że ponownie wkradł się między nas dystans. To będzie twardy orzech do zgryzienia; będę musiała zasłużyć sobie na jego szacunek, ale mam przecucie, że gdzieś w głębi dobry z niego człowiek. Miły facet. Jeszcze chwilę temu widziałam w jego oczach iskierkę ciepła. Poza tym, poświęca życie pomaganiu nastolatkom z problemami. To musi coś oznaczać.

– Przepraszam za spóźnienie.

Głos dociera zza moich pleców, przygważdżając mnie bezbroną do krzesła.

Dominic.

Wszędzie poznałabym ten głos. Ochrypli i niski. Arogancki i ciemny. Nie wiem, czemu wydaje mi się, że głos może być ciemny, wiem tylko, że jego taki właśnie jest. Głos, który sugeruje jakieś ciemne sprawy.

Odwracam się na krześle, żeby ujrzeć go w drzwiach, wyglądającego, jakby właśnie zszedł wprost z dużego ekranu do tego małego biura. Roztacza charyzmatyczną aurę, nawet tutaj. Nie patrzy na mnie, jego wzrok wbija się w Joego.

Ma ten arogancki, seksowny sposób bycia, który wypełnia każde pomieszczenie, w jakim się znajduje. Chociaż przeprosza, nie wygląda wcale na zmieszanego. Nie podaje też żadnego wytłumaczenia dla swojego spóźnienia.

Joe wpatruje się w niego.

– Jeśli jeszcze raz się spóźnisz, możesz w ogóle się nie pokazywać – poucza go mrukliwie. – Traktuj mnie i moich chłopców z taką samą dozą szacunku, jaki odczuwasz dla siebie samego, a dogadamy się wprost wyśmienicie. Jeżeli tego nie potrafisz, wynoś się tą samą drogą, którą tu trafiłeś.

Dominic spogląda na niego ze spokojem.

– Przyjąłem.

Joe mierzy go wzrokiem, jego niebieskie oczy spotykają się z zielonymi oczami Dominica. Żaden z nich ani na chwilę nie odwraca wzroku, aż Joe przerywa ten pojedynek i zerka na mnie.

– Ten to ma jaja – informuje mnie, kiwając głową. – Poczekaj tylko, aż je zmiążdżę.

Chichoczę, a Dominic spogląda na mnie z pogardą.

Jego spojrzenie nie wędruje ku mojemu policzkowi, na którym widnieje siniak, ani nie zahacza o moje oczy. Dominic nie sili się też na komentarz. Jedna rzecz wydaje się jasna, gdy chodzi o Dominica Kinkaide'a. Niewiele jest spraw, dla których gotów jest zadać sobie jakikolwiek trud.

– Słuchajcie – zwraca się do nas Joe, wyrrywając mnie z rozmyślań o Dominicu. – Nie mam wiele do powiedzenia poza tym, że wszystko, co się tu wydarzy przy udziale dzieciaków, tutaj też zostaje. W domach mają ciężko i nie potrzebują, żeby ktoś ich obgadywał poza salą. Waszym zadaniem jest pomóc im na każdy możliwy sposób. Bądźcie mentorami. Pokażcie im, że można wieść życie, trzymając się z dala od kłopotów. Dacie radę?

Kiwam głową.

– Mamy tu proste zasady. Nie spóźniajcie się. Nie nawalcie. Nie czyńcie ich życia cięższym, niż jest. Zróbcie parę dobrych uczynków. To, co ofiarowujecie światu, w końcu do was wraca. Rozumiecie?

Znów przytakuję, ale Dominic siedzi cicho i nieruchomo.

Joe odwraca się do niego.

– Dobrze, ponieważ się spóźniłeś, twoim dzisiejszym zadaniem będzie opróżnienie sopluczek wokół ringów bokserskich. Weź je do szatni, wywal zawartość, opłucz i odstaw na miejsce.

Dominic wlepią w niego wzrok.

– Chyba pan żartuje.

Ale Joe mówi poważnie. Na jego twarzy nie widać teraz choćby cienia uśmiechu.

– Nie, wcale, kurwa, nie żartuję. Nie spóźniaj się więcej albo...

– ...możesz w ogóle się nie pokazywać – przerywa mu Dominic, ruszając do drzwi. – Tak, pojąłem. – Wychodzi bez słowa więcej, a Joe zerka na mnie.

– Twój przyjaciel może nie przetrwać tu długo.

Gapię się w ślad za Dominikiem, na jego oddalające się od nas szerokie bary. Jest wysoki i szczupły, zabójczo przystojny i dumny jak diabli.

– On nie jest moim przyjacielem – odpowiadam wreszcie cicho. – Prawie go nie znam.

Ale mam przeczucie, że to się wkrótce zmieni. Nie wiem tylko... jak się z tym czuję.

Rozdział 7

DOMINIC

Po tym, jak opróżniłem już obrzydliwe pojemniki ze starej plwociny do jeszcze obrzydliwszej umywalki w łazience, zanoszę je z powrotem na salę, zatrzymując się na chwilę, żeby pogapić się na Jacey. I chociaż wcale nie podoba mi się, że zwracam na nią uwagę, trudno jej nie zauważyć, szczególnie kiedy wskoczyła w sam środek grupy dzieciaków z problemami i przyciska twarz do worka treningowego, trzymając go, podczas gdy jeden z chłopaków uderza.

Szczególnie kiedy przechodzę obok niej i czuję, że pachnie jabłkami, czysto i świeżo.

Zupełnie tu nie pasuje, w tej brudnej, zapoconej norze – każda inna osoba pasowałaby lepiej niż ona.

Ma w sobie tę słodycz i normalność dziewczyny z sąsiedztwa, których znaczenia kobiety tak często nie doceniają. Wszystkie chcą być gorącymi laskami, zbyt wymalowanymi i epatującymi seksem. Ale Jacey, chociaż nosi makijaż, a także krótkie sportowe szorty, to klasyczna dziewczyna z sąsiedztwa, nawet jeśli nie stara się nią być.

Schylam się i odstawiam spluwaczkę obok jednej z jej opalonych nóg, a ona zerka na mnie z góry, jej spojrzenie jest ciepłe, oczy błyszczące.

Przez sekundę dostrzegam coś w wyrazie jej twarzy, coś psotnego, lecz nie odzywa się przy tym ani słowem. Zamiast tego przygotowuje się do przyjęcia kolejnego ciosu od gigantycznego dzieciaka okładającego pięściami worek, który Jacey obejmuje. Musi użyć całej swojej masy, by utrzymać go w bezruchu, ale daje sobie radę. Nic nie poradzę, jestem pod wrażeniem.

Głównie dlatego, że nie tylko utrzymuje worek, ale nie wydaje się też onieśmielona przez napastnika. Jest od niego dwa razy mniejsza, ale po prostu tu wkroczyła i wskoczyła między nich, tak samo jak wskoczyła między Crisa a mnie. Kompletnie bez lęku.

Dzieciak, który boksuje, wygląda, jakby mógł zjeść ją na śniadanie, i z każdym uderzeniem praktycznie wbija ją w ścianę. Ale ona nadal trzyma.

Jest uparta, tyle jej przyznam. I nieustraszona.

Ale dlaczego w ogóle o niej myślę, tego, kurwa, nie wiem. Zirytowany na siebie odwracam się i ruszam na drugi koniec sali.

I wtedy słyszę jakieś zamieszanie.

Okręcam się na pięcie akurat w porę, by ujrzeć, jak dzieciak sięga do piersi Jacey, jego owinięte taśmą palce wykręcają jej koszulkę i przyciągają ją szarpnięciem w swoją stronę. Przez ułamek sekundy serce łomocze mi na widok tego młodocianego przestępcy obchodzącego się z nią w tak brutalny sposób. Ten chłopak to olbrzym, a Jacey jest malutka.

Ale ani ja, ani nikt inny nie ma czasu zareagować, bo Jacey jednym zwinnym ruchem wyślizguje się z jego uścisku i wymierza mu zaskakująco potężnego kopniaka z półobrotu w pierś, który zwała go z nóg i kładzie na łopatki.

Jestem dogłębnie zdumiony i ona też. Widzę to w jej twarzy, kiedy staje nad dzieckiem, zaciśnięte w pięści dłonie trzęsą się przy jej bokach, kiedy delikatnie kładzie mu tenisówkę na szyi.

– Nie dotykaj mnie więcej w taki sposób! – warczy na niego. – Jestem tu, żeby wam pomóc, ale to nie

daje ci prawa, żeby mnie obmacywać.

Teraz wszyscy na sali zdążyli już znieruchomieć i wpatrują się w Jacey oraz leżącego na podłodze chłopaka. Można by usłyszeć spadający listek.

Dzieciak pozostaje nieruchomy i milczący, wpatrując się w górującą nad nim Jacey, a ja nieświadomie ruszam w jej stronę. Nawet jeśli nie chcę się z nią zadawać ani nic, nie mogę zostawić jej samej. Nie jestem kompletnie bez serca.

Ale potem dzieciak uśmiecha się, choć stopa Jacey wciąż spoczywa na jego szyi.

– Pozwól mi wstać, będę grzeczny – obiecuje. Jacey przygląda mu się nieprzekonana, ale po sekundzie unosi stopę. Dzieciak podnosi się na nogi i wyciąga do Jacey rękę.

Ta zerka na niego z wahaniem.

– Przepraszam – odzywa się dzieciak, ponownie się uśmiechając. – Mam na imię Jake. Bez urazy, co? Tylko się wygłupiałem.

Jacey gapi się na niego, a ja zatrzymuję się o parę kroków dalej.

– No dobrze – odpowiada w końcu. – Bez urazy. Tylko nie rób tego więcej. Potrafię o siebie zadbać.

– Szczera, kurwa, prawda – zgadza się chłopak. – Gdzie się tego nauczyłaś?

Jacey wzrusza ramionami, nieco się odprężając, chociaż wciąż popatruje na niego uważnie.

– Mój brat służy w Rangersach. Nauczył mnie mnóstwa rzeczy. Między innymi strzelania, a w szafce nocnej trzymam dziewięciomilimetrowy pistolet. Może i jest różowy, ale strzela równie dobrze jak każdy inny.

Teraz nie mogę powstrzymać cichego śmiechu – zarówno na myśl o tej maleńkiej dziewczynie z różowym pistoletem, jak i na widok miny Jake'a.

– Bez obaw – zapewnia ją szybko. – Nie zamierzam włamywać ci się do domu. Nie musisz mi grozić swoim różowym pistoletem.

Słyszę, że dzieciaki wokół chichoczą, a Jacey się rozluźnia.

– Dobrze. Pomyślałam po prostu, że powinieneś wiedzieć.

– Jake! – Donośny głos Joego niesie się po sali, a kiedy zerkam przez ramię, dostrzegam go stojącego w drzwiach biura z wściekłą miną. – Chodź tutaj.

Jake odwraca się powoli, a Joe spogląda na Jacey.

– W porządku? – woła do niej.

Dziewczyna kiwa głową, a on robi to samo.

– Dobrze. Przy okazji, niezły obrót przy tym kopniaku, młoda damo.

Jacey uśmiecha się teraz prawdziwym uśmiechem, który sięga jej oczu.

– Dzięki.

Jake niechętnie znika w biurze Joego, ramiona ma przygarbione, drzwi zamykają się za nimi. Jacey przez chwilę stoi bez ruchu, pewnie usiłując podjąć decyzję, co teraz zrobić... teraz, kiedy już pokazała całej sali, że, wbrew oczekiwaniom, jest twardzielką. Wokół nas narasta hałas, gdy wszyscy wracają do swoich zajęć.

Patrzę na nią.

– To było imponujące – przyznaję cicho, ponieważ to prawda. – Wyglądałaś jak kaskaderka. Albo ninja.

Jacey się śmieje, ciepłym, ochrypłym śmiechem, a potem podchodzi do mnie, pokonując ten metr odległości, który nas dzieli.

– Dzięki – mówi. – Chyba te niekończące się lekcje samoobrony z moim bratem na coś się przydały. Wcześniej sądziłam, że po prostu lubi mnie torturować, ale może miało to jednak jakiś sens.

Teraz jest już nieporuszona, znów pewna siebie. Odgarnia zabłąkany kosmyk jasnych włosów za ucho, a ja nie mogę nie zauważyć jej pełnych warg. Akurat odpowiedniej wielkości, by schwycić je zębami. Jacey wysuwa koniuszek języka i oblizuje je, a ja przełykam ślinę.

Muszę skupić się na czymś innym.

– Twój brat naprawdę służy w Rangersach? – pytam, kierując swoją uwagę na inne tory. – Bo to cholerni twardziele. Jeśli cię trenował, to nic dziwnego, że potrafisz położyć gościa dwa razy od siebie większego.

Jacey uśmiecha się, stojąc niedaleko od mojego łokcia. Na tyle blisko, bym mógł jej dotknąć, ale nie robię tego. Na tyle blisko, bym mógł wciągnąć jej zapach, i to robię, wypełniając płuca wonią jabłek.

Jest jak łyk świeżego powietrza, czy mam ochotę to przyznać, czy nie.

– Tak, naprawdę. A raczej – służył w Rangersach jakoś do zeszłego roku. I faktycznie jest niezłym twardzielem.

Szykuję się do odpowiedzi, kiedy zatrzymuje się przy nas grupka chłopaków zmierzających do szatni.

– Koleś, ty naprawdę jesteś Dominic Kinkaide? – pyta jeden z nich z powątpiewającą miną. Uśmiecham się, mam nadzieję, cierpliwie.

– Taa, to ja – odpowiadam. Wyczuwam, że Jacey przysłuchuje się tej wymianie zdań z zainteresowaniem, nic jednak nie mówi. Dzieciak szczerzy zęby.

– Koleś! *Unicestwienie* było super. Porąbana rzecz! Robiłeś wszystko sam, bez kaskaderów?

Kiwam głową, a chłopaki zaczynają trajkotać z ożywieniem, pytając o skok z helikoptera i o to, jak udało mi się wywinąć fikołka w tył na skuterze wodnym. Jeden z nich pędzi do biura Joego po papier na autografy, a grupa rozrasta się z trzech do piętnastu dzieciaków.

Chłopak przybiega z powrotem i wręcza mi stertę kartek z brudnopisu, więc zaczynam bazgrolić swoje nazwisko, obdarowując każdego z otaczających mnie chłopców autografem. W międzyczasie zauważam, że Jacey wymyka się z podeksycytowanego kręgu. Jakaś część mnie jest tym faktem rozczarowana. Fascynuje mnie ta Jacey, która dopiero co powaliła Jake'a na ziemię.

Chcę dowiedzieć się o niej więcej, bo wydaje się tak różna od tej Jacey, która pracuje w Saffron.

Po około pięciu minutach Joe wysuwa głowę z biura i warczy na chłopców:

– Hej! Nie przyszłście tu po autografy! Pozwólcie facetowi wykonywać jego robotę, a wy wracajcie do ćwiczeń!

Dzieciaki rozpierzchają się posłusznie, kierując się z powrotem do swoich worków treningowych albo do szatni, a ja ruszam ku siłowni, żeby przetrzeć sprzęt. Na miejscu zastaję Jacey, która już kuca przy jednej z maszyn i czyści ją. Kiedy wchodzę do środka, zerka na mnie i uśmiecha się.

– Więc tak właśnie wygląda twoje życie?

Wzruszam ramionami.

– Przez większość czasu. To dlatego niezbyt często wychodzę. Widziałaś tylko część.

Łapię szmatę i pomagam jej, wycierając maszynę z drugiej strony.

– No cóż, ja uważam, że to super – odpowiada Jacey. – Wszyscy cię kochają. To musi być niesamowite uczucie.

Prycham.

– Taaak. Wszyscy mnie kochają. Jacey, nikt mnie nie zna. Nie tak naprawdę. Znają moją twarz. Znają postacie, które gram. Ale mnie nie znają. No ale to nie szkodzi. Wolę, że tak jest.

Jacey potrząsa głową.

– To brzmi przygnębiająco samotnie, Dominic.

– Wcale nie – mamroczę, pochylając się w jej stronę, żeby chwycić butelkę płynu bakteriobójczego. Gdy znajduję się blisko, marszczy nos.

– Jezu. Śmierdzisz seksem. Przyszędłeś tu prosto z burdelu?

Czuję, że się rumienię, tylko troszeczkę, bo przyłapała mnie na gorącym uczynku.

Przez głowę przemykają mi wizje tej akcji między dziewczynami, w której sam też wziąłem udział, zanim dotarłem tutaj. Nie traciłem czasu na przysznic, bo już i tak byłem spóźniony.

Trafiony.

Jacey kręci głową z... czym? Rozczarowaniem? Odrzą?

Zanim udaje mi się odszyfrować jej reakcję, ona odchodzi, przerywając ten nasz wspólny moment, czymkolwiek był, a ja tkwię w miejscu i gapię się w zdumieniu, jak opuszcza pomieszczenie. Nikt nigdy tak po prostu mnie nie zostawia.

Ale ona właśnie to zrobiła.

Nie tylko to zrobiła, ale nawet się nie obejrzała. Nie jest tak zaślepiona tym, kim jestem, by nie dostrzegać moich wad. Interesujące... i niezwykle.

Kiedy tak wlepiam wzrok w jej łopatki, zdaję sobie sprawę, że w tej dziewczynie może być coś więcej, niż mi się z początku zdawało.

Cóż... nie, chyba jednak nie.

Postanawiam tak w parę godzin później, kiedy po końcu zmiany – wyszorowawszy kible, napełniwszy woreczki na lód i starłszy ze ściany graffiti – wychodzę na parking.

To jasne, że Jacey jest dokładnie taka, jak od początku przypuszczałem.

Kaylie, dziewczyna z tamtej imprezy, ubrana w mikroskopijny uniform kelnerki, rzuca Jacey torbę, a ta wślacza się do małego kabrioletu Kaylie.

A potem, na samym środku parkingu, Jacey schyla się na siedzeniu i zaczyna się przebierać.

Serio?

Nic nie widzę, ale wiem, co ona tam robi. I chłopaki z centrum sportowego też by się domyśliły, gdyby któryś z nich wyjrzał akurat na zewnątrz. Co ona sobie, do cholery, myśli? Jedna noga sterczy wysoko w powietrzu, z palcami wyciągniętymi ku niebu, kiedy Jacey zsuwa sportowe spodenki, a wciąga króciutkie szorty z uniformu. Cienki materiał prześlizgujący się po jej długich nogach niewiele pozostawia wyobraźni.

Czy ona szuka kłopotów? Fantazje nastolatka działają tak samo dobrze jak realna akcja, a często nawet lepiej. Więc ofiarowywanie im takiego przebłytku sprawi tylko, że będą chcieli zobaczyć więcej.

Ale może o to jej właśnie chodzi. I może właśnie dlatego jest dokładnie taką dziewczyną, za jaką ją miałem. Desperacko spragnioną uwagi, prowokatorką – co świetnie by się zgadzało, biorąc pod uwagę jej pracę.

Zatrzymuję się na chwilę i patrzę.

Ponieważ to właśnie lubię robić.

Jacey ściąga koszulkę i przelotnie widzę jej szczupłe ramię, górę stanika, krzywiznę ręki. Potem zabiera się do zapinania haftek skąpego gorsetu, który ściska i podnosi jej cycki, a następnie poprawia żółtą muszkę.

Coś w tej sytuacji... fakt, że rozbiera się w bardzo publicznym miejscu, fakt, że lubię patrzeć... i fakt, że Jacey ma absolutnie cudowne ciało, sprawia, że mój kutas reaguje, twardej przy udzie.

Nie podoba mi się to, że w ogóle zareagowałem, fizycznie czy jakkolwiek, bo nie dotknąłbym tej dziewczyny fiutem Sina, a co dopiero swoim. To jak bardzo potrzebuje uwagi, zwiastuje kłopoty. Mam na myśli: chodzi do pracy na wpół rozebrana ku uciechu mężczyznom, na miłość boską. Nie chcę mieć z nią nic do czynienia, z nikim jej pokroju. A jednak stoję tu ze sztywnym kutasem.

Właśnie wtedy Jacey odwraca się, żeby rzucić torbę na małe tylne siedzenie, a jej spojrzenie spotyka się z moim. Nieruchomieje i niemal słyszę, jak zaskoczony oddech przemyka po jej wargach. Niemal widzę pytanie w jej ciemnych, otwierających się szeroko oczach. „Czy on widział, jak się rozbieram?”

Ale tak szybko, jak rozszerzyły się na mój widok, tak teraz jej oczy zwężają się w szparki i wypełniają jedną tylko emocją, podczas gdy samochód wyjeżdża z parkingu przy akompaniamencie ryczącego radia.

Pogardą.

Nie wiem, czy się śmiać, czy irytować. To ona rozbierała się na parkingu przy centrum młodzieżowym, przed napędzanymi testosteronem chłopakami, w drodze do pracy, w której płacą jej za flirtowanie z facetami... nie ja. Powinna gardzić samą sobą.

Czuję się jak starzec, kiedy ze zmęczeniem wdrapuję się do swojego porsche, na sekundę opierając głowę o siedzenie, grzejąc się w wiosennym słońcu i przyjmując powiewy świeżej bryzy, zanim uruchomię silnik. Gdy tak siedzę, dzwoni mój telefon, a na ekranie wyświetla się imię Sina.

– Tak? – rzucam, wycofując z miejsca parkingowego.

– Stary, właśnie się dowiedziałem, że Amy Ashby przychodzi dziś do mnie na imprezę. Nie gracie razem w twoim kolejnym filmie?

– Serio? – Muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Amy Ashby, wielka gwiazdeczka, prawie nigdy nie wyprawia się poza Kalifornię. Nie widzi potrzeby. W jej opinii wszelkie inteligentne życie zamiera na granicy z Nevadą.

– No – odpowiada Sin. – Ponoć umawia się teraz z hokeistą z Blackhawks, a szkoda, bo z chęcią wsadziłbym twarz w te jej cycuszki. Są prawdziwe? Na pewno wiesz. Mieliście scenę erotyczną w *Wewnętrznej potrzebie*. Wiem, że ją puknąłeś. Musiałeś ją puknąć.

Przez chwilę myślę o tamtym filmie, który nas oboje wyniósł do rangi supergwiazdorów. I, oczywiście, myślę o tamtej scenie erotycznej. To była moja pierwsza scena seksu na ekranie, jej zresztą też. Żartowaliśmy, że tracimy razem dziewictwo. Jej cycki nie są prawdziwe, ale nie mówię tego Sinowi.

– Jesteś śmieszny – rzucam za to. – I kurwa, człowieku. Ile imprez tygodniowo musisz organizować?

Sin chichocze.

– Nie marudź. Ale hej, właśnie coś mi przyszło do głowy. Czy to będzie problem? Bo Kira też dziś przychodzi. Wiem, że Amy lubi cieszyć się twoją niepodzielną uwagą – czy ma chłopaka, czy nie.

Wzdycham.

– Amy jest bez dwóch zdań trudna w utrzymaniu. Ale nie powinienem mieć z tego powodu kłopotów z Kirą, bo ona wie, na czym stoimy. Nasz układ jest wygodny. To wszystko. Ale wiedzieć i wiedzieć to dwie różne sprawy, więc pewnie zrobi się zazdrosna i urządzi jakąś scenę. Czemu w ogóle ją zaprosiłeś? Nie mam ochoty jej niańczyć.

– Bo prosiła, żebym do niej zadzwonił, kiedy będę robił następną imprezę – odpowiada Sin i niemal słyszę, jak wzrusza ramionami. To nie jego problem i wcale się tym nie przejmuje. – I kiedy to, do cholery, posiadanie kumpeli od seksu zmieniło się w niańczenie? Mniejsza z tym, stary. Jakoś to rozwiążemy.

Do głowy przychodzi mi pewien pomysł i uśmiecham się szeroko.

– Och, już nawet wiem jak. Pojadę do domu na kolację. Mama i tak od dawna chce mnie nakarmić. Baw się dobrze na imprezie.

Sin zaczyna protestować, ale ja się rozłączam i zawracam, kierując się teraz w przeciwną stronę, ku Palos Park, chicagowskiemu przedmieściu, gdzie dorastałem.

Ulice Chicago zastępuje autostrada, która ostatecznie przecina Palos Park. Otaczają mnie ciche uliczki, po których biegałem jako dzieciak, i podziwiam tę spokojną scenerię, sunąc przez miasteczko, a wreszcie docierając do wiejskich okolic. Twierdza Kinkaide'ów stoi na dwuhektarowej działce poza miastem i już z odległości półtora kilometra widzę iglicę wieży.

Naprawdę, nie mogę się nie uśmiechnąć. Przez większość czasu moje dzieciństwo było cudowne i mam wspaniałe wspomnienia z okresu dorastania tutaj, w tej głuszy, w domu, który wszyscy wokół uważają za przejaw ogromnego ekscentryzmu.

Skęcąc na długi podjazd otoczony z obu stron kwitnącymi drzewami, głęboko zaczerpuję wiejskiego powietrza, a potem je wydecham. Zawsze zapominam, jak wspaniale tu pachnie, ale gdy wracam, te wonie natychmiast wzbudzają wspomnienia. Letnie noce pełne uganiania się za świetlikami, biwaki z tatą i braćmi, huśtanie się na linie nad strumieniem.

Otrzymałem zadziwiająco wiejskie wychowanie, żyjąc w miasteczku oddalonym od Chicago ledwie o parę kilometrów. Kiedy wysiadam z auta, słyszę Fionę i mamę... ich głosy żeglują w moją stronę niesione lekkim wiatrem, a gdy się odwracam, widzę je wychodzące z garażu i kierujące się w stronę domu. Kurwa.

Jak mogłem zapomnieć, że Fiona mieszka z rodzicami na czas remontu jej nowego mieszkania w centrum miasta? Kurwa.

Fiona podnosi wzrok i pierwsza mnie dostrzega, i na krótką chwilę jej oczy rozbłyskują tak jak zwykle, gdy mnie widzi. Zawsze byłem jej ulubionym bratem.

Ale nie teraz. Teraz jej twarzy momentalnie tężeje, a ona ostentacyjnie spogląda w przeciwnym kierunku, przypominając mi w ten niezbyt subtelny sposób, że figuruję na jej czarnej liście.

Wszystko mi jedno.

Ona figuruje na mojej czarnej liście. Może mnie ignorować do woli. Gwarantuję, że mam więcej cierpliwości od niej.

Gdy wchodzi po schodkach do domu, mama odwraca głowę i na mój widok natychmiast wypuszcza z rąk niesioną torbę. Biegnie w moją stronę, jakby nie widziała mnie od roku. Minęło tylko kilka miesięcy, ale widząc, jak do mnie przypada i ściska mocno, można by pomyśleć, że upłynęła cała wieczność. Głową ledwie sięga mi do mostka i tam właśnie ją opiera, jej ramiona łączą się za moimi plecami.

– Dominicu Jamesie Kinkaide – łaja. – Tym razem nie pokazywałeś się przez zbyt długi czas. Schudłeś. Nie jesz. – Podnosi na mnie wzrok, mrugając szybko niebieskimi oczyma. – Wejdz do środka i umyj się. Za pół godziny kolacja i zjesz wszystko, co położę ci na talerzu.

Maszeruje przede mną, usiłując udawać, że jest zagniewana, a nie ucieszona moim widokiem. Ale zdradzają ją oczy, bo ich spojrzenie, kiedy zatrzymuje się, żebym mógł otworzyć jej drzwi, jest ciepłe.

– Najwyższy czas na powrót do domu – stwierdza, wymijając mnie. – Idź do ojca. Jest w bibliotece.

Fiona mnie ignoruje, więc ja ignoruję ją, mijając ją w drodze ku długiemu korytarzowi prowadzącemu do biblioteki, która służy mojemu tacie za gabinet. Kiedy wyłaniam się zza drzwi, zastaję go wpatrzonego za okno ze szklanką szkockiej w dłoni.

– Cześć, tato – witam się cicho. – Mogę też trochę dostać?

Ojciec odwraca głowę i uśmiecha się do mnie, jego skronie posiwiały nieco bardziej od ostatniego razu, kiedy zjechałem do domu.

– Hej, Dom. Jasne, nie krępuj się. Wyrosną ci od tego włosy na piersi.

Śmieję się cicho, bo zawsze powtarza tę kwestię, i nalewam sobie drinka. Ognista ciecz wypala ścieżkę w dół poprzez moje wnętrza, a ja wypijam wszystko jednym haustem i napełniam szklankę ponownie.

– Co to się stało tamtego wieczoru? – pyta tata bez wstępów. – Nie możesz tak po prostu atakować ludzi. Nieważne, jak bardzo jesteś wkurzony.

Wzruszam ramionami.

– Dowiedziałem się właśnie, że Fiona spotyka się z Crisem. Nie podoba mi się to i tak też jej powiedziałem.

Tata unosi brew.

– A potem pokazałeś to Crisowi przy pomocy pięści? Zawsze ci powtarzałem, Dom... nie życzę sobie, żebyś zaczynał zwady. Zawsze możesz je zakończyć, ale nie zaczynać.

Potrząsam głową, odstawiając szklankę.

– Cris zaczął, tato, dawno temu. I przyjdzie czas, kiedy będę musiał to zakończyć. Na dobre.

Ojciec wbija we mnie spojrzenie zielonych oczu.

– Czy kiedykolwiek zamierzasz nam powiedzieć, co się u diabła wydarzyło między wami dwoma? W dzieciństwie spędził tu prawie tyle samo czasu co ty. Jeśli jest coś, o czym powinienem wiedzieć, chciałbym, żebyś mnie o tym poinformował.

Coś ściska mi się w brzuchu.

To nie tak, że nie chcę im powiedzieć. Chodzi o to, że nie potrafię. Nie umiem o tym mówić, do cholery. Za każdym razem, gdy próbuję, słowa zamarzają mi w piersi i nie chcą przejść przez usta. Są zbyt ohydne, by je wypowiedzieć.

Ojciec unosi brew.

– No więc?

Kręcę głową.

– To sprawa między nami dwoma. Skoro Fiona nie chce słuchać, to jej problem.

Tata przewraca oczami i przełyka whisky.

– Spodziewałem się, że tak powiesz. Jestem pewien, że ucieszy cię wieść, że on dziś przychodzi. Nie wiedzieliśmy, że ty się zjawisz, bo byśmy go nie zapraszali.

Gapię się na niego ogłupiały. Nie powinienem się dziwić. Nawet nie zadzwoniłem, żeby dać znać, że się zjawię. Ale i tak. To mój cholerny dom i nie powinienem musieć się po nim skradać, zastanawiając się, czy nie natknę się na pieprzonego Crisa Evansa.

Szlag.

– Świetnie – mamrocze. – Miło było cię zobaczyć. – Wstaję i odwracam się do wyjścia.

– Nie rób cyrku – ostrzega tata. – Powinieneś był zadzwonić i uprzedzić nas, że przyjedziesz.

Wiem, że ma rację, więc nie odpowiadam. Zamiast tego przeproszam go i dzwonię do Tally'ego.

– Jakieś nowiny? – pytam. Mój rozmówca wzdycha do telefonu.

– Zadowoleni nie są, ale nic nie da się na to poradzić. Przesuną datę rozpoczęcia zdjęć i nakręcą, ile się da bez ciebie. Ale chcą, żebyś wracał do domu na weekendy i zjawiał się na planie. Musisz jakoś to załatwić.

– Każę prawnikom się tym zająć – odpowiadam. – Nie wydaje mi się, żeby to miał być problem. W weekendy nie muszę być u Joego.

– Jak to w ogóle wygląda? – zagaduje Tally z ciekawością. – Prace społeczne?

Myślę o zapuszczonej sali treningowej i przewracam oczami.

– Jest super – stwierdzam sarkastycznie. – Powinieneś przyjechać i nam pomóc.

– Nieee, sądzę, że raczej zobaczymy się, kiedy przywleciesz swój tyłek tutaj. Pospiesz się. Powiem ludziom ze studia, że wkrótce mogą się ciebie spodziewać. Wiem, że Amy Ashby jest wkurzona. Ta obsuwa wpłynie też na harmonogram jej następnego filmu. Będziesz musiał jakoś to załagodzić.

– Będzie dziś akurat u mojego brata – informuję go niechętnie. – Mógłbym się z nią zobaczyć, ale zrobię to kiedy indziej. Nie jestem w nastroju.

– Nigdy nie jesteś w nastroju – mruczy Tally. – Właśnie dlatego jest na ciebie wkurzona.

To także prawda. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z wolą Amy, nasze sceny erotyczne ćwiczylibyśmy w mojej przyczepie, i to łącznie z takimi szczegółami jak wylizywanie sobie nawzajem sutków i doprowadzanie się do orgazmu. Ale ja nie czuję takiej potrzeby. Po prostu nie mam, do cholery, ochoty. Amy to kolejna trudna w utrzymaniu imprezowiczka, która nieustannie domaga się uwagi. A tego bym nie zniósł.

Rozłączam się i ruszam z powrotem korytarzem, zerkając po drodze na oprawione rodzinne zdjęcia. Fotki przedstawiające mnie, Sina, Duncana, Kirę, Fionę, Crisa... i Emmę.

Na moment nieruchomieję, powietrze ze świstem umyka mi z płuc, kiedy widzę wpatrujące się we mnie z jednej z bolesnych fotografii błyszczące niebieskie oczy Emmy.

Jest opalona i zdrowa, objęła mnie ramieniem za szyję na sekundę przed tym, nim mama pstryknęła nam to zdjęcie w biletach na zakończenie liceum. Było to ostatnie zdjęcie, jakie sobie razem zrobiliśmy.

Było to jej ostatnie zdjęcie w życiu.

W gardle tworzy mi się gula, kiedy patrzę na jej naszyjnik, prezent ode mnie. Podarunek mówiący: „szczęśliwego zakończenia liceum, nie mogę się doczekać, kiedy pójdziemy razem na studia”.

Akwamaryn w kształcie łezki, idealnie odpowiadający kolorem barwie jej oczu, oprawiony w białą muszelkę, którą wyłowila kiedyś z jeziora Michigan. Kazałem go zrobić specjalnie dla niej i nosiła go aż do dnia swojej śmierci.

Sięgam do kieszeni i zamykam go w palcach, czując chłodny kamień.

Po wszystkim jej rodzice dali go mnie i od tamtej pory codziennie noszę go w kieszeni... ponieważ mi przypomina.

O wszystkim.

Przełykam ślinę i gwałtownie cofam dłoń, jakby wisiorek był rozżarzoną węglą, który może mnie oparzyć. Mój problem polega na tym, że tkwię w otchłani... Nie chcę pamiętać i nie chcę zapomnieć. Gdy pamiętam, boli jak diabli. Ale jeżeli zapomnę, to może się powtórzyć.

A to jedno wiem na pewno.

Nigdy więcej nie dam się tak wyruchać.

Rozdział 8

DOMINIC

Idę głównym korytarzem, by znaleźć mamę, lecz zaskakuje mnie pojawienie się Crisa w kuchennych drzwiach. Na chwilę staję w miejscu, gapiąc się na niego.

– Może byśmy wyszli na zewnątrz? Chciałbym z tobą pogadać – odzywa się mrukliwie, w jego głosie słychać wahanie i tysiąc rzeczy, których nie potrafię nazwać.

Oko ma opuchnięte, co sprawia mi pewną satysfakcję.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – rzucam w końcu. – Więc nie, dzięki.

Chcę precyzyjnie się obok niego, ale łapie mnie za ramię, usiłując mnie zatrzymać. Posyłam mu ostre spojrzenie, prosto w oczy, spojrzenie mówiące: „zabierz ode mnie tę pieprzoną łapę”, na co rozluźnia uchwyt. Zdaje się, że ostatnie spotkanie czegoś go nauczyło.

Fiona zjawia się nagle za nim, jej twarz ma ostrożny i posępny wyraz.

– Proszę – dodaje Cris. – Musisz to usłyszeć, ale myślę, że nie powinniśmy rozmawiać o tym tutaj.

– Wal się – wypluwam z siebie obcesowo, przepychając się obok niego do jadalni. – Pierdol się.

– Ale z ciebie fiut – prycha na mnie Fiona. Ale ja ją ignoruję. Idę dalej, aż znajduję mamę i przystaję, by pocałować ją w czoło.

– Kocham cię, ale nie zjawię się tu więcej, kiedy on tu jest.

Protestuje i chwyta mnie, ale mijam ją, wychodzę na podwórko, docieram do samochodu. Ignoruję ciągnące się za mną wściekłe wrzaski Fiony, uparte spojrzenie Crisa śledzące mój odjazd, rozczarowaną minę ojca. Ignoruję to wszystko.

Ponieważ jestem pieprzonym Dominikiem Kinkaidem i nic mnie nie obchodzi. Nic mnie nie dotyka, bo na to nie pozwalam.

Niezależnie od mojej woli oczy zaczynają mnie szczytać i wiem, że są zaczerwienione. Pocieram je, uruchamiając silnik. Mimo że dochodzi dopiero dwudziesta pierwsza i impreza Sina wkrótce osiągnie pełen rozkwit, ruszam w stronę jego domu... bo poza tym nie mam dokąd pójść.

Gdy docieram na miejsce, na posesji Sina parkuje jakiś milion aut, co niemalże sprawia, że zawracam i jednak odjeżdżam. Ale nie robię tego. Wprowadzam wóz do garażu i kieruję się do domu, obierając drogę w ciemnościach.

Prześlizguję się przez zatłoczone pokoje, zmierzając po obwodzie pomieszczeń ku schodom. Kiedy stawiam stopę na pierwszym stopniu, doznaję uczucia, że ktoś mnie obserwuje, więc zerkam w bok.

Jacey stoi nieruchomo na środku pokoju, ubrana w uniform kelnerki, i pozwala jakiemś gościowi zlizywać sól ze swojego przedramienia, zanim ten wychyli tequilę. Mocno się dziś umalowała – dużo tuszu do rzęs, czerwona szminka. Uśmiecha się do koleśka tymi czerwonymi wargami i sztucznym uśmiechem i w tym właśnie momencie mnie zauważa.

Zamiera zszokowana, chociaż – co, do kurwy nędzy? To ja tutaj tymczasowo mieszkam. Przynależę tu, a ona nie.

Nagle w pośpiechu podchodzi do mnie jakiś facet, ktoś, kogo nie znam. Bardzo pijany ktoś.

– Stary, podpiszesz mi koszulkę dla dziewczyny? Jeśli przyniosę do domu twój autograf, przez miesiąc

mam gwarantowane bzykanko.

Chwyta mnie za ramię, a ja poirytowany strącam jego rękę.

– Koleś. Skoro miałeś tyle szczęścia, że cię zaproszono, powinieneś wiedzieć, że nikogo tu nie prosi się o autograf.

Zwykle nie jestem tak niegrzeczny wobec fanów. Ale zły nastrój bierze nade mną górę. Facet wgapia się we mnie, oszołomiony, ja zaś ruszam w dalszą drogę. Idąc, czuję na sobie wzrok Jacey.

Wrywa ramię tamtemu gościowi, odstawia tacę pełną małych kieliszków i kieruje się prosto na mnie.

Odwracam się do niej plecami z zamiarem wspięcia się po schodach, jakbym w ogóle jej nie zauważył, ale ona na to nie pozwala. Łapie mnie za ramię, zmuszając, bym na nią spojrział.

– Wszystko w porządku? – chce wiedzieć. – Zareagowałeś dość ostro.

Zerkam na nią w dół, w jej brązowe oczy, i przekonuję się, że szczerze się przejęła. Muszę wyglądać na naprawdę roztrzęsionego, skoro spostrzegła, że coś jest nie tak. Ledwie mnie zna. Jej palce na moim ramieniu są ciepłe i przez chwilę się waham.

Jest ciepła, delikatna i zaniepokojona. Wiem, jak to się może skończyć.

Dziką nocą, która poprawi mi samopoczucie.

Wszystkie kobiety są takie same, chcą naprawić to, co zepsute, i posuną się do ostateczności, aby osiągnąć cel. Nigdy nie mówię o przeszłości ani w ogóle o niczym, co mnie dotyczy, ale kobiety i tak wyczuwają, że coś się we mnie spieprzyło. Nie rozumieją jednej rzeczy: mnie nie da się naprawić.

Znów na nią spoglądam, kręcąc głową.

– Nic mi nie jest. Nie martw się.

Ale ona znowu na mnie patrzy, naprawdę na mnie patrzy, jej brązowe oczy mnie sondują.

– Jakoś ci nie wierzę. Co się stało?

– Dlaczego cię to obchodzi? – pytam, nim zdążę się powstrzymać.

Ponieważ coś w niej każe mi myśleć, że z jakiegoś powodu naprawdę ją to obchodzi, nie tylko z uwagi na fakt, że jestem Dominikiem Kinkaidem. Wszystko, co związane z Jacey, jest dzikie i nieokiełznane... Pracuje w Saffron, popycha gliniarzy, ubiera się na parkingach i pozwala facetom zlizywać z własnego ciała sól do tequili.

A jednak wydaje się jednocześnie ciepła i prawdziwa. Nie zapomniałem, jak wcisnęła się pomiędzy Crisa a mnie i zasłoniła moje ciało swoim. Jest zagadką.

Jacey wygląda na skonfundowaną moim pytaniem.

– Obchodzi mnie, bo nie jesteś przecież pierwszym lepszym obcym człowiekiem. I sprawiasz wrażenie mocno przybitego. To oczywiste, że zapytam cię, czy wszystko w porządku. Kto postąpiłby inaczej?

Myślę, że większość ludzi, których znam w Hollywoodzie.

Ale nie mówię tego. Odwracam się i ruszam dalej po schodach. Nie odpowiadam ani przed nią, ani przed nikim innym, do cholery.

– Potrzebujesz czegoś? – Głos Jacey za moimi plecami pełen jest wahania. – Woreczka z lodem albo czegoś takiego? Ten siniak na policzku wygląda, jakby wciąż bolał.

Zatrzymuję się, nie patrząc na nią. Zamiast tego przed oczami staję mi jej naga noga wyciągająca się ku niebu, podczas gdy prześlizgują się po niej skąpe szorty od uniformu. Samo wspomnienie tego, jak rozebrała się w tak publicznym miejscu, pobudza mój puls do galopu.

Taaak, potrzebuję całej masy rzeczy, ale tylko jedna z nich pozwoli mi zapomnieć o powodzie, dla którego ich potrzebuję.

– Tak, czegoś mi trzeba.

Następuje chwila ciszy, potem kolejna.

Wreszcie Jacey pyta:

– To znaczy czego?

Odwracam się powoli, obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów, aż nasze oczy spotykają się i tak

już pozostają. Jej oczy są ciemne i szczerze, pełne oczekiwania, aż coś powiem. Nie ma pojęcia, jaką jestem osobą. Nie ma pojęcia, że jestem jedynie skorupką, w środku całkiem pustą.

Gdyby wiedziała, uciekłaby daleko, daleko stąd.

Wpatruję się w jej oczy, przysuwając się bliżej, a ona nie odwraca wzroku.

Schodzę z powrotem w dół, aż stoimy na tym samym stopniu, jej plecy opierają się o ścianę. Przyciskam się do niej, na tyle blisko, że mój sztywny kutas wbija jej się w biodro.

Z ustami ledwie kilka centymetrów od jej ucha szepczę:

– Ciebie. Rozkrzyżowanej na moim łóżku i związanej. To by mi wystarczyło na początek.

Sama myśl o tym, jak wepchnąłbym jej kutasa do ust i pozwoliłbym sobie obciągnąć, podczas gdy ona miałaby skrępowane ręce, sprawia, że twardnieję.

Jacey wciąga powietrze, ale pozostaje nieruchoma. Jej oddech przyspiesza, mój, owiewający jej szyję, jest gorący. Wiem, bo wyczuwam go na własnych wargach. Nie wiem tylko, po co to robię.

Ani dlaczego ona jeszcze nie odmówiła.

Obrzydzony tak sobą, jak i nią, odwracam się ponownie.

– Zapomnij. Idź do domu. Nie chcesz się dziś ze mną bawić, dziewczynko. Uwierz mi.

JACEY

O mój Boże. Co za dupek.

Nie przyglądam się, jak Dominic odchodzi. Wracam od razu przez główny hol, policzki płoną mi szkarłatem. Jestem na to za dobra. Po tym, jak za sprawą Jareda wyszłam na słabą, stale o coś skamlącą dziewczuchę, przysięgam sobie, że będę mieć dla siebie więcej szacunku.

Nie można mnie wykorzystać. Już nie.

Tamtej Jacey już dawno nie ma, znikła pod stertą rachunków od terapeutów.

Dlaczego więc nie odrzuciłam absurdalnej prośby Dominica?

Ponieważ na ułamek sekundy wyobraziłam sobie, jak by to było zostać przywiązaną do jego łóżka, i po moich majtkach rozlało się ciepło. Cholera jasna, jestem tylko człowiekiem. A przy tym gorąckrwiłą kobietą.

A Dominic to Dominic.

Widziałam go w wystarczająco wielu filmach, w wystarczająco wielu scenach miłosnych, aby wiedzieć, że jego ręce działają cuda. Nawet jeśli to była gra aktorska, w jego ruchach, w jego oczach zawsze objawiała się taka zmysłowość...

Jego oczy.

Ten mrok w oczach Dominica... coś ze mną robi. Sprawia, że zastanawiam się, do czego on jest zdolny. Albo do czego *ja* byłabym przy nim zdolna. Praktycznie czuję jego szepty na mojej szyi w ciemności, jego dłonie drapiące mi plecy, jego paznokcie wbijające się we mnie.

O mój Boże. Policzki rumienią mi się jeszcze bardziej. Nie wiem, co mnie opętało, ale to się musi skończyć.

Dominic oznacza kłopoty. A ja nie potrzebuję w swoim życiu kolejnych kłopotów. Przewracam stronę i dokonuję dobrych wyborów. Dominic Kinkaide to zły, zły wybór.

Bo Dominic Kinkaide robi złe, złe rzeczy. Widzę to w jego oczach.

Pod wpływem nagłego impulsu odwracam się i zerkam za siebie, poszukując go w tłumie. Nietrudno go znaleźć.

Stoi u szczytu schodów górujących nad główną salą, jakby to było jego królestwo, ramieniem obejmuje szczupłą brunetkę. W ciągu dziesięciu sekund, które minęły, odkąd zostawiłam go na stopniach, już zdążył znaleźć sobie inną kobietę do przepieprzenia.

Oczy Dominica spotykają się z moimi, a zieleń jego spojrzenia zdaje się płonąć, kiedy bardzo powoli, z wielkim rozmysłem łapie dziewczynę za tyłek i ściska mocno, przyciągając ją do siebie, przyciskając jej biodra do swojego krocza.

Dziewczyna owija ramiona wokół jego szyi, chowa w niej twarz, wdychając go przez chwilę, ja zaś zastanawiam się, jakie to uczucie. Być tak blisko kogoś tak... mrocznego. Kogoś, kto tak całkowicie i niepodzielnie dominuje nad pomieszczeniem.

Dominic wciąż nie odwrócił wzroku, więc rozumiem, że robi to wszystko na mój użytek. Pokazuje mi, co mogłam dziś mieć, gdybym tylko powiedziała „tak”.

Jego spojrzenie mnie pali.

Robię zatem jedyną rzecz, która pozwoli mi zachować choć resztkę szacunku do samej siebie.

Odchodzę.

Rozdział 9

JACEY

Słońce świeci jasno, kiedy padam na fotel kierowcy z kawą oraz torebką. Jak to u diabła możliwe, że rano nadszedł tak szybko? Boże. Czy istnieje coś gorszego niż poranki?

Przekręcam kluczyk i zdaję sobie sprawę, iż owszem, jest coś gorszego.

Poranek, kiedy twój samochód nie chce zapalić, a ty musisz zjawić się w „Gladiatorach Joego” na czas albo „możesz w ogóle się nie pokazywać” – to jest gorsze.

Kurwa.

– Jesteś cholernym złomem – wymyślam autu, raz po raz przekręcając kluczyk. Ale nic się nie dzieje. Tylko przygnębiające kliknięcie, które na swój mechaniczny sposób ogłasza, że mój silnik nie jest zwyczajnie martwy, jest naprawdę cholernie martwy.

Biedny Brand. Ponieważ robię jedyną rzecz, jaka obecnie przychodzi mi do głowy. Sięgam po telefon i dzwonię do niego.

– Tak? – burczy sennie, nie kłopotując się powitaniem.

Prędko tłumaczę swoje położenie, a on, zgodnie z normą, jak rycerz w wielgachnym lśniącym F150, przyjeżdża mi na ratunek z zabawnym wyrazem twarzy i fryzurą prosto z łóżka.

Uśmiecham się nieśmiało, wdrapując się do półciężarówki.

– Tak mi przykro, że sprawiam ci kłopot – mówię zgodnie z prawdą. – Po prostu nie wiedziałam, co zrobić. Nie mam pojęcia, co jest nie tak z moim autem, mogłabym pojechać kolejką, ale nie wiem, gdzie jest najbliższy przystanek przy centrum sportowym, a jeśli się spóźnię, już po mnie. Joe tego nie toleruje.

Brand kręci głową, wycofując i włączając się do ruchu.

– Nie przejmuj się. Wolę, żebyś uniknęła kolejnych tarapatów. Komu potrzebny sen? – Jego głos jest ochrypy i szorstki i jeśli do tej pory miałabym jakieś wątpliwości co do tego, czy go obudziłam, zniknęłyby teraz na dźwięk jego zasnętego tonu.

– Przykro mi – powtarzam. – Zafunduję ci dziś poranną kawę. Co ty na to?

Brand posyła mi serdeczny, szeroki uśmiech.

– Umowa stoi.

Patrzę za okno, obserwując mijany chicagowski zgiełk. Jak dotąd ani śladu dziwnego wyrazu, jaki dostrzegłam w oczach Branda tamtego wieczoru, i za to jestem wdzięczna. Naprawdę, naprawdę potrzebuję, by między nami było normalnie. Na nieszczęście Branda „normalnie” zawsze oznacza ratowanie mnie przed czymś.

– Nigdy nie męczysz cię wybawianiem mnie? – zastanawiam się na głos. – Gabe cały czas prawił mi morały. Ty nigdy tego nie robisz.

– To dlatego że jestem święty – oznajmia Brand, skręcając w boczną uliczkę i kierując dużą półciężarówką w stronę centrum sportowego. – Spytaj, kogo chcesz.

Chichoczę.

– Nie muszę nikogo pytać. Wytrzymujesz ze mną, więc absolutnie powinni cię kanonizować. Będę musiała pogadać o tym z papieżem.

– Nie jesteś katoliczką – przypomina Brand, wjeżdżając na parking Joego.

– Wiem – odpowiadam. – Będę musiała podkreślić swój czar.

– Dobry Boże. – Brand potrząsa głową. – Nie ma potrzeby przyprawiać biedaka o zawał. Przyjadę później cię odebrać. Zadzwoń po lawetę, żeby zgarnęła twój wóz.

Akurat całuję go w policzek, gdy słyszę ryk innego auta parkującego obok nas. Odgłosu tego silnika, potężnego i głośnego, nie da się pomylić z niczym innym, więc jeszcze zanim spojrzę, wiem, że to Dom.

Mamroczę do Branda pożegnanie i zerkam na Doma, gramoląc się z półciężarówki. Czuję na sobie wzrok Branda, ale ignoruję go. W ogóle nie potrafię myśleć o Brandzie, bo, szczerze mówiąc, kiedy Dominic jest w pobliżu, to on ma władzę nad otoczeniem.

Ubrał się dziś na czarno – ciemne sprane džinsy i obcisły czarny podkoszulek, który w idealny sposób muska jego pierś. Jakimś cudem nawet jego zielone oczy wydają się czarne, kiedy wpatruje się we mnie, czekając, aż go minę. Dokładnie widzi wszystko: to, jak pocałowałam Branda, to, jak wysiadam z samochodu, to, jak próbuję na niego nie patrzeć.

Jego warga drga i po raz kolejny doświadczam uczucia, że on mnie zna. Wie o mnie wszystko. To niepokojące.

Przechodzę obok niego, a on rusza za mną. Wyczuwam każdy jego krok, jego obecność za mną wydaje się namacalna, jak pole siłowe zrobione z seksowności i arogancji. Staram się, jak mogę, aby to ignorować.

Gdy docieramy do drzwi, zatrzymuję się, on zaś sięga i otwiera je przede mną. Kiedy to robi, wychwytyuję smugę jego zapachu, czegoś charakterystycznego wyłącznie dla niego. Czegoś piźmowego, lecz ostrego, niezaprzeczalnie męskiego. Wchodząc do środka, biorę głęboki wdech, ani razu się na niego nie oglądając, nawet gdy mamroczę podziękowanie za przytrzymanie drzwi.

Nie dam się złapać na tę pozę najseksowniejszego faceta na świecie. Rozkrzyżowana na jego łóżku, akurat. Teraz może mnie pocałować w dupę.

Zdaje mi się, że słyszę jego cichy śmiech, gdy zadzieram nos wysoko w górę, ale nie jestem pewna. I nic mnie to nie obchodzi. Idę prosto do gabinetu Joego, żeby dowiedzieć się, co mi dziś zleci. Dominic kroczy za mną w przyzwoitej odległości i oboje przyjmujemy rozkazy od Joego, który jest dziś szczególnie zrzędlawy.

– Masz posprzątać szatnię – oznajmia Dominicowi ze znużeniem, a następnie zwraca się do mnie. – A ty, Jacey, możesz mi pomóc ważyć chłopców. Musimy zanotować ich masę na początku tygodnia, żeby wszystko było oficjalnie. Tam masz podkładkę z kartką, a waga stoi w szatni.

– Dobrze się pan czuje? – pytam go z wahaniem, sięgając po podkładkę. – Wygląda pan na... zmęczonego.

Wlepia we mnie chmurne spojrzenie stalowych oczu.

– A czy wyglądam też, jakbym wyhodował sobie jajniki? Jeśli będę chciał pogawędzić jak panią, dam ci znać.

To się nazywa riposta.

Na tę odprawę moje policzki stają w płomieniach i niemal wyczuwam skierowany w moją stronę krzywy uśmiech Dominica. Wiem, że Joe tylko głośno szczeka i nie gryzie mocno, ale, mój Boże. To jego szczekanie potrafi być okropne.

– Kumam – odpowiadam cicho, kierując się ku szatni.

Dominic w milczeniu idzie za mną.

Nie wspomina nic o złym nastroju Joego i ja także tego nie robię. Z wdzięcznością przyjmuję jego milczenie, bo czuję się obecnie nieco upokorzona. Nie ma nic gorszego, niż wyciągnąć do kogoś rękę tylko po to, żeby ten ją podeptał.

Zabieramy się do pracy – Dominic czyści ściany i metalowe szafki, ja ważę olbrzymich spoconych chłopaków.

Przez cały czas wiem dokładnie, w którym kącie szatni znajduje się Dominic, nawet jeśli akurat na niego nie patrzę. Czuję go. Czuję jego obecność w odniesieniu do mojej. Słyszę jego oddech, jego ruchy. Wychwytyuję zapach jego wody kolońskiej. Jestem świadoma jego bliskości. Nieważne jak bardzo staram się go ignorować, jest między nami elektryczność i nie mogę udawać, że tego nie dostrzegam.

Wiem, że on też to czuje, bo za każdym razem, gdy na niego zerkam, wydaje mi się, że on patrzy akurat na mnie, jego ciemne, ciemne oczy mają w sobie coś, czego nie umiem opisać.

Przełykam ślinę, bazgrołę na kartce czyjaś wagę, a potem gestem wzywam kolejnego chłopaka.

Jake szczerzy do mnie zęby, udając, że się przede mną osłania, rozciągając duże chłopięce dłonie na wysokości piersi.

– Nie kopniesz mnie dziś chyba, co? – śmieje się, wstępując na wagę. Przesuwam ciężarek, by uzyskać dokładny odczyt, i przewracam oczami.

– Dziewięćdziesiąt osiem kilo. I nie, chyba że znów spróbujesz mnie obmacywać.

Śmieje się i schodzi na podłogę.

– Wcale nie próbowałem cię obmacywać. Ja po prostu w ten sposób się witam.

– Ha – pryham, zapisując wynik. – Następnym razem spróbuj przywitać się za pomocą ust, a nie rąk.

Znów chichocze.

– Jesteś w porządku, Jacey. Jak na dziewczynę.

Pryham ponownie, ale tym razem uśmiecham się do niego. Joe mówił, że muszę jedynie pokazać im, kto tu rządzi. Pozostali chłopcy chyba wyciągnęli naukę z błędu Jake'a, ponieważ teraz wszyscy zachowują się przyjaźnie, może nawet trochę nerwowo. Uśmiecham się na tę myśl i wzywam kolejnego wyrostka.

Czas mija szybko i zanim się spostrzeżę, wchodzi Joe.

– Wy dwoje. – Wskazuje Doma i mnie. – Za mną.

Zerkamy na siebie, lecz podążamy za człapiącym Joem, który prowadzi nas do kuchni centrum sportowego. Jest to wielkie stare pomieszczenie z zapaskudzonymi kątami i pożółkłymi blatami.

– Te dzieciaki zwykle nie mają dość jedzenia – informuje nas. – Staram się pilnować, żeby dostali coś tutaj, nazywam to przekąską po szkole. Ale tak naprawdę to pełen posiłek. Trzeba wyczyścić chłodzię i porządnie poukładać produkty. Wyrzucicie wszystko, co zepsute, ale tylko jeśli naprawdę jest zepsute. Pieniądze nie rosną na drzewach, więc musimy rozsądnie gospodarować zapasami. Zrozumiano?

Oboje kiwamy głowami, mnie zaś po raz któryś imponuje dobre serce Joego, mimo że tak po mnie pojechał.

Zostawia nas, a Dom i ja rozglądamy się wokół.

– Ech, kurwa – wzdycha Dom, patrząc na powgniatane drzwi chłodzi. – To nam trochę zajmie.

Wzruszam ramionami.

– No cóż. Wolę już coś robić, niż siedzieć na tyłku i odliczać minuty do końca zmiany.

– No to w porządku. Panie przodem, księżniczko. – Dom ze wzruszeniem ramion zachęca mnie gestem, bym pierwsza weszła do środka, przytrzymując ciężkie metalowe drzwi. – Nie potknij się na rdzy. Jezu. Te sprzęty wyprodukowano chyba w tysiąc dziewięćset czterdziestym.

Ma rację. Chłodzi to relikwiarz dawnych czasów, stara i poskrzypująca. Nie podoba mi się samo znalezienie się w jej pobliżu, a co dopiero w jej wnętrzu.

Kiedy wchodzimy do środka, odruchowo drżę, przesuwając dłońmi po pokrytych gęsią skórą ramionach, rozglądając się wokół po półkach pełnych przypadkowo poustawianego jedzenia. Czuć tu nieświeżą żywnością, stojącą wodą i pachami.

– Boże. Nie wydaje się też, żeby ktoś tu sprzątał od tysiąc dziewięćset czterdziestego.

Szturcham palcem jedzenie, część jest przeterminowana, a część świeża, a Dom wzdycha.

– No cóż, to nam trochę zajmie. Już to widzę. Zapomnieliśmy wiadra i gąbek. Zaraz wracam.

Odwraca się ku powgniatanym drzwiom, ale gdy naciska klamkę, nic się nie dzieje.

– Co, do cholery? – mamrocze. Porusza nią mocno, a potem wieszka się na niej całym ciężarem ciała. Gapię się na niego osłupiała, obserwując jego zmagania z drzwiami, które nie chcą się otworzyć. W końcu odwraca się i wlepia we mnie wzrok.

– Zatrzasnęliśmy się.

Próbuję nie świrować, wzruszam tylko ramionami i wbijam spojrzenie w zamknięte drzwi.

– Nie martw się. Joe wpadnie tu i nas znajdzie, zanim wyjdzie do domu. Będzie dobrze.

Ale Joe nie wpada.

I nie jest dobrze.

Jest cholernie zimno. I pomieszczenie jest małe. Pachnie bagnem. I utknęliśmy w pułapce.

Wyrównujemy żywność na półkach, próbując zażyć trochę ruchu, żeby zbyt nie zmarznąć podczas oczekiwania, ale wreszcie kończą nam się rzeczy do zrobienia. Mam gęsią skórę na każdym skrawku ciała, a Joe wciąż nie przychodzi.

Walę w drzwi, zimny metal parzy mnie w dłoń, ale nikt nie słyszy. Krzyczę. Ale nikt nie słyszy. Kopię nawet w drzwi. Ale nikt nie słyszy i nikt nie przychodzi. W końcu osuwam się przygnębiona na podłogę.

– Możemy tu zamarznąć na śmierć? – Spoglądam w górę na Dominica, który opiera się o ścianę, najwyraźniej spokojny.

Potrzęsa głową.

– Nieeee. To chłodnia, nie zamrażarka. Przyjemnie nie będzie, ale nie umrzemy.

– Jak myślisz, kiedy ktoś nas znajdzie? – Mój głos brzmi słabo i Dominic posyła mi krótkie spojrzenie.

– Trudno powiedzieć. Nie wiem, czy Joe rozgląda się po budynku w ramach ostatniego obchodu przed pójściem na noc do domu, czy nie.

– Kurwa – wzdycham, pozwalając, by głowa opadła mi w tył i wsparła się o ścianę.

– Mów mi jeszcze – zgadza się Dominic, osuwając się w dół, aby usiąść obok mnie, również opierając głowę o ścianę.

– Kuuuuuurwa. – Rozciągam słowo, by nadać mu jak największy wydźwięk. Ale to ani trochę nie poprawia mi samopoczucia. Przez chwilę ściany wokół napierają na mnie, lecz nagle coś do mnie dociera.

– Komórka! – wyrzucam z siebie, raptem przypominając sobie, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Wyciągam telefon z kieszeni, lecz czeka mnie kolejne rozczarowanie, gdyż okazuje się, że nie mam zasięgu.

Spoglądam w stronę Dominica, który kręci głową.

– Ja też nie mam zasięgu. Ściany tej chłodni są grube i metalowe. Nic przez nie nie przechodzi.

– Myślę, że wszechświat chce nas chyba zeswatać – odpowiadam po pewnym czasie, wsuwając komórkę z powrotem do kieszeni.

Żartuję, ale Dominic znów częstuje mnie swoim uśmiechem, swoim popisowym uśmiechem... tym, który zapewnił mu sławę. Nawet w tym momencie wydaje się opanowany i spokojny, podczas gdy ja czuję się wręcz odwrotnie.

– Masz na myśli przeznaczenie? – pyta. – Nie wierzę w takie rzeczy. A nawet jeśli jakaś Fortuna naprawdę istnieje, to jest okrutną suką.

Wpatruję się w niego, ponieważ dostrzegam coś w jego twarzy, jakąś bezbronność, tylko przez sekundę. Jakąś boleść. Ale potem znów to ukrywa, staje się zamkniętą księgą. Nic nie poradzę na to, że te przebłyki mnie intrygują. W Dominicu Kinkaidzie jest o wiele więcej, niż ktokolwiek podejrzewa. Czuję to.

– No cóż, utknęliśmy tu razem. Równie dobrze możemy lepiej się poznać – mówię, w dużej mierze powodowana tym wyrazem jego oczu. – Bo Bóg jeden wie, ile czasu tu spędzimy, a ta cisza mnie dobija.

Dominic już kręci głową.

– Nie, dzięki. Nie bardzo uśmiecha mi się wizja natknięcia się na szczegóły z własnego życia rozsięte po jutrzejszych wydaniach brukowców. Ale dzięki za propozycję.

Krzyżuje ręce na piersi i mości się, zamykając oczy.

Potrząsam głową, trochę zasmucony jego spojrzeniem na świat.

– Bycie tobą musi być do bani – ogłaszam. – Zawsze spodziewasz się po ludziach najgorszego. Powinieneś wiedzieć, że nie wszyscy tylko czekają, żeby cię wykorzystał. Albo wyzyskał. Tak dla twojej informacji.

Otwiera oczy, unosząc brew.

– Serio? Z mojego doświadczenia wynika, że generalnie rzecz biorąc, ktoś zawsze czegoś ode mnie chce. A chętnie wyciągam wnioski z poprzednich doświadczeń.

– Nie wątpię – odpowiadam kąśliwie. – Szkoda, że niewiele z nich było dobrych.

Dominic krzywi twarz w grymasie, próbując znaleźć sobie wygodniejszą pozycję na podłodze obok mnie, jego długie nogi przecinają się na wysokości kostek.

– Nic o mnie nie wiesz. Wiesz tylko to, co mój spec od PR-u produkuje na użytek szerokiej publiki. Wszystko, co o mnie wiesz, jest zaprojektowane, każda informacja idealnie umiejscowiona w czasie i przestrzeni. To wszystko gra, księżniczko. Masy po prostu nie są tego świadome.

Masy. Jakby reszta świata nie miała z nim nic wspólnego. Najwyraźniej ja należę do mas, jak wszyscy inni, zaś Dominic stoi samotnie. W jego głowie tak to wygląda: Dominic kontra cały świat.

Nagle naprawdę robi mi się go żal. Może i jest bogaty, może i jest niesamowicie przystojny, lecz na jego twarzy odbija się kompletne znużenie własnym życiem. To w oczywisty sposób o wiele za dużo jak na kogoś w jego wieku. To tak, jakby był stuletnim starcem i zdążył się tym wszystkim zmęczyć.

– Wiesz, jeśli nie odpowiada ci twoje życie, możesz je zmienić – odzywam się, wargą drży mi z zimna. – Świat jest na twoje skinienie. Możesz zrobić, cokolwiek zechcesz. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

Dominic wlepia we mnie wzrok, jego zielone oczy połyskują niebezpiecznie.

– Pracujemy razem przez kilka dni i zaraz wydaje ci się, że mnie znasz?

Puszczam jego ostry ton mimo uszu.

– Nie. Oczywiście, że nie. Ale wiem nieco o tobie. I wiele mogę wyczytać z twojej twarzy. Pewnie więcej, niż byś sobie życzył.

Wpatruje się we mnie; nie potrafię odczytać wyrazu jego oczu.

– Co na przykład?

Taksuję go spojrzeniem.

– Jesteś dogłębnie znużony. I mroczny. I coś mocno cię zraniło, jakieś zdarzenie z przeszłości. Sądzisz, że jesteś całkiem sam i wszystkiego masz dość.

Dominic oddycha szybko, nie spuszczając ze mnie oka.

– Zdaje ci się, że wszystko to dostrzegasz?

Kiwam powoli głową, nie odwracając wzroku.

– Wiem, że to dostrzegam. Chcesz o tym porozmawiać?

Teraz Dominic wydaje z siebie cichy, pozbawiony odrobiny humoru śmieszek.

– W żadnym razie. Jak powiedziałem, nie potrzebuję, żeby brukowce wypisywały bzdury na mój temat. Publikują o mnie wystarczająco wiele kłamstw. Nie zamierzam podsuwać im prawd, którymi mogliby się posłużyć. Ale niezła próba.

Czuję ciepło promieniujące od jego ciała, więc przysuwam się nieco bliżej.

– Przepraszam – usprawiedliwiam się, kiedy rzuca mi spojrzenie. – Cholernie mi zimno. A ty jesteś ciepły.

– No dobra – odpowiada, unosząc rękę i obejmując moje ramiona. – Ale żadnych zdjęć. Nie chcę tego widzieć na żadnym portalu społecznościowym. Wierz mi, ty też nie chcesz. Nękaliby cię całymi tygodniami.

Przewracam oczami.

– Wiem, że może do tego właśnie jesteś przyzwyczajony, ale robienie sobie z tobą zdjęcia to ostatnia rzecz, jaka mnie w tej chwili zaprzęta. Zależy mi tylko na tym, żeby nie stracić palców w wyniku hipotermii.

– Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś troszkę melodramatyczna? – pyta Dominic sucho, chociaż jego ręka zaciska się nieco mocniej wokół moich ramion.

Chichoczę, ale nie odpowiadam. Przez kilka minut cieszę się siedzeniem przy nim, a potem cisza zaczyna mnie męczyć.

– Okej. Ta cisza mnie dobija. Możesz nie chcieć rozmawiać – informuję go – ale ja mam zamiar zająć umysł czymś innym. Zagrajmy w dwadzieścia pytań.

Dominic przewraca oczami, a potem je zamyka.

– Wal.

– Czy miałeś szczęśliwe dzieciństwo?

Nie otwiera oczu.

– Bez komentarza.

Gryzę wargę.

– Okej. Podkochiwałeś się kiedyś w jakiejś gwiazdce, z którą występowałeś?

Patrzę na niego, lecz on wciąż nie unosi powiek.

– Bez komentarza – odpowiada ponownie.

Waham się, umierając z ochoty, by zadać pewne pytanie, lecz równocześnie się tego bojąc. Ale w typowym dla Jacey Vincent stylu i tak wyrywam się i to robię.

– Ta dziewczyna, z którą widziałam cię na imprezie... czy to była Emma?

Cały się spina, widzę, jak sztywnieje każdy jeden mięsień, podczas gdy Dominic otwiera oczy i gapi się na mnie.

– Skąd wiesz o Emmie?

Wyraz jego twarzy niemal przeraża swoją intensywnością.

– Twoja siostra wspomniała o niej tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy – odpowiadam wolno. – Dostałeś w głowę, więc pewnie nie pamiętasz.

Patrzę, jak po jego obliczu przemyka cała miriada emocji: dezorientacja, smutek, ból i coś jeszcze, coś mrocznego, czego nie potrafię zidentyfikować, a wreszcie Dominic potrząsa głową.

– Nie. I bez żadnego dodatkowego komentarza, do cholery.

Atmosfera wokół zrobiła się tak mroczna jak wyraz twarzy Dominica i nie jestem pewna, co z tym począć. Jego reakcja wydaje mi się fascynująca, ale z pewnością nie będę mocniej go naciskać, nie, jeśli sama wzmianka o tej dziewczynie wprowadza tak ponury nastrój. Zmieniam więc temat.

– Jak to jest być bratem Sina Kinkaide' a?

Teraz spogląda na mnie z rozbawieniem, nieprzyjemne błyski zniknęły z jego oczu.

– Powinnaś spytać jego jak to jest być moim bratem.

Kręcę głową, ubawiona jego arogancją.

– Spytałabym, ale to z tobą jestem tu uwięziona, nie z nim. A ty nie współpracujesz ze mną w tej grze.

Dominic uśmiecha się wolno.

– Jesteś bardzo bystra, księżniczko. To dlatego że nie mam ochoty grać. Chyba że to ja będę zadawał pytania. To byłoby ciekawsze.

Wzruszam ramiona.

– Nie ma sprawy. Strzelaj. Pytaj, a ja odpowiem.

Wbija we mnie wzrok.

– Czy jesteś trudna w utrzymaniu?

Uśmiecham się.

– To proste. Nie.

– Czy śniesz w kolorze?

Przewracam oczami.

– Nawet się nie starasz. Myślę, że wszyscy śnią w kolorze. Nigdy nie słyszałam o osobie, która śniłaby na czarno-biało. W sumie niedawno miałam ten dziwaczny sen, bardzo kolorowy. Śniło mi się, że pada, ale krople deszczu zamieniły się w różowe płatki róż. I kiedy spoglądałam na ziemię, pokrywały ją wysokie na stopę zasypane płatki, zupełnie jak śnieg.

Dominic unosi brew.

– A więc idealizujesz opady atmosferyczne. Interesujące.

Uśmiecham się.

– Wszystko idealizuję. Taka już jestem.

Dominic kręci głową.

– Prawdopodobnie wpędzi cię to w kłopoty.

Patrzę na niego.

– Chyba już ci to mówiłam. Miłość do kłopotów mam we krwi. Staram się z tym walczyć, ale to wbrew mojej naturze. Następne pytanie.

– Dlaczego wskoczyłaś między mnie a Crisa? Mogłaś poważnie oberwać... nawet mocniej niż oberwałaś.

W tej chwili Dominic wpatruje się we mnie z zainteresowaniem, z autentyczną ciekawością w oczach. Potrząsam głową.

– Bo jestem istotą ludzką – odpowiadam. – Sądzę, że każdy by się włączył, żeby powstrzymać dwoje ludzi przed zamordowaniem się nawzajem. Tak nakazuje przyzwoitość.

– Jesteś przyzwoita? – Warga Dominica drga.

Uśmiecham się.

– Czasami.

– Dlaczego zerwałaś ze swoim ostatnim chłopakiem? Sprawiał kłopoty?

Jasna cholera. Ta nagła zmiana kierunku wbija mi się nożem w brzuch, bo odpowiedź na to pytanie jest nieprzyjemna.

Jared niewątpliwie sprawiał kłopoty i zabił kogoś, kogo kochałam.

Ale nie mówię tego. Zamiast tego mamroczę:

– Bez komentarza.

Dominic przewraca oczami.

– W takim wypadku ta gra nie jest zbyt rozrywkowa. Może po prostu opowiesz mi o swoim dzieciństwie albo coś w tym stylu?

Tak więc robię. Wszystko byle wyrzucić z głowy myśl o tym, co zrobił Jared... By nie widzieć tych obrazów. Zgnieciona ciężarówka, bryzgi krwi, krzyki, kiedy Maddy dotarła na miejsce wypadku.

Mówię, aż brakuje mi tchu, żeby tylko przegnać to cholerstwo z głowy.

Opowiadam Dominicowi o moim dzieciństwie, o tym, jak to było dorastać z Gabem i moimi beznadziejnymi rodzicami. Opowiadam mu o Brandzie, który zawsze był dla mnie jak brat. Mówię mu, że w wakacje zwykłam pracować dla mojej najlepszej przyjaciółki Maddy, ale potem ta wyszła za mąż za mojego brata i wyprowadziła się z nim do Connecticut. Kiedy milknę, by zaczerpnąć tchu, Dom znów ma otwarte oczy i wlepia we mnie wzrok.

– Ten wielki blondyn jest dla ciebie jak brat? – upewnia się z powątpiewaniem. – To dość dziwna relacja pomiędzy rodzeństwem.

Używa szczególnego tonu, więc mrużę oczy.

– Co ty mi insynuujesz?

Wzrusza ramionami.

– Nic. Wyczuwam kazirodczą nutkę, to wszystko.

Dosłownie wstrząsa mną dreszcz.

– To cholernie obrzydliwe. Brand nauczył mnie jeździć na rowerze.

Dom tylko na mnie spogląda.

– Wiem jedynie, że koleś patrzy na ciebie w sposób, któremu daleko do braterskiego. Wiem, co mówię.

Przez moje ciało przemyka dziwne uczucie, bo rzeczywiście od jakiegoś czasu ignorowałam ten nowy wyraz oczu Branda. Wciąż mam nadzieję, że już więcej go nie zobaczę, ale gdzieś w głębi wiem, że będzie wręcz przeciwnie. I gdzieś w głębi wiem też, że Dom ma rację.

– Cóż, miło z twojej strony, że to zauważyłeś – rzucam dość ostro. – Ale o pewnych rzeczach nie masz pojęcia. I mylisz się.

– Rzadko kiedy się myślę – odpowiada arogancko. Widzę, że naprawdę w to wierzy.

– Czy wszyscy wokół zawsze mówią ci to, co chcesz usłyszeć? – dopytuję. – Powtarzają ci, że jesteś geniuszem, że jesteś doskonały i że nigdy się nie mylisz?

– Nie muszą mi tego mówić – stwierdza z uśmiechem.

Bo on sam to wie. Udaję, że mam odruch wymiotny, i przewracam oczami.

– A mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś arogancki?

Kiwa głową, kącik jego ust lekko drga.

– To mogło kiedyś paść – przyznaje. Widzę, że nic sobie z tego nie robi.

Usadawiam się swobodniej w zgięciu jego ramienia, ciesząc się, że otula mnie jego leśny zapach, nawet w tak chłodnym powietrzu.

– Jak to jest występować w filmie? – pytam zmieniając temat.

Muszę o czymś rozmawiać albo oszaleję. Mogłabym przysiąc, że chłodnia zmałała, odkąd się w niej zatrzasnęliśmy. Dominic ponownie zamyka oczy, a jego palce spoczywają na moim boku. Nie sądzę, żeby w ogóle zwrócił na to uwagę, ale ja z pewnością zwracam.

– W porządku – odpowiada. – Nie jestem za dobry w kontaktach z ludźmi, ale mimo że na ekranie oglądają mnie miliony widzów, w czasie kręcenia się tego nie czuje.

– Więc jesteś introwertykiem? – pytam z zainteresowaniem.

Kiwa głową, otwierając oczy.

– Absolutnie. Moi bracia odziedziczyli ekstrawertyczne geny.

– Ach, tak. Niegrzeczni rockmani. Odnoszę wrażenie, że oni to bez dwóch zdań uwielbiają światła reflektorów. I to już wszyscy...? Dwóch braci i siostra?

– Tak – potwierdza skinieniem. – To już wszyscy.

– Masz szczęście – oświadczam. – Ja mam tylko Gabe'a.

– I jedynie on się liczy, bo twoi rodzice są do niczego? – dopytuje Dominic z ciekawością, powtarzając moje wcześniejsze słowa. To pierwszy raz, kiedy naprawdę zdaje się zainteresowany.

– Więc jednak słuchałeś! – Trącam go łokciem. A on się uśmiecha. Prawdziwym uśmiechem, który widzę u niego po raz pierwszy. Uznaję, że warto było czekać. Jego uśmiech niemal ogrzewa sobą pomieszczenie, jakby rozstąpiły się nieba i spomiędzy chmur spłynęło na nas światło.

– Nie miałem innego wyjścia – odpowiada z niemal ciepłym wyrazem oczu. – Nie chciałaś się zamknąć, a ja nie mogę nigdzie pójść.

Chichoczę, na co on się uśmiecha i przez sekundę wydaje się, jakbyśmy byli przyjaciółmi.

– Dlaczego właściwie twoi rodzice są do niczego? – odzywa się po chwili. Dziwię się, że chce mu się pytać, więc odpowiadam, mimo że czuję się z tym nieswojo.

– Moja mama nigdy tak naprawdę nie chciała być mamą i nie jest w tym dobra. Kiedy rozwiodła się z tatą, potraktowała to jako okazję, by robić odtąd wszystko, na co przyjdzie jej ochota. Co tydzień ma nowego faceta. Tata rzadko się odzywa. Zawsze uważał, że wystarczy, jeśli będzie płacił na nas alimenty.

Moje ciało przesywa ukłucie bólu, gdy wyznają to na głos. To jak ogłoszenie całemu światu: „Hej, coś jest ze mną tak bardzo nie w porządku, że nawet własni rodzice mają gdzieś, czy żyję”. Ale Dominic chyba tak tego nie widzi.

– Ich strata. – Wzrusza ramionami. – Tak sobie mówię, kiedy dociera do mnie zła recenzja albo kiedy ktoś poważnie mnie obraża. To ich strata. Nie twoja.

– Jeśli naprawdę w to wierzysz, to cię podziwiam – oznajmiam mu. – Myślę, że nie jestem wystarczająco gruboskórna, żeby mieć takie podejście.

– No i to twój pierwszy błąd – odpowiada. – Musisz wyhodować sobie grubszą skórę. Albo jaja.

– Mam jaja – ogłaszam. – Ze stali.

Dominic się śmieje.

– Serio? Muszę to sprawdzić.

Nagłym ruchem jego ramię owija się wokół mojej talii, a potem odnajduje drogę do mojego krocza. Podczas gdy jedna z jego dłoni spoczywa na moich plecach, przytrzymując mnie w miejscu, druga gładzi mnie, tylko przez sekundę. Ciepło jego ręki łączy się z gorącym między moimi nogami, wystrzeliwując milion igiełek w dół, ku moim nogom, osłabiając kolana.

Wciągam powietrze, a nasze spojrzenia się spotykają, nie mogę się ruszyć, serce mi wali, a palce drżą.

– Wygląda na to, że jednak nie masz jaj – oświadcza cicho, nie cofając dłoni od mojego krocza.

– Tak się tylko mówi – chrypię niepotrzebnie, bo przecież on o tym wie. – Możesz już ruszyć rękę.

– Och, naprawdę? – Jego głos jest aksamitny, gładki jak masło.

Zamiast ją zabrać, Dominic pociera mnie palcami, a moje zakończenia nerwowe buchają płomieniem, posyłając ogień z mojego krocza ku udom i dalej ku piersi.

Dlaczego się od niego nie odsuwam?

Odpowiedź jest prosta: bo nie chcę. Powinam chcieć... Dominic Kinkaide przez większość czasu jest dupkiem. Ale, niech to szlag, seksownym dupkiem. I jeśli mam być całkiem szczerą, nie sądzę, żebym potrafiła się odsunąć, choćby od tego zależało moje życie. Jakbym była tu zawieszona, dyndając z opuszków jego palców.

Pochyla głowę i jego wargi ocierają się o moje ucho.

– Nadal chcesz, żebym ruszył rękę? Bo znam świetny sposób na rozgrzanie się.

Mój oddech znów przyspiesza – przez intymny ton jego głosu, przez ciepło jego warg, przez to, jak serce wzlatuje mi w piersi. Otwieram usta, by coś powiedzieć, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Dominic znów porusza palcami, masując mnie przez spodnie, popychając mnie na skraj urwiska, choć nie mam pewności, czy chcę się na nie wspinać. Nie z nim. A jednak nie mogę się ruszyć. Przelykam ślinę.

– Chcesz tego – stwierdza on z przekonaniem. – Jesteś mokra. Czuję to przez ubrania.

Z pełnym rozmysłem, jak wszystko, co robi, unosi palce w górę niczym trofeum, patrząc mi prosto w oczy. W zdumieniu obserwuję, jak podsuwa je sobie pod nos i zaciąga się głęboko.

– Ciepło ci już?

Gdy wypowiada te słowa, schrypniętym, niskim głosem, przyglądam się jego wargom. Są pełne, lecz męskie, i nagle boleśnie pragnę pochylić się i przycisnąć do nich swoje, dotknąć ich na każdy możliwy sposób.

Ale nie robię tego.

Ponieważ nie jestem dziewczyną, którą można wykorzystać. Już nie.

– Nie, wcale.

Ale Dominic traktuje to jak wyzwanie. Nie jest przyzwyczajony, by słyszeć słowo „nie” i nie zamierza teraz tego zmieniać. Dostrzegam to w jego ciemnych oczach na ułamek sekundy przed tym, nim opuszcza głowę i pożera moje usta.

Mówię „pożera”, a nie „całuje”, bo to właśnie robi.

Pożera mnie.

Jego wargi są płomienne i gorące, a on całuje mnie tak ogniście, że dotyka we mnie jakiegoś sekretnego zakątka: wilgotnego, gorącego, pewnego, seksownego. Chcę go w siebie wciągnąć, wessać. Niejasno zdaję sobie sprawę z tego, że trzyma dłonie na moich plecach, ich ciepło przenika przez ubrania, jego twardość naciska na moją miękkość.

Gdy się odsuwa, pozostawia mnie bez tchu.

– A teraz?

Za żadne skarby nie odważyłabym się odpowiedzieć na to pytanie. Zamiast więc to zrobić, cofam się, tylko kawaleczek, tak, by pojawiła się między nami wolna przestrzeń, ale bym mogła wciąż wchłaniać jego ciepło. Szczękając zębami, tak z zimna, jak i z powodu nagłej nieobecności jego warg, odzywam się:

– Niczego mi nie brakuje.

Śmieje się i jest to ochrypły, niski, sprośny dźwięk.

– Och, jestem tego pewien.

I, tak po prostu, znów mnie to przyciąga... jego seksowny uśmiech, jego aroganckie spojrzenie i jego wiedzący, rozbawiony grymas. On jest dla mnie nieodpowiedni. Bardzo nieodpowiedni. Muszę o tym pamiętać.

On cię zdziesiątkuje, mówię sobie.

Ale mój problem polega na tym, że za każdym razem, gdy patrzę w jego ciemne oczy i dostrzegam te tajemnicze rzeczy, które się w nich kryją, zapominam o tym. Zapominam o wszystkim, co powinno mieć znaczenie.

Rozdział 10

DOMINIC

Wsuniecie dłoni między nogi Jacey sprawia, że moje jaja się powiększają, a kutas twardnieje.

Taka prawda.

Uwaga o tym, że niczego jej nie brakuje, kieruje moje myśli w stronę, w którą nie powinny płynąć. Mam przez to ochotę sprawdzić, czy rzeczywiście niczego jej nie brakuje.

Jacey wpatruje się we mnie zafascynowana i z jakiegoś powodu mam ochotę kąpać się w tym spojrzeniu, pławić się w nim godzinami, przesiąknąć nim. Głównie dlatego, że nie patrzy tak na mnie z powodu tego, kim jestem, lecz ze względu na to, jak się przy mnie czuje. Jej oczy są szeroko otwarte, niewinne i łagodne.

Podoba mi się to.

– Rozgrzejmy się, Jacey – sugeruję, jasno dając do zrozumienia, co mam na myśli, gdy zsuwam dłoń na jej udo, gdzie moje palce wbijają się w jej ciało, ugniatając je.

– Nie – duka. – Nie mogę. Ja...

Nagle drzwi chłodni otwierają się, do środka wpada powiew ciepłego powietrza. Jego wilgotność uderza mnie w twarz, w zaskoczeniu podnoszę głowę (i dłoń).

– Co u diabła? – warczy Joe, jego szorstki głos przerywa nam cierpko, gdy mężczyzna wsuwa siwą głowę do pomieszczenia i wbija w nas spojrzenie, jakbyśmy tkwili tu na własne życzenie. – Wynocha stąd. Szukaliśmy was.

Przestraszone oczy Jacey natrafiają na moje, potem spoglądają na Joego.

– Przepraszamy, Joe – odzywa się, zbierając się z podłogi. – Zatrzasnęliśmy się. Dziękujemy, że nas pan uratował.

Mężczyzna gapi się na nią, a potem na mnie.

– Nie życzę sobie żadnych figli pod tym dachem – oznajmia wreszcie. – Jest na to czas i miejsce – i to na pewno nie tutaj i nie teraz.

Policzki Jacey pokrywają się jaskrawą czerwienią, a ja przez ułamek sekundy myślę, co by się stało, gdyby Joe zjawił się kilka minut wcześniej i zastał mnie z ręką między jej nogami.

Coś mi się zdaje, że uznałby to za „figiel”, chociaż nie było w tym nic śmiesznego. Zupełnie nic śmiesznego. Jakimś cudem przebywanie z nią na tej maleńkiej przestrzeni sprawiło, iż opuściłem gardę. Na chwilę zapomniałem, kim ona jest i kim jestem ja. Kim jesteśmy dla siebie nawzajem – a mianowicie: nikim. Jesteśmy dla siebie nikim.

Wychodzimy za Joem na zewnątrz, a ja wbijam wzrok w jego okryte kraciastą koszulą plecy, moja determinacja powraca. Czuję na sobie spojrzenie Jacey, ale sam na nią nie patrzę. Prawie mnie tam wessała, z tymi swoimi łagodnymi oczyma i śmiechem, który wydaje się szczery.

Ale to się nie zdarzy. Pierdolę to. Uzbrajam się przeciw temu uczuciu, przeciw niej, wkurzony na siebie za ten moment słabości. Nie angażuję się w relacje z ludźmi. Jezu.

– Przyjechał twój transport – mówi Joe do Jacey, odwracając się trochę, aby na nią spojrzeć. – Gdyby nie ten duży facet, który przyszedł cię szukać, tkwilibyście tu całą noc. Macie szczęście.

Szczęście. Idziemy przez centrum sportowe, żegnamy się i ruszamy przez parking, a ja nie wiem wcale, czy powinienem uważać się za szczęściarza, choć wściekam się na siebie za to chwilowe odsłonięcie się.

Kiedy tak obserwuję, jak Jacey zbliża się do wielgachnej półciężarówki swojego „prawie brata”, mimowolnie dziwię się, jak bardzo ta dziewczyna różni się od wszystkich znanych mi ludzi.

A jednak – jest też taka sama jak reszta. Ponieważ wita olbrzymiego blondyna pocałunkiem w policzek, a gdy odwraca głowę tak, że widzę jej oczy, dostrzegam w nich, iż miałem rację. Koleś poważnie się w niej durzy, a ona o tym wie.

A mimo to pozwala, aby holował ją tam i z powrotem, wykorzystując go i przyjmując wszystko, co gotów jest ofiarować.

Typowa kobieta.

Wzdycham, otwieram drzwi samochodu i w mgnieniu oka orientuję się, że coś jest nie w porządku. W moim wozie jest jakiś cień, coś ciemnego, czego nie powinno tu być... Ale nie mam czasu, by faktycznie to zarejestrować, bo nagle materializuje się przede mną Kira, a uliczna lampa nad naszymi głowami rzuca światło na jej twarz.

W przestachu cofam się o krok, serce wali mi w piersi. Kira siedzi przycupnięta na fotelu kierowcy, nogi podwinęła pod siebie i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Co, do kurwy nędzy? – wyduszam z siebie, gapiąc się na nią z góry w ciemności, uspokajając się i udając, że wcale nie wystraszyła mnie na śmierć. – Co ty tu robisz?

Ubrała się w sięgający ud trenczowy płaszcz, spięty w talii paskiem. Z dekoltu wylewa się jej biust. Po łobuzerskim wyrazie jej oczu domyślałam się, że poza tym nic na sobie nie ma. Kiedy gramoli się z auta, pasek rozluźnia się i dostrzegam w przelocie fragment opalonej skóry, nic więcej.

Miałem rację.

Zrywa się z fotela i przyciska się do mnie, zarzucając mi ręce na szyję, jej skóra pachnie kokosem i perfumami.

– Co tak długo? – narzeka. – Umierałam tu z nudów. Chciałam ci zrobić niespodziankę, ale, cholera jasna. Kończyła mi się już cierpliwość. A wiesz, że w ogóle nie mam jej zbyt wiele.

Jej pełne krągłości ciało dopasowuje się do mojego, które reaguje, ponownie twardniejąc. W końcu dziewczyna prawie nic na sobie nie ma, a ja jestem tylko człowiekiem. Skóra to skóra, a cycki to cycki, nieważne do kogo należą. Ale gdy spoglądam ponad ramieniem Kiry, zauważam, że Jacey obserwuje nas z okna po stronie pasażera, a minę ma nieodgadnioną.

Uraza? Złość? Obrzydzenie? Irytacja?

Nie wiem. Nie wiem też, czemu mnie to obchodzi.

Ale tak musi być, w ten czy inny sposób, ponieważ mój kutas wiotczeje, a ja odprowadzam wzrokiem półciężarówkę, która uwozi Jacey.

– Co jest? – pyta nagle Kira, odsuwając się, zauważając zmianę, jaka zaszła tam na dole. Chwyta mnie, ujmując w dłoń moje jaja, ugniata je, ale mnie to nie rusza i mój kutas pozostaje miękki.

Kręcę głową.

– Nie wiem. Jestem po prostu zmęczony. Chyba nie jestem w nastroju.

Unosi idealnie wyregulowaną brew.

– Od kiedy to nie jesteś w nastroju na macanko na publicznym parkingu? Wiesz, nie mam nic pod tym płaszczem. I to wszystko dla ciebie, Dominic.

Wiem. Przez moment ciąży mi ta świadomość, świadomość, że mogę mieć Kirę, kiedy tylko zechcę. Ujmuje potencjalnie fajnemu układowi ekscytującego czynnika. Ale gdyby w moim samochodzie siedziała Jacey... Szybko odganiam tę myśl i wzruszam ramionami.

– Przykro mi, Kiro. Jestem zmęczony i nie jestem w nastroju. Chętnie skorzystam z oferty w późniejszym terminie.

I z tymi słowami wsiadam do auta, zostawiając Kirę stojącą samotnie. Opuszczam szybę.

– Lepiej już idź – radzę jej, ignorując jej zdumioną (i wkurzoną) minę. – To niezbyt miła okolica.

Podnoszę szybę z powrotem, przytłumiając bijące od dziewczyny oburzenie. Patrzę, jak wdrapuje się do własnego auta, czekam, aż odpali silnik, a potem wyjeżdżam z parkingu, odporny na jej irytację. Jest jedna rzecz, którą trzeba o mnie wiedzieć. Nie kłamię i nie chodzę wokół nikogo na paluszkach. Nie jestem w nastroju na Kirę i nie mam zamiaru tego ukrywać.

Zwiększam obroty silnika, rozkoszując się jego wibracjami, które odczuwam w stopie spoczywającej na pedale gazu. Wibracje mruczają mi w nodze, a porsche szybko i sprawnie pokonuje drogę prowadzącą do domu Sina. Przynajmniej raz w jego ogromnej posiadłości panuje cisza. Czuję ulgę, prześlizgując się przez korytarze, myśląc, że po raz pierwszy w życiu jestem tu sam, nie licząc personelu. A jednak, kiedy przechodzę obok głównego salonu, dolatują mnie chichoty, więc zatrzymuję się w półmroku wejścia.

Oczywiście, że nie jestem sam. Co ja sobie myślałem?

Sin unosi głowę z miejsca, gdzie leży wyciągnięty z dwiema kobietami w plątaniu rąk, nóg i nagiej skóry. Jedna z nich zwisa jakoś z jego ramion, a druga trzyma mu głowę na kolanach. Pokój pachnie seksem, ale z jakiegoś powodu Sin wciąż ma na sobie spodnie. Za to jestem wdzięczny.

– Hej, braciszku – wita mnie, jego włosy sterczą ku górze w sztywnych kosmykach. – Spójrz. Dwie dziewczyny – po jednej dla każdego z nas. – Wykonuje ręką gest, jakby ofiarowywał mi najcenniejszy z podarków, a potem przygląda się obu kobietom. Kiwa głową brunetce udrapowanej wokół jego ramion. – Możesz z nim pójść.

Jej twarz rozjaśnia się na tę perspektywę, lecz zanim zdąży odpowiedzieć, ja szybko potrząsam głową.

– Nie, nie trzeba. Jestem zmęczony. Ale dzięki.

Nim odchodzę, widzę jeszcze, jak środkowy palec Sina, ten, na którym nosi gruby srebrny sygnet – taki z rogami – znika w cipce brunetki. Która odrzuca głowę w tył i jęczy i widzę, że już zapomniała o byciu ze mną.

I dobrze. Odwracam się do tego wszystkiego plecami i nie oglądam się za siebie. Zwykle lubię patrzeć. Ale nie gdy w grę wchodzi mój pieprzony brat.

Jezu.

Być może naprawdę będę musiał postarać się o własne mieszkanie. Nie wiem, czy wytrzymam tu przez trzy miesiące.

Przemykam po cichu na górę i dalej korytarzem, a potem walę się na łóżko i zagapiam na sufit. Chociaż z całych sił staram się oczyścić umysł, mogę myśleć tylko o jednym.

O Jacey.

Nie jestem pewien, co tak bardzo mnie w niej fascynuje, czy fakt, że zupełnie jej nie obchodzi, kim jestem, czy to, że nie stara się ukryć, kim *sama* jest. Niczym otwarta księga.

Pytaj, a ja odpowiem, powiedziała. A jednak zdaję sobie sprawę, że jest w niej wiele rzeczy, o które nawet nie przysłoby mi do głowy spytać. Do tego nie jest na tyle zaprzątnięta własną osobą, by wymagać, żeby inni wysłuchiwali jej nawijania o sobie. I nie interesuje jej cudza opinia na swój temat.

Włączam odtwarzacz stereo i podkręcam głośność, aby utopić myśli w muzyce. Wrzeszczy na mnie hard rock, dudniący i wrzaskliwy. Ale niewiele to pomaga.

Wyobrażam sobie jedynie słodki tyłeczek Jacey wijący się do muzyki przy rurze striptizerki. Nie, w prawdziwym życiu pewnie nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Ale właśnie dlatego męskie fantazje są tak cudowne. W mojej głowie robi wszystko, czego sobie od niej zażyczę. A wyobraźnię mam bujną.

Po jakiejś minucie rozlega się głośne walenie do drzwi.

– Wyłącz to gówno! Wiesz, że nie znoszę Jagged Edge! Wiesz, że zadarli ze mną w zeszłym roku na festiwalu Lollapalooza.

Przewracam oczami.

– Idź coś zerznij, Sin! – odkrzykuję.

Raz jeszcze uderza pięścią w drzwi, a potem odchodzi, zostaje jedynie wprawiający ściany w drżenie

bas, a ja mogę znów w spokoju myśleć o Jacey.

Wsuwam dłoń w spodnie na wspomnienie tego, jak pachniała jej cipka, jak ona do mnie lgnęła, ciepła i miękka, kiedy moje palce pieściły ją przez ubranie. Przywołuję w pamięci wyraz zdumienia i zawstydzenia na jej twarzy, gdy Joe wpadł do środka, i nie mogę powstrzymać śmiechu.

Być może jedną z rzeczy, które w niej lubię, jest to, że wydaje się jednocześnie niewinna oraz dzika i nieopanowana. Ma w sobie tę niemal dziecięcą łatwowierność, tak odróżniającą ją od ludzi, z którymi zwykle mam do czynienia.

Ale jedno jest pewne. Jeśli tak bardzo zaprzęta moją uwagę, muszę przestać o niej myśleć, bo już nigdy więcej nie mam zamiaru do nikogo się zbliżyć. Pieprzę to. Nigdy nikomu nie dam takiej władzy nad sobą.

Nigdy.

Więcej.

Wyciągam rękę ze spodni i przewracam się na łóżku, zamykając oczy, pozwalając, by muzyka mnie otoczyła i gubiąc się we wściekłym rytmie.

Zanim osuwam się w zapomnienie snu, zdążę jeszcze pomyśleć ostatnią świadomą myśl.

Pierdol się, Emmo.

Dni w centrum sportowym mijają, a ja wślizguję się w rutynę, jeden dzień przechodzi w kolejny, mnie zaś zależy jedynie, by odpracować cholerny wyrok i wyrwać się z tej dziury.

Codziennie utrzymuję wobec Jacey przyzwoity dystans. Zachowuję się uprzejmie, lecz nie przyjacielsko. Jestem wycofany, ale nadal mogę obserwować ją z oddali. Nigdy nie wspominam o zajściach w chłodni... ani o naszej rozmowie, ani o intymnym sposobie, w jaki jej dotykałem... ani o tym, że mi na to pozwoliła.

Cholernie mnie fascynuje, bo mimo woli pragnę ją rozgryźć. Jest pełna sprzeczności i coś w tym mnie do niej przyciąga. Ale nie mogę pozwolić, aby się o tym dowiedziała.

Na początku zdaje się zraniona faktem, że ją ignoruję, potem jednak sama zaczyna zachowywać się wobec mnie chłodno. Pokazowo nie patrzy w moją stronę, gdy tylko jest w stanie się powstrzymać, unika przebywania ze mną w jednym pomieszczeniu. Tak już musi być.

Dziś zmierzam właśnie ku gabinetowi Joego i zatrzymuję się pod drzwiami, słysząc, że rozmawia przez telefon.

– Tak, wiem, ile jestem winien. To wina mojego księgowego. Powiedział mi, ile mam zapłacić, i tyle zapłaciłem. Nie liczę podatków samodzielnie. Jaki kretyn to robi? – Następuje przerwa, a potem westchnięcie. – Taaak, rozumiem. Tak czy inaczej, dostaniecie pieniądze przed pierwszym.

Telefon z mocą stuka o biurko, a ja przez chwilę stoję nieruchomo.

Nie dziwota, że Joe ostatnio tak zrzędził. Ma problemy podatkowe. Konotuję to sobie w głowie i wychodzę zza rogu, zjawiając się w gabinecie, jakbym nie podsłuchał wcale jego rozmowy.

– Czego? – warczy, okręcając się na fotelu, żeby na mnie spojrzeć.

– Potrzebuję tylko kartki do zapisywania wagi – odpowiadam, ściągając podkładkę z haczyka w ścianie i ruszam do drzwi.

– Kinkaide! – szczeka Joe, więc się zatrzymuję. – Lecisz na weekend do Kalifornii? – chce wiedzieć. Potakuję ruchem głowy.

– Tylko na weekend. Moim prawnikom w końcu udało się to załatwić. Muszę nakręcić parę scen, żeby studio mnie nie zwolniło.

– Nie mój problem – rzuca Joe. – Pilnuj tylko, żeby w poniedziałek się nie spóźnić.

I tyle w kwestii uprzejmości. Kiwam głową bez słowa i kieruję się z powrotem ku wadze w szatni.

Jacey podnosi głowę; rozmawia akurat z dwoma chłopakami, Jakiem i Tigiem. Po raz pierwszy od paru dni nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy i mimo że wyraz jej twarzy pozostaje chłodny, marszczy

brwi, przypatrując mi się.

– Wszystko dobrze? – dowiadyuje się. – Wyglądasz na wkurzonego.

Kiwam głową.

– Nic mi nie jest – zapewniam, równie chłodno.

Jacey jeszcze przez chwilę na mnie patrzy, a potem ponownie poświęca uwagę chłopakom, przekręcając szczupłe ramiona tak, że nawet jej ciało się ode mnie odwraca.

Gdy się porusza, mimo woli zauważam jej cholernie obcisły top, rozciągnięty i napięty na cyckach. Nie sposób tego nie zauważyć i Tig nie może się powstrzymać. Spozstrzegam, że raz po raz zerka w dół, by następnie poderwać wzrok z powrotem ku jej twarzy. Policzki ma zaczerwienione, chociaż nikt poza mną nie zwraca na to uwagi.

Kiedy w parę minut później Jacey się oddala, ruszam za nią.

– Raczej nie chcesz nosić tu tego cholerstwa – sugeruję. Wiem, że mój ton nie należy do przyjaznych, ale nic nie mogę na to poradzić. Zachowuje się idiotycznie, ubierając się w ten sposób do centrum sportowego dla nastoletnich chłopaków z problemami.

Unosi brew.

– Jakiego cholerstwa?

Wykonuję w jej stronę ruch dłonią.

– Obcisłych topów, krótkich spodenek. Rozejrzyj się i przypomnij sobie, gdzie jesteś. Otaczają cię nastoletni chłopcy, którym staje, gdy wiatr mocniej zawieje. Nie możesz potrzebować uwagi aż tak desperacko, by wykorzystywać w tym celu dzieci.

Gorąco uderza jej na policzki, które przybierają wściekleczerwoną barwę, a ona wlepia we mnie wzrok.

– Co, do kurwy nędzy, jest z tobą nie tak? – prychna. – Jesteś taki niezdecydowany. Całymi dniami nie raczyłeś się do mnie odezwać, a teraz, chociaż nic ci nie zrobiłam, nie wahasz się, żeby na mnie naskoczył bez powodu. Co cię, do cholery, obchodzi, w co się ubieram?

Czuję lekkie ukłucie winy. Ma rację. To nie moja sprawa. Ale gdzieś w głęboko skrywanym miejscu, którego istnienia nie chcę przyjąć do wiadomości, lęgnie się nienawiść wobec idei, że te nastoletnie dzieciaki gapią się na nią pożądliwie. Wiem, co robią nocą w swoich łóżkach, myśląc o niej.

Nienawidzę tej wizji. Nienawidzę faktu, że w moim umyśle Jacey należy do mnie i to ja mogę się nią bawić, odrzucić ją, umieścić ją sobie w zwiniętej dłoni... tak jak to zrobiłem w zeszłym tygodniu w chłodni. W moim umyśle Jacey stanowi opcję... opcję, z której w każdej chwili mogę skorzystać, ale którą mądrze byłoby zignorować.

– No więc? – Jacey wpatruje się we mnie. – Co cię to obchodzi?

– Nie obchodzi mnie. – Wzruszam ramionami. – Nie chcę tylko, żeby któryś z nich rzucił pod twoim adresem jakiś niestosowny komentarz i wpakował się przez to w kłopoty. Prosisz się o niewłaściwy rodzaj uwagi, Jacey. To nie w porządku wobec nich.

Jej oczy zwężają się.

– Och, więc teraz przejmujesz się dzieciakami, co? Od razu widać, po sposobie, w jaki nigdy z żadnym z nich nie rozmawiasz. Uważasz, że stoją niżej od ciebie – jak cała reszta świata w twoich oczach. Zejźdź na ziemię.

Odchodzi, tupiąc zawzięcie, a ja odprowadzam wzrokiem jej cudowny tyłek.

– Ma charakterek – zauważa Jake, który nieopodal zmienia koszulkę. – Podoba mi się.

Posyłam mu ostre, nieruchome spojrzenie.

– Nawet o tym nie myśl. Jesteś dla niej biletem do więzienia.

Chłopak przewraca oczami.

– Rozluźnij się, człowieku. Ja tylko wygłosiłem ogólną uwagę. Jacey to twardzielka.

Chwyta swoją torbę i zmyka, a wtedy coś zauważam. Komórka Jacey leży na ławce, gdzie zostawiła ją

po rozmowie z nim. Poznaje, że to jej, po kwiecistej różowej obudowie.

Podchodzę i biorę telefon, wsuwam do kieszeni. Coś w tym przywołuje uśmiech na moje usta. Różowe kwiatki. Jak jej różowy pistolet. Jake ma rację. Jacey jest niezłą twardzielką. Ale ma też delikatniejszą stronę. I jest niezaprzeczalnie kobieca, seksowna jak diabli.

Jest zagadką... i to taką, która z każdym dniem coraz bardziej mnie fascynuje. Im więcej o tym myślę, tym większą zyskuję pewność, co muszę zrobić.

Trzeba po prostu, żebym ją poznał. Jeśli dam jej szansę, rozczaruje mnie jak wszyscy inni. I na tym skończy się moja fascynacja, a ja będę mógł wrócić do normalnego życia, jak przystało na takiego zblazowanego dupka.

Ale nieco później, gdy kończę ważyć resztę chłopaków i ruszam na poszukiwania Jacey, odkrywam, że zdążyła zniknąć.

– Jej chłopak już ją odebrał – oznajmia mi zagadnięty o to Joe. – Masz pecha.

Jej chłopak łamane na zastępczy brat. Przewracam oczami i odczuwam dziwne rozczarowanie.

– Mam jej telefon – tłumaczę Joemu. – Zostawiła w szatni. Nie masz przypadkiem jej adresu, co? Wiem, że mieszka gdzieś w Calumet Heights. Mógłbym go jej podrzucić w drodze do domu. Wątpię, żeby uśmiechała jej się utrata komórki.

– Tak, mogę ci go znaleźć. Moim zdaniem powinieneś pozwolić jej się tym pomartwić. Wtedy zaczęłaby zwracać większą uwagę na swoje rzeczy. Ale jeśli chcesz...

Koniec zdania rozmywa się, bo Joe zajęty jest poszukiwaniem jej teczki, następnie bazgrze adres na karteczce samoprzylepnej.

– Nie podawaj go chłopakom – przykazuje niepotrzebnie.

Jakbym miał taki zamiar. Kiwam głową i wychodzę, by po paru minutach skierować samochód w stronę Calumet Heights.

Czas skorzystać z tej opcji.

Rozdział 11

DOMINIC

Zatrzymuję się przed malutkim domkiem otoczonym z obu stron identycznymi malutkimi domkami.

Frontowy ogródek w rozmiarze chustki do nosa otacza niski metalowy płotek, a prowadzącą ku drzwiom ścieżkę obrzeżają żonkile. Przy drzwiach leży para wysłużonych butów do biegania, mocno zużytych i brudnych, a z boku wisi ozdobna czarno-biała tabliczka zwieńczona różową kokardką.

„Akwizytorom mówimy »nie«! Moja dusza nie potrzebuje zbawienia, nie znoszę gazet, a odkurzacz już posiadam (jedynie nie używam go zbyt często). Jeśli nie sprzedajesz miętowych ciasteczek – nie jestem zainteresowana”.

Uśmiecham się, bo ten znak to typowa Jacey: wprost i od razu do sedna.

Stukam do drzwi, a kiedy ona w nich staje i widzi mnie na ganku, na jej twarzy odmalowuje się wyraz kompletnego szoku. Ubrana jest już w swój skąpy uniform z Saffron, choć wiem, że musi być w domu dopiero od niedawna.

– Nie mam miętowych ciasteczek, ale uznałem, że może mimo wszystko cię zainteresuję. – Posyłam jej swój najbardziej czarujący uśmiech, ale ona spogląda na mnie z nieporuszoną twarzą, jej wargi nawet nie drgną.

– Czego chcesz, Dominic? – wzdycha. Nie chce jej się nawet pytać, skąd wziąłem jej adres.

– Byłem w okolicy. I pomyślałem, że podrzucę ci twój telefon.

Wyciągam go z kieszeni i podaję jej. Wygląda na wyraźnie skonfundowaną, kiedy go ode mnie przyjmuje, jej palce na chwilę zderzają się z moimi, nim gwałtownie cofnie rękę.

– Dzięki – rzuca niepewnie. – Ale to nie jest twoja okolica. Wcale a wcale.

– Mniejsza z tym – odpowiadam swobodnie. – Stwierdziłem, że będziesz chciała go odzyskać.

– Nie mogę uwierzyć, że go zapomniałam – przyznaje. – Prawie nigdy się z nim nie rozstaję, bo nie mogę sobie pozwolić na gubienie rzeczy. Dziękuję, że go przywiozłeś. Jestem już spóźniona do pracy, inaczej zaprosiłabym cię do środka.

Spogląda na mnie znacząco, a ja obrzucam ją prędkim spojrzeniem od stóp do głów, zerkając na seksowny gorset, który utrzymuje jej cycki w idealnej pozycji, na jej prawie nieistniejące, mocno wycięte szorty, na żółtą muszkę. Ona wpatruje się we mnie wyczekująco, wyglądając chwili, w której sobie pójdę, ale nie robię tego.

Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio wypowiedziałem słowa, które rzucam w następnej kolejności:

– Zadzwoń i powiedz, że się rozchorowałaś – sugeruję. – Nudzi mi się. Zróbmy coś.

Żałuję ich, gdy tylko wydobywają się z moich ust. Jestem nimi zaszokowany. Mam ochotę pospiesznie wszystko odwołać, ale na to jestem zbyt pozbierany. Wolałbym więc, żeby odrzuciła propozycję, choć jednocześnie niecierpliwie wyczekuję jej odpowiedzi.

Gdzieś w głębi chcę spędzić z nią więcej czasu.

Chociaż wcale nie chcę tego chcieć.

Znów mruży oczy.

– A co z twoją dziewczyną? Myślę, że miałyby własne zdanie w kwestii naszego wspólnego robienia

czegoś.

Moja dziewczyna? Jestem zdezorientowany, ale potem przypominam sobie o Kirze. Jacey widziała mnie z nią kilka razy... a przy tym sądziła, że Kira to Emma. Przełykam z trudem ślinę.

– Nie mam dziewczyny – odpowiadam, choć nie wyjaśniam, kim jest dla mnie Kira. To już moja sprawa.

Jacey wpatruje się we mnie bez słowa, pewnie usiłując zdecydować, czy może mi wierzyć.

– No, zgódź się – zachęcam ją. – Rozwalmy tę budę.

Jacey wzdycha.

– Dlaczego miałabym się niby zgodzić? Dupek z ciebie, Dominic. Nigdy nie wiem, co wyprowadzi cię z równowagi ani kiedy na mnie naskoczysz. Nie lubię takich zabaw. Jakbyś nie zauważył, przebywanie w twoim towarzystwie to nie bajka. Myślałam, że się dogadujemy, a potem nagle zacząłeś się zachowywać, jakbym nie istniała. Nie rozumiem cię. Naprawdę.

Znów czuję się winny, bo wiem, że ona ma rację. Jestem dupkiem. I przez większość czasu mam to gdzieś.

Ale w jej oczach dostrzegam ból, prawdziwy ból, a to nie zdarzyło mi się już od dawna. Większość ludzi, z którymi przestaję, jest bardziej gruboskórna albo tak gnuśna jak i ja. Czasem zapominam, że Hollywood to praktycznie inny wymiar w porównaniu z resztą świata... a ci z nas, którzy tam mieszkają, to właściwie obce formy życia.

– Przepraszam – mówię. – Czasami jestem dupkiem mimo woli. Czasami chcę nim być. Taka jest prawda. Ale przykro mi, że zachowałem się jak dupek wobec ciebie. Mógłbym się wytłumaczyć, ale tylko bym cię zanudził. Pozwól, że ci to wynagrodzę. Zróbmy coś fajnego, coś z turystycznych atrakcji. Obiecuję, że będę miły.

Waha się, a ja błyskam zębami; traktuję ją moim popisowym uśmiechem, tym, któremu laski nie mogą się oprzeć. To nie jej wina, że jestem dupkiem. I chociaż stara się pokazać jako silna i pewna siebie, widzę, że łatwo ją zranić. Po prostu to ukrywa. Jak cała reszta, wystawia zasłonę.

Nosi maskę.

Posyłając jej kolejny uśmiech, postanawiam – nim zdążę dobrze się nad tym zastanowić – zerwać jej tę maskę. Zobaczyć, co kryje się pod spodem. Przekonać się, czy naprawdę jest tak inna, jak się wydaje.

Będzie to swego rodzaju eksperyment. Nie pozwalam się wciągnąć, nie angażuję się. To tylko eksperyment w celach naukowych... mający na celu sprawdzenie, czy to możliwe, aby na świecie istniała jeszcze jedna przyzwoita osoba. I coś mi się zdaje, że mojemu kutasowi ten eksperyment się spodoba.

Jacey przewraca oczami na widok mojej miny.

– Nawet nie próbuj – ostrzega. – Potrafię cię przejrzeć na wylot. Nie próbuj mnie czarować.

Ponownie szczerzę zęby i zauważam, że się poddaje.

– No dobra – wzdycha. – Ale tylko dlatego, że jestem zmęczona i tak czy owak nie chce mi się iść do pracy. Miałam dziś kogoś zastępować. Biorę ostatnio za dużo dodatkowych zmian. Wykańczam się. Potrzebuję przerwy.

Ale to nie powód. Widzę to w jej twarzy. Jest mną tak samo zaintrygowana jak ja nią. Różnica polega na tym... że ona nie umie tak dobrze tego ukryć ani utrzymać dystansu.

– Wejdz. – Zaprasza mnie gestem. – Wykonam telefon, a potem się przebiorę. Dokąd chcesz pójść?

Zastanawiam się przez chwilę, usiłując wybrać miejsce, w którym mógłbym się zgubić, gdzie nie rzucałbym się w oczy.

– Może molo Navy Pier? Znajdziemy tam właściwie wszystkie atrakcje. No i możemy też coś zjeść.

– Okej – odpowiada, wprowadzając mnie do swojego maleńkiego, lecz porządnego saloniku, i wybierając numer na komórce. – Rozgość się.

Podczas gdy Jacey rozmawia z szefem, ja rozglądam się wokół. Jak w wielu chicagowskich domach i mieszkaniach, nie ma zbyt wiele miejsca. Pokój jest jednak schludny, umeblowany z eklektyczną

elegancją. Domyślam się, że jakiś czas odkładała na te meble, bo są naprawdę dobrej jakości.

Rozłącza się i patrzy na mnie uważnie.

– Dobra. Nie wiem, czemu to robię, ale odwołałam dzisiejszą zmianę. Będę gotowa za minutkę.

Znika w sypialni, a ja odczekuję dokładnie minutę, następnie zaś podążam jej śladem.

Czemu? Tego nie wiem. Ale staję po cichu w drzwiach jej sypialni i widzę, jak Jacey pochyła się tuż przed moi nosem.

Jej wąskie plecy są nagie, zgina się w pół, by zsunąć szorty od uniformu. Mimo że nie jest zbyt wysoka, charakteryzuje się gracją primabaleriny. Uda ma długie i szczupłe, łydki idealnie ukształtowane. Ich skóra jest złota i gładka i nagle pragnę jedynie przesunąć po nich w górę dłońmi, złapać ją za tyłek tak mocno, by zostały ślady, i...

– Co, do cholery?! – Głos Jacey wrywa mnie z tej fantazji.

Gdy się odwraca, szczerzę zęby na widok jej oburzonej miny, kiedy usiłuje zakryć dłońmi cycki. Mimo to je widzę, pełne i obfite, jak rozlewają się wokół jej dłoni, różowe sutki sterczą między palcami.

– Powiedziałam, że będę gotowa za minutkę. I to znaczyło, że masz czekać w salonie.

Stoi przede mną, pewna siebie i pyskata, wypina nagą pierś, a jej oczy krzeszą iskry.

– Uspokój się – nakazuję. – Zwiedzałem tylko dom. – Przesuwam spojrzeniem po małej sypialni o czarno-białym wystroju, a następnie znów skupiam się na niej. – Podoba mi się twoja sypialnia. Przyjemna sceneria.

Przez „przyjemną scenerię” rozumiem rzecz jasna jej cycki.

Zaciska zęby.

– Wynocha stąd. Przyjdę za minutę.

Śmieję się, a ona mierzy mnie wzrokiem, jeszcze mocniej przyciskając dłonie do piersi, ja zaś wycofuję się, padam na sofę i czekam. Wspomnienie jej nagiego ciała dostarcza mi rozrywki aż do momentu, kiedy w parę minut później zjawia się ubrana w wystrzępione dżinsowe szorty i obcisłą białą bluzeczkę.

– Jedno pytanie – zgłaszam się z uśmiechem.

Unosi brew.

– Czy teraz masz na sobie majtki?

Bo wcześniej nie miała. Przez głowę przemyka mi wizja jej nagiego tyłka, gdy się pochyliła, na co krew płynie spieszenie w stronę mojego kutasa.

Jej policzki eksplodują rumieńcem, w czym upatruję odpowiedzi na swoje pytanie, a Jacey znów wbija we mnie wzrok.

– Co się za tym wszystkim kryje? – chce wiedzieć, ignorując moje bardzo istotne pytanie i przysiadając, aby zapiąć dziwaczne sandaalki z licznymi paskami oplatającymi łydki. – Czemu tak naprawdę tu jesteś? To do ciebie niepodobne. Nie licząc epizodu z wprośzeniem się do mojej sypialni. To do ciebie ogromnie podobne. Ale jestem pewna, że nie przejechałeś takiego kawału drogi tylko po to, żeby rzucić okiem na mój tyłek.

Spoglądam na nią z namysłem.

– No nie wiem. Masz całkiem ładny tyłek.

Patrzy na mnie niewzruszona, więc posyłam jej uśmiech.

– Nie wiem, jeśli chcesz szczerzej odpowiedzi. Nudzi mi się. Nie mam ochoty przesiadywać z Sinem czy Duncanem, a lubię z tobą gadać. Traktujesz mnie jak normalnego człowieka. I w przeciwieństwie do mojego brata, zwykle wkładasz ubrania. Chociaż gdyby nasza cię chęćka, żeby je zrzucić, nie będę narzekał.

Puszcza tę uwagę mimo uszu.

– Ale ty jesteś normalnym człowiekiem. Mój dziadek powiedział mi raz, że nikt nie jest ode mnie lepszy, wszyscy są tacy sami – niektórzy piastują jedynie ważniejsze stanowiska. Właśnie dlatego mnie

nie ośmielasz... bo nie jesteś lepszy ode mnie. I, tak dla twojej wiadomości, ja też lubię z tobą gadać. Przynajmniej wtedy, kiedy akurat na mnie nie naskakujesz. Podoba mi się, że w żadnej kwestii nie próbujesz mi wciskać kitu. Mówisz jak jest i tyle.

Kiwam głową.

– Taki już chyba jestem.

– Podoba mi się to – stwierdza z aprobatą. – To miła odmiana.

Co zakrawa na ironię losu, bo ona jest dla mnie dokładnie tym samym.

Miłą odmianą.

Wychodzimy na zewnątrz, otwieram jej drzwi od strony pasażera w moim porsche, a ona wślizguje się na siedzenie, jej nogi rozsuwają się, zanim upchnie je w aucie. Przez jedną z nogawek szortów widzę w przelocie jej krocze. Tak, spodenki są aż tak krótkie; dostaję też odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie.

Nie ma na sobie majtek.

Mój puls szaleje, co przepełnia mnie irytacją.

Ta dziewczyna wcale mnie nie rusza. Po prostu się nudzę i nie mam nic lepszego do roboty. Utknąłem w Chicago i zabijam czas. Ni mniej, ni więcej.

Ściskając kierownicę i gapiąc się na drogę, dochodzę do wniosku, że to kurewsko niedobrze, kiedy musisz przekonywać o czymś siebie samego.

Znajdujemy miejsce na jednym z zadaszonych parkingów, a ja nakładam bejsbolówkę, tak na wszelki wypadek. Prawdopodobieństwo, że ktoś mnie wypatrzy, nie jest tak duże jak w Kalifornii, ponieważ tutaj nikt się mnie nie spodziewa. W Hollywoodzie ludziom włącza się tryb stałej gotowości, jeśli chodzi o gwiazdy. Ale ostrożność nie zawadzi.

Szybko gubimy się w ludzkiej ciżbie na moło, a kiedy się przez nią przeciskam, uświadamiam sobie, że straciłem z oczu Jacey. Oglądam się za siebie i przekonuję się, że jest parę kroków za mną.

Chłodna, rześka bryza znad jeziora zdmuchnęła kosmyki włosów z jej twarzy i, szczerze mówiąc, Jacey wygląda jak modelka na wybiegu.

– Co chcesz robić najpierw? – pytam grzecznie. – Kiedy ostatnio tu byłaś?

Potrząsa głową.

– Wieki temu. Jeszcze jako nastolatka. Nie znoszę przepychać się przez tłum.

Rozglądam się wokół.

– Przepłynęmy się łódką. Co ty na to?

– Motorówką czy statkiem wycieczkowym? – dopytuje, marszcząc nos.

– Motorówką, bez dwóch zdań – odpowiadam, patrząc na tablicę reklamującą Ekscytujące Rejsy Motorówką. – Im szybsza, tym lepsza. To tak jak z kobietami, które lubię.

Jacey przewraca oczami.

– Niech więc będzie motorówka – zgadza się, puszczając mimo uszu moją uwagę o kobietach. Śmieję się, ruszając w stronę budki biletowej.

– Poproszę wszystkie bilety na wasz następny rejs – zwracam się pospiesznie do kasjerki. Wlepia we mnie tępe spojrzenie.

– Wszystkie? – powtarza wolno. Potem przygląda mi się uważniej, a w jej twarzy dostrzegam błysk rozpoznania. – Kurde. Czy ty jesteś...

– Tak – przerywam jej. – Ale to nasza tajemnica, dobrze?

Kiwa głową, osłupiała z zachwyty, a ja wzdycham.

– Mogę wykupić ten rejs? – ponaglę ją. Potrząsa głową, wracając do bieżącej sprawy, klika coś w komputerze. – Sprzedałam już parę biletów, ale mogę je przenieść na późniejszą wycieczkę – oznajmia nieśmiało.

Mrugam do niej.

– Dziękuję. Naprawdę jestem wdzięczny.

Rumieni się.

– Mogę prosić o autograf?

Słyszę, jak Jacey chichocze za moimi plecami, bo najwyraźniej nie uważa, aby mój autograf stanowił cenne dobro. Ignoruję ją i składam podpis na podsuniełym przez kasjerkę kawałku papieru, następnie wręczam jej kartę kredytową i płacę za bilety. Załatwiwszy sprawę, odwracam się do Jacey.

– Mogę prosić o autograf? – pyta kpiąco, szczerząc się od ucha do ucha. Wbijam w nią spojrzenie.

– Cóż, nie widzę żadnej kartki... więc z chęcią podpiszę ci się na cyckach.

Jej policzki po raz kolejny pokrywają się ognistym rumieńcem, a ja stwierdzam, iż lubię być tego przyczyną.

– Masz marker? – pytam figlarnie. – Mogę je podpisać choćby w tej chwili, jeśli chcesz. Wiem, że nie jesteś nieśmiała.

– Może w oczekiwaniu na łódkę skoczmy na drinka – proponuje Jacey, policzki wciąż ma zaróżowione. – Przyda mi się coś mocniejszego, jeśli mam z tobą wytrzymać, a i tak zostało nam pół godziny do zabicia.

Wzruszam ramionami.

– To nie tak fajne jak podpisywanie różnych części twojego ciała, ale skoro chcesz.

Zamawiamy po drinku w pobliskim barze, siedząc w ciemnym kącie, z dala od zgiełku. Jacey patrzy na mnie, kiedy wręczam jej mrożoną margaritę.

– Zawsze odstawiasz takie akcje jak wykupywanie całego rejsu? – pyta uprzejmie, upijając łyk napoju. Zanim odpowiadam, przez chwilę przyglądam się, jak jej wargi tworzą próżnię wokół słomki.

– Jeśli tylko mogę. Wolę nie narażać się na zbyt wiele interakcji z publiką. I tak, zanim zaczniesz mnie pouczać, wiem, że to publice zawdzięczam swoją obecną sytuację. Ale ty nie rozumiesz. Zdarza się, że kobiety dosłownie mdleją na mój widok. Ty nie mdlejesz, ale wcale nie kłamię. Niektóre mdleją. Wolałbym tego uniknąć.

Jacey bawi się słomką.

– Cóż, na ich obronę powiem tylko, że onieśmielający z ciebie człowiek. Łatwo dać się przytłoczyć temu, kim jesteś, i zapomnieć, że jesteś przy tym prawdziwą osobą, nie samym nazwiskiem. Ale skoro nie lubisz tego, co robisz, całej tej uwagi i reszty, to po co to robisz? – pyta z ciekawością. – Raczej nie powinieneś wchodzić w ten biznes, jeśli nie lubisz przyciągać uwagi.

To dobry argument i oczywiście na przestrzeni paru ostatnich lat sam wielokrotnie nad nim dumiałem. Ale tak szczerze, robię to, co robię, bo fantastycznie mi płacą. Tak też odpowiadam.

– Pieniądze to nie wszystko – oświadcza Jacey z mądrą miną.

– Powiedziała kelnerka – wzdycham. – Bez obrazy, ale łatwo mówić, że pieniądze to nie wszystko, kiedy się ich nie ma. Niestety, przez lata zdążyłem nabyć wysublimowanych gustów i potrzebuję pieniędzy, by im hołdować.

Jacey zakłada nogę na nogę, a ja gapię się na jej kostkę, potem na łydkę, wreszcie na udo. Prześlizguję się spojrzeniem po całej jego szczupłej długości aż do miejsca, gdzie przechodzi w krocze. Wtedy odwracam oczy, nim zacznę rozmyślać o tym, że nie włożyła majtek.

Kiedy podnoszę głowę, Jacey patrzy na mnie, świadoma, że pożeram ją wzrokiem.

– I jakie to gusta? – pyta z wahaniem, jej oczy ostrożnie zagląдают w moje. Uśmiecham się, jak mi się zdaje, wilczo.

Odpowiadam, nachylając się do niej:

– Chciałabyś się przekonać?

Przypomina mi się incydent w chłodni, kiedy moja dłoń znalazła się między jej nogami, i widzę w jej twarzy, że i ona o tym myśli. Mamrocze coś, odchyła się na krześle, chwyta drinka. Pociągając kilka łyków przez słomkę, odzyskuje panowanie nad sobą.

– Jak w ogóle wkręciłeś się w świat filmu? – zagaduje konwersacyjnym tonem, nie zważając na moje wcześniejsze pytanie ani na moje błędzące spojrzenie.

– Studiowałem na Uniwersytecie Chicagowskim – zaczynam, rozpierając się ponownie na krześle. – Byłem na uczelni, gdy zauważył mnie pewien łowca talentów, któremu spodobał się mój wygląd – a szukał akurat świeżej twarzy do *Wewnętrznej potrzeby*. Reszta to już historia.

Unosi brew.

– Więc nawet nie starałeś się zostać aktorem? – pyta z niedowierzaniem. – Masz pojęcie, ilu przymierających głodem kelnerów tylko czeka, żeby im się poszczęściło w świecie kina?

Owszem, mam. Ale to nie mój problem.

Odsuwam krzesło w tył.

– Musimy iść – rzucam. – Spóźnimy się.

– Taaak – przyznaje, wstając. – Nie chcemy przecież sprawić kłopotu pozostałym pasażerom.

Prycha, a ja ruszam przodem; kiedy znów znajdujemy się w promieniach słońca, Jacey odwraca się do mnie.

– Tak na marginesie – mówi zaczepnym tonem – może wtedy pozwoliłabym ci podpisać mi się na cyckach... zanim zrobiłeś się zbyt pewny siebie... kiedy byłeś „świeżą twarzą”, zwyczajnym człowiekiem. Wiesz, nie ma nic złego w byciu zwyczajnym. – I z tymi słowy sprężystym krokiem przemyka po trapie na jaskrawożółtą łódź. Gapię się za nią, a ona odwraca się przez ramię z szerokim uśmiechem.

– Wchodzisz?

– Skarbie, jak wejść, to z pewnością zauważysz – odparowuję. Jacey szczyrzy zęby, a ja odpowiadam tym samym, jakbyśmy byli zwykłymi ludźmi ze zbereźnym poczuciem humoru, a potem ruszam za nią na łódkę.

Kiedy siadamy, wsuwa dłoń w moją, jej palce są małe i szczupłe. Przez chwilę ten pełen bliskiej intymności gest sprawia, że czuję się nieswojo, ale potem silnik motorówki zaczyna pracować i prujemy przez zatokę z wiatrem na twarzach. I nagle wydaje się to całkiem normalne, tak z nią płynąć, trzymając jej dłoń na kolanach.

Ta myśl śmiertelnie mnie przeraża, naprawdę przeraża. Mój puls przyspiesza, mam problem z przełknięciem śliny, dłonie mi się pocą.

Gdy tylko mogę, oswobadzam dłoń i wpycham ją do kieszeni.

Nie jestem normalny, więc za diabła nie powinienem udawać, że jest inaczej.

Rozdział 12

JACEY

Staram się nie przewracać oczami nad zachowaniem Dominica, kiedy tak suniemy motorówką po powierzchni jeziora. Wyrwał mi rękę tak szybko, że można by pomyśleć, że moja dłoń go parzyła. Chciałam tylko być przyjacielska. Jezu. No i serio. To on zjawił się niespodziewanie pod moim domem. Nie prosiłam go, żeby przyjeżdżał, i z pewnością nie prosiłam go też, by zaprosił mnie na tę... randkę? Czy to randka?

Szczerze powiedziawszy, nie mam zielonego pojęcia, co to jest.

Przewodnik z podnieceniem nawija do mikrofonu, prawdopodobnie uszczęśliwiony, że Dominic zaszczycił jego pokład swoją obecnością. Stoi na przedzie łódki, podczas gdy my rozsiedliśmy się na tyle. Ponieważ przed nami znajduje się ze dwadzieścia pustych miejsc, czuję się trochę głupio.

Sternik pędzi przez zatokę na otwarte wody, zataczając ogromne koła, sprawiając, że zrasza mnie fontanna kropelek.

– Czy wspominałem już, jak się cieszę, że założyłaś tę bluzkę? – pyta Dominic z szerokim uśmiechem. Moja koszulka jest biała. I mokra. I w tej chwili – całkiem prześwitująca. Wzdycham.

– Jesteś trochę babiarzem, wiesz o tym? – rzucam.

Mam właśnie zamiar zapytać o dziewczynę, z którą widziałam go tamtego wieczoru na parkingu, kiedy przewodnik wskazuje nagle inną łódź. Dominic i ja odwracamy się, by spojrzeć w jej stronę, i widzimy, że pędzi, aby się do nas zbliżyć. Wszyscy pasażerowie stoją, wyciągając szyje, żeby zajrzeć do naszej motorówki, w dłoniach dźwierzą aparaty.

– Zdaje się, że pana zauważono – oznajmia przepaszająco przewodnik.

Natychmiast spoglądam na Dominica, którego twarz tężeje. Wygląda na wkurzonego, gdy kiwa krótko głową.

– Może nas pan odstawić na molo? Jeśli nie zawrócimy, będą nas ścigać po całym jeziorze. Jesteśmy w stanie opuścić pokład dużo szybciej niż oni.

Kapitan kiwa głową i okręca łódź w miejscu, pędząc teraz ku brzegowi. Oglądam się przez ramię i widzę, że druga łódka nas goni. Mój żołądek fika koziółka. Mnie wydaje się to nawet przyjemne, bo coś podobnego nie zdarza mi się na co dzień. Siedzą nam na ogonie, a w powietrzu aż iskrzy od podekscytowania.

No bo: ktoś nas ściga. O mój Boże.

Ale kiedy zerkam na Dominica, widzę, że podekscytowanie to ostatnia rzecz, jaką teraz czuje. Jego twarz jak spod dłuta wykrzywia się w grymasie i wygląda po prostu na... zmęczonego. Jest piękny, seksowny... i zmęczony. Przełykam ślinę i czuję się winna z powodu własnego podekscytowania, bo dla niego to musi być frustrujące. Musi go to spotykać wszędzie, gdzie tylko się uda.

– Kiedy przycumujemy, musimy pobiec, dobra? – odzywa się cicho Dominic, jego ciemne oczy mają mroczny wyraz i skupiają się na mojej twarzy. – Mówię serio. Po prostu leć za mną.

Kiwam głową, zafascynowaną całą tą sytuacją... jej nowością, irytacją Dominica, pędem powietrza na twarzy, gdy nasza motorówka pruje ku wybrzeżu. Płyniemy tak szybko, że uderzamy w wodę przy każdym

wspięciu się na fale, aż dzwonią mi zęby. Za to już po chwili docieramy do moła.

Odbijacze wielkiej łodzi ocierają się o skraj przystani i niemal zanim jeszcze na dobre się zatrzymamy, Dominic wyskakuje na brzeg, chwytając mnie za rękę i pomaga mi zsiąść. A potem puszczamy się biegiem.

Nurkując w tłum, kluczymy między ludźmi, aż trafiamy na diabelski młyn, którego kształt odcinający się dumnie na horyzoncie stanowi prawdziwą ikonę Navy Pier. Dom zerka na niego, a potem rusza prosto w tamtą stronę. Rzuca kilka monet facetowi pilnującemu kolejki i mamrocze:

– Powiedz im, że pobiegliśmy w przeciwnym kierunku.

Koleś gapi się na Dominica ze zdumieniem, ale zaraz po jego twarzy przemyka wyraz rozpoznania i zrozumienia, kiwa głową, popycha nas ku małej bramce i opadamy na siedzenie gondolki.

Kiedy duża, zadaszona kabina unosi się w powietrze, przechylam się nad krawędzią, przyciskając twarz do szyby. Dostrzegam paru pasażerów z łodzi wycieczkowej biegających w kółko, ale operator diabelskiego młyna przychodzi nam z pomocą. Wskazuje w przeciwną stronę i fani ruszają tam, wypatrując jakiegokolwiek śladu Dominica.

Wygląda na to, że udało nam się uciec. Usadawiam się wygodniej i zerkam na Dominica.

– A naprawdę chciałam się przepłynąć – rzucam z uśmiechem, lecz on się krzywi.

– Przepraszam – mówi z powagą. – I przepraszam, że musiałaś biegać w tych butach.

Spoglądam w dół na swoje stopy. Szczerze mówiąc, w ogóle mi to nie przeszkadzało. Jestem dziewczyną, która na okrągło chodzi na obcasach. Potrafię biegać w sandałkach na płaskiej podeszwie.

– Żaden problem – odpowiadam. – Porzucenie łódki to też nic takiego. Żadna katastrofa. Przykro mi z twojego powodu – wiem, że cieszyłeś się na tę swoją przejażdżkę szybką łodzią.

Wzrusza ramionami, a potem wyszczerza zęby.

– Nic nie szkodzi. Ciągle mam szansę na szybką kobietę.

Przewracam oczami, kręcąc głową.

– Nie wiem, co sobie o mnie myślisz, ale jestem prawie pewna, że się mylisz. Nie jestem zdirą. Czy lubię seks? Tak. Pewnie, że tak. Czy pieprzę się z każdym, kto się nawinie? Oczywiście, że nie.

Przesuwa się po siedzeniu gondoli, aż znajduje się tuż obok mnie. Mimo że kabina jest spora, umieszczenie całego ciężaru po jednej stronie sprawia, że nieco się przechyla, a ja chwytam się w panice krawędzi.

Dominic się śmieje.

– Lęk wysokości?

Potrząsam głową, znów wyglądając ponad krawędzią.

– Nie. Lęk przed spadnięciem w objęcia przedwczesnej śmierci.

– Och, nie pozwolę, żeby coś ci się stało – odpowiada gładko i obejmuje mnie ramieniem. Atmosfera się zmienia i przez moment mu wierzę. Czuję napięte mięśnie jego ręki za moimi plecami i wiem, że gdyby chciał, mógłby mnie uchronić przed każdym niebezpieczeństwem.

Ale trudno stwierdzić, czego Dominic chce... Jego nastrój zmienia się zależnie od tego, w którą stronę zawieje wiatr.

– Po co do mnie przyjechałeś? – pytam z ciekawością, wpatrując się w niego, wciąż umoszczona w zgięciu jego ramienia. Dzielą nas ledwie centymetry, przez co trudno mi się skoncentrować. Jego udo mocno przyciska się do mojego, z każdego jego poru bije seksowność. Naprawdę bardzo się staram, by nie być pod wrażeniem, ale, by to szlag. To Pieprzony Dominic Kinkaide. I siedzi tu ze mną.

W tej chwili.

Gdy o tym rozmyślam, ten fakt staje się onieśmielający. Usiłuję więc o tym nie myśleć.

Wlepia we mnie wzrok, jego zielone oczy się śmieją.

– Po co? Nie mogę od czasu do czasu zachować się spontanicznie?

– Jasne, że możesz – pryham. – Ale nawet mnie nie lubisz. Uważasz, że wpędziłam cię w kłopoty z tą trawką i że wyłącznie z mojej winy utknąłeś w Chicago. Tak przy okazji, ona nie była moja.

– Teraz już naprawdę nie ma znaczenia, jak to się stało – odpowiada swobodnie. – Równie dobrze mogła należeć do Sina. Liczy się jedynie, że tu utknąłem. A skoro tak, miałem ochotę wyciągnąć z tego popołudnia jak najwięcej. Byłem w nastroju na trochę zabawy.

– A czy ten nastrój zdążył się zmienić? – pytam z ciekawością. Ucieczka przed pogonią złożoną z pełnej łódki wściekłych fanów w zrozumiały sposób może wywołać taki efekt.

Patrzy na mnie nieruchomo, w jego spojrzeniu dostrzegam mroczne i nieprzyzwoite rzeczy, biorę pospieszny oddech.

– Nie.

Mówiąc to, obejmuje mnie drugim ramieniem, jego palce bawią się skrajem moich wystrzępionych dzinsowych szortów, jego skóra styka się z moją.

– Czekałem, by to zrobić, odkąd w swojej sypialni schyliłaś się na moich oczach – szepcze. – Twój tyłeczek był nagi i zwarty, a ja chciałem jedynie zanurzyć w nim kutasa.

Cały świat zamiera, a ja wciągam gwałtownie powietrze, patrząc mu w oczy. Czy on naprawdę właśnie to powiedział?

– W moim tyłku? – pytam bez tchu.

Kiwa głową.

– Spodobałoby ci się – stwierdza z przekonaniem i wyciąga rękę, by wsunąć palce pod moją nogę, obejmując moje pośladki i przyciągając mnie bliżej siebie.

Palce ma silne i długie, a ja przez moment kontempluję nieprzyzwoitość jego sugestii. Czemu się nie odsuwam – tego nie wiem. Ale tkwię twardo na siedzeniu i nie chcę nigdzie się stąd ruszać.

Przełykam z trudem ślinę.

– Nigdy... em, nigdy tego nie robiłam.

Śmieje się; jest to aksamitny dźwięk.

– Skarbie, mógłbym ci pokazać mnóstwo rzeczy, których nigdy nie robiłaś. I gwarantuję, że każda jedna by ci się spodobała.

Z jakiegoś powodu nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ekscytująca myśl.

Pochyla głowę i gryzie mnie w szyję, potem łagodzi ukąszenie, ssąc delikatnie. Jego wargi, tak miękkie i gładkie, sprawiają, że ból znika. Jego bliskość jest oszałamiająca i wszystko w nim krzyczy, że jest zdolny do tak wielu rzeczy... rzeczy, które sprawiłyby mi przyjemność... rzeczy, które w świetle dnia by mnie zawstydziły.

Ale mimo to nie poruszam się. Zostaję tuż przy nim, wpatrzona nieruchomo w jego oczy.

Nie odwracając wzroku, Dominic powoli opuszcza głowę i wsuwa mi język do ust, całkiem je zawłaszczając, po raz kolejny mnie pożerając. To tak, jakby nie potrafił mnie całować bez jednoczesnego miażdżenia wszystkich moich zmysłów, unicestwiania moich myśli, powodowania, że krew we mnie pulsuje, pędząc w jedno tylko miejsce... do trójkąta między moimi nogami.

Tam, gdzie go pragnę.

Jest niczym narkotyk... i po jednym spróbowaniu bynajmniej nie ma się dosyć.

Otwieram usta i zaczerpuję oddechu wokół jego warg, wciągając powietrze, chwytając mocno jego plecy i przyciągając go bliżej. Sięga i łapie mnie za ręce, ściskając je razem za nadgarstki i przygważdżając nad moją głową do pleksiglasowej ściany gondoli. Jestem tu z nim uwięziona, lecz nie chciałabym znaleźć się nigdzie indziej.

Otacza nas teraz pierwotna, nietłumiona energia... i to także jest przyjemne, ponieważ znajdujemy się w miejscu publicznym. Za każdym razem, gdy kabina przesmykuje się blisko ziemi, zanim ponownie zacznie wspinać się ku górze, ktoś mógłby zajrzeć do środka i zobaczyć, co robimy. Gdyby tylko wyteńczył wzrok, zobaczyłby Dominica przytrzymującego mnie przy ścianie, z drugą dłonią między moimi nogami.

Tak szczerze, mam wrażenie, że Dominicowi podoba się ta myśl.

– Co ty robisz? – udaje mi się w końcu szepnąć; odsuwam się tylko minimalnie.

Jego oczy są nieco zamglone, źrenice rozszerzone.

– A co chciałabyś, żebym zrobił, Jacey?

On wie. Och, Boże, on wie. Wie doskonale, czego bym od niego chciała. Widzę to w jego oczach. Wyczuwam to w ruchu jego dłoni, kiedy puszcza moje nadgarstki i zsuwa je obie w dół po każdej krągłości i płaszczyźnie mojego ciała.

Nie spieszy się, jego dłonie ześlizgują się niżej, niżej, niżej... są wszędzie naraz, powolne i rozleniwione. Ujmuję moje krągłości, smakując je. Zachowuje się pewnie, niespiesznie i celowo... jak ktoś, kto wie, co robi i czego chce.

Wzdrygam się, kiedy dotyka moich sutków. Są niezmiernie wrażliwe w tej zimnej, mokrej koszulce. Ledwie je muska, schodząc niżej, po moich bokach, po łukach moich bioder. Mam ochotę oprzeć się o niego, kiedy ujmuję moje piersi i przyciąga mnie do siebie.

Okazuje się, że nie muszę tego robić. Wsuwa palce w moje szorty, bo wie, że nie noszę bielizny. A potem wsuwa te długie palce – tak głęboko, jak się tylko da – we mnie.

Tam, gdzie na niego czekam.

Wydaję z siebie długi i głośny jęk. Dominic podsyca ogień, który powoli we mnie rozpalil, a ja nie chcę, by kiedykolwiek przestał.

Podnoszę wzrok i wszystko wokół jest rozmytą smugą. Przemykamy obok operatora diabelskiego młyna, obok tłumów, obok zapachów fast foodów oraz słońca, obok chodników i sklepów. Wszystko jest tylko smugą i nie ma żadnego znaczenia.

Znaczenie ma jedynie to, co wcale nie powinno go mieć.

On.

Podciąga mi koszulkę i odciąga jedną z miseczek stanika, liżąc sutek, drażniąc go, aż stoi na baczność, zupełnie jak jego penis. Czuję go, twardego i sztywnego, wbijającego mi się w nogę. Ale on się o mnie nie ociera. Nie zachowuje się gorączkowo jak ja, lecz ze spokojem i opanowaniem, niespiesznie i swobodnie. Nie prosi o nic w zamian, po prostu bawi się ze mną ustami.

Jego język na mojej skórze, na moim sutku, na mnie, jest mokry. Gorący i wilgotny i akurat w momencie, gdy gotowa jestem błagać, żeby przerznął mnie w tym oto publicznym miejscu... zawieszonym czterdzieści pięć metrów nad ziemią – Dominic przestaje.

Tak po prostu.

– Powinniśmy już iść – oznajmia cicho, składając dłonie na kolanach jakby nigdy nic. Jakbyśmy tylko sobie siedzieli, ciesząc się zwykłą przejażdżką na diabelskim młynie.

Podrywam głowę i uświadamiam sobie, że zaraz się zatrzymamy. Koniec jazdy. Opuszczam koszulkę i gapię się na niego, próbując zogniskować nieostre spojrzenie.

Serio?

Jest nieporuszony, gdy wysiada z gondolki i wyciąga do mnie rękę, czekając, bym pozwoliła sobie pomóc w wyjściu z kabiny. Z rozmysłem ignoruję jego dłoń, postanawiając samodzielnie wygramolić się na niestabilnych nogach jak z waty.

O mój Boże, nigdy wcześniej nie czułam takiego upokorzenia, bo to zajście miało na mnie taki wpływ, a na niego... nie. Dla niego to takie łatwe, włączać się i wyłączać, pozostawać tak cholernie wycofanym. Policzki mi płoną, gdy wlekę się za nim alejkami przez molo, skupiając wzrok na jego szerokich ramionach kołyszących się wśród tłumu, na jego karku, na jego biodrach.

Wszystko w nim jest niewzruszone.

A ja jestem idiotką.

Właśnie totalnie pozwoliłam mu się z sobą zabawić. W miejscu publicznym. I po co? Żeby miał miłą rozrywkę, która odwróci jego uwagę od ludzi ganiających nas po ulicach?

Pieprzę to. Nie służę nikomu do odwracania uwagi i powinnam była wiedzieć lepiej.

Wsiadamy do samochodu bez słowa i w ciszy jedziemy ulicami Chicago. Mija kilka minut, zanim on

choćby na mnie spojrzy.

– Co się stało? – pyta niewinnie, jakby nie miał pojęcia.

Wpatruję się w niego.

– Co to, do kurwy nędzy, miało być? – rzucam, chociaż jestem bardziej wściekła na siebie niż na niego. Pozwoliłam mu na to. Pozwoliłam mu z sobą pogrywać. Po wszystkich tych wykładach o posiadaniu większego szacunku do siebie, jakich udzielałam sobie w ostatnich miesiącach, pozwoliłam mu na palcówkę na diabelskim młynie. Jestem żałosna.

– Co miało być...? – nie rozumie, zerkając na mnie w bok. – Po prostu... dobrze się bawiliśmy. Wydawało się, że jesteś zadowolona.

Spoglądam na jego krocze, przypominając sobie, jak jeszcze parę chwil temu wbijała się we mnie jego twardość.

– Ty tak samo – zauważam. – Ale dlaczego? W ogóle cię nie rozumiem. Świat nie jest twoją zabawką, Dominic. Ja nie jestem twoją zabawką.

– Nigdy nie twierdziłem, że nią jesteś – odpowiada spokojnie, skręcając w moją ulicę. – Nie powiedziałaś „nie”. Jeśli nie chciałaś brać w tym udziału, wystarczyło wyartykułować to słówko.

I to właśnie mnie wkurza. Nie wymówiłam tego słówka. Nie wymówiłam go, gdyż pragnęłam Dominica.

I wciąż go pragnę.

To dlatego tak się wściekam. Pragnę mężczyzny, któremu całkowicie wszystko jedno, czy ze mną będzie, czy nie. Jest mu całkowicie obojętne, jak reaguję, co czuję. Właśnie w takie sytuacje zawsze się angażuję i zawsze ląduję potem w tarapatkach.

Muszę. Z tym. Skończyć.

Zaciskam zęby i otwieram drzwi auta.

– Chcesz, żebym wszedł do środka? – pyta Dominic, unosząc brew. Wygląda na bardzo zrelaksowanego, gdy tak siedzi swobodnie wyciągnięty za kierownicą. Nie jest rozogniony ani zmartwiony jak ja. Nie mam na niego takiego samego wpływu, jaki on ma na mnie, i to mnie wkurza.

I miażdży.

– Nie – odpowiadam krótko. Nachylam się do samochodu, na moment nieruchomieję. – Dziękuję za ciekawy dzień.

Trzaskam drzwiami, a spłoszony wyraz jego twarzy sprawia mi radość.

Najwyraźniej nikt nie zatrząskuje Dominicowi drzwi przed nosem, bo wygląda na kompletnie osłupiałego.

To przywołuje uśmiech na moje usta, kiedy otwieram drzwi i wchodzę do domu. Rzucam torebkę na podłogę i idę do kuchni, gdzie bezzwłocznie odkorkowuję czerwone wino i pociągam parę łyków wprost z butelki.

Gdy moje palce przestają drżeć, nalewam sobie kieliszek i kieruję się do łazienki, gdzie przygotowuję kąpiel z bąbelkami i moczę się, aż moje poruszenie zniknie.

Wonie lawendy i wanilii uderzają w moje zmysły, łagodząc stres. Taką mam przynajmniej nadzieję. Ale nieważne, jak bardzo się staram, nie potrafię wyrzucić z myśli obrazu twarzy Dominica. Nie mogę zapomnieć dotyku jego rąk ani tego, jak gładko jego palce się we mnie wśliznęły. Ani jego zdumionej miny, gdy odmaszerowałam z auta.

Jest coś w zafundowaniu komuś niespodzianki i pokazaniu mu, gdzie jego miejsce. A Dominica trzeba było nieco ściągnąć z wyżyn, na które się wspiął. Jest o niebo zbyt arogancki.

Wycieram się, wciąż uśmiechając się na tę myśl, kiedy odzywa się dzwonek do drzwi. Zdziwiona, wkładam szlafrok i drepczę otworzyć.

Przede mną stoi Dominic, swobodny, seksowny i ogromnie imponujący, w dłoni ściska za szyjkę butelkę wina.

– Niezbyt dobrze przyjmuję odmowę – oznajmia z powolnym uśmiechem. Jest to jego popisowy, seksowny uśmieszek. Ten, na widok którego dziewczyny pospiesznie ściągają majtki. Ten, który powoduje, że mięknią mi kolana, mimo że jestem na niego wściekła, mimo że chcę, aby wiedział, że moje „nie” znaczy „nie”. Że go tu nie chcę.

Ale to nieprawda. Właśnie że go chcę. I w jego przypadku moje „nie” nie oznacza zupełnie nic.

Rozdział 13

DOMINIC

Jestem zakładnikiem własnych hormonów. Albo mojej pieprzonej fascynacji tą dziewczyną. I jaki tego powód? To tylko dziewczyna. Piersiastych blondynek można mieć w Hollywoodzie na pęczki. Co jest takiego szczególnego w tej tutaj?

Ale kiedy się w nią wpatruję... wcale nie widzę piersiastej blondynki. Nie widzę laski z Hollywoodu. Widzę naiwną, zadziorną dziewczynę stojącą w drzwiach w puchatym różowym szlafroku z niewinną miną i lekko rozchylonymi różowymi wargami. Brązowe oczy ma szeroko otwarte, a coś w nich mówi: „Chcę ci zaufać. Spraw, bym tego nie pożałowała”.

I chcę jej powiedzieć, żeby za cholerę mi nie ufała, nigdy, bo z pewnością ją zranię. Po tym wszystkim, co mi na swój temat wyjawiała, zdaję sobie sprawę, że jestem ostatnim, czego jej trzeba. Ona potrzebuje kogoś reprezentującego wszystko, czym ja nie jestem.

Ale oczywiście nie mówię tego. Nie potrafię... ponieważ coś mnie do niej ciągnie, a jestem zbyt samolubny, by się opierać. Więc zamiast tego wyciągam w jej stronę butelkę wina.

– Tylko po kieliszku wina. Nic więcej. Obiecuję trzymać ręce przy sobie, chyba że każesz inaczej. Spogląda na mnie.

– Hmm. Chyba nie powinnam.

Przewracam oczami i wzdycham.

– Zaufaj mi. Nie zrobię nic, czego byś nie chciała.

– Może to właśnie mnie martwi – odpowiada miękko. Patrzą na nią ze zdumieniem, lecz Jacey otwiera szerzej drzwi i gestem zaprasza mnie do środka.

Prowadzi mnie do kuchni, gdzie dostrzegam już otwartą butelkę wina, ale ona na to nie zważa. Łapie korkociąg, a gdy się odwraca, przekonuje się, że zapędziłem ją w róg kuchni pomiędzy dwoma blatami. Znajdujemy się na niewielkiej przestrzeni, tak blisko, że praktycznie słyszę bicie jej serca. Z całą pewnością czuję zaś bijące od jej ciała ciepło. Bierze oddech, a ja cofam się o krok, podnosząc ręce.

– Widzisz? Przybywam w pokoju.

Wyszczersza zęby i odbiera mi butelkę, odkorkowuje i nalewa nam po lampce. Patrzą, jak czerwony płyn obmywa ścianki kryształowego kieliszka, gdy niosę go do salonu. Oboje siadamy na sofie i Jacey odwraca się do mnie, podwijając pod siebie nogi.

– A więc. Czy to twój zwykły sposób postępowania z dziewczynami? Udajesz, że ich nie znosisz, a potem uwodzisz i zaciągasz do łóżka? – Uśmiecha się i upija łyk wina, ale po jej oczach poznaję, że to nie do końca żart. Jest tak samo zdezorientowana moim zachowaniem jak i ja.

Zbywam ją śmiechem.

– Taaak, zazwyczaj sprawdza się niezawodnie. Jak działa na ciebie?

Potrząsa głową, nie zaszczycając mnie odpowiedzią, zamiast tego spogląda mi prosto w oczy, a następnie zadaje bardzo bezpośrednie pytanie:

– Kim była ta dziewczyna, Dominic? Ta na imprezie. Z tą samą spotkałeś się na parkingu. Ona coś dla ciebie znaczy, a ty niewątpliwie znaczysz coś dla niej. – Robi pauzę, przełyka ślinę, a potem znów na

mnie spogląda. – Lubię spędzać z tobą czas – kiedy akurat na mnie nie napadasz – ale nie zamierzam tego robić, jeśli należysz do kogoś innego.

Prycham drwiąco na te słowa. Nie mogę się powstrzymać.

– Do nikogo nie należę – odpowiadam kwaśno. – I, wierz mi, niewiele osób „coś dla mnie znaczy”. Ta dziewczyna... na imię ma Kira i znamy się od dzieciństwa. Od bardzo dawna jest moją przyjaciółką.

– Obściskujesz się ze wszystkimi swoimi przyjaciółkami? – pyta Jacey z powątpiewaniem. Wyciąga nogę spod siebie, a ja mimowolnie obserwuję, jak poły jej szlafroka lekko się rozchylają, dostrzegam teraz jeszcze większy fragment uda.

– Nie – odpowiadam, niechętnie przenosząc wzrok na jej twarz. – Zasadniczo nie.

Na myśl o Kirze czuję ukłucie. Nie dlatego, żebym kogoś zdradzał, bo tego nie robię. Ale Kira dzwoniła w tym tygodniu jakieś dziesięć razy, a ja do tej pory nie oddzwoniłem. Kiedy tylko przyjeżdżam do miasta, ona zawiesza własne życie, aby w każdej chwili być dla mnie dostępna.

Moje rozmyślania niebezpiecznie zbliżają się do poczucia winy, co mnie irytuje, więc odpycham je na bok. Nie mam powodu czuć się winnym. To, że jest na każde moje zawołanie, to jej wybór. W żadnym razie jej nie zmuszam.

– Więc umawiasz się z nią? – upewnia się Jacey powoli, w jej oczach wciąż czają się wątpliwości.

– Nie umawiam się z nią – zaświadczam. Bo się nie umawiam. Pieprzę ją w tyłek, owszem. Czy wiąże ją i dochodzę jej na twarz? Tak. Smagam batem? Drażnię się z nią? Ssę? Gryzę? Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmi „tak”. Ale czy się z nią umawiam? Nie. I nie mam problemu z wykorzystaniem drobnych semantycznych nieścisłości, by wyplątać się z tego pytania.

– Mówiłeś szczerze...? Niewiele osób coś dla ciebie znaczy? – pyta Jacey z wahaniem, a jej dłoń zaciska się ciasno na kieliszku. – Bo to bardzo smutne, Dominic.

Posyłam jej ostre spojrzenie.

– Nie oceniaj mnie, Jacey. Nie masz pojęcia, jak to jest być mną. Nie wiesz, co mnie w życiu spotkało, nie wiesz, jak ludzie próbują mnie wykorzystywać. Wierz mi, łatwiej jest zwyczajnie nie dać im na to szans.

Jacey prycha.

– Wszystko jedno. Rozumiem, że jedziesz na innym wózku niż reszta z nas, śmiertelników, ale mimo to. Ludzie to ludzie. Każdy potrzebuje innych. I każdy zostaje w życiu zraniony, każdy zostaje wykorzystany. Musimy to przeboleć i iść naprzód. Jeśli pozwalasz, by ludzie, którzy cię skrzywdzili czy zdenerwowali, wpływali na twoje postępowanie, to dajesz im wygrać, Dominic.

Gapię się na nią, na jej zaciśnięte szczęki i zdeterminowaną twarz.

– Brzmisz jak ktoś, kto ma doświadczenie w tym względzie – stwierdzam z zainteresowaniem. – Co ci się przytrafiło, Jacey?

Rumieni się, co sprawia jedynie, że chcę wiedzieć więcej. Pospiesznym ruchem osusza kieliszek i dolewa sobie wina. Zauważam, że dłoń jej się trzęsie, i unoszę brew.

– Co ci się przytrafiło? – powtarzam, tym razem łagodnie.

Potrząsa głową.

– Nic. Jestem tylko kretynką, która zawsze wybiera niewłaściwego faceta. Raz po raz. To taki schemat. A jednak jej dłoń wciąż drży, kiedy upija potężny łyk alkoholu. Kręcę głową.

– Nie-e, to nie wystarczyłoby, żeby przywołać na twoją twarz taki wyraz. Stało się coś innego.

Nie jestem pewien, czy obchodzi mnie to w takim samym stopniu, jak ciekawi. Ale tak czy inaczej – chcę wiedzieć. Jacey wzdycha i wygląda za okno, nie patrząc na mnie.

– Wystarczyłoby, bo to powtarzalny schemat, Dominic. Mam pewne problemy. Najlepiej od razu ci to powiem. I przez te problemy zazwyczaj zakochuję się w nieodpowiednim facecie.

Wpatruję się w nią zaintrygowany.

– Ale raz wyszło gorzej niż zwykle. Co się takiego stało?

Jacey wzdycha, odwracając wzrok.

– Zakochałam się w diable wcielonym. Moi przyjaciele, mój brat... wszyscy próbowali trzymać mnie od niego z daleka, ale w końcu, jak przystało na kretynkę, wróciłam do niego, bo nabrał mnie na swój stek kłamstw. I pewnego dnia zrobił coś strasznego. Naprawdę, naprawdę strasznego, co rozpieprzyło życie wszystkim wokół mnie. Czy to twoim zdaniem wystarczy?

Nie wiem, co koleś zrobił, ale niewątpliwie nic miłego. Twarz Jacey jest blada, poważna i smutna, więc już na nią nie naciskam. Kiwam jedynie głową.

– Tak, to wystarczy.

Po policzku Jacey spływa łza, a ona ociera ją szybko, chowając twarz w kieliszku, unikając patrzenia na mnie.

– I wtedy zawarłam ze sobą pakt. Nigdy więcej niewłaściwych facetów. Pracuję nad sobą i nie zaakceptuję nikogo, kto nie będzie dla mnie idealnym partnerem. Takim, który by mnie cenił i nie próbował rozstawić po kątach. Ty się nie zaliczasz.

Sięgam do jej podbródka, odwracając jej głowę w moją stronę, zmuszając, by na mnie spojrzała.

– Nie przypominam sobie, żebym proponował, abyśmy byli razem – zauważam łagodnie. – Jacey, nie jestem dla ciebie odpowiedni. Nie na stałe, nie na poważnie. Zależy mi jedynie na kimś, z kim mógłbym spędzać czas, póki tu jestem, z kim mógłbym się dobrze bawić, kto dotrzymałby mi towarzystwa. A tak naprawdę zależy mi na tym, aby się przekonać, czy jesteś tak przyzwoitą osobą, na jaką wyglądasz... bo osiągnąłem etap, gdzie wątpię w istnienie przyzwoitych ludzi. To tyle. Naprawdę byłbym w stanie cię zranić... ale ty możesz na to nie pozwolić.

Przygląda mi się zażawionymi oczyma.

– Nie jestem przyzwoitą osobą, Dominic. Od razu mogę ci to powiedzieć. Przyzwoita osoba nie pozwoliłaby, aby Jared choć zbliżył się do niej albo jej rodziny, nie mówiąc już o randkowaniu z nim. Ale możesz założyć się o co chcesz, że nie pozwolę ci się skrzywdzić. Nie przywiążę się do ciebie. To już sobie obiecałam.

Kiwam głową.

– Przekonajmy się więc, czy będziesz potrafiła dotrzymać słowa. Chcesz sprawdzić, czy dasz radę przebywać ze mną bez przywiązywania się po raz kolejny do nieodpowiedniego faceta, a ja chcę sprawdzić, czy na świecie istnieje choć jedna przyzwoita osoba. Oboje na tym zyskamy. Sprawię, że będzie ci dobrze, a ty odwzajemnisz się tym samym. Wygląda na to, że oboje tego potrzebujemy. – Milknę, wpatrując się w nią.

Ona też na mnie patrzy.

– A więc to zupełnie niezobowiązujący układ, ty lubisz mnie, ja lubię ciebie, oboje coś na tym zyskamy. Nie zakocham się w tobie, Dominic. – Głos ma spokojny i zrównoważony.

– Nie chciałbym tego – odpowiadam z takim samym opanowaniem. – O to właśnie chodzi. No, zgódź się. Podejmij wyzwanie. Przekonajmy się, czy dasz radę.

– I przekonajmy ciebie, że na świecie naprawdę istnieją porządni ludzie – odpowiada z uporem. – Bo tak jest.

– Skoro tak twierdzisz. – Potrząsam głową. – Uwierzę, jak zobaczę. Będziesz musiała mi pokazać.

– Umowa stoi – zgadza się. – Tak zrobię.

Pochyliłam się nieco w przód, spoglądając w ciemne oczy Jacey.

– Więc... skoro wszystko już ustalone, chcesz, żebym sprawił, że będzie ci dobrze?

Moje słowa są nabrzmiałe od znaczeń, to jasne, co mam na myśli. Podkreślam to jeszcze, ściskając mocno jej udo. Gdy odsuwam rękę, na jej nodze pozostaje biały ślad.

Fascynuje ją to. Zerka na niego, a potem na mnie.

– Tak – mamrocze.

– Tylko tyle pragnąłem usłyszeć – informuję ją cicho. – To moje ulubione słowo.

Jej plecy wyginają się w łuk, kiedy przyciągam ją do siebie, jej ciało dopasowuje się do mojego. Jest miękkie i drobne, jej ramiona oplatają się wokół mojej szyi niczym sznurki. Przewracam ją tak, że leży teraz na plecach na sofie, jej kręgosłup wciska się w poduszki. Patrząc jej prosto w oczy, rozchyłam jej nogi kolanem.

Rozwiera je z wahaniem.

– Jesteś dla mnie mokra, Jacey? Czy mogłabyś stać się dla mnie mokra tak szybko? – pytam, unosząc brew i zsuwając palec w dół po jej piersi, rozchylając szlafrok.

Leży teraz odsłonięta, w świetle słońca, jej cycki celują w sufit, biodra uniosła w górę. Przesuwam palcem w dół, wokół jej sutka, a ona jęczy. Ale tam się nie zatrzymuję. Ruszam dalej, po jej biodrze, w poprzek płaskiego brzucha, aż do jej cipki.

Muskam tym palcem maleńką wypukłość jej łechtaczki.

Wstrząsa się, lgnąc do mnie, ale ja wciąż trzymam tam palec, pocierając ten mały, napęczniały wzgórek.

– Jesteś mokra – zauważam. – Dla mnie. Co chciałabyś z tym fantem zrobić?

– Zaskocz mnie – dyszy.

Śmieję się cichutko, wsuwając palec w fałdy jej cipki, w jej ciało, i tam nim poruszam... wsuwam i wysuwam, powoli. Odrzuca głowę w tył, a ja wprowadzam kolejny palec.

– Zła odpowiedź – informuję ją półgłosem, pochylając się, by pocałować i possać jej szyję. Na razie jestem dla niej łagodny, miły. Na ostrzejsze sprawy przyjdzie czas później. – Musisz mi powiedzieć, czego chcesz.

Oczy zachodzą jej mgiełką, gdy ją pocieram i gładzę, gdy robi się coraz bardziej wilgotna. Słyszę, jak przełyka z trudem ślinę.

– Przeleć mnie – mówi prosto. – Spraw, że będzie mi dobrze.

Znów się śmieję, choć na jej słowa coś napina mi się w podbrzuszu.

– Na to będziesz musiała poczekać, księżniczko.

Otwiera oczy.

– Czemu?

Nieruchomieje z biodrami wspartymi o moje ciało.

– Bo tak to działa. Nie wskakuję do łóżka z pierwszą lepszą dziewczyną.

Nie wskakuję do łóżka z żadną dziewczyną. Nigdy. Ale tego rzecz jasna nie mówię. Już wkrótce przekona się, że „pieprzenie się” ze mną wygląda całkiem inaczej, niż pewnie się tego spodziewa.

– Ale i tak sprawię, że będzie ci dobrze – dodaję.

Wstaję i podnoszę ją, bez trudu zagarniając ją w ramiona. Owija mi ręce wokół szyi, ale nie wybieramy się daleko. Zanoszę ją do sypialni, gdzie opuszczam ją na łóżko, od którego się odbija, a potem przetacza się na materacu.

– Jak mnie chcesz? – mruczy. – Rozkrzyżowaną?

Uśmiecham się na wspomnienie tego, co powiedziałem jej wcześniej, parę tygodni temu.

– Tak. Na plecach. Masz jakieś apaszki?

Wygląda na zdezorientowaną, lecz wskazuje mi górną szufladę komody, gdzie znajduję stertę jedwabnych chustek. Wydaje się pełna wahania, gdy wspinam się na nią okrakiem i unoszę jej ręce nad głowę.

– Ufasz mi?

Wygląda na niepewną.

– Ledwie cię znam.

Patrzę jej w oczy.

– Ale czy sądzisz, że byłbym w stanie wyrządzić ci fizyczną krzywdę?

Nie waha się, kręci głową.

– Dobrze. Bo nigdy bym tego nie zrobił. Chyba że mnie o to poprosisz. Jeśli wypowiesz słowo „nie”, to na tym koniec. Natychmiast przestanę, cokolwiek bym robił. Rozumiesz?

Przytakuje.

– Przywiążę ci ręce i nogi do ramy łóżka. I to ci się spodoba. Tak czy nie?

Wpatruje się we mnie zmieszana.

– Skąd mam wiedzieć, czy mi się spodoba?

Odwzajemniam jej spojrzenie i powtarzam powoli:

– Przywiążę cię. I to ci się spodoba. Tak czy nie?

Tym razem pytam z większą emfazą, z większą mocą.

– Tak – szepcze w końcu. I dostrzegam w jej twarzy, że naprawdę w to wierzy. Uśmiecham się, ściągając z niej szlafrok, potem przywiązuję jej ręce, a wreszcie nogi.

Jest teraz całkiem unieruchomiona, rozciągnięta na łóżku niczym przepiękna ofiara. Jej pełne piersi wskazują sufit, są zaskakująco sterczące jak na prawdziwe. Ponieważ mieszkam w Hollywoodzie, rzadko kiedy natykam się obecnie na prawdziwe cycki.

Wczołguję się na nią, jej krągłości ocierają się o mojego kutasa, który sztywnieje. Gryzę ją w szyję i szepczę jej do ucha:

– Zawiążę ci teraz oczy. I to ci się spodoba. Tak czy nie?

Jej wargi prawie drżą, gdy odpowiada:

– Tak.

Uśmiecham się ponownie, a potem owijam jej głowę czarną apaszką, zakrywając oczy.

– Ufasz, że cię nie skrzywdzę, bo nigdy bym tego nie zrobił, nie fizycznie. Chyba że byś mnie poprosiła. Tak czy nie?

Błądzą teraz palcami po jej klatce piersiowej, po jej żebrach, po jej bokach. Patrzą, jak zjawia się gęsia skórka, ona zaś odszeptuje cicho:

– Tak.

Uśmiecham się, a potem całują ją mocno. Czuję pod zębami jej wargi, jej język automatycznie zagłębia się w moje usta. Rozchyła przede mną wargi, wsysa mnie. Chce więcej. Każdym ruchem daje temu wyraz.

Pochylam głowę, przesuwając wargami po jedwabistości jej skóry, muskając nimi sutek, by następnie wziąć ten różowy guziczek do ust, ssąc lekko, a potem mocniej. Jacey wyciąga się do mnie ku górze, na tyle, na ile tylko pozwalają jej więzy.

– Podoba ci się to. Tak czy nie?

– Tak – jęczy. W odpowiedzi ssę mocniej.

Jęczy głośniej.

Całuję teraz każdy skrawek jej brzucha, zwracając uwagę, by dotrzeć do zagłębienia tworząc kość biodrową. To moja ulubiona część kobiecego ciała, choć nie wiem dlaczego. Jest w niej coś niezwykle kobiecego. Wstaję na chwilę, zrzucając ubrania, by móc poczuć jej ciepłą skórę przyciśniętą do mojej.

Napieram sztywnym kutasem na jej biodro, ciesząc się tym, jak wbija się w niego jej kość biodrowa, jak go miażdży. To dobry ból.

– Czasami ból jest dobry. Zaspokoję cię dziś ustami, a nie kutasem. Będziesz pragnęła, żebym cię zerznął tak bardzo, że aż boleśnie, lecz musisz poczekać. Ale doprowadzę cię do orgazmu ustami – już teraz. Tak czy nie?

– Proszę – błaga miękko, wyginając biodra ku moim palcom. – Proszę.

– Tak czy nie? – powtarzam nieustępliwie.

– Tak – odpowiada bez tchu.

To mi wystarczy. Podpieram się na dłoniach oraz kolanach i chowam twarz między jej nogami. Jej zapach, czysty i piżmowy, atakuje moje zmysły i doprowadza mnie do szaleństwa. Wsuwam w nią język,

liżąc wolno, potem wsuwam go głębiej. Pocieram ją palcami, językiem, wargami, aż rzuca się pode mną gwałtownie.

– Kochasz to. Tak czy nie? – pytam schrypniętym głosem. Bo nakręca mnie obserwowanie jej w tym stanie, bezradnie leżącej pode mną, skrępowanej i z zawiązanymi oczyma, niezdolnej do czegokolwiek poza szczytowaniem. Jestem teraz twardy jak skała i zaspokajam się lewą ręką, podczas gdy palcami prawej wciąż bawię się z nią.

– Tak – wydusza z trudem. – Pieprz mnie, Dominic.

– Nie – odpowiadam stanowczo. – Jeszcze nie. Czasami ból jest dobry, księżniczko.

– Ale ja chcę poczuć, jak mnie pieprzysz – mruczy, wyginając się w górę, ze wszystkich sił próbując mnie dotknąć. W odpowiedzi zajmuję się nią obiema dłońmi, pieprząc ją przy pomocy kilku palców jednej, drugą zaś pocierając jej łechtaczkę, aż wreszcie wykrzykuje moje imię, a potem opada bezwładnie w pościel.

Oddycha szybko i płytko, jej delikatne ciało leży zwinięte na łóżku. Wstaję, wkładam ciuchy, potem odwiązuję jej ręce i nogi. Przepaskę na oczach zostawiam.

– Ogromnie ci się to podobało. Tak czy nie?

– Tak – przyznaje pospiesznie, nadal leżąc nieruchomo na łóżku, choć nic jej już nie krępuje. Wyciąga rękę i natrafia na mojego twardego jak skała kutasa. – Tobie też ogromnie się to podobało. Tak czy nie?

– Tak – odpowiadam z uśmiechem, a następnie znów się podnoszę. – Do zobaczenia wkrótce. – Po czym wychodzę z pokoju, nie odwracając się za siebie.

Tak właśnie postępuję.

Nie przywiązuję się.

Nie angażuję się.

Ale myślę o wyrazie jej twarzy, kiedy dochodziła, o tej szczerzej i niewinnej minie, i uśmiecham się.

Nie zdaję sobie z tego sprawy, dopóki nie wsiądę do auta i nie zerknę w lusterko wsteczne, w którym widzę, że moje wargi wyginają się leciutko ku górze. To tak obcy mi grymas, że aż napełnia mnie zdumionym przestraszaniem.

A następnie wstydem.

Nic związanego z Jacey nie powinno mnie cieszyć. Bo kiedy z nią skończę, nie zostaną mi żadne powody do śmiechu.

Zawsze tak jest.

Rozdział 14

JACEY

Telefon wibruje mi w kieszeni, a po sposobie, w jaki Dominic patrzy na mnie z drugiego końca sali centrum sportowego, domyślam się, że to wiadomość od niego. Coś łaskocze mnie w brzuchu i przerywam układanie czystych ręczników, żeby wyciągnąć komórkę.

„Chcesz się ze mną pieprzyć. Tak czy nie?”

Przechodzi mnie dreszcz podekscytowania i uśmiecham się. Nie mogę się powstrzymać. Zerkam na Dominica i stwierdzam, że wpatruje się we mnie pociemniałymi oczyma, tym szczególnym spojrzeniem, które sprawia, że serce wali mi w piersi. Tym, przez które go pragnę, mimo że wmawiam sobie, iż wcale tak nie jest.

Kręcę w jego stronę głową, chociaż to kłamstwo. I on o tym wie, bo śmieje się, wsuwając telefon z powrotem do kieszeni i wracając do przytrzymywania worka treningowego dla Tiga.

Wzdycham, podnosząc znów ręczniki.

Minęły dwa dni, odkąd Dominic przywiązał mnie do łóżka.

Kiedy wyszedł, na kilka chwil osłupiałam, a potem mogłam się jedynie śmiać. Jego skłonność do nieprzywiązywania się pozostaje niezmienna i będę musiała się do niej przyzwyczaić, jeśli chcę to ciągnąć... cokolwiek to właściwie jest.

Ale czymkolwiek jest, na pewno jest fascynujące.

Ekscytujące.

Pieprzony Dominic Kinkaide był ze mną w łóżku. Tak naprawdę nie uprawialiśmy seksu, ale było to tak samo intymne, przynajmniej dla mnie.

Z ciekawości przeprowadziłam poszukiwania w Internecie, żeby przekonać się, czy często to robi... czy pozostawia za sobą sznur złamanych serc. Niestety, niewiele udało mi się znaleźć.

Nieczęsto chodzi na randki, choć ma powiązania z paroma gwiazdeczkami, wliczając w to Amy Ashby. Nie otaczają go żadne skandale... jak dotąd unikał tarapatów. I nigdzie żadnej wzmianki o Emmie, kimkolwiek jest.

Jego ludzie od PR-u muszą być bardzo dobrzy.

Albo naprawdę jest tak niezaangażowany i wycofany, jak deklaruje.

Po dwóch dniach flirtowania i wysyłania sobie SMS-ów, po dwóch dniach, w ciągu których sytuacja ani na jotę się nie rozwinęła, zaczynam myśleć, że tak właśnie może być. Naprawdę jest tak wycofany. Robi rzeczy, które sprawiają mu przyjemność, ale się nie angażuje.

To tak, jakby... pstrykał jakimś przełącznikiem, kiedy zaczyna mu się wydawać, że wkracza na zbyt osobiste terytorium, i wtedy zamyka się w sobie. Nie rozumiem, dlaczego to robi, ale coraz bardziej mam wrażenie, że o to tu chodzi. I jeśli chcę dalej brnąć w nasz „związek”, muszę to zaakceptować.

Bo, szczerze mówiąc, mimo że Dominic ma pewne wady, ma też wiele zalet...

Lubię jego intensywność.

Lubię jego seksowność.

Lubię jego. Nic nie mogę na to poradzić. Jest w nim więcej, niż chciałby to przede mną przyznać...

albo przed kimkolwiek innym. To mnie fascynuje. Co jakiś czas coś zjawia się w jego oczach... coś sugerującego, że jest bezbronny. Ukrywa to, lecz z tego powodu pragnę się do niego zbliżyć. Poznać go.

Ale wiem, że on tego nie chce. Nie chce do nikogo się zbliżać. „Jest bardzo niewiele osób, na których naprawdę mi zależy”.

Czuję ukłucie w sercu, kiedy wspominam te słowa, układając kolejny rząd ręczników.

Znam się na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby to miał być prawdziwy związek, ktoś taki jak Dominic nigdy nie byłby dla mnie odpowiedni. Z powodu własnych problemów potrzebuję więcej, niż on jest w stanie zaoferować. Potrzebuję kogoś, kto brałby aktywny udział w moim życiu, kogoś, przy kim czułabym, że jestem ważna, że jestem dla niego priorytetem.

Ale nie chodzi o to, żebym się do niego zbliżała, przypominam sobie. To nie jest związek. Chodzi jedynie o dobrą zabawę. Nikt mnie nie wykorzystuje. Po prostu znalazłam sobie rozrywkę. On wkrótce wróci do Hollywoodu i nigdy więcej go nie zobaczę... chyba że na ekranie. Ale póki co się bawię. Będzie z tego kiedyś niezła historia.

Odwracam się i napotykam wzrok Dominica. Znowu trzyma w dłoni telefon, oczy znów mu pociemniały. Jest wysoki i szczupły, prezentuje się przebojowo w otoczeniu całego tego potu, gorąca i brudu.

Moja komórka wibruje.

„Czy nie musisz gdzieś zanieść tych ręczników?”

Znów napotykam jego wzrok. Wie, że muszę. I wie dokąd.

Wibracja.

„Idź”.

Stoi, obserwując mnie, pewny, że pobiegnę do schowka i będę tam na niego czekać. Ale ja tego nie robię. Podtrzymując kontakt wzrokowy, powoli i z rozmysłem odkładam stertę dodatkowych ręczników na podłogę obok półki. Zerkam na niego, a jemu drga warga.

Wibracja.

Spoglądam na telefon.

„Masz trzy szanse. To jest druga. Idź”.

Prostuję ramiona i gapię się na niego. Za kogo on się u diabła uważa? Wydaje mu się, że wystarczy, by kazał mi iść, a ja od razu pobiegnę? Można mnie kontrolować jedynie wtedy, gdy sama tego chcę, jak choćby wówczas, gdy pozwoliłam mu związać sobie ręce w sypialni. To było co innego.

Odchodzę niespiesznie, celowo go ignorując, okrążając salę i docierając do szatni, gdzie wrzucam brudne ręczniki do pralki.

Nie zdążyłam tam spędzić nawet dwóch minut, gdy coś nagle przyciska moje biodra do chłodnego metalu urządzenia. Na uchu czuję ciepły oddech, a na moje plecy napiera ciepłe ciało.

– Wiesz, że tego chcesz – szepcze Dominic, jego dłoń ściska mój tyłek. Mocno. – Po prostu idź. To jedyne, co musisz zrobić.

Spoglądam w bok, aby upewnić się, że nikogo tu z nami nie ma, a następnie wyslizguję się z jego uścisku, odwracam i patrzę mu w oczy.

– Wiesz, że to ty chcesz, żebym tak zrobiła – odpowiadam. Z tymi słowami wyciągam rękę i nakrywam dłonią jego krocze, robiąc to właściwie po raz pierwszy. Przez sekundę gładzę dzins, a potem chwytam go przez materiał. Z trudem przełyka ślinę. – Może nie?

Spogląda na mnie niebezpiecznie, jego oczy ciemnieją w miarę, jak twardnieje jego penis. Nic nie odpowiada, więc ściskam go mocniej.

– Tak czy nie?

Nie wzdryga się, mimo że mój uchwyt musi sprawiać mu ból. Wciąż jest twardy, ale to nie powinno mnie dziwić. Mówił przecież, że odrobina bólu nie zaszkodzi.

– Tak – odzywa się w końcu, wprawiając mnie w szok. Nie spodziewałam się, że to przyzna.

Uśmiecham się, powolnym uśmiechem, który rozlewa się po całej twarzy.

– Więc idź – polecam mu.

W jego oczach błyska niebezpieczna iskierka i widzę, że podoba mu się mój rozkazujący ton. Odwraca się na pięcie i wychodzi z pomieszczenia. Zanim zniknie, przyglądam się jego szerokim ramionom, czując formującą się w brzuchu ekscytację. Czekał tylko chwilkę, zanim ruszam za nim ku schowkowi.

Otwieram drzwi, ale ze zdziwieniem odkrywam, że w środku jest pusto. Nie ma go.

– Co, do...

Ale wtedy zjawia się w wejściu, wypełniając sobą pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi.

– Myślałaś, że możesz mi dyktować, co mam robić? – pyta cicho, zmuszając mnie, abym się cofała, aż moje plecy oprą się o ścianę. – Nie tak to działa, księżniczko. Choć jestem pełen podziwu, że miałaś do tego jaja.

– Sądziłam, że ustaliliśmy już, że ich nie mam? – Unoszę brew. Śmieje się niskim, zachrypniętym śmiechem.

– Może powinienem sprawdzić jeszcze raz.

Spodziewałam się jego dłoni.

Ale to nie dłoń mi daje.

Dominic opada na kolana i zdejmuje mi przy tym spodenki. Są na gumce, więc łatwo je zsunąć, a on w pełni to wykorzystuje. Ściąga je na sam dół, aż zwijają mi się wokół kostek.

Bez wstępów wpycha we mnie język, mokry i gorący. Pomieszczenie natychmiast wypełnia się jego energią, jego jakże mroczną energią. To coś pierwotnego... jakby Dominic przejmował pełną kontrolę nad sytuacją. To cudowne. Głowa zaraz mimo woli opada mi w tył, a ja chwytam się kurczowo półek za plecami.

– Każdy może tu przyjść – udaje mi się wykrztusić, podczas gdy walczę o głębszy oddech, gdy, by to szlag, staram się złapać jakikolwiek oddech. Dominic odsuwa się.

– Prawda – przyznaje, robi pauzę. – Ale nikt nie przyjdzie. Tylko ty i ja tu zachodzimy. Ty za to zaraz dojdiesz.

Znów wsuwa we mnie język, raz po raz, aż dyszę i, rozdygotana, trzymam się kurczowo jego pleców.

A potem naprawdę dochodzę.

Tak po prostu.

Dochodzę i dochodzę, mięśnie mojej macicy się kurczą, uda mi drżą.

Dominic natychmiast się podnosi, szczerząc zęby niczym kot z Cheshire. Schyla się, podciąga mi spodenki, a potem opuszcza głowę do mojego ucha.

– Uwielbiam twój smak.

Po czym wychodzi. Jakby to nigdy się nie wydarzyło. Jak zwykle.

Wspieram się o ścianę za sobą, łapiąc oddech i czekając, aż kolana przestaną mi się trząść. To się stało. Właśnie zostałam doprowadzona do orgazmu językiem, w schowku... przez Dominica Kinkaide. Jasna cholera.

Kiedy już jestem w stanie, wślizguję się z powrotem do głównej sali centrum, nonszalancko, tak swobodnie, jak tylko potrafię. Dominic przytrzymuje worek treningowy chłopcu, którego jeszcze nie poznałam, ale kiedy go mijam, chwytam moje spojrzenie.

– Wszystko dobrze, Jacey? – pyta niewinnie, jakby nie wiedział, że nogi mam jak z waty. Ani z jakiego powodu.

– U mnie? Wszystko wyśmienicie – odpowiadam tak samo niewinnie jak on. Mruga, a potem oblizuje wargi.

– Wiem o tym – rzuca.

I, tak po prostu, moje serce znów wali z prędkością obracających się śmigieł helikoptera. Wystarczy, że ten facet na mnie spojrzy, i już po mnie. Całkiem szczerze pragnę tylko, żeby zaniósł mnie do łóżka,

gdzie zaszylibyśmy się na cały weekend, nie robiąc nic poza patrzeniem sobie w oczy.

Kurwa. To nie może być dobry znak. Bo on nie chce patrzeć mi w oczy. Chce obezwładnić mnie swoimi sekscesami. Prostuję ramiona i odwracam się od niego.

Przez resztę naszej zmiany usiłuję ignorować Dominica i skupić się na rzeczach innych niż rozmowy z nim. Ale wilgoć w bieliźnie przypomina mi od czasu do czasu o tym, co zaszło, tak samo jak jego łobuzerski uśmiech, który posyła mi, gdy przypadkiem napotkam jego spojrzenie. Mimo to, uparcie go unikam.

Czemu?

Bo stanowi dla mnie niebezpieczeństwo.

Bo chociaż to ma być zabawa, tymczasowa i nieznacząca, czuję, że mnie wciąga. Czuję, że zaczynam się przywiązywać, a na to nie mogę pozwolić. Tego mieliśmy uniknąć.

„Nie przypominam sobie, żebym proponował, abyśmy byli razem”. Tak powiedział. Nie chce mnie w taki sposób, nie” aby stworzyć coś prawdziwego. Jest ogromnie zmienny i zawsze, ale to zawsze wycofany. Jeśli popełnię ten błąd i zacznę oczekiwać od niego czegoś prawdziwego, zostanę zmiażdżona, jak zawsze, ponieważ to będzie kolejna zła decyzja z mojej strony.

Coś kłuje mnie w sercu, gdy z pełnym rozmysłem sobie o tym przypominam. Ale taka jest prawda. A ja nie uciekam przed prawdą.

Chociaż czasami się przed nią chowam. Bo gdy po pracy, na parkingu, Dominic odwraca się do mnie i oznajmia: „Hej, w piątek wieczorem muszę lecieć do Kalifornii, żeby kręcić przez weekend. Chcesz się wybrać ze mną?”, z moich ust natychmiast pada jedno słowo, zanim w ogóle zdążę to przemyśleć, zanim po raz kolejny powtórzę sobie, że nie mogę dać się wciągnąć.

– Tak.

DOMINIC

Wsuwam ręce pod sukienkę Jacey, przyciągając dziewczynę do siebie, jej biodra wbijają się w moje.

– Przeleć mnie – szepcze mi do ucha, jej paznokcie znaczą pionowy ślad na moich plecach. Związany z tym ból mnie podnieca, ale jeszcze bardziej podnieca mnie jej zapach. Unoszę ją w górę i gryzę w wargę, wpychając język w jej usta, a następnie rozpinam pasek i ściągam spodnie.

Zawisam nad nią tylko na chwilę, a potem wchodzę w nią głęboko. Jęczy i wije się pode mną, jej palce zaciskają się na pościeli.

– Dominic – szepcze. – Wstań.

Nieruchomieję i spoglądam na nią zdezorientowany, bo jestem twardy jak skała.

– Już dawno stoję, skarbie – odpowiadam. – I to dla ciebie. – Znów na nią napieram, a ona się uśmiecha.

– Wstawaj – odzywa się ponownie, chichocząc. Ale głos ma teraz głębszy, męski. Nie jest to jej zwykły, seksowny głos.

Na moment ogarnia mnie konfuzja, aż uświadamiam sobie, że śnię. Ale właśnie się budzę i wcale nie jestem z Jacey. Przy moim łóżku stoi za to Sin, rechocząc jak ropucha.

– Co z tobą, Dom, do cholery? – śmieje się. – O czym u diabła śniłeś? Albo powinienem raczej zapytać: o kim. Jęczałeś jak cholera.

Chwytam poduszkę i przyciskam sobie do twarzy, wdychając woń gęsiego pierza, ze wszystkich sił starając się pozbyć erekcji. Margaret Thatcher. Naga. W chłodny dzień.

– Wynocha – warczę na brata. – Co ty odwalasz, Sin?

Jeszcze przez chwilę chichocze, a w końcu wciska mi w dłoń telefon.

– Zostawiłeś to w kuchni, a Tally dzwonił już cztery razy. Może lepiej oddzwonić.

– Która godzina? – pytam chrapliwie, ale już za późno. Słyszę, jak za Sinem zamykają się drzwi. Leżę nieruchomo jeszcze przez kilka minut, a potem rzucam poduszką o ścianę.

Co, do cholery? Jestem na siebie wściekły o mnóstwo rzeczy, ale przede wszystkim o ten sen z pieprzeniem Jacey. Co. Do. Kurwy. Nędzy? Nie bez powodu przetransformowałem się w objętego celibatem na pieprzenie mnicha (albo raczej w moją własną wersję mnicha). I nie ma żadnego usprawiedliwienia dla snów o pieprzeniu kogokolwiek, w tym Jacey.

Zerkam na zegarek. Dziewiąta, kurwa, trzydzieści. To chyba dobrze, że Sin mnie obudził, bo inaczej znów spóźniłbym się do centrum sportowego... a wierzę Joemu na słowo. Jeśli jeszcze raz się spóźnię, mogę w ogóle się nie pokazywać. Jezu.

Wkładam pierwsze lepsze ciuchy, spryskuję się wodą kolońską i ruszam do drzwi, dzwoniąc do Tally'ego z auta.

– Co? – pytam, gdy odbiera. – Co jest takie ważne, że musiałeś dzwonić aż cztery razy?

Tally wzdycha do telefonu.

– Chciałem się tylko upewnić, że wsiądziesz dziś wieczorem do samolotu. Wszystko załatwiłem... I powiedziałem Amy Ashby, że też może się zabrać. Jest w Chicago z wizytą u swojego chłopaka. Wróci z tobą.

– Zabieram kogoś ze sobą – informuję go, włączając się do ruchu. – Dopisz ją do listy pasażerów. Jacey Vincent.

Tally wzdycha ponownie.

– Och, Amy się ucieszy...

– Gównu mnie to obchodzi – oznajmiam szczerze. – To mój samolot. Poza tym sama odwiedza właśnie chłopaka. Też nie powinno jej zależeć.

Ale obaj wiemy, że będzie inaczej. Bo z Amy Asby taka już jójcząca suka. Uważa, że wszystko i wszyscy należą do niej. Ale Jacey jest przebojowa, więc wiem, że sobie z tym poradzi. Przez głowę przemyka mi wspomnienie tego, jak kopnęła Jake'a w pierś z półobrotu, i uśmiecham się. Taaak, da sobie radę w każdej sytuacji, czy w grę wchodzi jędrza z Hollywoodu, czy młodociany przestępca.

– Odkąd to ciągasz za sobą kobietę? – chce wiedzieć Tally, kiedy już przeliterowałem mu jej imię, aby mógł ją wpisać na listę pasażerów. Przewracam oczami.

Odkąd ta kobieta wwierciła mi się w głowę niczym czerw, aż zacząłem śnić erotyczne sny o zerżnięciu jej. Ale oczywiście nie mówię tego na głos. Zamiast tego warczę i rozłączam się.

Pozostałą część drogi do centrum odbywam w ciszy, gapiąc się na jezdnię. Gapię się na swoje dłonie, na niebo, na inne samochody. Ale nie udaje mi się tym sposobem odwrócić własnej uwagi od tego, co powiedział Tally. Odkąd to ciągam za sobą kobietę?

Cholernie dobre pytanie.

I jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, brzmi: odkąd jedna taka mnie zafascynowała. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, i chociaż to nierozsądne, nie jestem jeszcze gotowy się od niej odciąć. Nie wiem dlaczego.

Dla mnie to też zadziwiające. Równie jak sama Jacey, ciekawią mnie własne uczucia do niej. Nie lubię zbliżać się do ludzi. Nie lubię dawać im okazji, by mnie zranili, posłużyli się mną, wykorzystali.

Ale ona nie dała mi powodu, bym uważał, że zamierza zrobić którąś z tych rzeczy, przypominam sobie. O to w tym wszystkim chodzi. Po raz pierwszy od dłuższego czasu daję komuś możliwość udowodnienia mi, że nie jest jak cała reszta. Ale gdy tylko to zrobi... będzie po wszystkim.

Albo gdy tylko uznam, że nie jest tak prostolinijną i otwartą osobą, na jaką wygląda, wtedy z nami koniec.

Kiedy docieram do centrum sportowego, przyjaciel Jacey, Brand, znów wysadza ją z auta, a ja walczę z grymasem. Nie podoba mi się swoboda bliskiej osoby, z jaką ją traktuje. Nie podoba mi się, że ona mu na to pozwala.

Twierdziła, że Brand jest dla niej jak brat. Że to niemożliwe, by myślał o niej inaczej niż w braterskich kategoriach. Ale nie ma szans, żeby nie dostrzegą tego, co ja widzę.

Wpatruję się w kolesia, jak odprowadza wzrokiem idącą ku drzwiom Jacey. Z całą pewnością nie przygląda jej się jak brat. Jego oczy przesuwają się od jej tyłka ku ramionom, z powrotem na biodra. To spojrzenie pełne uznania.

A potem nagle spogląda na mnie, gdy przytrzymuję Jacey drzwi.

W jego oczach widzę milion rzeczy, całą miriadę emocji. Zazdrość, urazę, frustrację. Ale przede wszystkim – groźbę.

Trzymaj się od niej z daleka. Choć niewypowiedziane, jej znaczenie jest całkiem jasne. Spokojnie odwzajemniam spojrzenie, nie cofając się, aż wreszcie to on odwraca wzrok i odjeżdża.

– No i co, do cholery? – pry cham na Jacey. – Nie masz zamiaru naprawić własnego auta?

Patrzy na mnie ostro, zaskoczona moją irytacją. Mnie też to zaskakuje, ale nic nie mogę poradzić. Nie ma najmniejszych szans, żeby nie dostrzegą, jak mocno Brand się w niej buja. A skoro niemożliwe, aby była tak ślepa, to znaczy, że nie jest wcale taka przyzwoita, jak chciałbym wierzyć, bo go zwodzi.

Co oznacza, że mnie zawiodła. I choć tego się spodziewałem, zdumiewa mnie, jak wielkie czuję rozczarowanie.

– Nie wszyscy śpią na pieniądzach – warczy, sprowadzając mnie na powrót do bieżącej rozmowy. – Dam samochód do naprawy, kiedy tylko będę mogła.

Potrząsam głową i wchodzę za nią do środka. Czy to możliwe, że naprawdę potrzebuje jego pomocy i nie wykorzystuje go celowo? Bardzo chciałbym w to wierzyć, ale naprawdę trudno to łyknąć.

– Ruszamy zaraz po pracy – oznajmiam jej szorstko. – Wzięłaś torbę?

Kiwa głową.

– Taaak. Jeśli po południu będziesz w lepszym humorze, to faktycznie się z tobą zabiorę.

Powiedziawszy to, odmaszerowuje. Patrzę, jak się oddala... nos zadarty wysoko, ramiona wyprostowane, tyłek w krótkich spodenkach spięty. Jej postawa sprawia, że uśmiecham się mimo woli. To chyba jedna z rzeczy, które najbardziej w niej lubię. Złościca z niej. To pewne.

Ale zamieram, gdy uświadamiam sobie, co właśnie zrobiłem.

Przyznałem, że lubię Jacey.

Kurwa. To nie może być dobry znak.

To oznacza, że czas już z tym skończyć. Teraz. To, plus cała ta sytuacja z Brandem, stanowi wystarczający powód, żeby uciąć całej sprawie pieprzony łeb i mieć to z głowy.

Wyciągam z kieszeni komórkę, mając szczerzy zamiar udać, że właśnie otrzymałem telefon od Tally'ego, który poinformował mnie, że zdjęcia odwołane, ale wtedy zerkam na Jacey.

Kłęczy na podłodze, spoglądając w górę na Jake'a, ze wszystkich sił starając się rozwiązać mu sznurówki. Są zabłocone i ohydne, ale wydaje się, że jej to nie przeszkadza, kiedy tak próbuje pomóc. Gdy się z niego śmieje, jej uśmiech jest szczerzy, a gdy kieruje wzrok w moją stronę, również się uśmiecha.

Z głębokim westchnieniem wsuwam telefon z powrotem do kieszeni. Jeszcze nie mogę tego zrobić... nie dlatego, że boję się własnych uczuć do niej, ani nie z powodu moich podejrzeń co do Branda. To nie są wystarczające powody.

Celem tego wszystkiego jest przekonanie się, czy będę w stanie przezwyciężyć swoje obawy dotyczące ludzkości i dać jej szansę.

A poza tym jeszcze z nią nie skończyłem.

Rozdział 15

JACEY

Nigdy wcześniej nie byłam w wycarterowanym samolocie, ale staram się tego nie okazywać. Usiłuję powstrzymać się przed gapieniem się wokół jak idiotka... na lśniący odrzutowiec, na załogę, która czeka, by nas przyjąć, i na rozciągnięty dla nas dywan.

Kurde. Czy sławni ludzie naprawdę tak żyją?

Nonszalancko wspinam się za Dominikiem po schodkach do samolotu, próbując wyglądać na jak najbardziej zblazowaną. Ale gdy Dominic odwraca się do mnie i pyta, na której skórzanej sofie chciałabym usiąść, widzę iskierki w jego oczach i wiem, że on wie. Wie, że jestem totalnie oszołomiona. Mimo to, nie dam mu tej satysfakcji i nie przyznam się do tego.

– Wszystko jedno. – Wzruszam ramionami. – Wyglądają dokładnie tak samo. – Co znaczy, że wszystkie okrywa droga, miękka niczym masło, włoska skóra. Dominic szczyrzy zęby.

– Okej. – On także wzrusza ramionami. – Zajmiemy tę. Amy może wziąć tę drugą.

– Amy? – Unoszę brew. Dominic przybiera zaskoczony wyraz twarzy.

– Czyżbym zapomniał ci powiedzieć? Amy Ashby jest w Chicago. Leci z nami.

Czuję, jak w piersi formuje mi się monstrualny ciężar, przełykam z trudem.

– Em, tak. Chyba zapomniałeś wspomnieć o tym szczególe. – Mam lecieć z jedną z najślawniejszych aktorek świata, która na dodatek znana jest z jędzowatości. Super.

Dominic przygląda mi się z ciekawością, zajmując miejsce, pociągając mnie za sobą.

– To jakiś problem? Przepraszam, że zapomniałem ci powiedzieć. Sam dowiedziałem się dopiero wczoraj wieczorem.

Kręcę głową.

– Nie, oczywiście, żaden problem. Wszystko w porządku.

Nie jest w porządku. Nogi znów mi się trzęsą, co mnie wkurza. Nikt nie jest od ciebie lepszy, przypominam sobie. Jest sławna, to wszystko. Praktycznie mamroczę do siebie, sadowiąc się obok Dominica, odruchowo zzymając się na jego spokój i opanowanie.

Ale on jest do tego przyzwyczajony. Jest przyzwyczajony do ekskluzywnych samolotów, gwiazd z Hollywoodu i ludzi będących na każde jego zawołanie czy skinienie dłoni. Biorę głęboki oddech. Ja może i nie jestem do tego przyzwyczajona, ale ogarnę to. Dam radę. Odwracam się do niego.

– No to jak długo będziesz siedział w weekend na planie? Słyszałam opowieści rodem z horroru, jak to nieraz zdjęcia ciągną się dniem i nocą.

Dominic śmieje się cicho.

– Wszystko zależy. Ale na razie kręcimy małe kawałki, krótsze sceny. Do głównej części filmu przejdziemy dopiero, gdy na dobre wrócę do Los Angeles. Jestem aktorem charakterystycznym, więc trudno mi się wczuć w rolę, kiedy muszę bez przerwy latać między Chicago a Los Angeles.

– I ludziom ze studia to nie przeszkadza? – pytam z powątpiewaniem.

Zaczyna odpowiadać, lecz przerywa mu kobiecy głos.

– Im może nie, ale mnie tak – prycha Amy Ashby, która wdziera się do samolotu z wrzaskliwym

pieskiem w ramionach. Jest patykowato chuda i ma ogromne cycki, które muszą być sztuczne. – To jakaś bzdura, Dom. Totalna bzdura.

Dominic odwraca się do mnie, przewraca oczami, a potem z westchnieniem ponownie spogląda na Amy.

– Cześć, Amy. Jak dobrze cię widzieć.

Mam ochotę zachichotać na dźwięk jego zrezygnowanego tonu i na widok oburzonego wyrazu, w jaki układa się jej mocno umalowana twarz, ale jakoś się powstrzymuję. Coś mi mówi, że nie byłoby to najlepsze pierwsze wrażenie.

Aktorka spogląda na mnie zmrużonymi oczyma, nagle niezmiernie zainteresowana.

– Kto to jest?

– Moja przyjaciółka Jacey – odpowiada Dominic swobodnie, rozpierając się na sofie z ramieniem zarzuconym luźno na oparcie za moimi plecami. Podoba mi się poczucie bezpieczeństwa, które z tego faktu czerpię, bijące od jego ręki ciepło. To jak kotwica w morzu nieznanego gówna.

– Miło mi cię poznać – odzywam się uprzejmie. – Uwielbiam twoje filmy.

Amy prycha, patrząc na mnie z góry i układając swojego pieseczka na siedzeniu, po czym zwraca się do stewardessy:

– Będę potrzebowała wody dla Pichachu. Pija jedynie aqua panna. Jeśli jej nie macie, musicie zdobyć zapas, zanim wystartujemy. – Odwraca się, nie czekając na odpowiedź, a ja nie mogę powstrzymać chichotu, bo imię jej pupilka brzmi jak kichnięcie.

– Po co z nami lecisz? – pyta mnie aktorka obcesowo, sadzając sobie pieska na kolanach, gładząc jego napuszoną sierść. – Plan będzie zamknięty.

– Od kiedy? – rzuca Dominic ostro. – Wcale o to nie prosiłem.

– Ale ja tak. – Amy wpatruje się w niego. – No, a przynajmniej taki mam zamiar. Nie mam ochoty, żeby ta twoja dziewczyneczka przyglądała się naszym scenom erotycznym. – Obdarza mnie nieruchomym, błyszczącym, niebieskim spojrzeniem, a mnie zadziwia jej wrogość, bo przecież nic jej nie zrobiłam.

Jezu. Co za suka. Jeszcze koszmarniejsza, niż się spodziewałam. Dominic śmieje się bez śladu radości, podczas gdy Amy zakłada jedną chudą nogę na drugą i wbija w niego wzrok.

– Przecież nie uprawiamy seksu tak naprawdę, Amy, na planie czy poza nim. Ale jak sobie chcesz. Rób, na co masz ochotę. – Policzki Amy pokrywają się rumieńcem i kobieta odwraca głowę, wysoko zadzierając podbródek.

Dominic zwraca się do mnie.

– Możesz albo rozgościć się u mnie w przyczepie, albo zostać w domu przy basenie. Tak czy inaczej, będziesz się dobrze bawić. Obiecuję.

Kładzie mi rękę na nodze, zaborczym gestem, i gapi się na Amy. Ta nie może się powstrzymać i odpowiada tym samym; nie jestem pewna, co Dominic chce jej przekazać, ale co by to nie było, wyraźnie działa. Bo ona jest wyraźnie wkurzona.

– Gadaj zdrów, Dom. Wiesz, że to nieprawda. Oboje o tym wiemy.

Jej słowa są lodowato chłodne i pełne jadu. Z Dominikiem nie będziesz się dobrze bawić. To właśnie ma na myśli.

Ale Dominic ją ignoruje. Spogląda na mnie i zmienia pozycję, całkowicie mnie od niej odgradzając.

– Zaplanowałem kilka rzeczy – oznajmia mi konwersacyjnym tonem. – Myślę, że ci się spodobają. – Słyszę, że Amy prycha, ale nie komentuje.

– Jestem tego pewna – zgadzam się. Zdaję sobie sprawę, że jego dłoń wciąż tkwi na moim udzie, jej palce lekko ściskają ciało. – A dostanę jakąś wskazówkę?

Dominic uśmiecha się, nachyla i szepcze mi do ucha:

– Co wzięłaś do ubrania?

Patrzę na niego, ale nim zdołam odpowiedzieć, on ciągnie:

– Bo i tak nie będzie ci to potrzebne.

Przełykam głośno, a potem się uśmiecham.

– Może. – Wzruszam ramionami. – Zobaczymy.

Uśmiecha się wiedząco.

– O tak, zobaczymy. – Znów chichocze, a niebezpieczny błysk powraca do jego oczu. Ten, który tak uwielbiam. Oznacza, że spodoba mi się to, co zaraz nastąpi.

– Przyniosłem ci coś – oznajmia mi cicho. – Uprzejmni ci czas podróży.

Spoglądam na niego.

– Coś mi mówi, że to nie krzyżówka.

Dominic śmieje się, jego zęby lśnią bielą.

– Em, nie. To coś milion razy lepszego. – Sięga do kieszeni kurtki i wyciąga małe nieopisane pudełko. Pochylając się w przód, szepcze mi znów na ucho, jego ciepły oddech owiewa mi policzek. – Lubię perwersję. Różne sprośności. Czy to będzie problem?

Wciążam powietrze. Perwersja? Uśmiecham się, mimo zatrwożenia.

– Wszystkiego w życiu spróbuję – mamroczę.

Szczerzy zęby w diabelskim uśmiechu.

– Dobrze. Idź do łazienki. Wsuń to.

Wsuń?

Znów się w niego wpatruję, na wpół zszokowana, na wpół chętna, by przekonać się, o co chodzi. Wyciągam dłoń i przeszywa mnie dreszcz, gdy Dominic wręcza mi pudełko.

– Zaufaj mi – szepcze i puszcza oko.

Taaak, jasne. Zaufać mu. Z jakiegoś powodu jestem w stanie dokładnie wyobrazić sobie Lucyfera we własnej osobie, który mówi te same słowa z tym samym wyrazem twarzy. I, tak szczerze, Lucyfer byłby może bezpieczniejszą opcją niż Dominic.

Mimo wszystko, ruszam do łazienki na tyłach samolotu i zamykam za sobą drzwi, aby móc w spokoju otworzyć pudełko.

Odchylam wieczko i wciągam gwałtownie powietrze. W samym środku, na białej bibułce, leży srebrny przedmiot przypominający kształtem nabój, błyszczący w mdłym świetle łazienki. Podnoszę go; jest ciężki i chłodny. Nie ma żadnej instrukcji, ale instynktownie wiem, gdzie należy go włożyć.

Gdzie należy go wsunąć.

Dobry Boże. Na moment ogarnia mnie panika, lecz zaraz się uspokajam. On może sobie być Pieprzonym Dominikiem Kinkaidem, ale ja jestem Pieprzoną Jacey Vincent i niczego się nie boję. Dam radę. Tak bardzo dam radę.

Lubię nowe rzeczy, do cholery.

Trzęsącymi się palcami ściągam szorty i majtki i wkładam srebrny nabój, moszcząc go, gdzie trzeba. We mnie. Znów wciągam powietrze, gdy chłodny metal wsuwa się do środka.

Prostuję się i poprawiam ubranie.

Nie jest tak źle. To jak metalowy tampon. Ledwie go czuję. Wrzucam pudełko do kosza na śmieci i wracam do Dominica.

– Wszystko poszło jak należy? – pyta niewinnie, przyglądając mi się, gdy przypinam się obok niego pasami.

– Oczywiście – odpowiadam. – Dziecinnie proste.

Przewraca oczami.

– Neeee – mówi przeciągle. – Nie ma w tym nic dziecinnego. Obiecuję.

I w jego głosie faktycznie słyhać obietnicę, mroczną i seksowną obietnicę. Patrzę mu w oczy i na chwilę gubię się w tych lśniących zielonych głębiach.

Potrząsam głową, wytrząsając z siebie rozedrgane uczucia, i wyglądam za okno, podczas gdy samolot

kołuje na pas startowy, a potem wzbija się w powietrze. Gdy osiągamy pułap przelotowy, rozsiadam się wygodniej na sofie, w objęciu Dominica. Latanie zawsze sprawia, że trochę się denerwuję, ale uspokajam się po starcie.

– Wygodnie? – pyta miękko. Kiwam głową.

– Tak. Myślę, że może się zdrzemnę.

– Och, ja myślę, że jednak nie – mruży. I na te słowa nabój we mnie zaczyna wibrować na tyle gwałtownie, że momentalnie odginam głowę w tył. Podczas gdy wibracje rozchodzą się po całym moim ciele i pojawia się zagrożenie, że całkiem przejmą nade mną kontrolę, zauważam, iż Dominic trzyma coś w lewej ręce.

Mały pilocik.

Moje oczy mkną na spotkanie jego oczu, a w nich czai się to spojrzenie. To niebezpieczne, seksowne spojrzenie.

Kurwa.

Mam ochotę oprzeć głowę o poduszki sofy, poddać się wibracjom, które niosą mnie ku orgazmowi, ale nie mogę. Amy siedzi naprzeciw mnie. Wsadziła nos w kolorowy magazyn, ale w każdej chwili może podnieść wzrok i ujrzeć, jak wiję się na siedzeniu.

Siedzę więc sztywno, trzymając kolana razem, zaciskając szczęki.

A Dominic się uśmiecha.

Gdy to robi, wibracje ustają. Jego palec odsuwa się od przycisku, a on wpatruje się we mnie, szczerząc zęby.

– Jak na razie podoba ci się przejażdżka? – zagaduje niewinnie. Biorę głęboki oddech i zbieram się w sobie, zmuszając język do kształtowania spójnych słów.

– Jest miło – odpowiadam wreszcie. – Nigdy wcześniej nie leciałam prywatnym odrzutowcem. Jest inaczej, niż się spodziewałam.

Chichocze na to cichutko i jest to szczerzy śmiech.

– O, to na pewno – mówi, nadal szczerząc zęby. Porusza dłonią, a ja wzdrygam się w oczekiwaniu na kolejną falę wibracji, lecz on sięga po szklanekę wody. Uśmiechem kwituje moją reakcję.

– Jesteś jakaś podenerwowana – zauważa. – Powinnaś się zrelaksować. Lot ma przebiegać gładko. Nie ma się czym martwić.

Przewracam oczami.

– Wcale się nie martwię.

– Nie? – Unosi brew, a ja podskakuję, gdy wibracje ponownie zalewają obszar wokół mojego łona, i stwierdzam, że pocą mi się dłonie. – A teraz?

Amy zerka na nas znad swojego magazynu, ale gdy tylko nasze spojrzenia się spotykają, odwraca wzrok. Celowo unika interakcji ze mną i w tym momencie bardzo mi to odpowiada.

– Teraz czuję się całkiem dobrze – udaje mi się odpowiedzieć zwykłym, neutralnym tonem. – Bardzo dobrze.

Dominic chichocze, a ja przez chwilę bezgłośnie go przeklinam. Ale w tym samym czasie pulsujący nabój rozsyła po moim ciele ciepło, formując fale orgazmu, które mogłyby tak mnie obmywać już zawsze. Coś w samym wibratorze, w połączeniu z faktem, iż znajduję się w miejscu publicznym – pod nosem jednej z najbardziej znanych aktorek świata oraz załogi samolotu – sprawia, że cała ta przygoda staje się zachwycająca.

Najwyraźniej jestem dziwaczką.

Zupełnie jak Dominic. Widzę po jego twarzy, że też go to podnieca. Niezwykle podoba mu się myśl, że dochodzę w obecności wszystkich tych cudownie nieświadomych ludzi. Dostrzegam to w jego oczach.

Zaciskam zęby, gdy pochyla się nade mną stewardessa.

– Życzysz sobie poduszkę, moja droga? – Uśmiecha się, a moje czoło zrasza pot.

– Nie... – zająkuję się i przełykam ślinę. Wibracje przyspieszają odrobinę. – Nie, dziękuję – wyduszam z siebie w końcu. Kobieta przygląda mi się z zaniepokojeniem.

– Wszystko w porządku?

Znów zaciskam zęby.

– Tak – wykrztuszam wreszcie. – W porządku.

Wciąż patrzy na mnie z niepokojem, ale posyła mi uśmiech.

– Dobrze. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

Kiwam głową, nie będąc już w stanie mówić, całe moje ciało wtapia się w sofę. Nie udałoby mi się w tej chwili wstać, nawet gdyby samolot stanął w płomieniach i musiałabym salwować się ucieczką. Byłoby już po mnie.

Wyciągam rękę i mocno ściskam prawą dłoń Dominica. Moje palce oplatają jego palce, moje paznokcie wbijają się w jego skórę, kiedy jeszcze bardziej podkręca prędkość wibratora.

– Cholera jasna – dyszę. Uśmiecha się błogo. Zamykam oczy i wciągam głęboko powietrze, najpierw wdech, a potem wydech. A potem wstrzymuję oddech, bo wiem, że zaraz dojdę. Tutaj, przed Bogiem i wszystkimi ludźmi w samolocie, zaraz, do cholery, dojdę.

Kiedy to się dzieje, mam ochotę wdrapać się na ścianę odrzutowca, bo doznania z mocą kołyszają całym moim ciałem. Nogi mi drżą i jestem prawie pewna, że oczy wychodzą mi z orbit. A Dominic mimo to się uśmiecha. Ściskam go za rękę jeszcze silniej, palce mam zwilgotniałe, aż wreszcie zwalnia przycisk i doznania ustają.

Puszczam jego dłoń i opadam na sofę z głową na oparciu.

– Już ci lepiej? – Na ustach Dominica pojawia się uśmieszek; obejmuje mnie swoim długim ramieniem.

Kiwam głową.

– O wiele. Czuję się, jakbym potrzebowała papierosa.

Dominic unosi brew.

– Nie wiedziałem, że palisz.

Uśmiecham się, zamykając oczy.

– Nie palę.

Śmieje się cicho, ale ja wiem, że długo nie wytrzymam. Jestem kompletnie wykończona... orgazmem oraz próbą ukrycia go. Pochłonęło to wiele energii. Nie wiem, ile mija czasu, ale wkrótce zasypiam. Moja ostatnia świadoma myśl dotyczy zapachu Dominica, który wypełnia mi nozdrza... piżmowy, męski... tak dla niego wyjątkowy.

Podróż prywatnym samolotem, jego prywatnym samolotem, jest tysiąc razy lepsza niż korzystanie z komercyjnych linii. Jak brzmi ten ich stary slogan? „Wzleć z nami w przyjazne nieba”? Taaak, Dominic naprawdę powinien wymyślić własny slogan.

Wzleć ze mną na sam szczyt.

Co znaczyłoby: polec ze mną, a sprawię, że będziesz szczytować.

Ale nagle na myśl, że Dominic mógłby zrobić to z kimkolwiek innym, na dno mojego żołądka opada stukilogramowy ciężar. Jestem roztrzęsiona, gdy zdaję sobie sprawę, że nie chcę, aby był z kimkolwiek innym.

Tylko ze mną.

Przełykam ślinę, bo to niebezpieczna myśl, kiedy mowa o kimś takim jak Dominic.

O kimś, kto, praktycznie rzecz biorąc, nie potrafi do nikogo się zbliżyć, nawiązać intymnej relacji. Wiem, że mam niby udowodnić, iż umiem być z kimś na luzie, nie zakochując się w nim, ale nie sądzę, żeby to leżało w mojej naturze. Nie jestem z tych dziewczyn, które to potrafią.

Muszę stawić czoła faktom, a one nie dotyczą wyłącznie mnie. Niektóre dotyczą także Dominica.

On nie jest typem „kumpla, z którym przy okazji sypiasz”.

Jest facetem, w którym dziewczyny się zakochują, i to na poważnie.

Zgodnie z zapewnieniem Dominica, lot przebiega gładko. Otwieram oczy dopiero, gdy koła dotknęły już ziemi, a on potrząsa mnie za ramię.

– Nie musisz iść do łazienki czy coś? – pyta. – W naszej jest pewnie przyjemniej niż na lotnisku.

To prawda. Kiwam głową i podnoszę się z sofy, a wtedy zdaję sobie sprawę, że Amy idzie za mną na tył samolotu. Zatrzymuję się, kiedy docieramy na miejsce.

– Chcesz iść pierwsza? – proponuję z wahaniem, bo kobieta patrzy na mnie jakoś dziwnie. Potrząsa głową.

– Nie. Chciałam ci tylko coś powiedzieć.

Och, świetnie. Nadchodzi cios.

– Co takiego?

Na jej wargach wykwita uśmiezek.

– Dominic nigdy cię nie zerznie. Wiem, że obnosisz się teraz, myśląc, że jesteś Bóg wie kim, ale miej świadomość, że on nigdy cię nie zerznie. Pewnie jest ukrytym gejem albo coś w tym stylu.

Wpatruję się w nią.

– A może po prostu nie chciał przerznąć ciebie – sugeruję pewnie. – Uważasz, że jeśli ktoś nie chce się z tobą pieprzyć, to zaraz musi być gejem? Jezu.

Odwracam się, ale ona łapie mnie za ramię szponiastymi palcami.

– Dominic lubi gierki. Będzie cię wodził za nos, aż się tobą znudzi. Nie mów, że cię nie ostrzegałam. – Znów posyła mi uśmiezek. Przewracam oczami.

– Och, tak, z pewnością robisz to z czystej dobroci serca.

Amy wbija we mnie twarde spojrzenie oczu jak ze szkła.

– Namówi cię do rzeczy bardziej zboczonych, niż możesz sobie wyobrazić – oznajmia lodowato. – A ty na wszystko się zgodzisz, bo będziesz chciała go zadowolić. Bo będzie ci się zdawało, że udowadniasz mu swoje zalety. Ale na końcu okaże się, że nie było warto. Ponieważ on nigdy nie będzie niczym więcej niż tylko skrzywionym dupkiem.

Zamykam jej drzwi łazienki przed nosem i opadam na muszlę klozetową, próbując się pozbiierać. Co to miało być, do cholery? Po co opowiada mi takie rzeczy? To znaczy, owszem, złośliwa z niej suka, ale serio. Jeśli Dominic nie chciał się z nią przespać, to znaczy jedynie, że nie chciał się z nią przespać.

Tyle że... Jedyna rzecz, która mnie zastanawia... to fakt, że ze mną też jeszcze nie spał. Prosiłam go o to wprost, a on odparł: „jeszcze nie teraz”.

Więc na usta aż ciśnie się pytanie: o co mu u diabła chodzi?

Nie jest gejem. To wiem. Wyczuwam to w sposobie, w jaki na mnie patrzy. Fizycznie też nic mu nie dolega. Niewątpliwie nie ma problemów ze wzwodem. Czułam jego erekcję, przyciśniętą do mojego ciała, zbyt wiele razy, by je zliczyć.

Dlaczego więc nie chce zrobić użytku z tych erekcji, którym absolutnie niczego nie brakuje?

A może chce. Może Amy ma rację i on po prostu używa ich do zboczonych celów. Ta cała akcja z doprowadzeniem mnie na szczyt w obecności Amy była dość perwersyjna. Palcówka na diabelskim młynie była perwersyjna. To, jak ukląkł przede mną w schowku, było perwersyjne.

On jest skrzywiony.

Co do tego nie ma wątpliwości. Pytanie brzmi jedynie: jak bardzo skrzywiony? I dlaczego? Mam wrażenie, jakby coś krzyczało w moją stronę, że z nim jest coś bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

I dokładnie to Amy stara się dać do zrozumienia.

Albo to, albo że on po prostu lubi pokręcone gierki.

To też zdaje się sugerować.

Wyjmuję nabój, wciskam do kieszeni, myję ręce i wychodzę, Amy już zniknęła, zeszła z pokładu ze swoim głupim rozwrzeszczanym pieskiem. Muszę przyznać, że czuję ulgę. Nie chcę więcej mieć z nią do czynienia. Wiem, że tysiące fanów pragnęłoby znaleźć się w tej chwili w jej pobliżu, ale jedynie dlatego, że nie zdają sobie do końca sprawy, jaka z niej jędba. To nie do pojęcia, chyba że ujrzy się na własne oczy.

Ponieważ nie musimy wlec się przez lotnisko jak normalni ludzie, już po kilku minutach opuszczamy terminal i rozsiadamy się na tyle limuzyny jadącej w stronę domu Dominica.

– Pierwszy raz jestem w Kalifornii – zagaduję nieuważnie, usiłując zachowywać się swobodnie, ukryć nierozstrzygnięte dylematy dotyczące Dominica, o których teraz rozmyślam, gapiąc się przez przyciemniane szyby na migający za oknami wiejski krajobraz. Jest tu sucho, dostrzegam jedynie kilka plam zieleni. Dominic unosi wzrok znad telefonu.

– Serio? Jak to możliwe?

Śmieję się.

– Bardzo możliwe. Nigdy wcześniej nie miałam powodu, by tu przyjeżdżać.

Dominic kręci głową, ale nie komentuje. Przez chwilę wpatruję się w tył głowy kierowcy i rozważam, czy powiedzieć Domowi, co mówiła mi Amy, ale postanawiam tego nie robić. Jaki w tym cel? Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie udzieli prostej odpowiedzi, a poza tym sam nie wydaje się choćby odrobinę przejęty Amy lub jej gadaniną.

Jazda na Wzgórza Hollywoodu nie trwa długo i muszę przyznać, że dotarcie do tej ekskluzywnej dzielnicy przyprawia mnie o łaskotanie w żołądku. Wyglądam za okno, zastanawiając się, kogo uda mi się dojrzeć, jak wychodzi ze swej posiadłości. A potem rzeczywistość uderza mnie jak młotem i przypominam sobie, że siedzę w limuzynie z jednym z najsłynniejszych aktorów na świecie.

To się dzieje naprawdę.

Przez chwilę się w niego wpatruję; siedzi w ciemnym wnętrzu limuzyny tak pełen swobodnej gracji, z nogami wyciągniętymi przed siebie.

– Fajna sztuczka z tym wibratorem – zwracam się do niego. – Nie spodziewałam się tego.

Przewraca oczami.

– Jak to w ogóle możliwe? Pracujesz dla Saffron, a nie wiesz, czym jest taki nabój?

Kręcę głową.

– Jestem kelnerką, a nie prostytutką, palancie.

Dominic szczyrzy zęby.

– Niech ci będzie. Czy nadal masz go założony?

Wyjmuję nabój z kieszeni i wręczam mu.

– Nie. Nie miałam pewności, czy znowu go nie użyjesz.

Dominic się śmieje.

– Mądrze. – Kiwa głową. – Bardzo mądrze. – Wsuwa wibrator do własnej kieszeni i patrzy przez okno. – Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmia, wskazując dom na końcu ulicy, przycupnięty na zboczu wielkiego wzgórza.

Na jego widok niemal wzdycham z zachwyty.

– O cholera. Twój dom jest nawet większy niż posiadłość Sina! – wykrzykuję, przyciskając nos do szyby. I to prawda. Jest ogromny, wyrefinowany i nowoczesny. Powinnam się była domyślić, że taki właśnie będzie.

Dominic uśmiecha się szeroko, usatysfakcjonowany moją reakcją.

– Niezależnie od tego, co Sin gada, wszystko, co moje, jest większe niż jego – oświadcza. Wybucham śmiechem, wysiadając z limuzyny.

– No cóż – mówię, wciąż chichocząc. – Jestem pewna, że nie miałeś żadnych zażaleń.

W ten sposób próbowałam złapać go na haczyk... mając nadzieję, że powie coś, cokolwiek, o

kobietach, z którymi kiedyś spał. Ale nie mówi ani słowa.

Wzdychając, spoglądam na górujący nad nami dom.

Jest majestatyczny. Przytłaczający.

– Zatrudniasz personel, czy musisz dbać o to wszystko sam?

Dominic kręci głową.

– Mam pokojówki, które przychodzą mniej więcej raz w tygodniu, ale na tym koniec. Cenię sobie swoją prywatność. Mam wprawdzie ochroniarzy, ale oni tu nie mieszkają. Towarzyszą mi jedynie, kiedy gdzieś wychodzę. To teren zamknięty, więc nie potrzebuję ich, gdy jestem w domu.

Kiedy wchodzimy do środka, wypuszczam powoli powietrze, moje obcasy stukają głośno na kamiennej podłodze foyer.

– Nie mogę uwierzyć, że utrzymujesz tak wielki dom tylko dla siebie – dziwię się, gdy wspinamy się po krętych schodach. Prowadzi mnie ku jednej z sypialni i otwiera drzwi.

Zatrzymuję się w wejściu.

– Dostanę własny pokój? – Unoszę brew. – Tego się nie spodziewałam. – Spodziewałam się, że będę spać w jego łóżku.

Zerka na mnie, a w jego spojrzeniu kryją się tysiące rzeczy.

– Pomyślałem, że będziesz chciała mieć trochę prywatności.

– To bardzo miło z twojej strony – mrużę, mijając go i wchodząc do swej luksusowej kwatery. Nie mogę narzekać. Pokój jest cudny... począwszy od wpuszczonej w podłogę marmurowej wanny, a skończywszy na fantastycznym widoku na otaczające nas wzgórza.

– Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, tylko powiedz – rzuca Dominic łaskawie. – Zostawię cię na chwilkę, żebyś mogła się odświeżyć, a sam wezmę prysznic. Spotkamy się za godzinę na kolację na werandzie? Słońce będzie akurat zachodziło, a nie chcesz tego przegapić.

Kiwam głową, a kiedy odchodzi, opadam bezwładnie na łóżko. Nagle wszystko zdaje się przytłaczające. Ta posiadłość, jędzowatość Amy, jej nieprzyjemne sugestie... wszystko. Wliczając w to Dominica i jego gierki.

Jego gierki.

Czy on bawi się ze mną w jakąś grę?

Jeśli tak, to ja w oczywisty sposób nie znam zasad.

Rozdział 16

JACEY

Czemu się tak dziwnie zachowujesz? – pytam Dominica, kiedy wsuwa sobie do ust kawałek sera. Gapi się na mnie.

– Mam łykać bez przeżuwania? – Unosi brew, a ja przewracam oczami.

– Wiesz, o czym mówię – wzdygam.

Wykonuję szeroki gest, wskazując ekskluzywny piknik, który Dominic zamówił w firmie cateringowej, romantyczny wystrój ze świecami i małymi lampkami migoczącymi nam nad głowami, wino... a także to, że Dom siedzi z dala ode mnie, po drugiej stronie werandy.

Wcześniej, gdy podniosłam się i siadłam obok niego, odczekał kilka minut, a potem się odsunął.

– O co u diabła chodzi, Dominic?

Wpatruje się we mnie ze zdumieniem.

– A czego się spodziewałaś, Jacey?

Irytuje mnie sposób, w jaki wymawia moje imię, tak płynnie, gładko i odlegle. Jakby w ogóle go nie obchodziło, czy jestem przygnębiona lub zdenerwowana, albo raczej, jakby nie obchodziło go zupełnie nic. Frustruje mnie to, bo coraz bardziej i bardziej zdaję sobie sprawę, że chcę, aby go obchodziło.

– Wiesz, czego się spodziewałam – pryham. – Twoje zachowanie jest mylące i zaczynam myśleć, że robisz to celowo, w ramach jakiejś popieprzonej gry. Chciałeś, żebym tu z tobą przyleciała, a do samolotu zabrałeś nawet zabawkę erotyczną, przez którą aż się skręcałam, ale teraz jesteśmy na miejscu, w zaciszu twojego domu, a ty nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Umieszczasz mnie w oddzielnym pokoju, siedzisz na drugim końcu werandy... Nie rozumiem cię.

– I to cię martwi? – Unosi brew. – Jesteś zła, bo cię tu przywiozłem, ale jeszcze nie przerzynałem? Nie pieprzę się z pierwszą lepszą, Jacey.

Jego oczy są teraz ciemne, mają twardy wyraz.

– A może jesteś zła, bo mnie nie rozumiesz? Bo jeśli to o to chodzi, to wierz mi, nikt mnie nie rozumie, więc nie jesteś w mniejszości.

Odpowiadam spojrzeniem, nie wiedząc, od czego zacząć.

– A czy ty siebie rozumiesz? Czy sam wiesz chociaż, co robisz?

Wzrusza ramionami, nieporuszony.

– Nie bardzo. Nie mam pojęcia, co tu z tobą robię, jeśli życzysz sobie szczerzej odpowiedzi.

– Wreszcie do czegoś dochodzimy – uznaję. – Amy powiedziała mi w samolocie parę nieprzyjemnych rzeczy. Powiedziała, że jesteś zbrojcem, który lubi gierki. Czy to prawda?

Zielone oczy Dominica ciemnieją.

– A jak ty uważasz?

Potrząsam głową.

– Nie. Nie odwracaj kota ogonem. Czy to prawda?

Wzrusza ramionami, usiłując udawać, że nie robi to na nim żadnego wrażenia, ale coś mi mówi, że przejmuje się bardziej, niż jest skłonny przyznać.

– To chyba relatywna kwestia – odpowiada spokojnie. – Amy to suka. Jej nie wciągałem w żadne popieprzone gierki. Od początku wiedziała, czego pragnę, a wkurzyła się dopiero, kiedy nie chciałem jej dać tego, czego ona pragnęła. A jeśli chodzi o bycie zbrojcem, jestem bardziej perwersyjny niż niektórzy ludzie, mniej niż inni.

Wpatruję się w niego.

– I to dlatego tu jestem? Bo chcesz ze mną robić perwersyjne rzeczy?

Potrząsa głową, a jego oczy ciemnieją jeszcze bardziej.

– Jacey, od samego początku chciałem z tobą robić perwersyjne rzeczy, ale nie o to tu chodzi. Chciałem cię tutaj wbrew podszeptom rozsądku. A teraz, kiedy już tu jesteś, nie jestem pewien, co z tobą zrobić.

Prostuję się na te słowa. Powiedział to tak protekcjonalnie. Nie jestem pewien, co z tobą zrobić. Jakbym była przedmiotem. Albo zabawką. Czymś, nad czym ma pełną kontrolę.

– Och, więc kiwnąłeś na mnie palcem, a ja przybiegłam? – Wstaję, poirytowana, rzucając serwetkę na wielką otomanę przed sobą. – Pierdol się. Nie ma tak, że ty machniesz ręką, a ja przybiegam. Jestem tu, bo cię lubię. Kropka. Ale nie będziesz sobie ze mną pogrywał, Dominic. Po tym, co ci opowiedziałam o typie facetów, z jakimi się dotąd borykałam, wkurza mnie, że w ogóle próbujesz. To nie fair.

Odmaszerowuję, mijając połyskujący basen, mając zamiar wrócić przez szklane drzwi do domu, ale gdy docieram do wejścia, on łapie mnie za ramię.

– Zostań – prosi cicho. – Przepraszam. Nie próbuję sobie z tobą pogrywać. Próbuję być z tobą szczery. To dla mnie nowa koncepcja i pewnie wychodzi mi to chujowo. Ale naprawdę chcę, żebyś została.

Patrzę w górę, w jego oczy, i odnajduję w nich szczerość. Nie starał się mnie zdenerwować czy kontrolować.

– Przepraszam – mamroczę. – Nie powinnam była pozwolić, żeby Amy tak mnie zasugerowała.

Jego twarz ma tak wyraźne rysy, od jej płaszczyzn odbija się światło księżyca i nagle mam ochotę przesunąć palcami wzdłuż jego kości policzkowej. Nie wiem dlaczego.

Ale i tak to robię.

Śledzę zarys jego policzka, zsuwając palce po jego szczęce. Czuję, jak napinają się jej mięśnie, podczas gdy oczy Doma wpatrują się we mnie z namysłem.

– Nie rozumiem cię – szepczę w końcu.

– Ja też się nie rozumiem – przyznaje. – Ale czy to ma jakieś znaczenie? Nadal chcesz tu być?

Chcę. Nie powinnam, ale chcę.

Pozwalam mu zaprowadzić się z powrotem na werandę, ku wyłożonym poduszkami leżakom i otomanom, gdzie siada obok mnie i przygląda mi się w zamyśleniu. Po raz pierwszy widzę go od tej strony... wpatzonego w siebie. Mówię mu to, a on się uśmiecha.

– Uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że nieczęsto spędzam czas z ludźmi? – rzuca, biorąc krakersa, smarując go pasztetem i wręczając mi. – Nie lubię dużych spotkań, chyba że z rodziną. A teraz... no cóż, skoro Cris umawia się z Fioną, w najbliższej przyszłości nie wybiorę się na wiele z nich.

Przyjmuję od niego krakersa i rozsiadam się wygodniej na leżaku, przyglądając mu się podczas jedzenia.

Jest taki pełen gracji, taki wyrafinowany, choć nie jest dużo starszy ode mnie. Znam te szczegóły... jego podstawowe dane, bo sprawdziłam w sieci. Ma dwadzieścia cztery lata. Metr osiemdziesiąt dziewięć wzrostu. Jest praworęczny. Ciemne włosy, zielone oczy. Ale te rzeczy to tylko... fakty. Nie wiem, co myśli.

– Dlaczego tak ci przeszkadza, że twoja siostra umawia się z Crisem? – pytam z wahaniem. – Wiem, że nie bardzo chcesz o tym rozmawiać, ale chciałabym wiedzieć. Boli mnie, gdy widzę, jak bardzo się tym przejmujesz. Kochasz swoją rodzinę. Musi chodzić o coś ogromnie znaczącego, skoro z tego powodu będziesz się trzymał od nich z daleka.

Dominic spina się, zakłada jedną nogę na drugą ciasniej niż przed chwilą i odwraca wzrok, przesuając nim nad doliną.

– Masz rację. Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać – odpowiada w końcu wolno. – Przykro mi, że ty byś chciała, ale ja nie mogę. Chodzi o coś, co wydarzyło się dawno temu, ale ja naprawdę nie potrafię o tym mówić.

Na jego twarzy odbija się ból oraz bezradność, kombinacja, której nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Wyciągam rękę i odgarniam mu włosy z czoła.

– Nic nie szkodzi – mruczę. – Nie musisz. Ja tylko... Smuci mnie, gdy widzę cię tak przybitego. Chciałabym spróbować pomóc ci jakoś sobie z tym poradzić, jeśli tylko mogę.

– Nie możesz – odpowiada ostro. Ale zaraz łagodzi ton i naprawdę chwyta moją dłoń. Mam przez to ochotę wstrzymać oddech, bo jasno dał do zrozumienia, że nie lubi zażyłości. A jednak, proszę, trzymaj mnie za rękę. – Przepraszam – dodaje. – Po prostu... jeśli zamierzasz przebywać w moim towarzystwie, musisz wiedzieć, że jest we mnie kupa porąbanych rzeczy, których nie jesteś w stanie naprawić. Więc nie chcę, żebyś w ogóle próbowała. Nie angażuj się we mnie, dobrze?

Na dźwięk jego kwaśnego tonu aż wciągam głośno powietrze i wlepiam w niego spojrzenie, nieświadomie cofając rękę.

– Dobrze – szepczę bezwolnie, oszołomiona jego prostolinijskością. – Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać przed zapytaniem o twoją rodzinę, bo to mnie ciekawi... bo widzę, jak to cię rani. Lubię cię. Z każdym dniem lubię cię coraz bardziej. I jako twojej przyjaciółce, nie podoba mi się, gdy coś cię rani.

– Jesteś moją przyjaciółką? – pyta nagle, odwracając się w moją stronę.

Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, lecz wyraz jego twarzy kłuje mnie w serce. Jest otwarty. Po raz pierwszy, odkąd go znam, jego twarz tak kompletnie się przede mną otwiera. Wiem, że nie robi tego często... Nie pokazuje swojej bezradności.

– Tak – odpowiadam powoli. – Jestem twoją przyjaciółką.

Kiwa głową, a ja naprawdę nie wiem, dokąd zmierza.

– I lubisz mnie coraz bardziej z każdym dniem?

Kiwam głową, zdezorientowana.

– Dominic – szepczę, niepewna, co powiedzieć. Spogląda na mnie zawadiacko, bryza mierzwi mu włosy, jest nieskończenie piękny.

– Nie kochaj mnie – prosi prosto. – Bo cię zniszczę. Nie chcę tego, ale tak właśnie się stanie.

Oszałamia mnie ogromna ponurość jego słów, jego głosu, tej ściskającej za serce miny. Nie wiem, co go spotkało, co powołało ten wyraz twarzy do życia. Ale zanim zdążę wypowiedzieć choćby słowo, zanim zdążę zareagować, on wyciąga w moją stronę rękę.

Wiem, że – nieważne, z jakiej przyczyny – potrzebuje mnie w tej chwili, a ja, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, chcę go uratować przed nim samym. Przed bólem, który czuje, czymkolwiek jest wywołany. Przed tym, co go skrzywdziło.

Przywieram do niego i oddycham jego ustami, mój język spotyka się z jego słodkim i gorącym językiem. Jego miękkie wargi przyciskają się do moich, jego dłonie przeslizgują się po całym moim ciele. Ma w sobie teraz niecierpliwość, której nie potrafię pojąć. Nie wiem, skąd się bierze ani dlaczego jest w jeszcze mroczniejszym nastroju niż zwykle.

Ale czegokolwiek bym o nim nie powiedziała, nie mogę zaprzeczyć, że jest seksowny. Wszystko w nim jest seksowne i wszystko we mnie go pragnie. Już.

Całuje mnie, aż brak mi tchu, przechylając mnie w tył, aż moja głowa muska, ledwie, ledwie, leżak pode mną. Podciąga mi koszulkę, aby móc przesunąć kciukami po moich sutkach, pocierając je, aż staną się twarde.

– Nadal mnie lubisz? – szepcze, a jego oczy wwiercają się w moje. Z trudem przełykam ślinę i nie

odpowiadam. – Tak czy nie? – pyta, schylając głowę i zataczając językiem kręgi wokół każdego z sutków.

– Tak – odpowiadam bezsilnie.

Wstaje, rozpiną spodnie i opuszcza je na ziemię. Wdrapuje się na mnie i ociera się nagim penisem o moją mokrą szparkę, a to tarcie wywołuje we mnie burzę ognia, sprawia, że chwytam się mocno jego silnych ramion.

– A teraz? – dyszy mi do ucha. Zdaję sobie sprawę, że tak jak mnie brakuje mu tchu.

– Tak – mruczę, próbując przyciągnąć go bliżej, wciągnąć go w siebie. Ale on się odsuwa, znów wstając i nieruchomiejąc nade mną, ściskając mnie za nogi.

Bez słowa więcej pochyła się, gwałtownie zadzierając mi spódniczkę i kryjąc twarz między moimi nogami.

Jestem tak rozgorączkowana, że jego język doprowadza mnie na szczyt w ciągu minuty. Pieści mnie jego wilgotność, podczas gdy dłonie Dominica czynią spustoszenie w całym moim ciele, prześlizgując się, ugniatając, ciągnąc.

Zamykam oczy, nie dopuszczając do siebie poświaty księżyca, werandy, świateł doliny. Rozkoszuję się poczuciem, że jestem blisko niego, tak blisko jak nigdy wcześniej. Może i nie wyjawiał mi wiele, ale widziałam, że chciał to zrobić. Tylko się boi. I ta świadomość sprawia, iż czuję, jakby jednak w pewien sposób wpuścił mnie do swojego świata... troszeczkę.

Ale teraz chce mnie zgładzić. Dostrzegam to w jego oczach, gdy za sprawą jego ust dochodzę raz za razem. Jego ciemne oczy błyszczą, tylko je widzę, gdy wpatrują się we mnie spomiędzy moich nóg. Próbuję pociągnąć go w górę, przekonać, by się na mnie wdrapał, pocałował, zagłębił się we mnie, ale on tego nie robi. Zostaje tam na dole... po raz kolejny sprawiając, że dochodzę.

Wyginam się w łuk, sięgając ku niemu, ale on na to nie pozwala.

– Chcę cię poczuć w sobie – mówię niecierpliwie. Bo taka jest prawda. Chcę, żeby mnie wypełnił. Żeby dał mi, choć na chwilę, to, czego nie chce mi dać w żaden inny sposób.

Siebie.

Całkowicie.

Nie jakieś fragmenty siebie, nie części siebie, ale siebie całego.

Nieruchomieje, patrząc na mnie, a ja widzę, jak coś w jego oczach dosłownie się zamyka. Odciął się teraz ode mnie i jeśli poczyniliśmy jakikolwiek postęp, to jest już nieaktualny.

Uśmiecha się swoim zwykłym uśmiechem, tym zawadiackim, tym, który widują i kochają miliony fanek.

– Jeszcze nie teraz, księżniczko – oznajmia, wstając. – Jeszcze nie teraz.

Rozdział 17

DOMINIC

Co.

To.

Kurwa.

Było?

Pozwalam, by zimna woda z prysznicza spływała mi po ciele, po głowie i ramionach, po biodrach, w dół, tam, gdzie naprawdę tego potrzebuję.

Co ja sobie, do cholery, myślałem?

Byłem o włos od wywnętrzenia się przed Jacey. O włos od zaproszenia jej do mojego życia, od podzielenia się z nią moimi sekretami, od wpuszczenia jej do środka.

Winię wyraz jej oczu. Ten słodki i szczerzy, mówiący „tak-się-o-ciebie-martwię”... i wiem, że to prawda. Ona naprawdę przejmuję się, że coś mnie zraniło. Ale problem polega na tym... że jej się wydaje, iż może to naprawić, a nie może.

Nikt nie może.

To jest w tym najgorsze.

Chwytam ręcznik i wychodzę spod obszernego, wykafelkowanego prysznicza, a potem kładę się do łóżka nagi.

I samotny.

Rozdział 18

JACEY

Nie wiem, co myśleć.

Mimo że wczoraj miałam wrażenie, iż coś się zmieniło, jakby coś drgnęło w naszym układzie, dziś Dominic znów jest chłodny i odległy. Wczesnym rankiem wsunął głowę do mojej sypialni, żeby poinformować mnie, że jedzie do studia i wróci później... a ja mam się zrelaksować przy basenie.

– Czuj się jak u siebie w domu! – zawołał przez ramię bardzo uprzejmym tonem, a potem wyszedł.

Nie pocałował mnie na do widzenia, w ogóle mnie nie dotknął. Stał w drzwiach, piękny i pełen gracji, a jednak tak wycofany.

Jest tu przepięknie, a basen z iluzją nieskończoności, gdzie woda zdaje się przelewać prosto w dolinę, wygląda idealnie jak z obrazka. Ale mogę spędzić tylko pewną ograniczoną ilość czasu, leniuchując na brzegu. Jestem sama i nie mogę usiedzieć na miejscu.

Więc wybieram się na zwiedzanie.

Sporo czasu trwonię w bibliotece, przeglądając liczne półki z książkami. Dom ma wszystko, od klasyków po Toma Clancy’ego. Żaden z tomów nie nosi śladów użytkowania, więc nie mam pojęcia, czy naprawdę je czyta, czy tylko obstawia nimi ściany.

Jego ogromne biurko ma nowoczesne, opływowe kształty, zrobiono je ze szkła i mahoniowego drewna. Nie zdołają go żadne zdjęcia, żadne osobiste drobiazgi. Środkowa szuflada jest zamknięta na klucz, ale zgaduję, że i tak trzyma w niej tylko książeczki czekowe i tym podobne.

Fascynują mnie dzieła sztuki na ścianach, liczne obrazy oraz autorskie artystyczne fotografie.

Nie umiem stwierdzić, czy abstrakcyjne męskie malowidła to oryginały, ale nazwiska, którymi są podpisane, i tak nic mi nie mówią. Przypuszczam, że to lokalni artyści... że być może Dominic po prostu wybrał obrazy, które mu się podobały, bo nie czuł potrzeby kupowania oryginalnych dzieł wielkich mistrzów.

Kuchnia jest przyjazna, ale nudna. Granit, stal, marmurowa posadzka. Sprawia sterylne wrażenie, bo nigdy się jej nie używa. Widzę to. Dla mnie kuchnia powinna stanowić centrum każdego domu, jego serce, gdzie gromadzą się wszyscy mieszkańcy. Ale tutaj tak nie jest.

W domu znajduje się zbyt wiele gościnnych sypialni, by dało się je zliczyć, wszystkie luksusowo urządzone, tak samo jak ta, w której sama spałam zeszłej nocy. Po tym, jak zostawił mnie na werandzie.

Nie wiem, co o nim myśleć. Stanowi kompletną zagadkę, taki jest zmienny. O mnie zaś musi świadczyć fakt, że staram się go rozgryźć, zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie. Tak właściwie to chyba nie chcę wiedzieć, jak to o mnie świadczy.

Rozpaczliwie potrzebuję uwagi.

Jestem popieprzona.

Wiem o tym, więc wypycham te myśli z głowy. Siebie już znam. Chcę poznać jego.

Stoję z wahaniem pod drzwiami jego sypialni. Może w środku znajdę jakieś odpowiedzi, których on nigdy by mi nie udzielił. Coś, cokolwiek, co nada sensu jego postępowaniu.

„Jeśli on nie chce, byś wiedziała – wtrąca się moje sumienie – to powinnaś to uszanować”.

„Ale... pierdol się” – odpowiada diabelska strona mojego mózgu. I to jej słucham. Przekręcam gałkę w drzwiach i nim zdążę to przemyśleć, jestem już w środku – i stało się. Oficjalnie naruszyłam jego prywatność.

Jego pokój jest ciemny, cichy i urządzony w męskich kolorach: szarościach, czerniach i odcieniach kremowego. Łóżko jest ogromne, lecz nie ma tu nic dziwnego, choć uświadamiam sobie, że tego się właśnie spodziewałam. Żadnych erotycznych huśtawek, biczów czy łańcuchów. Pokój jest niezagracony. Tak właściwie panuje tu niewiarygodny porządek. Wydaje się prawie tak pozbawiony osobistych akcentów jak apartament hotelowy.

Czuję się trochę winna, zaglądając mu do szuflad, ale znajduję jedynie schludnie poskładane ubrania. Wszystkie szuflady pachną cedrem, pachną nim. Biorę głęboki wdech, wciągając tę woń, kiedy zauważam drzwi do szafy, i zanim zdążę wybić sobie ten pomysł z głowy, wstaję i otwieram je.

Za drzwiami znajduje się ogromna przestrzeń, to właściwie garderoba. Na jednej ścianie samo obuwie, półbuty i adidasy, dalej porządnie powieszzone spodnie w kant, dzinsy, koszule i garnitury. Szafa godna króla. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. Na moment przysiadam na wyłożonej poduszkami ławie, żeby wszystko to ogarnąć wzrokiem.

Tak jak w sypialni, w garderobie panuje porządek graniczący ze sterylnością. Nic tu nie zdradza, jakim człowiekiem jest w rzeczywistości Dom. Najmniejszej wskazówki... poza oczywistym faktem, że posiada dużo butów oraz ciuchów.

Ale gdy wstaję, zauważam, że ława, na której siedzę, ma zawiasy. Są sprytnie ukryte, ale są tam. Z wahaniem unoszę pokrywę i odkrywam w środku płaskie pudełko z czarnego aksamitu. Poza tym skrzynia jest pusta.

Oddychając prędko, wyciągam pudełko i gapię się na nie. Jest bardzo lekkie, więc nie może zawierać wiele. Nie tracę czasu na rozważania. Zdejmuję wieczko.

Wewnątrz leży sterta kartek i listów spiętych gumką recepturką. Znajduje się tam również pudełeczko na biżuterię, jak szybko odkrywam, puste, a także nieotwarta koperta z imieniem Dominica na przedzie. Napisana je bez wątplenia kobieca ręka, używając prostego zdrobnienia: „Dom”.

Atrament zaczął już blaknąć, a w środku znajduje się coś twardego, jak tektura albo plastik.

Patrzę na nią całkiem znieruchomiała, bo wyczuwam znaczenie tego, co w niej skryte. Została opisana przez kogoś, kto dobrze go zna, kogoś, kto nazywa go „Dom”.

Ale cokolwiek to jest, Dominic nie chce się z tym zapoznać. Nie chce tego widzieć. Więc zamknął to w tej ławie, z dala od światła dnia, z dala od świata, z dala od siebie. Ale mimo to, mimo że nie potrafi się zmusić, aby to przeczytać, nie może się też zmusić, by to wyrzucić.

Źle zrobiłam, wchodząc tutaj. Ponieważ zdaję sobie sprawę, że trzymam w dłoniach coś bardzo intymnego, cokolwiek to jest. Coś osobistego i prywatnego. I to nie moja sprawa. Ale to czyni też Doma nawet większą zagadką, niż mi się wcześniej zdawało. Nie znalazłam żadnych odpowiedzi... tylko więcej pytań.

Z westchnieniem wlepiam spojrzenie w spięty gumką stos kartek i listów. Wszystkie są otwarte, dostrzegam postrzępione krawędzie kopert, które potraktowano nożykiem. Nic się przecież nie stanie, jeśli zerknę. Prawda?

Zsuwam gumkę, która musi być na tyle stara, że zrobiła się lepka i straciła na elastyczności. Potrafię stwierdzić, że Dom od dłuższego czasu nie zaglądał do tych wiadomości, może nawet od chwili, gdy po raz pierwszy je otworzył. A jednak, tak jak w przypadku tamtego listu, nie umie się ich pozbyć. Patrzę na pierwszą kartkę od góry. Przedstawia krzyż skąpany w promieniach słońca.

Z wyrazami współczucia z powodu Twojej straty.

Otwieram ją, przebiegając wzrokiem po standardowym nadrukowanym tekście i przechodząc do ręcznie dopisanego fragmentu u dołu.

Dominic, przykro mi z powodu Twojej straty. Wraz z Emmą świat stracił promyczek światła. Wiem, że jest Ci teraz niewyobrażalnie ciężko, ale będę się modliła, byś odzyskał pokój ducha. Wiem, że nawet bez niej będziesz w stanie iść naprzód i osiągnąć wielkie rzeczy. Z miłością oraz najszczerzszymi kondolencjami, Jada Milnay.

Oddech zamiera mi w gardle, a w piersi jakby osiadła mi cegła, gdy wpatruję się w te słowa i spada na mnie chłodne, ciężkie objawienie.

Emma umarła.

Muszę założyć, że była dziewczyną Dominica... i umarła.

Moje palce pospiesznie przedzierają się przez resztę kartek, a ja zerkam na nie w biegu.

Moje kondolencje.

Niebo zyskało kolejnego anioła.

Modlę się w Twojej intencji.

Odeszła w lepsze miejsce.

Trywialne zdania, ale też – co tak naprawdę można powiedzieć? Kiedy zaskakuje nas tak tragiczne wydarzenie, nie ma żadnych słów.

Ledwie mogę oddychać, gdy docieram do ostatniej kartki i widzę, co leży pod spodem, skryte u dołu sterty. Listy.

Od Emmy.

Dziewczęce, pełne zakrętasów pismo pokrywa strony wyrwane z zeszytów, ozdobione na marginesach nabazgranymi kwiatuskami oraz serduszkami. Palce mi się trzęsą, kiedy czytam pierwszy z nich.

Dom,

bardzo dziękuję, że zabrałeś mnie wczoraj na plażę. To był doskonały dzień! Tak się ze mnie śmiałeś, że próbuję znaleźć idealne muszelki, więc załączam ich parę dla Ciebie. Chcę, żebyś zapamiętał ten dzień tak, jak ja go pamiętam: jako doskonały.

Em

Ma to sens, bo w pudełku, pod stosikiem listów, leży w linii garstka malutkich muszelek. Widać, że są stare i kruche, i teraz doskonale rozumiem ich znaczenie. Stanowią pamiątkę doskonałego dnia.

Mój oddech przyspiesza, gdy czytam kolejną wiadomość.

Czuję się, jakbym zaglądała do życia dwojga kochanków.

Bo tak właśnie jest.

Dom,

wczorajsza noc była niesamowita. Obudziłam się dziś rano i byłeś pierwszą rzeczą, o której pomyślałam... Byłeś też ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam wczoraj przed zaśnięciem. Zawsze wiedziałam, że zostaniesz moim pierwszym – i było cudownie. Tak się cieszę, że przeżyliśmy to razem, że możemy mówić, że byliśmy dla siebie pierwszymi.

Kocham Cię,

Em

Boli mnie serce. Odebrał jej dziewictwo, a ona umarła.

Wertuję szybko resztę listów... ale nic w nich nie podsuwa mi najmniejszej wskazówki co do tego, co się z Emmą stało. To tylko losowe notki na temat liceum, ich wspólnych przyjaciół, ich randek oraz ogromu jej miłości do Dominica. Jest ich co najmniej dwadzieścia i zdaje się, że pochodzą z całego okresu licealnego.

Wiem, jak wyglądała. Ponieważ do ostatniej wiadomości dołączono jej szkolne zdjęcie zrobione pod

koniec ostatniej klasy. Była szczupłą blondynką o lśniących niebieskich oczach, które uśmiechają się do obiektywu. Była przepiękną dziewczyną i na pierwszy rzut oka widać, że kochała życie. Dostrzegam to w jej oczach.

Świadomość, iż ona nie żyje, sprawia, że czuję się, jakby towarzyszył mi duch. Przyprawia mnie to o ciarki, więc szybko zbieram wszystkie listy i spinam je wraz z kartkami starą gumką. Pozostaje tylko jeden... List, którego Dominic nie otworzył.

Gdy tak się w niego wpatruję, coś zauważam. Pismo na kopercie wygląda tak samo.

To Emma napisała nieotwarty list... Ten, który zaadresowała z prostotą do „Doma”.

A Dominic nie potrafi się zmusić, aby go otworzyć.

Z jakiegoś powodu – bo jestem sentymentalna, bo mam miękkie serce albo może po prostu dlatego że jestem człowiekiem – mam wrażenie, jakby ktoś przebił mi serce ogromnym gwoździem, a ból, który czasami dostrzegam w jego oczach, staje się teraz zrozumiały.

Oczywiście, że to go zmiażdżyło. On i Emma najwyraźniej byli razem przez kilka lat. Razem stracili dziewictwo. Kochali się. A potem ona umarła.

Jestem pewna, że jakaś część Dominica umarła razem z nią.

„Przepraszam – powiedział mi. – Ale jest we mnie kupa porąbanych rzeczy”.

Oczywiście. Ale teraz rozumiem przynajmniej tę część jego historii. To jest, rozumiem fragment związany z „dlaczego”. Pytanie „jak” wciąż pozostaje zagadką, ale nie jestem pewna, czy to ma znaczenie. Emma nie żyje i nic jej nie wróci. Ale brakuje mi odpowiedzi na parę innych zagadnień... jak na przykład: czemu Dominic obwinia Crisa.

Słyszę jakiś dźwięk z dołu, coś jak zamykane drzwi, więc zrywam się na równe nogi, upewniam się, że odłożyłam wszystko na miejsce dokładnie w takim porządku, w jakim to zastałam, a potem wypadam z pokoju, po cichu zamykając za sobą drzwi. Pędzę na dół, w kierunku werandy.

Wcześniej umierałam z pragnienia, by dowiedzieć się o Dominicu więcej, ale teraz czuję wewnętrzny konflikt i żałuję, że szperałam w jego rzeczach. Coś w tym czarnym aksamitnym pudełku natchnęło mnie przejmującym smutkiem oraz melancholią.

Emma umarła.

Była ogromną częścią jego życia i umarła. I na tym nie koniec, bo on odmawia rozmowy o niej lub o czymkolwiek choćby luźno z nią związanym. W głębi serca wiem, że cokolwiek jest nie tak z Dominikiem, cokolwiek się w nim złamało – przyczyną musi być Emma.

Ale niezależnie od pewności, jaką w tej kwestii odczuwam, zdaję sobie sprawę, że odkryte dziś sekrety muszą nimi pozostać aż do momentu, gdy Dominic będzie gotowy, by o nich rozmawiać. Jeśli taki czas kiedykolwiek nadejdzie.

Z każdym kolejnym dniem coraz bardziej się boję, że to nigdy nie nastąpi.

Rozdział 19

DOMINIC

Znajduję Jacey tam, gdzie spodziewałem się ją znaleźć. Grzeje się w słońcu przy basenie.

Przez chwilę stoję w drzwiach i przyglądam jej się, nim wyjdę na zewnątrz, by ją obudzić. Ma wspaniałe ciało, rozciągnięte jak u kotki pływającej się w ciepłe. Muszę się uśmiechnąć na tę myśl, więc to robię, a ona otwiera oczy i spogląda na mnie.

– Hej – wita mnie sennie. – Jak tam dzień? Sądziłam, że wrócisz późno.

Wzruszam ramionami. Było kurewsko beznadziejnie. Amy Ashby zachowywała się normalnie, czyli jak rozpieszczona suka, a ja odliczałem minuty do końca dniówki. Posunąłem się nawet do tego, że w drodze powrotnej zadzwoniłem do Tally’ego i nawrzucałem mu, mówiąc, że już nigdy więcej nie będę pracował z Amy. Na co on przypomniał mi ze spokojem, że widownia kocha oglądać nas razem... i że dzięki temu zarabiam.

To prawda, więc zamknąłem się i przebyłem resztę drogi do domu w milczeniu. Ale za to dostałem objawienia.

Kiedy wspinałem się na szczyt wzgórza ku własnemu podjazdowi, uświadomiłem sobie, że niecierpliwie czekam na spotkanie z Jacey. To perspektywa zobaczenia się z nią sprawiła, że dzień tak mi się dłużył. Bo jej przy mnie nie było.

Była to zaskakująca, przerażająca myśl, ale teraz, kiedy tu stoję i spoglądam na nią, nie wydaje się już tak zadziwiająca. Przebywając z nią, czuję się naturalnie i dobrze.

I to dopiero jest przerażająca myśl.

– Dzień jak co dzień – odpowiadam. – A u ciebie?

– Och, było miło. Przez cały dzień grzebałam w twoich rzeczach i pływałam. Więc w sumie też całkiem zwyczajnie. – Wpatruje się we mnie, a w jej oczach pojawia się coś, czego nie potrafię nazwać, ale potem znika, a ona uśmiecha się szeroko.

Potrząsam głową.

– Nie mam zbyt wiele rzeczy, w których można by grzebać – stwierdzam, przewracając oczami. – Nie cierpię bibelotów i innych pierdół.

– To się zgadza – przyznaje, ziewając i siadając, aby się przeciągnąć. – Ten dom wygląda prawie jak hotel. Nie ma tu nic ciekawego, poza obrazami na ścianach. Ale dziękuję, że kazałeś mi przysłać lunch.

– Nie ma sprawy – odpowiadam, pociągając ją w górę. Jej dłoń w mojej jest ciepła i wilgotna, jej dotyk mnie elektryzuje. Puszczam jej palce natychmiast, gdy tylko staje pewnie na nogach. – Nie chce mi się dziś siedzieć w domu. Masz ochotę na niespodziankę?

Od razu kiwa głową.

– Uwielbiam niespodzianki. Co mam założyć?

– Szorty i koszulka będą w porządku – odpowiadam. – I wygodne buty. Wybywamy na długie godziny, więc mam nadzieję, że porządnie się zdrzemnęłaś. – Uśmiecham się krzywo, ale ona ani się wzdrygnie.

– Super – rzuca, uśmiechając się szeroko i pędząc do środka. – Nudziło mi się.

Siadam na werandzie i patrzę na wodę, przyjemnie zaskoczony jej reakcją. Większość kobiet

przymilałaby się i jęczała, chcąc wiedzieć, dokąd się wybieramy. Ale nie Jacey. Ona lubi chyba płynącą z niespodzianek ekscytację. I musi mi ufać.

Ta myśl wali mnie pięchą w brzuchu, ale odpycham od siebie poczucie winy.

Nie ufa mi w ważnych życiowych sprawach. Ufa mi w niejasny sposób, będąc na przykład przekonaną, że nie jestem psychopata, który wywiózłby ją gdzieś i zgwałcił albo zostawił na pewną śmierć. To zupełnie coś innego niż ogólne zaufanie.

Tak przynajmniej sobie wmawiam. Ale kiedy wchodzimy na pokład wynajętego przeze mnie helikoptera, jej oczy wyrażają podniecenie i radość... i mówią mi o niej więcej, niż faktycznie chciałbym wiedzieć. Ona naprawdę mi ufa... w większej ilości spraw, niż bym sobie życzył.

Ignoruję to, ponieważ to jedyny możliwy sposób postępowania. Skupiam się na zapinaniu pasów i podpisywaniu umowy lotu, którą podsuwa mi pilot. Gdy odwracam się znów do Jacey, właśnie startujemy, a ona praktycznie podskakuje jak dziecko.

– Nigdy wcześniej nie leciałam helikopterem – oznajmia z promienną twarzą. – To niesamowite. Dokąd lecimy?

– Będiesz musiała poczekać i sama zobaczyć – oświadczam, szczerząc zęby. – Mówiłaś, że lubisz niespodzianki.

– Bo lubię. – Kiwa głową.

Helikopter trochę się trzęsie, a potem kołysze, gdy pilot stara się zbalansować rozkład ciężaru na pokładzie. Oczy Jacey rozświetlają się, spoglądając w dół, podczas gdy wznosimy się coraz wyżej i wyżej, pozostawiając Los Angeles pod nami i za nami.

Przez chwilę ze mną gawędzi, ale ja z trudem utrzymuję oczy otwarte. Jestem zmęczony po wczesnym wstawaniu na plan, a w popołudniowym słońcu, które pada na moje siedzenie, robi mi się przyjemnie.

Zanim się spostrzegę, Jacey potrząsa mnie za ramię, piszcząc jak dziecko:

– O mój Boże! To Wielki Kanion! Nie mogę uwierzyć, że mnie tu zabrałeś.

Otwieram oczy, aby przekonać się, że spałem przez ponad dwie godziny i że pod nami rozciąga się Wielki Kanion, majestatyczny, suchy i czerwony.

– Byłaś tu już kiedyś? – pytam Jacey, przeciągając się, ale znam już odpowiedź. Potrząsa głową.

– Nie. Właściwie to niewiele w życiu zwiedziłam.

– Myślałem, że Wielki Kanion to pewniak na liście rodzinnych wakacji – rzucam, wyglądając przez okno. Jacey wzdycha.

– Pewnie tak. Ale moja rodzina nie należała do normalnych. I nie jeździłam na rodzinne wakacje zbyt często. A po rozwodzie rodziców już w ogóle nie jeździłam.

Kurwa. Jak przystało na takiego dupka, całkiem zapomniałem o jej gównianym dzieciństwie.

– Przepraszam – mówię pospiesznie. – Zapomniałem. No cóż, cieszę się, że jestem pierwszą osobą, która cię tu zabrała. Wiem, że jestem dziwny... to wysuszone i surowe miejsce, ale jak dla mnie zalicza się do najpiękniejszych na świecie.

Jacey przyciska twarz do szyby, gapiąc się w dół, podczas gdy przelatujemy nad ziejącą szczeliną kanionu.

– Dziękuję, że mnie tu zabrałeś – odpowiada i brzmi to niemal nieśmiało. – Co u diabła? – wykrzykuje, gdy helikopter obniża lot. – Czy my lądujemy w kanionie?

Chichoczę na dźwięk zdumienia w jej głosie.

– Uznałem, że możesz być głodna – tłumaczę. – Pilot zostawi nas na parę godzin, żebyśmy mieli czas na piknik i małe zwiedzanie, a potem odbierze nas o zachodzie słońca. Może być?

– Jasna cholera. – Jacey potrząsa głową. – Nie wiedziałam, że to w ogóle możliwe. Jasne, że może być. To niesamowite.

Wyciąga rękę i chwyta moją dłoń, ściskając ją, podczas gdy pilot sadza maszynę na płaskim dnie kanionu. Nie jestem pewien, czy denerwuje się procesem lądowania, ale na wszelki wypadek nie cofam

ręki. Helikopter drży, a potem nieruchomieje. Pilot wysiada i pomaga nam zrobić to samo, przestrzegając, byśmy trzymali głowy nisko. Pozwalam Jacey trzymać się za rękę aż do chwili, w której muszę uścisnąć dłoń pilota.

– Zobaczymy się za parę godzin – mówię. Kiwa głową, wspina się z powrotem do kabiny, a Jacey i ja zostajemy sami z koszem piknikowym oraz kocem.

Kiedy odlatuje, wiatr rozwiewa nam włosy wokół twarzy, wzburza pył wokół nas. Jacey obraca się wokół własnej osi, usiłując ogarnąć spojrzeniem wszystko naraz.

– Niewiarygodne, jak piękne jest to miejsce! – wykrzykuje. – Jest takie... surowe, jak powiedziałeś, ale przy tym tak pełne życia i piękne. Tak jakby... Mimo że jest takie nieprzyjazne, wyrastają z niego piękne rzeczy. To jak metafora życia. Nawet w najtrudniejszych momentach kryje się piękno.

– Tak uważasz? – Unoszę brew, rozkładając nasz ekwipunek, spoglądając na kilka punkcików zieleni, które ozdabiają czerwoną, pylistą linię horyzontu. – Zawsze jesteś taka głęboka?

Jacey patrzy na mnie, zamyślona i cicha, z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie wiem. To miejsce po prostu skłania mnie do takich rozmyślań. Kojarzy mi się z ludzką siłą woli. Jesteśmy zbyt twardzi, żeby dać się słamsić, cokolwiek by się działo.

– Okej, teraz zaczynasz mnie przerażać – oznajmiam, posyłając jej powątpiewające spojrzenie. – Przez ciebie robi się naprawdę głęboko.

– Wczoraj wieczorem to ty sięgnęłaś głęboko – odparowuje, rozpościerając koc i otwierając kosz. – A to miejsce aż się o to prosi, rozumiesz? Czuję się tu taka mała.

– Bo jesteśmy mali, jeśli spojrzysz z szerszej perspektywy – odpowiadam, sadowiąc się koło niej. Przekopuje się przez zapasy, wydając małe kanapeczki, oliwki i wino, po czym patrzy na mnie.

– To się nazywa piknik – stwierdza, wyciągając wino oraz kieliszki. – Kiedy już coś robisz, robisz to porządnie, Dominic.

To prawda. Ale nie odpowiadam. Zamiast tego odkorkowuję wino i nalewam nam po lampce.

Jacey wręcza mi kanapkę z indykiem i upija łyk wina.

– Czemu to zorganizowałaś? – pyta z ciekawością, biorąc kęs. – Cudowny pomysł, tylko całkiem niespodziewany. Co cię do tego skłoniło?

Nie mam, cholera, pojęcia.

Żuję kanapkę, przełykam, gryzę ponownie.

– Nie wiem – przyznaję w końcu, zaskakując samego siebie. – Uznałem, że może ci się to spodobać. I mieliśmy spędzać razem czas. Nie uzgadnialiśmy, że to „spędzanie czasu” musi opierać się wyłącznie na seksie. Ustaliliśmy tylko, że chcemy się dobrze bawić. I ja się dobrze bawię.

Jacey uśmiecha się, zadowolona z mojej odpowiedzi.

– Ja też się dobrze bawię.

Kończymy posiłek w milczeniu, ale słowa nie są właściwie potrzebne. Otacza nas jeden z siedmiu cudów świata. Rozmowa skaziłaby to doświadczenie.

Gdy wkładamy śmieci z powrotem do kosza, palce Jacey muskają moje, a ona odwraca się do mnie.

– Ja cię widzę, wiesz – ogłasza cicho. – Widzę, że jesteś inny, niż chciałbyś ludziom wmówić.

Nieruchomieję, wpatrując się w jej ciemne oczy.

– Ach tak? I wywnioskowałaś to z wycieczki do Wielkiego Kanionu?

Silę się na sarkastyczny, lekceważący ton, ale jego ostrość zamiera mi na języku, bo w jej oczach dostrzegam coś, co mi mówi, że ona naprawdę potrafi zajrzeć w głąb mnie.

Jacey kręci głową.

– Nie. Nie z wycieczki. Ale dzięki wielu drobnym sprawom, które starasz się przede mną ukryć. Wiesz, co mi powiedział Jake wczoraj przed wyjazdem? Że ktoś cudownym zrządzeniem losu opłacił zaległe podatki Joego. Nie ma pojęcia, kto to mógł być, ale chodziło o ogromną kwotę... tysiące dolarów. A znam tylko jedną osobę, która posiada takie sumy pieniędzy i mogłaby przyjść Joemu z

pomocą.

Zamieram, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

– Och, naprawdę? To miło ze strony tego kogoś.

Jacey przewraca oczami.

– Taaak, bardzo miło ze strony tego kogoś. Czemu udajesz takiego dupka, Dominic? Wiem, że nim nie jesteś, nie tak naprawdę. Lubisz tylko się w niego wcielać. Dobry jesteś w udawaniu.

Łapię ją za rękę, zdecydowany natychmiast zmiażdżyć te jej złudzenia na mój temat... i raz na zawsze przegnać z jej oczu ten łagodny wyraz. Zawsze, gdy go zauważam, gdy widzę, jak łagodna się staje, kiedy wydaje jej się, że dostrzegła we mnie coś dobrego, wnętrzości skrecają mi się w węzeł i podnoszą się, jakbym zaraz miał je wypluć. Bo ona się myli.

– Jacey, nie jestem dobry. Wręcz przeciwnie. Zastanawiałaś się kiedyś, czy ludzie nie są potworami, w głębi duszy, gdzie nikt nie zagląda? Bo ja nie muszę się nad tym zastanawiać. Wiem, czym jestem. Czy zapłaciłem podatki Joego? Tak, owszem. Poświęciłem już sporo czasu na prace społeczne pod jego nadzorem i nie chcę, żeby przeniesiono mnie gdzie indziej. Kropka. Nie jestem dobrym facetem, Jacey. Nie jestem osobą, w której istnienie chcesz wierzyć. Wiedz o tym, proszę. Nie popełniaj tego błędu i nie idealizuj mnie.

Spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– A więc zapłaciłeś podatki opiewające na kwotę kilku tysięcy dolarów, żeby nie musieć przyzwyczajać się do nowego opiekuna? Jasne, Dominic. Mów, co chcesz, ale ja ci nie wierzę. Pomogłeś mu, bo tego chciałeś. Bo widzisz w nim przyzwoitego człowieka i chciałeś wybawić go z kłopotu. Czemu nie możesz tego przyznać? Czemu z uporem odgrywasz takiego dupka?

Potrząsam głową.

– Ponieważ jestem dupkiem. Musisz pogodzić się z tą myślą, Jacey. Ja się nie zmienię.

– Jak sobie chcesz – rzuca lekceważąco, podnosząc się. – Nie kupuję tego. Ale zmęczyła mnie dyskusja na ten temat.

Odchodzi, stawiając ciężkie kroki, a ja przez chwilę siedzę, próbując zdecydować, czy iść za nią, czy nie, gdy ona nagle wraca z taką samą gwałtownością.

– I jeszcze jedna rzecz – dodaje, a potem urywa, oczy jej się rozszerzają. Zamiera, gapiąc się na mnie.

– Co? – pytam zdezorientowany. – Czemu tak na mnie patrzysz?

– Nie ruszaj się – poleca cicho, spoglądając na coś ponad moim ramieniem, robiąc ostrożny krok w moją stronę. – Ani drgnij, Dom.

Wtedy to słyszę. Szelest, nie do pomylenia z czymkolwiek innym, czegoś dużego za moimi plecami. Włoski na karku stają mi dęba, lecz wpatruję się w Jacey ze spokojem.

– Co to? Niedźwiedź?

Kręci głową, a z jej twarzy odpływają wszystkie kolory.

– Puma. Tak sędzę. Ogromny, jasnobrązowy kot z naprawdę dużymi zębami. Po prostu sobie siedzi i gapi się na mnie, jakieś półtora metra za tobą. Co robimy?

Próbuję myśleć, jednocześnie odseparowując się mentalnie od tej sytuacji, abym był w stanie zachować spokój.

– Chyba nie ma sensu udawać martwych. To działa na niedźwiedzie. Jestem prawie pewien, że powinniśmy ją czymś przerazić.

– Jak u diabła mamy to zrobić? – syczy Jacey z oczami utkwionymi w zwierzęciu za moimi plecami. – Sama jest dość przerażająca.

– No cóż, po pierwsze, nie możemy uciekać – oznajmiam, okręcając się powoli i spokojnie, by zerknąć przez ramię. Ale gdy widzę kota, pierwszą rzeczą, jaką mam ochotę zrobić, to rzucenie się do ucieczki.

Stwierdzenie, że puma jest dość przerażająca to największe niedopowiedzenie, jakie słyszałem od dłuższego czasu.

Masywny kot musi ważyć tyle co i ja, a jego kły połyskują w świetle zniżającego się słońca. Odwzajemnia moje spojrzenie złotymi oczyma i wygląda na niemal znudzonego. Ale potem warczy, cichutko, to jednak wystarczy, by jasno dać mi do zrozumienia, że do znudzenia mu daleko, by wywołać dreszcz biegnący w dół kręgosłupa. Zwierzę jest nami wielce zainteresowane, choć pozostaje w bezruchu.

– Nie możemy uciekać, bo pomyśli, że jesteśmy zwierzyną łowną – wyjaśniam Jacey po cichu. Powoli cofam się o krok, a puma warczy głośniejsze, jej złote oczy śledzą każdy mój ruch, obserwują mnie niczym ofiarę, za którą mnie uważa. – Kurwa – mamroczę pod nosem. – Jacey, idź. Oddal się powolutku, a ja zostanę tutaj. Coś wymyślę.

– Jeszcze czego – prycha Jacey. Macha rękami. – Spadaj stąd, pieprzony zwierzaku! No idź! – Jej krzyki zdają się jedynie bawić kota, który wlepia w nią jeszcze bardziej zaciekawione spojrzenie, jego długi ogon tnie powietrze. Unosi jedną wielką łapę i stawia ją na czerwonej ziemi. Wciągam powietrze.

– Jacey, to chyba nie pomaga – zauważam. – Ona ma cię za przystawkę.

Serce wali mi już teraz jak oszalałe, bo – pierwszy raz, odkąd pamiętam – naprawdę nie wiem, co robić. Wiem jedynie, że nie chcę, by mój koniec nadszedł za sprawą tych ostrych, spiczastych kłów.

Jacey wrzeszczy głośniejsze, a kot powarkuje groźnie, Jacey zaś schyla się po wielki, ponad półmetrowej średnicy kamień. Zwierzę rozwiera paszczę i ryczy, jest to przenikliwy i ochryply dźwięk przypominający krzyk. Jacey nieruchomieje, a to, co dzieje się później, rozgrywa się tak szybko, że stanowi zaledwie rozmazaną smugę.

Kot ryczy ponownie, stając na tylnych łapach i bijąc powietrze przednią, a następnie rzuca się w moją stronę.

Jacey piszczy i wskakuje przede mną, ciskając kamieniem w gigantyczne zwierzę i trafiając je prosto w pysk. Ale potyka się i pada rozciągnięta w czerwonym pyłe tuż przed olbrzymim kotem.

Jest całkowicie zdana na jego łaskę.

Moje serca na chwilę zamiera. Przesuwam się, by osłonić Jacey przed atakiem, ale puma odwraca się, potrząsając głową, jakby chciała pozbyć się skutków uderzenia kamieniem. Przez chwilę chwieje się na nogach, a potem, ku mojemu zdziwieniu, okręca się i wycofuje, odbiegając w dal.

Przez moment tkwię nieruchomo, by następnie niezdarnie przykucnąć przy Jacey.

– Co to, do cholery, było? – pytam ostro. – Mogłaś zginąć. Nie porywa się w ten sposób na dzikie zwierzę!

Jacey wpatruje się we mnie, oczy ma szeroko otwarte i przepełnione bólem.

– Wcale nie miałam takiego zamiaru. Potknęłam się. Ale tak czy owak, podziałało. Cholerstwo uciekło, prawda?

– Co się stało? – pytam szybko. Jej oczy zachodzą łzami, a dłońmi ściska się za kostkę, jakby już nigdy nie zamierzała jej puścić.

– Moja stopa – odpowiada przez zaciśnięte zęby. – Zwichnęłam ją. Ależ to oklepane, co?

Adrenalina buzuje mi w żyłach, przełykam kwaśny posmak.

– Jacey, mogłaś zginąć. Śmigłowiec wróci po nas dopiero za godzinę. Gdyby ta bestia cię zaatakowała, moglibyśmy nie dotrzeć do szpitala na czas. Po co u diabła żeś to zrobiła?

Otwiera oczy i wzrusza ramionami, zdeterminowana udawać, że to nic wielkiego.

– Bo ona chciała na ciebie skoczyć. To był jedyny plan, jaki wpadł mi do głowy.

– Twój plan był do kitu – warczę, chwytając ją, podciągając i sadzając sobie na kolanach. Unoszę jej stopę, by móc jej się przyjrzeć. Tak ostrożnie, jak się tylko da, zsuwam sportowy but. Stopa zdążyła spuchnąć i szybko przybiera fioletową barwę.

– Nie wiem, czy jej nie złamałaś – oświadczam cicho. – Może tak być. Albo jest tylko posiniaczona. Tak czy inaczej, będzie bolało.

– Będzie? – Krzywi twarz w grymasie, zaciskając zęby. – Nie wydaje mi się, żebym dała radę iść.

– Na pewno nie dasz. – Przyglądam się urazowi. – Nie ma szans. Zostaniemy tu, aż wróci nasz transport. Będziesz musiała napatrzeć się na Wielki Kanion z tego miejsca. Przykro mi.

– Nie przeszkadza mi to – mówi Jacey, układając się w moich ramionach, dopasowując do mojej piersi. – Mam tylko nadzieję, że ona nie wróci. O mój Boże. Jej ryk brzmiał jak kobiecy krzyk, prawda? Cholera. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku.

– Ja też nie – przyznaję, rozglądając się wokół. – Nie widzę, żeby czaiły się tu jakieś inne. Tamtą wystraszyłaś na śmierć. Wątpię, żeby wróciła. – Zerkam w dół na jej spuchniętą stopę i wzdrygam się. – Żałuję, że nie wziąłem ibuprofenu albo czegoś takiego. Przepraszam. Boże. To już drugi raz, kiedy przeze mnie ucierpiałaś.

Zbiera się we mnie coś przypominającego poczucie winy, ale ona wzrusza ramionami, zwijając się w kłębek na moich kolanach. Minęło trochę czasu, odkąd ktoś na nich leżał w innym celu niż zrobienie mi laski. Staram się o tym nie myśleć, gdy obejmuję ją i trzymam blisko.

Dopiero co ryzykowała dla mnie życiem.

Nie znam nikogo, nie licząc rodziców czy Sina, a może i Duncana, kto byłby gotów tak się dla mnie poświęcić. Ta myśl właściwie rozsadza mózg.

Kiedy w godzinę później zjawia się helikopter, zdaję sobie sprawę z kolejnego zadziwiającego faktu. Przez cały ten czas trzymałem ją za rękę i nawet nie zauważyłem.

Rozdział 20

JACEY

Moja stopa pulsuje jak cholera, kiedy po raz kolejny zwijam się w kłębek na werandzie Dominica i zanurzam w księżycowej poświacie. Ponieważ nie mogę ruszyć się z miejsca, skupiam się na podziwianiu scenerii, na którą składają się perfekcyjny tyłek Dominica oraz jego pięknie wyrzeźbione mięśnie brzucha. Gapiłam się na obie te rzeczy, z małymi przerwami, przez ostatnią godzinę.

– Dziękuję, że wezwałeś lekarza – powtarzam znowu. – Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze w ogóle odbywa wizyty domowe.

– Ludzie zrobią wszystko, jeśli wystarczająco dobrze się im zapłaci – odpowiada Dominic ze zmęczeniem, przechodząc przez szklane drzwi z tacą pełną jedzenia. – Korzystamy z usług tego lekarza na planie. Cieszę się tylko, że kostka nie jest złamana.

– Nie jest – przytakuję na tyle radośnie, na ile potrafię. – Tylko posiniaczona. Za jakiś tydzień będę jak nowa.

Dominic przewraca oczami.

– Zawsze jesteś taka wesoła?

Kręcę głową.

– Jasne, że nie. Spróbuj mnie obudzić przed dziewiątą, a doświadczysz nieprzyjemności na całkiem nowym poziomie.

Śmieje się cicho, rozpierając się wygodniej na poduszkach.

– Chcesz iść do łóżka? Musisz być zmęczona.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Jestem trochę senna przez leki przeciwbólowe, które mi dał ten twój doktorek, ale jestem też zbyt nabuzowana, żeby odpoczywać. Możemy chwilę pogadać?

Dominic wygląda, jakby go coś bolało.

– Och, jasne. To moja ulubiona rozrywka.

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że parskam śmiechem, na co Dominic się uśmiecha.

– Cieszę się, że wydają ci się taki zabawny.

Znów się uśmiecham, a ciepła bryza odsuwa mi włosy z twarzy.

– Pomożesz mi wejść do basenu? W Kanionie było tak sucho i gorąco, że teraz chętnie poczuję się mokra.

Zostawiłam mu szerokie pole do popisu w kwestii seksualnych aluzji, ale Dominic ignoruje ten fakt.

– Jesteś pewna? – Unosi brew. – Lekarz powiedział, że powinnaś oszczędzać nogę.

Potrząsam głową.

– Powiedział też, że nie jest złamana. Wierz mi, zażyłam dawkę środków przeciwbólowych zdolną powalić małego konia. Nie czuję bólu. – Żeby udowodnić swoją rację, wstaję niezdarnie, nieco się chwiejąc, nim uda mi się złapać równowagę. Ściągam koszulkę, a potem siadam ponownie, by zsunąć szorty.

Dominic nic nie mówi... Siedzi tylko wygodnie i obserwuje mnie, jego oczy ciemnieją, kiedy zdejmuję

stanik. W jego spojrzeniu kryje się teraz milion rzeczy, ale o żadnej z nich nie wspomina choćby słowem. Zamiast tego wstaje i delikatnie łapie mnie za ramię.

– Gotowa?

Kiwam głową, spodziewając się, że pomoże mi doczłapać do basenu, ale on robi coś innego. Bierze mnie w ramiona jak śpiące dziecko i zanoszą prosto do wody, jedynie na sekundę przystaje na brzegu, aby kopnięciem zrzucić buty.

Poza tym jest w pełni ubrany.

Wchodzi ze mną do wody, całkiem przemaczając ciuchy. Wpatruję się w niego zszokowana.

– Czemu się nie rozebrałaś?

Spogląda na mnie, nasze oczy się spotykają.

– Jacey, wskoczyłaś dziś pomiędzy mnie a pumę. Skoro więc poznajasz, że masz ochotę popływać, to rzucam wszystko i zanoszę cię do wody.

Po moim ciele rozchodzi się dziwne uczucie, ciepłe i wywołujące mrowienie.

– Serio? Tylko tyle trzeba, żeby ci zaimponować? Musiałam jedynie rzucić się na wygłodniałe dzikie zwierzę? Czemu mi nie powiedziałaś? Zrobiłabym to już wieki temu.

Odchyła głowę w tył i śmieje się, prawdziwym śmiechem, a jego zęby połyskują w ciemności. Na moment ściska mnie mocniej, a potem opuszcza ostrożnie w wodę, podtrzymując mnie, gdy pomału stawiam stopę na dnie; następnie znów ją podnoszę i rozgarniam rękami wodę.

– Kto mówi, że mi zaimponowałaś? – pyta Dominic kpiąco, stąpając przede mną. – Przyznaję tylko, że jestem ci coś winien. A spłacam swoje długi.

Przewracam oczami.

– Gadaj zdrów. Wiem, że jesteś pod wrażeniem. A do tego mnie lubisz. Po prostu nie chcesz tego przyznać. Nie chcesz przyznać, że jestem przyzwoitą osobą... ponieważ uważasz, że świat składa się z samych dupków. Zaświadczenie, że nie jestem beznadziejna, naruszyłoby twój głęboko zakorzeniony system wierzeń. A tego bym przecież nie chciała.

Dom przekrzywia głowę, przyglądając mi się w mroku nocy.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że wcale nie jesteś przyzwoita.

Wzruszam ramionami, moje palce tną chłodną wodę.

– Osobiście nie uważam, że bym była. Ale w świetle twojej opinii na temat ludzkości sądzę, że nawet daję radę.

– Skoro ty nie jesteś przyzwoita, to kto jest? – pyta Dominic, podpływając do mnie. – Bo chciałbym tę osobę poznać.

– Moja najlepsza przyjaciółka, Maddy – odpowiadam bez chwili wahania. – Jest dość niesamowita. Ale przeniosła się do Connecticut, więc pewnie nigdy jej nie spotkasz. Ale to dobrze. Jest zachwycająco piękna, a mój brat skopałby ci tyłek, gdyby cię przyłapał na ślinieniu się na jej widok, więc na dobre wychodzi.

– Naprawdę myślisz, że śliniłbym się na nią, gdybyś ty była w tym samym pomieszczeniu? – pyta Dominic miękko, burząc wodę bardzo blisko mnie. Poświata księżycy nadaje mu refleksyjny, zamyślony wygląd... A ja wlepiam w niego wzrok.

– Prawdopodobnie tak – stwierdzam wreszcie. – Wszyscy się ślinią.

– Ja nie – oświadcza Dominic stanowczo. – Nie czułbym żadnej potrzeby w tym kierunku.

– Czemu jesteś dziś dla mnie taki miły? – pytam pospiesznie. – Najpierw piknik w Wielkim Kanionie, potem prywatna przekąska na werandzie o północy, a teraz prawisz mi komplementy. Przerażasz mnie, Dom. Skończ z tym.

– Nawet jeszcze nie zacząłem być miły – odpowiada, a jego głos staje się tak mroczny jak jego oczy. Popycha mnie przez wodę, aż docieramy do brzegu basenu, gdzie układa dłonie po obu stronach moich bioder. – Chcesz, żebym zaczął teraz?

Nie pozostawia mi czasu na odpowiedź. Całuje mnie, nagle i dogłębnie. Jego usta przykrywają moje, jego wargi są chłodne i mokre. Oplatam go ramionami za szyję i trzymam mocno, wtapiając się w niego, chłonąc jego ciepło, rozkoszując się dotykiem jego mokrego ciała na moim.

– Czemu to zrobiłaś? – szepcze mi do ucha. – Czemu ryzykowałaś dla mnie własną skórą?

Chwyta mnie zębami za ucho i zsuwa wargi w dół po mojej szyi, aż sięgnie obojczyka.

– Powiedz – żąda. – Muszę wiedzieć. Nie rozumiem, co na tym zyskałaś.

Zmuszam się, by się od niego odsunąć, tylko na chwilę.

– Nic na tym nie zyskałam – odpowiadam ostro. – Jedyne pewność oraz satysfakcję z faktu, że nie zostałam pożarty. To mi wystarczyło.

On także się odsuwa, tylko na chwilę, i patrzy mi prosto w oczy. W ciemności jego własne sprawiają wrażenie niemal czarnych. Nie odzywając się już ani słowem, całuje mnie znowu, i znowu, i znowu. Mocno, łagodnie, brutalnie, cudownie.

– Zdejmij ubranie – ponaglam go. – Chcę poczuć twoją skórę.

Ku mojemu zdziwieniu, wykonuje polecenie. Ściąga z siebie mokre ciuchy i rzuca na kamienny brzeg, i znów się odwraca, by mnie do siebie przyciągnąć. Jego klatka piersiowa jest mocna, jego brzuch płaski, a jego kutas twardy. Bardzo twardy. Wbija się w ciało między moimi nogami, a ja drżę na myśl, że to wszystko dla mnie.

Jest twardy dla mnie.

Dominic podnosi mnie, a ja obejmuję go nogami w pasie, całując go po raz kolejny. Uznaję, że mogłabym całować się z nim w nieskończoność... Jest w tym doskonały. Jego język przesuwają się po mojej wardze, którą on następnie lekko gryzie.

– Chcesz więcej? – szepcze. – Tak czy nie?

– Znowu do tego wracamy? – pytam miękko. – Nie potrafisz stwierdzić, czego chcę?

Spogląda na mnie.

– Po prostu lubię brzmienie słowa „tak”.

– Zdawałoby mi się, że zdążyłeś się zmęczyć nieustannym słyszeniem go – mówię, a on podtrzymuje mnie w wodzie.

– Nie z twoich ust – odpowiada. Całuje mnie ponownie, jego wargi mnie pozerają. A potem przerywa, patrząc na mnie z powagą. – Jestem bardzo dobry aktorem – oznajmia, jakby stwierdzał fakt. – Dobrze mi idzie udawanie, że jestem kimś innym. I dziś będę udawał, że jestem kimś innym. Czy to ci przeszkadza?

Jestem zaskoczona tą nagłą zmianą nastroju, tym wielce poważnym wyrazem jego twarzy, ale nie, to mi nie przeszkadza. Tak też mu mówię, a on się uśmiecha.

– Ale kim chcesz być? – dopytuję z ciekawością. Wzrusza ramionami.

– Kimkolwiek, byle nie sobą.

Przygważdża mnie do ściany basenu, wbijając we mnie swoje biodra, ocierając się o mnie. Przyciska się do mnie i ten nacisk jest wprost doskonały, twardy, sztywny, cudowny. Gwałtownie wciągając powietrze, gdy pochyla głowę i szczyptę zębami moją pierś, biorąc sutek w usta. Odchylam głowę w tył, kiedy ssie mocniej.

– Ale dlaczego? – wciąż nalegam, choć on stara się, jak może, żeby odwrócić moją uwagę. – Jesteś dość niesamowity. Czemu miałbyś chcieć stać się kimś innym? Jesteś pewien, że nie chcesz raczej, abym to ja stała się kimś innym?

Dominic nieruchomieje i odsuwa się, przyglądając mi się z surowym wyrazem twarzy. Jego zielone oczy mają teraz w sobie jakieś przyćmione światło, co zdarza się, gdy jest poirytowany. Odwzajemniam spojrzenie, starając się nie okazać speszzenia.

– Co masz na myśli? – pyta wolno. – Czemu miałbym chcieć, żebyś była kimś innym?

Wzruszam ramionami, próbując ignorować galopujące serce. Dlaczego wybrałam akurat ten moment, by poruszyć tę kwestię? Dlaczego? Ale nie mam w zwyczaju się wycofywać, więc teraz też tego nie

robię.

– Nie wiem. Pomyślałam tylko, że może udajesz, że jestem Emmą.

Gdy tylko to imię pada z moich ust, zdaję sobie sprawę, że popełniłam błąd.

Twarz Dominica natychmiast się zamyka, jego oczy zmieniają się w twarde marmur. Puszczam mnie prędko, jakby mój dotyk parzył mu dłonie. A potem odwraca się do mnie plecami i wychodzi z basenu.

– Co jest z tobą nie tak?! – wołam za nim, podążając jego śladem. – To było zwykłe pytanie. Po prostu się zastanawiałam. Jak to z nią jest.

Dominic odwraca się i przez moment dostrzegam w jego twarzy ogromny ból, lecz zaraz to ukrywa, przywdziewając skamieniałą maskę.

– Nie masz prawa się nią interesować – odpowiada sztywno. – Proszę, nie wspominaj o niej więcej.

– Ale...

Dominic unosi rękę.

– Żadnych „ale”. Ona nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia. Daj temu spokój. Dobranoc.

I naprawdę odwraca się na pięcie i odmaszerowuje do domu, zostawiając mnie nagą na tarasie.

O co w tym, do cholery, chodziło? Nie można nawet wypowiedzieć przy nim jej imienia? Uważam, że jak najbardziej mam prawo zapytać, czy nie wyobraża sobie, że jestem nią. No ale on nie wie, że widziałam listy... i jej zdjęcie. Nie ma pojęcia, ile o niej wiem.

I jak wiele to zdradza na jego temat.

Ale kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, uświadamiam sobie, że wcale nie wiem aż tak dużo. Pewna jestem jedynie, że jeśli mamy ciągnąć to coś – cokolwiek to jest – to będę musiała się dowiedzieć.

Muszę dowiedzieć się czegoś jeszcze o Emmie. Muszę dowiedzieć się, w jaki sposób zniszczyła Dominica.

Rozdział 21

DOMINIC

Leżę w ciemności, nagi i samotny, i usiłuję pozbierać się do kupy.

Przestań zachowywać się jak mazgaj.

Ale imię Emmy padające z ust Jacey okazało się takim szokiem dla mojego organizmu, że momentalnie poczułem się wypompowany. Jacey nie ma pojęcia, jak bardzo się staram, żeby nie udawać, że ona jest Emmą. Nie ma pojęcia, jak bardzo to imię mnie prześladowuje.

I nigdy się nie dowie, bo nie ma żadnych szans, żebym zaczął o tym rozmawiać. Jezu.

Nie mogę uwierzyć, że byłem tak blisko... tak blisko udania, że jestem dzisiaj kimś innym... i przelecenia Jacey w basenie.

Prawie opuściłem gardę aż tak cholernie nisko.

To się już nie powtórzy. Przewracam się na plecy i przykrywam twarz poduszką, żeby móc zasnąć.

Lot do domu przebiega w niezręcznej ciszy. Jacey gapi się w milczeniu przez okno, tylko z rzadka się odzywając. Ja chcę coś powiedzieć, ale nie wiem co. Nie jestem pewien, co można powiedzieć. Ona pragnie więcej, niż jestem w stanie dać. Pragnie mnie poznać.

No, przynajmniej tak jej się wydaje. Gdyby naprawdę mnie poznała, zaraz cofnęłaby to życzenie. Mogę to zagwarantować.

Podrzucam ją do domu, a ona ledwie na mnie spojrzy, kiedy całuje mnie w policzek i wysiada z auta.

Nie odzywa się do mnie przez dwa dni.

Dwa cholernie długie dni.

W pracy mnie ignoruje i już pierwszego wieczoru kusi mnie, by do niej zadzwonić. Wyjmuję nawet telefon i zaczynam wybierać jej numer, ale potem wbijam w niego wzrok i wzdycham.

Zadzwonię i co powiem?

Nie ma nic do powiedzenia. Znaleźliśmy się w impasie. Ona potrzebuje więcej, niż ja mogę zaofiarować.

Dziwne jest to, że chciałbym, aby było inaczej. Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie mogę być takim facetem. Facetem, który potrafi się związać. Facetem, który umie dawać i brać. Ale znam siebie. I wiem, że jestem facetem, który tylko bierze.

Nie potrafię dawać.

Odkładam telefon.

Drugiego dnia, kiedy już mam wejść do szatni, słyszę głos Jacey i zamieram, nie chcąc, by mnie zobaczyła.

– Wiem, Mad – wzdycha, dzięki czemu domyślałam się, że rozmawia przez telefon ze swoją najlepszą przyjaciółką. – Wiem. Ale on nie jest jak Jared. Przysięgam na Boga. Nie jest taki.

Zapada cisza, gdy Jacey słucha, a ja oddałbym lewe jądro, byle tylko dowiedzieć się, co mówi Maddy.

– On nie chce o tym rozmawiać – podejmuje Jacey. – Wierz mi, próbowałam. Ale...

Maddy musiała jej przerwać, bo Jacey milknie gwałtownie i słuca.

– Tak, wiem o tym. Wiem, że nie mam wpływu na zachowanie innych. Kontroluję wyłącznie swoje.

Wiem.

Wzdycha.

– Zakochuję się w nim, Mad. Próbowałam temu zapobiec. Ale nie potrafię. Jest w nim coś więcej.

Jakaś głębia, jakaś krzywda. I w głębi duszy dobry z niego facet. Jest tylko poraniony od środka.

Pauza.

A potem zaczyna protestować.

– Nie, to nie tak. Mad, to tak jak wtedy, gdy poznałaś Gabe’a. Wiedziałaś, że może być dla ciebie

nieodpowiedni, ale intuicja podpowiadała ci, że jest w nim coś naprawdę dobrego. I tak było, Mad.

Myślę, że z Domem może być tak samo.

Kolejna pauza, w czasie której mój język zamienia się w kawałek ołowiu.

Zakochuje się we mnie?

Serce wyrywa mi się z piersi i ucieka gdzieś daleko, a ja stoję jak przyspawany do podłogi.

Nie mogę być osobą, którą ona chce, abym był. Nie jestem dobry w głębi duszy, nie tak, jak jej się

zdaje. Nieważne, jak bardzo lubię ją czy przebywanie w jej towarzystwie, nie widzę sensu w ciągnięciu

tego, skoro wiem, jaki będzie efekt końcowy.

Przynajmniej tyle jestem jej winien. Jeśli nie umie sama się przede mną obronić, zrobię to za nią.

Wychodzę zza rogu, a Jacey spogląda na mnie z szatniowej ławki, na której przycupnęła. Na mój widok

jej oczy się rozszerzają.

– Muszę lecieć, Mad. Zadzwonię później. Też cię kocham.

Wstaje i wsuwa komórkę do kieszeni. Gdy odwraca się w moją stronę, z tak cholernie miękkim i

łagodnym wyrazem oczu, mam szczerzy zamiar stanowczo uciąć naszą relację.

Bardzo stanowczo. Tak stanowczo, że Jacey nawet nie spróbuje mnie przekonywać do zmiany zdania.

Ale wtedy to ona się odzywa, a jej słowa mnie zaskakują.

– Przepraszam, Dominic – mówi prosto, patrząc mi w oczy. – No wiesz, za to, co się wydarzyło tamtej

nocy. Nie powinnam była w taki sposób wspominać o twojej dawnej dziewczynie. Cokolwiek się między

wami wydarzyło... to nie moja sprawa. My przecież tylko się razem bawimy... a ja przegięłam. Wybacz.

Szokuje mnie, że zdobyła się na przeprosiny. Szokuje mnie, że jest w stanie twierdzić, iż tylko się

bawimy, skoro dopiero co podsłuchałem, jak mówi Maddy, że się we mnie zakochuje.

Ta rozmowa tak drastycznie różni się od tej z moich wyobrażeń, że mogę jedynie pokiwać głową.

Kiwam, bo jeśli ona chce udawać, że nasza relacja jest tak cholernie niezobowiązująca, jeśli chce

podtrzymać status quo i nie dopuścić do siebie uczuć, które mogłyby wszystko zmienić, to ja nie

zamierzam jej powstrzymać. Jeszcze nie.

Jestem na to zbyt samolubny, do cholery.

Więc, kiwając głową, odpowiadam:

– Ja też przepraszam. Chyba zareagowałem nieco przesadnie.

Jacey przygląda mi się zszokowana, w jej oczach pojawiają się teraz błyski.

– Czy ty naprawdę właśnie mnie przeprosiłeś? Czy to był twój pierwszy raz? I jak, bolało?

Przewracam oczami.

– Myślałem sobie właśnie to samo o tobie. Ale hej, nie będę kwestionował zalet dziewczyny, która

przyłożyła pumie z piąchy.

– Phi. – Uderza mnie lekko w ramię. – Nie przyłożyłam jej z piąchy. Rzuciłam w nią kamieniem.

– Na jedno wychodzi – oznajmiam kwaśno i po tej wymianie zdań znika napięcie między nami.

Tak po prostu. Znowu udajemy, odgrywamy naszą głupiotką fantazję, w której wszystko mamy rzekomo

pod kontrolą, w której jesteśmy jedynie sypiającymi ze sobą przyjaciółmi.

Mnie to pasuje.

Jestem aktorem. Potrafię grać, do cholery.

Problem polega na tym, że to nie film. Jacey i ja balansujemy na bardzo niepewnej granicy między pozorami a rzeczywistością. Stąpamy po bardzo cienkim lodzie. A w prawdziwym życiu, gdy ludzie zbyt długo się po nim przechadzają, tafla w końcu pęka.

A kiedy to się stanie, ktoś tonie.

Rozdział 22

DOMINIC

Ponieważ oboje jesteśmy cholernymi aktorami, Jacey i ja udajemy, że wszystko jest w porządku. Przez resztę dnia bez przerwy rozmawiamy o nonsensownych rzeczach, o różnych plotkach i sprawach, które nie mają żadnego znaczenia.

Kiedy zbliża się koniec zmiany, szykuję się, by ją zapytać, czy chce się ze mną urwać i skoczyć na kolację, lecz wówczas przez salę zbliżają się do niej Jake, Tig oraz dwóch innych chłopaków z jakimś milionem balonów, bez wyjątku różowych.

Na każdym widnieje napis: „Sto lat!”.

Zaskoczony, wpatruję się w Jacey i widzę, że ta uśmiecha się z dziką radością.

– Skąd wiedzieliście?! – piszczy, pędząc, by ich uściskać.

– Mnie mogło się coś wypsnąć – grzmi głęboki głos. Balony rozstępują się i spomiędzy nich wynurza się jakiś koleś. Potężny, ciemnowłosy i ciemnooki. Ma oczy Jacey oraz tatuaż na bicepsie. Lepsza śmierć niż hańba.

– Gabe! – piszczy znowu Jacey, biegnąc ku niemu zabójczym sprintem i padając mu w ramiona. – Skąd się... dlaczego...

Jej głos rozmywa się, a on się śmieje, z łatwością trzymając ją w swych mocno umięśnionych ramionach. On i Brand bez wątpienia ulepieni są z tej samej gliny.

– Czy wreszcie udało mi się sprawić, że odjęło ci mowę? – pyta, szczerząc zęby. – No cóż, zajęło mi to tylko dwadzieścia cztery lata. I czy uważasz, że przegapiłbym twoje urodziny? Serio? Zadzwoń do Joego i spytałem, czy mógłbym cię tu zaskoczyć. Namówił chłopaków, żeby się przyłączyli.

Jacey odsuwa się i spogląda na niego.

– Ale Maddy wkrótce ma termin. Nie powinieneś był jej zostawiać.

Gabe śmieje się cicho i stawia siostrę na podłodze.

– Przyleciałem tylko na jeden wieczór, tak na wszelki wypadek. Jeszcze dziś wracam do domu. Ale Maddy przesyła ci najlepsze życzenia urodzinowe – ma do ciebie dzwonić.

– Właściwie to już przed chwilą dzwoniła. Nie mogła dłużej czekać. I ani słowem nie zająknęła się, że tu jesteś. O mój Boże, tak za wami tęsknię! – wykrzykuje Jacey, a jej oczy naprawdę wilgotnieją. Gabe przygląda się jej kpiąco.

– Nie płacz w swoje urodziny – poleca z szerokim uśmiechem. – Jesteś taka melodramatyczna.

Jacey wysoko unosi brew.

– Melodramatyczna? Nie widziałam cię od kilku miesięcy.

– No, ale teraz tu jestem – uspokaja ją brat. – Zabieram cię na kolację i chcę usłyszeć o wszystkim, co się u ciebie dzieje. Brand nas zgarnie.

Mijają mnie i w tym momencie Jacey przystaje, zerkając na mnie.

– Gabe, to jest Dominic Kinkaide.

– Ten aktor – zauważa Gabe, gapiąc się na mnie z uniesioną brwią. Z jego oczu potrafię odczytać myśli zaprzatające mu głowę. Włączyły mu się geny opiekuńczego starszego brata i chce wiedzieć, kim jestem

dla jego siostry.

– Przyznaję się – rzucam, unosząc ręce. Technicznie rzecz biorąc, odnoszę się jedynie do uwagi, którą wygłosił na głos. Ale w istocie odpowiadam także na pytanie w jego oczach. Tak, robiłem nieprzyzwoite rzeczy z jego siostrą. Nie, nie jest mi przykro.

– Gabe Vincent – przedstawia się uprzejmie, podając mi dłoń. – Miło mi cię poznać. Brand wiele mi o tobie opowiadał – choćby o tym, jak ty i Jacey tu wylądowaliście.

Kurwa.

Ale utrzymuję spokojny wyraz twarzy.

– To była szalona noc i przykro mi, że Jacey została w to wplątana. Na szczęście wkrótce skończymy prace społeczne i będziemy mogli zapomnieć, że to kiedykolwiek się wydarzyło.

Jacey wpatruje się we mnie, a w jej oczach dostrzegam urazę, ponieważ zabrzmiałem tak, jakbym i o niej chciał zapomnieć. Odzywa się we mnie poczucie winy, a na dodatek nie wiedziałem nawet, że dziś są jej urodziny. Ale mówię to, co jej brat chce usłyszeć. Gabe kiwa głową.

– Miło było cię spotkać.

I oboje znikają za drzwiami. Idę za nimi, żeby dotrzeć do własnego samochodu, i wychodzę na zewnątrz akurat w chwili, gdy Jacey wydaje z siebie kolejny pisk.

Co u diabła?

Brand podjeżdża w małej czerwonej hondzie civic. Wygląda w niej jak goryl z kreskówki, jego głowa muska sufit, ale sytuacja prezentuje się jasno.

Albo Brand, albo Gabe kupili Jacey na urodziny auto.

Solenizantka skacze wokół jak wariatka, ściskając ich obu i piszcząc jak dziecko.

– O mój Boże! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliście! – Wydaje z siebie okrzyki i piski, a Gabe się śmieje.

– Sądziłaś, że pozwolę ci jeździć tą śmiertelnie niebezpieczną kupą złomu do końca życia? Na pewno. Wszystkiego najlepszego, siostrzyczko.

Przytula go, a następnie Branda. Kiedy unosi na niego wzrok, wciąż oplatając ramionami jego szyję... Sposób, w jaki na niego patrzy, jakby był jakimś pieprzonym bohaterem czy coś w tym stylu, sprawia, że ściska mi się żołądek.

Jezu.

Jego duże dłonie przytrzymują ją blisko, a Gabe zauważa, że się na nich gapię. Po jego oczach poznaję, że on dostrzega to samo co ja. Brand jest zakochany w jego siostrze.

To, czy Jacey wciąż stara się tego nie widzieć, pozostaje niejasne.

– Chodź, Jace. – Gabe odciąga ją od Branda. – Jedźmy gdzieś na kolację. Kupię ci na deser babeczki.

Wciskają się do nowego samochodu Jacey i odjeżdżają.

Joe staje za mną, przyglądając się, jak znikają.

– Ci chłopcy dostali medale za służbę w Afganistanie. Jacey wywodzi się od dobrych ludzi, synu.

Nie kłopotczę się przypominaniem mu, że nie jestem jego synem. Tym razem ten zwrot nie przeszkadza mi tak bardzo jak zwykle. Nie teraz, gdy Joe zdaje się naprawdę mnie lubić.

– To prawda – przytakuję, ruszając w stronę własnego auta. Szkoda tylko, że jeden z nich się w niej kocha.

– Kinkaide, czekaj! – woła Joe. Zatrzymuję się i odwracam w jego kierunku. – Wiem, co zrobiłeś.

– Słucham? – rzucam, gapiąc się na niego zdezorientowany. Przez myśl przemyka mi, że domyślił się, iż Jacey i ja się spotykamy, ale nie.

– Wiem, że zapłaciłeś za mnie podatki – oznajmia Joe stanowczo, wbijając we mnie spojrzenie. – Nie sil się nawet, żeby temu zaprzeczać. Podśłuchałeś, jak rozmawiam z urzędem podatkowym.

– Niczemu nie zaprzeczam – odpowiadam z taką samą stanowczością, trzymając już rękę na drzwiach auta. – Nie chciałem, żeby trzeba było zamknąć to miejsce. Nie robię wystarczająco wiele dla innych,

więc to w takim samym stopniu prezent dla mnie, jak i dla pana.

– No cóż, to nie akcja charytatywna – oświadcza Joe dumnie. – Więc oddam ci wszystko, co do grosza.

– Nie ma takiej potrzeby – stwierdzam szybko. – Chciałem to zrobić i już.

– Owszem, jest taka potrzeba – mówi Joe. – I tak właśnie postąpię. I nie chcę, żebyś sobie myślał, że zacznę cię traktować ulgowo. Nadal masz zjawiać się na czas i nie wolno ci opuścić żadnej zmiany. Nie dam ci z tego powodu żadnych forów, zrozumiano?

– No jasne – odpowiadam kwaśno. – Nawet by mi się to nie śniło.

I mówię szczerze. Joe nie obiera sobie pupilków, a poza tym nawet teraz ledwo mnie lubi. Wsiadam do auta, lecz zanim zdążę zatrzasnąć drzwi, Joe znów woła mnie po nazwisku.

Unoszę na niego wzrok.

– Tak?

Joe spogląda na mnie spłowiałymi niebieskimi oczyma.

– Dzięki.

Wiem, że powiedzenie tego przyszło mu z trudem, więc kiwam jedynie głową i odjeżdżam, nie robiąc wokół tego szumu. Jestem jednak zaskoczony, jak dobrze się czuję z powodu udzielonej mu pomocy. Unosi mnie poczucie własnej moralności i dobroci, a rzadko mam okazję odczuwać coś podobnego. To pieprzona nowość w dziedzinie uczuć.

Przez jakiś czas jeżdżę bez celu, a wreszcie zatrzymuję się po kanapkę. Nie mogę znaleźć sobie miejsca i wiem dlaczego. Chcę wiedzieć, co dzieje się między Brandem a Jacey.

Czy to moja sprawa?

Jasne, że nie. Bo nie powinno mi zależeć.

Ale co u diabła oni mogą teraz robić?

Zachowuję się żałośnie, jak zazdrosny nastolatek. Jednocześnie czuję się jak palant, bo nie wiedziałem o jej urodzinach. Ta dziewczyna ryzykowała dla mnie życiem, na miłość boską. Mógłbym chociaż zapoznać się z datą jej urodzin.

Ale lepiej późno niż wcale.

Wyszukuję na komórce numer do kwiaciarni położonej najbliżej jej domu i dzwonię.

Po pięciu minutach uśmiecham się do telefonu.

– Świetnie. Właśnie o to mi chodzi. Tak, zdaję sobie sprawę, że to niecodzienna prośba. Tak, jestem pewien, że zwykle ludzie chcą również łądygi.

Kieruję się do najbliższego baru i wypijam kilka kolejek whisky, a następnie jadę pod dom Jacey. Nie napisałem do niej, więc nie mam pojęcia, kiedy wróci. Wiem jedynie, że kiedy już wróci, to ja będę na nią czekał.

A raczej: ja i podwórko pełne płatków róż.

Staję przy furtce i uśmiecham się, patrząc na jej maleńki trawnik. W całości przykrywa go kilkucentymetrowa warstwa różowych płatków. Już z daleka dociera do mnie ciężka różana woń. Wiatr nimi szeleści, rozprasza je po chodniku, unosząc ich zapach w swym podmuchu. Wygląda to jak żywcem wyjęte z jakiegoś abstrakcyjnego obrazu. Albo ze snu.

Z jej snu.

Siadam na ganku i czekam.

Umilam sobie czas grzebaniem w telefonie i robi się już prawie ciemno, gdy słyszę jej głos. Podnoszę głowę, by ujrzeć Branda odprowadzającego Jacey po chodniku wiodącym do jej domu.

– Nie musiałeś iść ze mną aż tutaj – mówi Jacey, uśmiechając się do niego. Na widok jej miny coś po raz kolejny ściska mi się w brzuchu. – Tysiące razy odprowadzałam Gabe’ a na lotnisko, kiedy obaj byliście jeszcze w armii. Nic mi nie jest.

– Cóż, chciałem się tylko upewnić – odpowiada Brand cicho. – Wiem, że jest ci trudno, Jace. Wiem, że czujesz się tu bardzo samotna, ale to nieprawda. Ja nadal tu jestem.

Zatrzymują się na środku chodnika, żadne z nich jeszcze mnie nie zauważyło. Jacey staje na palcach i całuje Branda w policzek.

– Wiem – rzuca cichutko. – I zawsze tu byłeś. Dziękuję za cudowne urodziny, Brand.

– Nie ma za co. – Spogląda na nią z góry i ta chwila nagle robi się boleśnie intymna. Nie mogę tego zdzierżyć. Odchrząkuję, a oni oboje drgają z przestraszaniem i patrzą na mnie w zdumieniu.

– Dominic! – wykrzykuje Jacey, odsuwając się od Branda i wpatrując się we mnie poprzez ciemności. – Nie zauważyłam nigdzie twojego samochodu. Co ty tu robisz? – I wtedy dostrzega stan ogródka. – Jasna cholera – wydusza z siebie, oczy jej ogromnieją. – O mój Boże. To twoja sprawka?

Kiwam głową.

– Przykro mi, że wcześniej nie wiedziałem, że to twoje urodziny.

Wlepia we mnie wzrok, oczy wciąż ma szeroko otwarte.

– I dlatego postanowiłeś urzeczywistnić mój sen? Masz na sumieniu śmierć miliona róż, ale – o mój Boże. To takie piękne.

Przyglądam jej się, próbując zignorować podziw w jej oczach.

– Przyjechałem sprawdzić, czy nie będziesz miała ochoty gdzieś wyskoczyć. Na swoje urodziny. Nie wiedziałem, że nadal będziesz miała towarzystwo.

Zerkam na Branda, a potem z powrotem na Jacey. Kręci głową.

– Brand tylko mnie odprowadzał. Martwił się, że wyjazd Gabe'a mnie przygnębi. Ciągłe zapomina, że jestem już dużą dziewczynką. – Śmieje się, a Brand wygląda, jakby cierpiał.

Ja wiem, że on doskonale zdaje sobie sprawę, iż Jacey jest już dużą dziewczynką, ale nic nie mówię.

Zamiast tego szybko staram się wymyślić, co moglibyśmy z Jacey robić, gdzie mógłbym ją zaprosić, aby wyglądało to na randkę. Chcę jasno dać Brandowi do zrozumienia, że Jacey nie należy do niego.

Uśmiecham się, gdy do głowy wpada mi pomysł.

– Planowałem wybrać się na tor wyścigowy, żeby spuścić trochę pary z kotła. Chciałabyś pojechać ze mną?

Jacey wygląda na zaintrygowaną.

– Na tor wyścigowy? Jasne, to może być niezła zabawa. Wszystkiego w życiu spróbuję. Ale tylko jeśli pozwolisz mi też poprowadzić.

Przewracam oczami.

– I myślisz, że niby dasz sobie z tym radę... – Udaję, że Branda w ogóle tu nie ma, ale Jacey odwraca się, aby ponownie ucałować go w policzek.

– Jeszcze raz dzięki, braciszku – rzuca. Przysięgam na Boga, facet aż się wzdryga. Z trudem powstrzymuję uśmiešek. – Pogadamy później. – I znów zwraca się do mnie. – Muszę tylko skoczyć do łazienki i będę gotowa.

Pędzi do domu, zostawiając mnie z Brandem. Koleś gapi się na mnie ostrym, nieprzyjaznym spojrzeniem, a ja wzdycham.

Wiedziałem, że w pewnym momencie do tego dojdzie, więc równie dobrze możemy załatwić to teraz. Odwracam się w jego stronę.

– Masz ze mną jakiś problem? – pytam. Bo dlaczego nie mielibyśmy postawić sprawy jasno. Brand wbija we mnie wzrok i, Jezu, facet jest ogromny. Ale nic mnie to nie obchodzi. Nikt mnie nie zastraszy.

– Czemu pytasz? – chce wiedzieć Brand, a warga drży mu w rozbawieniu. Ja nie zauważam w tym nic śmiesznego.

– Bo widzę, że tak jest – odpowiadam spokojnie. – Chociaż nie rozumiem dlaczego, bo Jacey mówiła, że jesteście tylko przyjaciółmi, że jesteś dla niej jak starszy brat.

Uderzam w czułą strunę, ale taki właśnie mam cel. Jakiś cień przemyka po jego twarzy, lecz on nie zwraca na to uwagi.

– Znam ją od dawna – oznajmia. – I mam na nią oko. Zapamiętaj to sobie, przyjacielu.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – rzucam, jak przystało na dupka. – Dopiero co się poznaliśmy.

Brand kiwa powoli głową.

– Prawda. Ale nie jesteśmy też wrogami. Na razie. I chciałbym, żeby tak zostało. A ty?

W jego głosie nie słyhać groźby, raczej obietnicę. Jeśli nieładnie pogram sobie z Jacey, stanę się jego wrogiem. Mam niemal całkowitą pewność, że to niezbyt miła rola.

– Kumam. – Kiwam głową. – Niech więc tak zostanie.

Jeszcze przez chwilę się we mnie wgapia, a potem odchodzi. Wdrapuje się do swojej półciężarówki i siedzi tam, czekając, aż odjedziemy. Dociera do mnie, że nie podoba mu się perspektywa zostawienia mnie z Jacey sam na sam. Na tę myśl na moich wargach znów wykwita uśmieszek.

– Co? – pyta niewinnie Jacey, rzucając torebkę na podłogę.

– Nic – odpowiadam, wrzucając bieg. – Gotowa?

Przytakuje ruchem głowy i odjeżdżamy. Półciężarówka Branda śledzi nas przez jakiś czas i czuję jego palący wzrok na karku, ale kiedy znów zerkam, już go nie ma.

– No to od jak dawna śmigasz po torze? – pyta Jacey z ciekawością.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Od lat. Lubię prędkość.

– Wiem. – Jacey wzdycha. – Szybkie samochody i szybkie kobiety.

Śmieję się cicho i warczę silnikiem, gdy stoimy na światłach. Kiedy zapala się zielone, ruszam z piskiem opon i wystrzelam z miejsca jak pocisk. Zerkam na Jacey, która siedzi rozluźniona i wygląda za okno.

– Nic? – upewniam się. – Zero reakcji?

Chichocze.

– Spodziewałaś się, że będę przerażona? Nie ma szans. Dorastałam z Gabem i Brandem, którzy wyczyniali w swoich autach różne durne rzeczy... zwykle ze mną w roli pasażera. Nigdy się nie boję... nie, jeśli ufam kierowcy.

Zerkam na nią pospiesznie, nim ponownie skieruję spojrzenie na jezdnię.

– A mnie ufasz? Niemądra dziewczynka.

– Wiem. – Przewraca oczami. – Nie mam pojęcia, co ja sobie wyobrażam.

– No raczej – przyznaję.

W radiu puszcza jedną z piosenek Sina, więc podkręcam głośność i przebywamy resztę drogi z równym bębnieniem Duncana dudniącym w piersiach oraz głosem Sina rozbrzmiewającym w uszach. To jeden z wolniejszych kawałków, mroczna miłosna ballada, a gdy spoglądam na Jacey, oczy ma zamknięte i porusza wargami, bezgłośnie wtórując słowom.

Duszę mam czarną, czarną jak noc, a mimo to ją kochasz.

Twe serce zimne, zimne jak lód, ale należy do mnie.

Wezmę je i skruszę, bo to właśnie robię,

A ty poprosisz o więcej, bo taka już rola przypadła tobie.

Na widok tego, jak bardzo poruszają ją te mroczne wersy, coś ściska mi się w piersi. To tak, jakby rozumiała, o czym Sin śpiewa, bo sama tego doświadczyła. Tyle że w przeciwieństwie do wszystkich innych, wyszła z tego bez szwanku, wciąż niewinna... i, szczerze mówiąc, zazdrości jej tego.

Gdy wysiadamy z wozu, wspominam o utworze.

– Kilka razy pytałem Sina, co ta pieprzona piosenka ma niby znaczyć. Zawsze tylko kręci głową i powtarza, że jeśli jej nie rozumiem, to już nigdy nie zrozumiem. Postrzega siebie jako skomplikowanego artystę, a muzyka to jego płótno.

Zaplanowałam to jako żartobliwy przytyk w stronę mojego brata, lecz Jacey spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Nie rozumiesz tej piosenki? Przecież to proste, Dom. Opowiada o facecie o skostniałym sercu, który wykorzystuje ludzi, szczególnie kobiety, według własnego widzimisię. Nic nie czuje. W sumie pomyślałam sobie, że Sin napisał ją o tobie.

Zatrzymuję się w pół ruchu, patrząc na nią. Nie mogę się powstrzymać.

– Uważasz, że mam skostniałe serce?

Nie wiem, czemu mnie to obchodzi, ale nie podoba mi się ta myśl.

Ale Jacey już potrząsa głową.

– Nie, ja tak nie uważam. Ale sędzę, że ty owszem. I sędzę też, że każdego dnia usiłujesz żyć tak, by dopasować się do własnej wizji siebie. Nie doceniasz swoich zalet i stale się umniejszasz.

Czuję, że oczy mi się rozszerzają, a potem biorę się w garść, potrząsając głową i skrywając swoje myśli.

– Jak pani sobie życzy, doktor Vincent. Może powinnaś zostać psychiatrą, a nie kelnerką.

– Może zostanę – prycha. – Jestem dobra w rozszyfrowywaniu ludzi. Ale mniejsza z tym. – Otwiera drzwi po swojej stronie. – Co teraz robimy? Nigdy wcześniej tu nie byłam.

– Nigdy wcześniej nie byłaś w „Autobahnie”? – Nim jeszcze słowa zdążą opuścić moje usta, Jacey parska.

– Dominic, moim starym autem nie mogłam nawet dojechać do pracy, więc co dopiero mówić o torze wyścigowym.

– Dobry argument – mamrocze. – Dzięki Bogu, że teraz masz nowe. Na początek musimy się wpisać i odebrać kaski oraz kombinezony. Potem ktoś zrobi błyskawiczny przegląd mojego samochodu i możemy ruszać na tor. Jest już dość późno, więc nie będzie tłoku.

Jacey kiwa głową i kierujemy się ku klubowej recepcji. Już po kwadransie siedzimy ubrani w kombinezony i poprzipinani, czekając na zieloną flagę.

– Często to robisz? – pyta Jacey, a kask tłumi nieco jej głos.

Przytakuję skinieniem.

– Gdy tylko jestem w mieście. To dobry sposób na odstresowanie się. Wystarczy tu przyjechać i ruszyć pełną parą – już na samą myśl cały stres mi mija.

Zielona flaga opada, a ja wciskam gaz do dechy.

Silnik ryczy, kiedy stosuję technikę podwójnego wysprzęglania, moja stopa wibruje, czując pod sobą moc. Jacey ściska uchwyt w drzwiach, jej oczy lśnią podekscytowaniem.

– Jak szybko możemy pojechać? – krzyczy.

– A jak szybko chcesz pojechać? – odpowiadam, wrzucając trójkę.

Wystrzelamy niczym pocisk, wchodząc i wychodząc z zakrętów trasy, trzymając się asfaltu tak ściśle, jakbyśmy byli do niego przyklejeni. Jacey się śmieje, pęd wciska jej głowę w zagłówek.

– Szybciej – przynagla.

Spełniam jej prośbę. Nie ma tu prawie nikogo poza nami, więc mamy cały tor dla siebie. To sprawia, że bez trudu można wdusić gaz i po prostu mknąć.

Prędkość ani związane z nią niebezpieczeństwo w ogóle nie robią na Jacey wrażenia... i, szczerze mówiąc, sprawia mi to cholerną przyjemność. Nie wiem nawet dlaczego. Podoba mi się po prostu, że potrafi z taką łatwością odpędzić troski, cieszyć się wolnością, jaką daje prędkość... i ufać, że nie stracę kontroli.

Przynajmniej jedna dziedzina, w której jej zaufanie nie jest nietrafione. Bardzo, bardzo rzadko tracę kontrolę. Nad czymkolwiek.

Spogląda na mnie, śmiejąc się.

– Chcę poprowadzić. Mogę?

Ani przez chwilę nie zastanawiam się nad tym, że mój samochód kosztuje więcej, niż Jacey prawdopodobnie zarobi jako kelnerka w ciągu paru lat. Nie myślę nawet o tym, że nigdy wcześniej nie

prowadziła tak potężnej maszyny. Mogę skupić się jedynie na fakcie, że ona tego pragnie.

Zatrzymuję się na następnym prostym odcinku.

– Nie masz wystarczająco dużego doświadczenia, żeby wziąć zakręt, ale możesz się przejechać po prostej. Jeśli chcesz, bez wahania wciskaj gaz do dechy. Tylko zacznij hamować na wysokości tamtego żółtego znaku, dobrze?

Kiwa głową, zamieniamy się miejscami i jeszcze niemal zanim zapnę pas, piszczą opony.

Uśmiecham się szeroko, gdy pędzimy prosto przed siebie, bo ta dziewczyna niczego się nie boi.

Jacey bezbłędnie zmienia biegi, płynnie wrzucając jeden za drugim, jakby jeździła w ten sposób przez całe życie. Gdy mijamy żółty znak, wyświetla się jej prędkość.

– Dwieście dziewięćdziesiąt! – pieje, podczas gdy zaczynamy zwalniać.

Stajemy, a wtedy zdejmuję kask i ciągnie za mój.

Pochyla się i całuje mnie mocno, płynąca z szybkiej jazdy ekscytacja ją nakręca. Oddaję pocałunek, mocno, bo wiem, jakie to uczucie. Doświadczam go za każdym razem, kiedy siadam w tym miejscu za kółkiem. Gdy się odsuwa, oczy jej błyszczą.

– To było zajebiste! – ogłasza. – Teraz rozumiem, co tak bardzo ci się w tym podoba. Jeszcze raz!

Chichoczę, ale otwieram przy tym drzwi.

– Nie możemy. Wkrótce zamykają, więc musimy kierować się w stronę wyjścia. Lepiej ja teraz poprowadzę, Andreotti. – Jacey burczy, ale się poddaje.

Zerkam na nią, kiedy jedziemy ku wejściu do klubu.

– Więc... jeśli chodzi o ciebie i Branda...

Jacey patrzy na mnie, jej twarz napina się w ostrożnym wyrazie.

– Co z nami?

Płynnie pokonuję zakręt, nim kontynuuję:

– Mówisz, że jest dla ciebie jak brat. Ale dla każdego, kto na was spojrzy, jest jasne, że on nie widzi cię w tych samych kategoriach. Już nie. Kiedyś pewnie tak było, ale dorostaś. A on się w tobie zakochał.

Jacey przełyka ślinę, a potem wbija wzrok w podłogę. Wie o tym, to absolutnie oczywiste.

– Wiedziałaś – stwierdzam prosto, a moje serce ścina się lodem. Trzymałem się nadziei, że nie jest wcale nieczuła. – Wiedziałaś i mimo to go wykorzystywałaś.

Gwałtownie podrywa głowę, by pochwycić znów moje spojrzenie, a jej oczy błyszczą.

– Nie. To nie tak. Nie chciałam wierzyć, że to prawda. Ale ostatnio nie mogłam już tego ignorować. Wiem, że masz rację. Ale nie wiem, co z tym zrobić. Kocham go jak brata. Zawsze był przy mnie, gdy go potrzebowałam, i nie chcę, żeby coś się zmieniło. I nie wykorzystuję go.

Obmywa mnie ulga, lecz staram się nie zwracać na nią uwagi.

– Więc nie czujesz do niego tego samego? – pytam ostrożnie, zatrzymując samochód przed klubową recepcją.

Jacey wzdycha, wpatrując się w nocne niebo.

– Chciałabym czuć to samo. Tak wiele by to ułatwiło. Brand nigdy by mnie nie zranił. Nigdy. Prędzej by umarł. I to takiej osoby potrzebuję. Czasami czuję, że powinnam po prostu się z nim związać, że może nauczyłabym się kochać go w ten sposób. Z całą pewnością wart jest takiego rodzaju miłości. Ale też właśnie z tego powodu zasługuje na więcej, niż mogę mu dać.

– Znam to uczucie – przyznaję i własne słowa mnie zaskakują. Jacey spogląda na mnie, a w jej głosie pobrzmiwa wahanie.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli, że zauważam, że lubię cię... z każdym dniem coraz bardziej. Nie chcę tego, bo wiem, co się dzieje, kiedy się przed kimś otworzysz. Zostajesz zraniony. Albo ranisz tę drugą osobę. Świat pełen jest ludzi, którzy się nawzajem krzywdzą, Jacey. A ja nie chcę w tym brać udziału. Już nie.

Nie wiem, czemu poprowadziłem rozmowę w to mroczne, poważne miejsce. Co się stało z normalnym

i swobodnym zachowaniem? Ale tak szczerze, w głębi duszy myślę, że po prostu nie mogę znieść nieuniknioności tego wszystkiego.

Nie mogę znieść udawania, że wszystko jest w porządku, podczas gdy wiem, że któregoś dnia, już wkrótce, wszystko się zawali.

Teraz słyszę w swoim głosie pustkę i Jacey też ją słyszy.

Wbija we mnie wzrok.

– Kto cię zranił, Dom? – pyta łagodnie. – Emma?

Jej imię, jak zawsze, ściska mnie za serce jak imadło. Zamykam oczy, odmawiając odpowiedzi.

– Wiem, że Emma cię zraniła – ciągnie Jacey, nie godząc się na odwrót. – Nie wiem, w jaki sposób. Ale wiem, że to zrobiła. Musisz się tym z kimś podzielić, Dominic. Jeśli tego nie zrobisz, będzie cię to zżerać do końca życia.

Otwieram oczy i częstuję ją pustym spojrzeniem.

– I tak będzie mnie to zżerać do końca życia.

– Więc będziesz dalej to w sobie dusił tak na wszelki wypadek? – dopytuje Jacey, a jej głos brzmi smutno i odległe. – Wiem, że to, co się stało z Emmą, zdefiniowało, kim jesteś, począwszy od twojego życia seksualnego, na wyborze zawodu skończywszy. To dlatego jesteś taki zamknięty w sobie, taki wycofany. Próbujesz się bronić, już nigdy się przed nikim nie otwierając. Nie powinieneś tak postępować, Dom. To niezdrowe. Wiem z własnego doświadczenia. Chcesz wiedzieć, skąd dokładnie to wiem?

Wpatruje się we mnie, więc w końcu kiwam głową.

– Dziś są moje urodziny, a żadne z moich rodziców nie pofatygowało się, by zadzwonić. Ani kartki, ani telefonu, ani prezentu, nawet żadnego: „Hej, dwadzieścia cztery lata temu powołaliśmy cię na ten świat, więc życzymy miłego dnia”. W ogóle się ze mną nie skontaktowali. To dlatego Gabe przyleciał... bo wiedział, że się nie odezwą. I jak zwykle chciał mnie przed tym chronić. Ale to niemożliwe. Bo mimo że przyleciał i było świetnie, faktem pozostaje, że oni nawet nie zadzwonili. Ale chociaż są okropnymi rodzicami i bez przerwy mnie ranią, wiem, że nie mogę się odciąć od ludzi. W ten sposób skrzywdziłabym wyłącznie siebie, Dom.

Żal mi jej, bo naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest mieć rodziców, którzy o nic nie dbają. I mimo że Gabe wyraźnie niezbyt mnie lubi, cieszę się, że jest dla siostry taką opoką. Ale i tak nie rozumiem, jakie porównanie Jacey stara się naszkicować.

– A co do ma wspólnego ze mną? – pytam drewnianym głosem. – Czego usiłujesz dowieść? Próbujesz mi pokazać, że twoi rodzice cię skrzywili, ale ty z tym walczysz? Bo jeśli tak, to cieszę się twoim szczęściem.

Jacey potrząsa głową.

– Chcę, żebyś pojął to, czego się nauczyłam... bo trzeba, żebyś ty też się tego nauczył. Przystwojenie tego zajęło mi trochę czasu i ciągle jeszcze się z tym zmagam. Ale mimo że nasze sytuacje różnią się od siebie i że różnie reagowaliśmy w ich obliczu, stawiamy czoła temu samemu rodzajowi bólu.

Milknie na moment, a ja przyglądam jej się z powątpiewaniem.

– To prawda, Dom. Ktoś nas zranił. Ale lekcja, jaką oboje powinniśmy z tego wyciągnąć, brzmi następująco: ludzie w naszym życiu będą nas ranić, a my musimy przejść nad tym do porządku dziennego. Musimy iść naprzód i nadal otwierać się na innych. Czy znów będziemy cierpieć? Możliwe. Ale może nie. Może w końcu zbudujemy coś prawdziwego.

Nic nie mówię, więc Jacey kontynuuje:

– Jeśli nic się nie zmieni, skończysz jako smutny i samotny człowiek, Dominic. Nie chcę, żeby cię to spotkało. Wiesz, wcale nie musi tak być. Między nami coś jest... i wiem, że ty też to czujesz. Mamy sposobność zbudować coś prawdziwego, Dom, choć udajemy, że jest inaczej. Naprawdę mamy.

Przerywa jej gwałtowne stukanie w okno, jednocześnie niweczając nastrój tej chwili. Pracownik klubu

wręcza mi przypiętą do podkładki kartkę do podpisu, więc bazgrołę swoje nazwisko. Ponownie uruchamiam silnik i ruszam w stronę domu Jacey, próbując zignorować kołatanie serca.

Nie możemy już dłużej udawać. Jacey właśnie nazwała rzeczy po imieniu.

Podróżujemy teraz w ciszy. Atmosfera jest niezręczna. Napięta.

Wyczuwam, że Jacey spogląda na mnie od czasu do czasu, czekając na jakąś reakcję na jej słowa, ale ja się nie odzywam, więc ona także milczy. Gdy zatrzymuję się przy krawężniku, nie wykonuję najmniejszego ruchu, aby wysiąść.

– Przepraszam – mówię zdawkowo. – Nie dam dziś rady o tym dyskutować. Jestem zmęczony. Dobranoc, Jacey.

Po raz kolejny staram się odsunąć w czasie to, co nieuniknione.

Zaczyna wygrzebywać się z auta, ale nieruchomieje, patrząc mi w twarz. Chłodną dłonią przesuwa wzdłuż mojej kości policzkowej, a ja zwalczam w sobie gwałtowne pragnienie, by zamknąć oczy i przytulić się do jej ręki. I nie robię tego. Tkwię sztywno na swoim siedzeniu.

– Dom, jeśli kiedykolwiek chciałbyś o tym porozmawiać, możesz do mnie przyjść – mówi cicho. – Nigdy nie zdradzę nikomu ani słowa, jedynie cię wysłucham.

Z jej twarzy bije taka szczerość, taka prostoliniowość... że ledwie pamiętam o oddychaniu. Jacey o nic nie prosi, tylko martwi się o mnie.

– Dzięki za propozycję – rzucam. – Ale...

– Wiem – przerywa mi. – Ale jednak podziękujesz. Może wejdiesz do środka, Dom? Nie musimy rozmawiać. Możemy po prostu obejrzeć jakiś film czy coś. Nie chcę, żebyś był sam.

Nie kłopotczę się, by ją poinformować, że zawsze jestem sam, nawet gdy otaczają mnie ludzie. Potrząsam jedynie głową.

– Nie dziś. Chyba po prostu już pojedę. Wszystkiego najlepszego, Jacey. Cieszę się, że mogłaś zobaczyć się z bratem.

Jacey waha się, a wreszcie wysiada, zamykając drzwi auta. Stoi tam, piękna i cicha wśród nocy. Kiedy tak na nią patrzę, wiem, co muszę zrobić. Przełykam z trudem ślinę. Jeśli nie zdobędę się na to teraz, zrobi się za późno i okaże się, że ją zламаłem.

Choć raz w moim pieprzonym życiu zamierzam podjąć właściwą decyzję.

Przyzwolitą decyzję.

– Jacey, nigdy nie będę w stanie dać ci tego, czego pragniesz. Chcesz kogoś, kto umie się otworzyć i rozmawiać o uczuciach, kogoś, kto będzie aktywnie uczestniczył w twoim życiu. Ja taki nie jestem i nigdy nie będę. Musimy skończyć z tym teraz, ponieważ po raz kolejny zakochujesz się w nieodpowiednim facecie.

Jacey głośno wciąga powietrze i na sekundę nieruchomieje. Ale potem schyla się i zagląda do środka, patrząc na mnie oczyma o bolesnym wyrazie.

– Czego się boisz, Dominic? Naprawdę... Czego ty się boisz?

Zanim odpowiadam, posyłam jej długie, twarde spojrzenie.

– Wszystkiego – przyznaję.

A potem odjeżdżam.

Rozdział 23

JACEY

Jak to możliwe, że raz jeszcze wszystko tak strasznie spieprzyłam?

Otwarłam się przed kimś emocjonalnie niedostępnym, kto ciągnie za sobą bagaż doświadczeń zbyt duży, by choćby ogarnąć go spojrzeniem. Dom jest zdystansowany. Wycofany. Niezdolny do dania mi tego, czego potrzebuję, a co gorsza – nigdy nie próbował tego ukryć. Od samego początku mi to powtarzał.

A mimo to, zakochałam się w nim.

I serce mi pęka, bo mnie zostawił. Bo naprawdę sądziłam, że jest inny. Że w głębi serca dobry z niego facet i że ja mogę go uratować. Po raz kolejny zdawało mi się, że mogę uratować kogoś, kogo najwyraźniej uratować się po prostu nie da.

Sama sobie zgotowałam ten los.

Chwytam parę rękawic bokerskich i zaczynam walić w worek. Przykuwam uwagę Jake'a oraz Tiga, którzy podchodzą, żeby popatrzeć. Tig mnie obserwuje, zaś Jake przytrzymuje worek.

Stopę nadal mam obolałą, więc nie mogę kopać, ale przelewam agresję w ciosy pięści i wyprowadzam je aż do chwili, gdy ociekam potem, a cała moja frustracja została wyładowana na worku. Kiedy w końcu brakuje mi sił, widzę, że Jake się we mnie wpatruje.

– Coś nie tak, Jacey? – pyta z wahaniem, a ja muszę się uśmiechnąć.

– Aż tak to widać?

– Em, tak – odpowiada. – Myślałem, że zerwiesz ten worek z haka. Cieszę się tylko, że tym razem padło na worek, a nie na mnie.

Chichoczę, ale nie odpowiadam, ściągam jedynie rękawice. Nie ma damskiej szatni, więc z prysznicem i przebraniem się muszę poczekać, aż dotrę do domu. Chwytam torebkę, a po drodze mijam na korytarzu Doma i Joego.

– Lecisz w ten weekend do Kalifornii? – pyta Joe Doma. Ten kiwa głową, a mnie znów pęka serce, bo przypomina mi to o fakcie, że naprawdę się rozdzieliliśmy.

Oddzielne życia. Oddzielni ludzie. Nic dla siebie nie znaczymy.

– Taaak – rzuca Dominic. – Wiem, wiem: nie spóźnij się w poniedziałek albo możesz w ogóle się nie pokazywać.

Joe śmieje się pod nosem, a jakaś część mnie cieszy się, że w końcu zaczął przekonywać się do Dominica. Ale inna część cierpi męki, bo Dom ledwie spojrzy w moją stronę. Od moich urodzin minęły dwa dni, dwa dni, odkąd Dominic zerwał nasz układ. Od tego czasu właściwie cały czas milczy.

Zero wiadomości, zero telefonów, bliski zeru poziom komunikacji w pracy.

Jest niczym mur... rozległy i cichy.

Joe rusza dalej do swojego gabinetu, ale Dom nie odwraca się, by ze mną porozmawiać.

Znowu.

Zaskakując samą siebie, postanawiam, że muszę się z tym pogodzić. Jeśli czegoś się w życiu nauczyłam, to z pewnością tego, że nie da się kogoś zmusić, by cię pokochał. Albo polubił. Albo chciał z

tobą być. Ta lekcja została mi wpojona w bolesny, acz skuteczny sposób, lecz to nie sprawia wcale, że ukłucie odrzucenia staje się znośniejsze.

Kiedy Dominic dociera już niemalże do swojego samochodu, wołam za nim.

Odwraca się. Nic nie mówi, ale patrzy prosto na mnie z pytającym wyrazem swych sławnych zielonych oczu.

– Pierdol się – wyrzucam z siebie z mocą.

Kącik jego ust drga, ale on nie odpowiada. Wsiada do porsche i odjeżdża, pozostawiając mnie stojącą tu samotnie.

To jakoś pasuje do całej reszty. A jeszcze bardziej wkurza mnie fakt, że nie mogę nawet się złościć. Dominic od początku mnie przestrzegał, żebym nie dała się temu wciągnąć, żebym się nie przywiązywała.

Zniszczę cię, choć wcale tego nie chcę, powiedział. Jak może nie dostrzegać, że Sin napisał tamtą piosenkę o nim, tego nigdy nie zrozumie. Musi być cholernie ślepy.

Wzdycham i kieruję się w stronę domu, żeby przygotować się do pracy.

Kiedy po drodze mijam mały bar, zerkam w jego kierunku i przez chwilę kusi mnie, by się zatrzymać. Nie na drinka, ale żeby skąpać się w powszechnej uwadze, która, wiem to, by mnie otoczyła.

Świadomość, że na mnie patrzą, faceci, którzy z pewnością próbowaliby mnie poderwać... to zawsze podbudowuje moją pewność siebie i poprawia mi samopoczucie.

Ale nie tym razem. Zaciskam dłonie na kierownicy i zmuszam się, by jechać dalej.

Zamierzam zerwać z dawnymi przyzwyczajeniami. Nie potrzebuję innego faceta, żeby zapomnieć o Dominicu.

Nie potrzebuję i już.

Serce mnie boli, ale mam tylko jedno wyjście, zdrowe wyjście, i jego muszę się trzymać. Muszę iść naprzód, stawiać krok za krokiem, nie wolno mi za to wskoczyć na bombę do najbliższego łóżka.

Potrafię to. Potrafię być sama.

Nim się obejrzę, wszystko to zmieni się w odległe wspomnienie...

Kaylie poprawia szminkę przed lustrem, a potem odwraca się do mnie, z mikroskopijnych szortów od Saffrona wystają jej pośladki. Coś we mnie umiera, bo wiem, że Gabe i Brand, a nawet Dominic, mają rację. To nie jest sposób, w jaki chce się zarabiać na życie. Muszę przyznać, że pracowałam w Saffron po części w celu podreperowania pewności siebie.

Ale to zmyłka. Ci faceci mnie pożądamy, przez co czuję się, jakby naprawdę mnie pragnęli. A nie pragną. Chcą mnie przerznąć, a to już różnica.

Muszę odzyskać szacunek do siebie, co znaczy, że jak najszybciej potrzebuję nowej pracy.

Kaylie marszczy nos.

– Sprawdźmy, czy dobrze cię zrozumiałam. Już od kilku tygodni spotykałaś się z Dominikiem Kinkaidem. I jeszcze się z nim nie przespałaś – chociaż zabrał cię na cały weekend do swojego domu na Wzgórzach Hollywoodu? A teraz już po wszystkim i przestaliście się widywać?

Kiwam po cichu głową, żałując, że się jej zwierzyłam. Kocham Kaylie, ale jej myśli biegają wyłącznie jednotorowo i na nieszczęście zawsze skupiają się na seksie.

– Jesteś nienormalna – uznaje, wręczając mi czerwoną szminkę. – Przyda ci się lekki retusz, zanim wyjdziemy. I pospiesz się, bo się spóźnimy. Znowu.

Nakładam szminkę, a Kaylie się we mnie wpatruje.

– Jeśli jest w łóżku choć trochę podobny do brata, to sporo straciłaś. Naprawdę sporo – podkreśla dla odpowiedniego efektu. – Serio. Tak właściwie to chyba wytatuuję to sobie na tyłku. *Bzyknęłam Sina Kinkaide'a*. Ooooch. Albo: *Zgrzeszyłam z Sinem*^u.

– Klasa – mamroczę. – Zrozumiałam przesłanie. Wybacz, że w ogóle o tym wspomniałam.

– Od czego są przyjaciele? – Kaylie odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem, a mnie ogarnia nagła tęsknota za Maddy. Kaylie jest w porządku, ale nasza relacja jest powierzchowna, opiera się na wspólnej zabawie. Zaś Maddy to rozważna i mądra osoba, która zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Konotuję sobie, by zadzwonić do niej dzisiejszego wieczoru, podczas którejś przerwy.

Kaylie i ja pakujemy się do mojego nowego samochodu i jedziemy do biura Saffron. Nasz szef, Duży Jim, woła do nas zza lady.

– Cześć, dziewczyny! Zmienił wam się przydział na dziś. No, tobie w sumie nie, Kaylie. Obsługujesz gości na wieczorze kawalerskim w Gable. Ale o ciebie, Jacey, po raz kolejny prosił Sinclair Kinkaide – i płaci mi podwójnie, żebym upewnił się, że na pewno się zjawisz. Nie wiem, co wyrabiasz, ale lepiej, żeby to nie było nic nielegalnego.

Duży Jim wlepia we mnie wzrok, a potem szczyrzy zęby. Potrząsam głową.

– Nie chcę. Przykro mi. Poślij tam kogoś innego. Poślij Kaylie.

Duży Jim wykrzywia swą dużą twarz w grymasie i kręci głową.

– Nie. To masz być ty. I jeśli cenisz sobie tę pracę, pójdiesz. Jestem człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa, a obiecałem już, że się zjawisz.

– Nie możesz zadzwonić i powiedzieć, że się rozchorowałam? – pytam, a płuca wypełniają mi się uczuciem zbliżonym do paniki. – Nie mogę tam iść, Duży Jimie. Po prostu nie mogę.

– Możesz – zapewnia mnie. – I będziesz do tego zmuszona.

– A co ze mną? – dopytuje Kaylie. – Czy Sin wspominał coś o mnie?

Duży Jim zaprzecza ruchem głowy.

– Ani słowem, skarbie.

Czuję napływające mdłości, gdy spoglądam na Kaylie.

– Może jeszcze się wstrzymaj z tym tatuażem.

Posyła mi grymas, ale ja siadam na krześle przy kasie fiskalnej. Chyba nie dam rady. Nie chcę wpaść na Dominica. Nie po tym, jak w taki sposób mnie odsunął. A ja w każdy możliwy sposób, nie licząc faktycznego wypowiedzenia tych słów, dałam mu do zrozumienia, że się w nim zakochałam. Po co to, do kurwy nędzy, robiłam? Czy nie mam już ani krzty szacunku do siebie? Boże.

Może i nie mam, ale istnieje tylko jedno rozwiązanie. Muszę go nabrać. I to szybko.

– No dobra – mówię na głos, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Pójdę.

Kaylie i Duży Jim nawet nie zerkają w moją stronę, bo w ich odczuciu to już dawno zostało ustalone. Bez słowa wymykam się na zewnątrz i kieruję swój niewielki samochód ku posiadłości Sina. Im bardziej się zbliżam, tym ciężiej robi mi się na sercu, ale ignoruję to.

Dam radę. Dam radę wejść tam z wysoko uniesioną głową i nie pozwolić, by Dominic jakkolwiek na mnie wpłynął.

Dam radę.

Niemal skanduję tę frazę, okrążając dom, aby dostać się do środka tylnymi drzwiami i dotrzeć do kuchni. Dobrze znam tę rutynę, pracowałam tu już kilkakrotnie. Ale gdy wchodzę do kuchni, Henrietta, szefowa zmiany, spogląda na mnie.

– Masz znaleźć pana Kinkaide’a zaraz po przybyciu – oznajmia z ciekawością. – Nie wiem czemu.

Patrzy na mnie, jakby mogła dostarczyć jej wyjaśnień. Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Nie wierzy mi, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie mój problem. Zmierzam ku części mieszkalnej, zdecydowana odnaleźć Sina, lecz uniknąć Dominica.

Co okazuje się łatwe. Dominica nigdzie nie widać, zaś Sin leży rozwalony w głównym salonie, ubrany w dzinsy, ale bez koszulki. Uśmiecham się na moment, przypominając sobie, jak Dominic parę razy narzekał, że Sin stale chodzi półnago, lecz na myśl o Dominicu uśmiech zaraz zamiera mi na ustach.

– Chciałeś mnie widzieć? – pytam Sina cicho. Jest w trakcie przeglądania sterty jakichś papierów i

zdaje się głęboko pogrążony w myślach. Unosi wzrok.

– Och, cześć. Jacey, prawda?

Wie, jak mam na imię. I doskonale wie, kim jestem.

Sin Kinkaide wie, kim jestem. Mózg wybucha. Mój gospodarz uśmiecha się szeroko, a ja dostrzegam w tym uśmiechu Dominica. Jest jednocześnie pewny siebie, czarujący i seksowny.

– Prosiłem, żeby przysłali cię dziś do pracy na mojej imprezie.

– Wiem – odpowiadam wolno. – Ale dlaczego?

– Ponieważ przez te kilka ostatnich tygodni mój brat był szczęśliwszy, niż zdarzyło mu się to od bardzo długiego czasu – oznajmia Sin z powagą. Mówiąc, obraca butelkę piwa w dłoni i przy każdym ruchu srebrny kastet z baranią głową dzwięczy o szkło. Pewnie wyglądam powątpiewająco, bo wybucha śmiechem.

– Taka prawda – zapewnia. – Wiem, że trudno ustalić, kiedy mój brat jest szczęśliwy, a kiedy nie, ale zaufaj mi. Był szczęśliwszy, a biorąc pod uwagę, że mieszka tutaj, moje życie również stało się przez to szczęśliwsze. Ale wczoraj wrócił do domu w gównianym nastroju, a kiedy zapytałem, o co chodzi, prawie odgryzł mi głowę. A więc logiczne, że może chodzić tylko o jedno. Spieprzył coś między wami.

Zaczynam protestować, ale Sin unosi dłoń.

– Było tak czy nie?

Przełykam ślinę.

– Nie rozumiesz. Nie było nic, co mógłby spieprzyć. Po prostu miło spędzaliśmy razem czas. Ani przez chwilę nie planowaliśmy poważnego związku, więc niepotrzebnie mnie tu sprowadziłeś. Wierz mi, jeśli Dom popadł w zły humor, to nie z mojego powodu. To on uznał, że powinniśmy przestać się widywać.

– I oznajmił ci to wczoraj? – Sin unosi brew.

Widzę, dokąd zmierza.

– Tak, ale to tylko zbieg okoliczności. Wierz mi.

Sin potrząsa głową.

– To ty uwierz mnie. Znam swojego brata. Ale to mi przypomina, po co cię tu ściągnąłem. Chciałbym, żebyś obsługiwała dziś wyłącznie jego. Chodź za nim wszędzie. Jeśli pójdzie do swojego pokoju, idź za nim. Nie przyjmuj odmowy.

To mnie irytuje i wbijam w Sina spojrzenie.

– Za kogo ty mnie, do cholery, uważasz? Nie jestem osobistą służącą ani seksualną niewolnicą.

Sin wpatruje się we mnie.

– Wiem, że nie. Ale sądzę, że troszczysz się o mojego brata. Musi tak być, bo inaczej nie wytrzymałabyś z nim tak długo. Posłuchaj, mój brat przez stanowczo zbyt długi czas leżał pogrzebany pod kamieniem. Całe lata. Ale dla ciebie wyczołgał się spod kamienia. I chcę, żeby tak zostało. Kluczem do tego jesteś ty. Wierz mi.

– Wygląda na to, że mam ci wierzyć w bardzo wielu kwestiach – zauważam. – A nawet cię nie znam.

– Jasne, że znasz – uspokaja mnie Sin. – Wszyscy mnie znają.

Po prostu muszę przewrócić oczami. Niemal słyszę głos Doma w jego aroganckim tonie.

– Wszyscy znają twoją twarz i nazwisko. Co nie znaczy, że znają ciebie – przypominam mu. – I to dotyczy także mnie.

– Okej, tu masz rację – przyznaje, a jego twarz, nie licząc uśmiechu, pozostaje bez wyrazu. – Powiedz, co mogę zrobić, abyś mi zaufała. Zaśpiewać ci piosenkę?

Zaczynam się śmiać, aż coś przychodzi mi do głowy.

– Opowiedz mi o Emmie. I o tym, czemu Dominic wini Crisa.

Sin szybko trzeźwieje, patrząc prosto na mnie.

– Hmm. Od razu przystępujesz do ataku. Więc Dominic nie chce ci powiedzieć?

Kręcę głową.

– Nie. Wiem tylko, że była jego dziewczyną i że obwinia Crisa o jakąś naprawdę straszną rzecz. I to już wszystko.

Sin wzdycha i pociąga duży łyk piwa, rozsiadając się wygodniej.

– Nie wiem, czemu wini Crisa – przyznaje. – Wszyscy mamy swoje podejrzenia, ale nikt nie wie na pewno. Dom nie chce o tym mówić, a Cris nie chce nic zdradzić. Ale mogę ci powiedzieć, że to cholernie mocno w niego uderzyło. Cholernie. Niezależnie od całej reszty, liczy się fakt, iż Emma umarła, a Dominic obwinia za to siebie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. To jego historia i to on powinien się nią dzielić. Może dziś znajdzie ku temu okazję... bo będziesz jego cieniem. Chyba jeszcze nie wrócił, ale jestem pewien, że wkrótce się zjawi. Ma zostać przez chwilę na imprezie, zanim poleci do Los Angeles.

– A co jeśli ja nie chcę być jego cieniem? – pytam, podczas gdy wokół mojego żołądka zaciskają się zimne szpony przerażenia. Sin się uśmiecha.

– Może ci się wydawać, że nie chcesz, ale ja myślę, że jednak tak. A z tego, co o tobie wiem, nigdy nie robisz czegoś, na co nie masz ochoty.

Gapię się na niego, unikając odpowiedzi, ale w głębi duszy wiem, że ma rację... w obu punktach.

Odwracam się, by odejść, ale jeszcze się waham.

– Naprawdę uważasz, że jest szczęśliwszy, odkąd się poznaliśmy? – pytam wolno. Sin kiwa głową.

– Wiem, że tak jest.

Wychodzę po cichu, zagubiona w myślach. Dominic obwinia się o śmierć Emmy? To dość poważnie różni się od zwykłego opłakiwania zmarłej dziewczyny. Przez głowę przemyka mi milion różnych scenariuszy, ale nigdy nie dowiem się prawdy, chyba że sam mi powie.

A na to się nie zanosì.

Z westchnieniem skręcam ku głównemu holowi i chwytam tacę z szampanem. Póki nie dojrzę Dominica, mogę równie dobrze rozdawać napoje.

Nie muszę czekać długo. W dwadzieścia minut później czuję, że wchodzi do pomieszczenia. Czuję jego spojrzenie utkwione między moimi łopatkami. I rzeczywiście, kiedy się odwracam, zielone oczy Dominica spotykają się z moimi – a w jego dostrzegam dziwny ogień.

Odstawiam tacę i podchodzę prosto do niego. Nie porusza się, opiera się tylko o futrynę i czeka.

– Jacey – wita mnie, skinąwszy głową. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Taki uprzejmy, taki układny, taki odległy.

Gardło mi się ściska. Może Sin się mylił.

– Sin mnie tu sprowadził – tłumaczę, walcząc z ochotą, by wsunąć palce w jego włosy, odgarnąć mu z czoła tę modną grzywkę. – Mam dziś obsługiwać wyłącznie ciebie.

To Dominica interesuje. Widzę, że dziwny błysk w jego oczach rozjarza się jeszcze mocniej, zmieniając się w prawdziwy płomień.

– Naprawdę? – pyta, utkwivszy spojrzenie w moich wargach. Oblizuję je z pełnym rozmysłem, a on uśmiecha się wilczo. – A więc musisz dziś przebywać ze mną i nikim innym? Mam cię na wyłączność? – Kładzie nacisk na ostatnie słowo, a ja przełykam ślinę.

– Tak. Szef zmusił mnie, żebym przysłała, a potrzebuję tej pracy. Więc oto jestem.

– A więc przysłałaś, bo szef ci kazał – powtarza Dom wolno. – I nie ma to nic wspólnego z tym, że chciałaś mnie zobaczyć?

– Czemu to, czego ja chcę, ma mieć jakieś znaczenie? – pytam stanowczo. – Zdawało się, że zupełnie cię to nie obchodziło, kiedy wczoraj kończyłeś nasz układ. Ale teraz jestem tu... i płacą mi za to, żebym serwowała ci drinki.

– I zaspokajała moje potrzeby – dodaje Dominic. – To właśnie robisz z innymi mężczyznami... Podsuwasz im cycki pod twarz i śmiejesz się z ich żartów. Życzę sobie takiego samego traktowania. Chcę dostać to, za co zapłaciłem.

Jego twarz jest teraz mroczna, nachmurzona. Niebezpieczna. Przez chwilę rozważam, czy nie odejść i

nie zapomnieć o wszystkim. Ale nie mogę. Póki nie znajdę nowej pracy, potrzebuję obecnej, aby mieć na czynsz, który, tak się składa, należy opłacić w przyszłym tygodniu. Ale w duchu przysięgam sobie, że gdy tylko wrócę do domu, przejrzę oferty pracy.

– W porządku – odpowiadam ostro. – Jeśli chcesz, żebym uwiesiła się twojego ramienia, to chyba mogę to zrobić. I jeśli naprawdę życzysz sobie, żeby moje cycki znalazły się przy twojej twarzy, to chyba też jestem w stanie załatwić.

Nie umiem nic odczytać z wyrazu twarzy Dominica. Nie potrafię stwierdzić, czy czuje się rozczarowany faktem, iż tak łatwo się poddałam, czy też cieszy się na tę noc. Tak czy inaczej, jestem przygotowana. On szuka rozrywki. Ni mniej, ni więcej. Jakoś odbębnię dzisiaj zmianę i rzucę tę pieprzoną robotę tak szybko, jak się tylko da.

Dominic wyciąga rękę.

Spoglądam na niego z wahaniem.

– Chodź, księżniczko – ponagla. – Nie skrzywdzę cię. Przynajmniej tyle powinnaś już wiedzieć.

– A w każdym razie nie w widoczny sposób – mamrocze, delikatnie kładąc palce na jego ramieniu.

Dominic unosi brew, ale nic nie mówi.

Wyprowadza mnie z holu, z domu, a potem kierujemy się kamienną ścieżką w stronę basenu. Gdy docieramy na patio, Dom siada na ławce i wskazuje gestem, bym zajęła miejsce obok niego.

– Dlaczego się we mnie zakochałaś? – pyta wprost, wpatrując się we mnie w ciemności.

Czuję się, jakby mnie spoliczkował tym tak otwartym pytaniem. Nie jestem do tego przyzwyczajona z jego strony. Zazwyczaj obiera taktikę uników. Odczekuję chwilę, biorę oddech, a potem kręcę głową.

– Nie zakochałam się.

Kłamstwo. Zakochałam się cholernie mocno.

Dominic unosi brew.

– Nie? Okłamujesz mnie, księżniczko?

Wlepiam w niego wzrok, oddech utyka mi w gardle i stwierdzam, że nie chcę oszukiwać.

– Tak – przyznaję więc prosto.

Dominica zaskakuje moja szczerść, patrzy na mnie twardo. Prędko podejmuję:

– Zakochałam się w tobie, ponieważ sądziłam, że jest w tobie coś więcej. Sądziłam, że na dnie serca chowasz coś nieprzyjemnego, coś zepsutego, ale że ja będę potrafiła to naprawić. Sądziłam, że czujesz do mnie więcej, niż faktycznie czujesz. Ale myliłam się. Wiem, czym dla siebie jesteśmy. Niczym. Po raz kolejny dowiodłam, że nie powinnam ufać swojej ocenie. Kiedy dzisiejsza noc dobiegnie końca, byłabym wdzięczna, gdybyś przekazał Sinowi, żeby już więcej o mnie nie prosił.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się wymówić te słowa, biorąc pod uwagę sposób, w jaki on na mnie patrzy. Ale robię to. Wypowiadam je, a one unoszą się między nami, ostre i nieprzyjemne.

Dominic kiwa powoli głową, a ja znów nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy.

– Jacey, ty starasz się w każdym widzieć dobro. Na tym polega twój błąd. Wydaje ci się, że jeśli wystarczająco uważnie się przyjrzyysz, dostrzeżesz je, że każdy ma w sobie coś, czym może sobie na ciebie zasłużyć. Ale to kurewsko nieprawdziwe założenie. Bardzo niewiele osób na ciebie zasługuje. Ja się do nich nie zaliczam.

Serce ściska mi się na jego słowa, ponieważ tak się stara, by mnie podbudować, by skomplementować nawet moją najgorszą cechę. Serce mi pęka, bo wiem, że Dominic uważa nie tylko, że nie zasługuje na mnie, ale że w ogóle na nikogo nie zasługuje.

– Jesteśmy tacy skrzywieni – udaje mi się wykrztusić. Dominic kiwa z powagą głową.

– Ja bardziej niż ty.

Nie odpowiadam.

Dominic wpatruje się we mnie tymi cholernymi ciemnymi oczyma, a w końcu ponownie się odzywa:

– Gdy ta noc się skończy, nie chcę, żebyś się więcej do mnie zbliżała, Jacey. Nie chcę cię zranić

bardziej, niż już to zrobiłem. Dzisiejsza noc jest naszą ostatnią.

Kiwam krótko głową; znaczenie jego słów jest oczywiste.

Dominic uśmiecha się, lśniącem, twardym uśmiechem.

– Więc musimy dobrze ją wykorzystać. Wiedz to już teraz. Nie musisz robić nic, na co nie masz ochoty.

Znasz mnie. Jeśli powiesz „nie”, na tym koniec. Rozumiesz?

Kiwam głową, ale Dominic potrząsa swoją.

– Rozumiesz. Tak czy nie?

– Tak – mamroczę.

– Jeżeli zdecydujesz na „nie”, możesz wyjść w każdej chwili i obiecuję, że Sin nie skontaktuje się z Saffron i nie poniesiesz żadnych konsekwencji ze strony swojego szefa. Dzisiejsza noc będzie... pożegnaniem. Pożegnaniem na miarę ciebie i mnie. Tak czy nie?

Jestem pieprzoną masochistką, ponieważ w oczach Doma dostrzegam błysk... mroczny, bardzo mroczny błysk, który może oznaczać jedynie mroczne, bardzo mroczne rzeczy... i przyjmuję to z radością. Pragnę tego. Pragnę jego... nawet jeśli ma to trwać tylko jedną noc.

Kocham go. Ta świadomość jest tak bardzo bolesna.

– Tak – szepczę.

Dominic się uśmiecha.

– Dobrze. Któregoś wieczoru chciałaś dowiedzieć się czegoś o mnie. Chciałaś, żebym podzielił się z tobą swoją historią, żebym wytłumaczył, czemu stałem się tym, kim jestem. Chciałaś wiedzieć, czy Amy Ashby miała rację, czy jestem zboczony. Chcę ci teraz odpowiedzieć na te pytania. Mógłbym mówić cały dzień, ale nie miałyby to dla ciebie żadnego sensu, musisz dopiero zobaczyć, kim naprawdę jestem. Musisz zobaczyć, jakiego rodzaju rzeczy lubię. Więc dzisiaj chcę, abyś to ujrzała. Możemy tak zrobić?

Wpatruję się w niego zdezorientowana.

– Ujrzała...?

– Mój brat prowadzi dzikie życie – wyjaśnia Dom. – Sama widziałas. I z pewnością zauważyłaś, że podczas każdej imprezy odbywa się także prywatna, sekretna impreza w podziemiu. Impreza, na którą większość osób nie jest zaproszona. Dziś zapraszam tam ciebie. Chcesz ze mną pójść?

Serce wali mi w piersi, tak z obawy, jak i z podekscytowania. Rzeczywiście zauważyłam sekretne imprezy w podziemiu. Oczywiście, że tak. Stanowiły część umowy o zachowaniu poufności, którą musiałam podpisać, by móc pracować w domu Sina.

Pod żadnym pozorem nie schodzić do piwnicy.

Ale dzisiaj to się zmienia. I może dzięki temu zyskam choć cień wyobrażenia o tym, kim naprawdę jest Dominic.

Odpowiedzi.

Wreszcie.

– No i? – ponagliła Dominic, wlepiając na mnie wzrok.

– Okej – zaczynam. Ale pod wpływem jego spojrzenia poprawiam się: – Tak.

Uśmiecha się.

– Chodź ze mną.

Wyciąga do mnie rękę, a ja ją ujmuję. Gdy go dotykam, zerka na mnie z góry i przez chwilę moje serce trzepocze. Wszystko w nim mnie przyciąga. Jego zapach, jego dotyk, jego spojrzenie. Jego boleśnie seksowna osobowość. Z całą pewnością jestem masochistką, ponieważ wiem bez cienia wątpliwości, że ta noc mnie unicestwi.

A mimo to chętnie ruszam z nim w stronę domu.

Do piekła.

Albo do Edenu.

Rozdział 24

JACEY

Dominic prowadzi mnie korytarzem na tyłach domu do ogromnie luksusowej piwnicy, dalej dwoma kolejnymi korytarzami, aż wreszcie zatrzymujemy się przed ciężkimi podwójnymi drzwiami z drewna. Odwraca się i patrzy na mnie.

– Chcesz to zrobić. Tak czy nie?

Nie jestem pewna. Z drugiej strony dobiega mnie dudniąca muzyka, ale też jęki. Odgłosy seksu. Równomierne łomotanie. Smagnięcia bata? Jęki. Więcej jęków. Krzyki. Wrzaski. Jęki.

Spoglądam na Dominica z sercem w gardle.

– Tak.

Uśmiecha się, a potem otwiera drzwi.

Pomieszczenie przed moimi oczami składa się z mnóstwa dyszących i pieprzących się ciał.

W pierwszej chwili skupiam się na kobietach w klatkach.

W każdym z czterech rogów skapanego w przyćmionym świetle pomieszczenia znajduje się okrągła klatka z prętami. W każdej z nich tkwi kobieta z obrożą na szyi. Obroże przyłączone są do łańcuchów w klatkach. Kobiety są nagie, jeśli nie liczyć dziwnych skórzanych uprzęży, których paski krzyżują się po obu stronach piersi, a potem nad i pod biodrami. Przez moment mnie to dezorientuje, aż jakiś mężczyzna otwiera drzwi najbliższej klatki i wchodzi do środka.

Dopiero wtedy dostrzegam, że skórzane paski podczipione są u sufitu klatki. Pociągając za nie, dziewczyna może unieść się w powietrze. A gdy to robi, paski zaciskają się wokół jej piersi oraz krocza tak mocno, że ciało staje się białe.

Ale zdaje się, że jej się to podoba. Jęczy, a mężczyzna pochyla głowę i zaczyna ssać jej sutki, jej naprężone ciało. Moje spojrzenie biegnie ku Dominicowi, który wpatruje się we mnie z intensywnym wyrazem twarzy.

– One to lubią – zapewnia mnie. – Wierz mi, są tu z własnej i nieprzymuszonej woli. Lubią być związane, smagane batem, lubią, kiedy ssie się ich ciało. Rozkoszują się bólem i oglądaniem go.

Serce bije mi szaleńczo, a ku mojemu kroczu sływa ciepło, zwilżając majtki. Nie mogę w to uwierzyć, ale podnieca mnie patrzeć na to. I cała reszta też. Zapachy, dźwięki, fakt, iż wszystkie te chore sprawy powinny odbywać się w zaciszu sypialni, lecz zamiast tego dzieją się tutaj, na otwartej przestrzeni, gdzie inni chętni dorośli mogą sobie popatrzeć. To sprawia, że moje serce galopuje.

Stoję w drzwiach i przeczesuję pomieszczenie wzrokiem.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Ściany pokrywają kamienne płytki, a tu i tam wyrastają kolumny oraz fontanny. Przywodzi to na myśl starożytną Grecję. Sufit pomalowano na wzór nocnego nieba, z wirami chmur oraz błyszczącymi gwiazdami, a z góry, z okrągłego gzymsu okalającego sufit, posągi greckich bogów spoglądają na nas z aprobatą. Oczywiście, że to aprobują. Sami byli bandą skrzywionych świrów.

Wszędzie poustawiano ogromne okrągłe jedwabne otomany, wystarczająco duże, by zmieściła się na nich cała grupa ludzi. I, faktycznie, mieszczą się na nich grupy ludzi, a wszyscy oddają się orgii.

To jedna wielka orgia o epickim rozmachu.

Olśnienie uderza we mnie gwałtownie i na samą myśl, że w ogóle się tu znalazłam, mięknią mi kolana.

Wszędzie wokół mnie ludzie się pieprzą, ssą, liżą, batożą... Nie potrafię ogarnąć tego rozumem. Nie wiedziałam, że takie rzeczy w ogóle mają miejsce.

– Czy to w ogóle legalne? – pytam Dominica głupkowato. Wprowadza mnie do pomieszczenia i zamyka za nami drzwi, a potem wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Wszyscy przyszli tu z własnej, nieprzymuszonej woli. I to tajemnica. Nie mówi się o tym poza murami tej sali.

Kiwam głową. Ja na pewno nie przyznam się, że tu byłam. Jezu. Mój brat by mnie zamordował, do cholery.

Biorę głęboki wdech, wciągając ciężkie od seksu powietrze, i odwracam się do Dominica.

– Co my tu robimy?

Uśmiecha się leciutko.

– Patrzymy. To właśnie lubię.

Pociąga mnie w bok, gdzie siadamy na wielkiej, skrytej w cieniu sofie. Dom układa mnie sobie na kolanach i kieruje uwagę na pomieszczenie rozciągające się przed naszymi oczyma.

– Często tu przychodzisz? – pytam go nagle. Z jakiegoś powodu, mimo że jestem nim sfrustrowana i wkurzona, zasmuca mnie myśl, że spędzał tu czas, kiedy byliśmy jeszcze razem. Dom potrząsa głową.

– Tylko czasami – odpowiada. – Czemu? To ci przeszkadza?

– To twoje życie – rzucam nonszalancko.

Spogląda na mnie z powątpiewaniem, ale ja odwracam wzrok ku parze, która pieprzy się przy ścianie. Oboje są całkiem nadzy, a ich ciała połyskują od potu. Mężczyzna przygważdża kobietę, wolno posuwając ją czerwonym, nabrzmiałym kutasem, a ona obejmuje go nogami w pasie. Jego kutas jest zaczerwieniony, bo kobieta uderza w niego otwartą dłońią za każdym razem, gdy facet się wycofuje. Ale on jest zachwycony. Jęczy ekstatycznie przy każdym ciosie.

– Czemu to ci się podoba? – pytam miękko, niezdolna do odwrócenia wzroku. Dom uśmiecha się sardonicznie.

– Nie jestem pewien. Pewnie temu, że mogę skryć się w cieniu. Nie muszę wchodzić z nikim w kontakt, mogę jedynie patrzeć. A jeśli nawet wchodzę z kimś w kontakt, to nie na głębokim poziomie. To powierzchowne, dwoje ludzi zadawalających się nawzajem. Ni mniej, ni więcej.

– Więc to pusty akt – stwierdzam, w końcu przenosząc spojrzenie z pary na niego. Wzrusza ramionami.

– Jeśli chcesz tak to nazwać.

Przyglądam się otaczającym mnie ludziom, smaganiu, batożeniu i czerwonym śladom.

– Ty też lubisz ból?

Znów wzrusza ramionami.

– Może.

Coś kłuje mnie w środku, swego rodzaju objawienie.

– Bo czujesz, że na niego zasługujesz – oświadczam. Tym razem to nie pytanie. Wiem to w swoim sercu, a on nie zaprzecza. – Są tu jakieś sławy? – pytam cicho, zmieniając temat. Dom się uśmiecha.

– Zawsze. Imprezy Sina są sławne. Ludzie zlatują się zewsząd.

To nie jest żadna „ impreza ”. To orgia.

Dom milknie, obserwując dziewczynę w klatce. Do pierwszego mężczyzny dołączył drugi i, podczas gdy ten pierwszy mocno ssie jej piersi, drugi smaga ją od tyłu aksamitnym batem. Dziewczyna jęczy:

– Zerznij mnie, zerznij mnie, proszę.

Na plecach ma ślady od tych aksamitnych frędzli, a mimo to jęczy. Mimo to czerpie z tego przyjemność. Mimo to wygina plecy w łuk i szczytuje, wciąż i wciąż. Kiedy to się dzieje, do klatki wchodzi jakaś inna kobieta i zaczyna ssać jej drugą pierś. Dziewczyna z klatki krzyczy głośniej... bo tak

jej się to podoba.

W moje majtki spływa wilgoć i czuję się jak dziwadło.

– Czemu oglądanie tego sprawia mi przyjemność? – zastanawiam się na głos w stronę Dominica. – Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego.

– I pewnie dlatego ci się to podoba – szepcze z wargami w pobliżu mojego ucha. – To coś perwersyjnego, zakazanego. A zakazane rzeczy nas ekscytują, nieważne, kim jesteśmy.

Obejmuje palcami moje udo, ściskając miękkie ciało. Ugniata, ciągnie, ściska... powodując mikroskopijną odrobinę bólu. A ja chcę więcej. Nagle chcę więcej. Pragnę przez niego cierpieć... w przyjemny sposób.

Patrzy na mnie.

– Ten pokój cię podnieca. Tak czy nie?

Wstyd mi to przyznać, ale to prawda.

– Tak – potwierdzam głucho.

– Jesteś mokra? – pyta Dominic zachrypniętym głosem.

– Tak – odszeptuję.

– Mogę sprawdzić?

Dziwię się, że zapytał. Ale nagle nie pragnę niczego więcej.

– Tak – odpowiadam.

Jego chłodne, długie palce mnie odnajdują. A potem wnikają we mnie, wsuwając się i wysuwając, powoli, a potem szybko. Mój oddech przyspiesza, odwracam się i wtulam w niego, przyciskam twarz do jego piersi i trzymam go mocno.

– Nie – chrypi, odwracając mnie za ramiona. – Patrz dalej.

Więc patrzę.

Patrzę na pary uprawiające seks, na pary smagające się biczami, na ślady batożenia, na siniaki, zadrapania. Patrzę na palce wślizgujące się w ciała, na połyskującą skórę, grube penisy, śliskie fałdki. Patrzę na to wszystko.

A potem widzę, że do pomieszczenia wchodzi Kira. Ubrana w długą suknię bez ramiączek, wkracza do środka, jakby to miejsce należało do niej, rozgląda się, przeszukując wzrokiem każdy kąt. Wiem, kogo wypatruje.

Jej spojrzenie go odnajduje i rusza w stronę Dominica, ale zaraz dostrzega mnie na jego kolanach. Oczy jej się zwężają i zamiera w pół kroku.

Palce Dominica ani na chwilę nie przestają się we mnie poruszać, mimo że Kira patrzy.

To mnie zawstydzia, ale i cieszy.

Dominic przygląda się odwrotowi Kiry ku zakątkowi przy ścianie, gdzie dziewczyna stoi samotnie przez kilka minut, aż pojawia się Duncan. Młodszy brat Dominica ogarnia wzrokiem pomieszczenie, ocenia sytuację, jego spojrzenie prześlizguje się po mnie i Dominicu, a następnie po Kirze. I wtedy rusza w jej kierunku i pociąga ją ku miękkiej otomanie po jej lewej.

Na początku Kira kręci głową, ale wreszcie idzie za nim, siada z nim na jedwabiu. Sprawdza reakcję Dominica i wyraźnie widać, że czeka na to, by zaprotestował przeciwko jej zadawaniu się z jego bratem.

Ale on tego nie robi.

Zamiast tego pieści mnie, jego oddech staje się urywany. Jego palce są cudowne, niewiarygodnie cudowne, ale wrażenia okazują się jeszcze bardziej niesamowite ze względu na to, gdzie się znajdują... otoczona przez seks każdego rodzaju.

Zatrzymuje się przed nami naga kobieta o bladej skórze i rudych włosach spływających aż do pasa, zasłaniając mi widok na Kirę.

– Chcesz, żebym ci obciągnęła? – pyta Dominica. A on spogląda na mnie.

– Chcesz, żeby to zrobiła?

Przez chwilę to rozważam. A potem ogarnia mnie zdumienie, że w ogóle mogłam to rozważać. Myśl, aby ktoś miał dotykać Dominica w ten sposób, ktoś poza mną, mnie jak nożem, więc potrzęsam pospiesznie głową.

– Nie.

Dom natychmiast kręci głową w stronę dziewczyny, która kompletnie nieprzejęta rusza ku kolejnej parze. Przyglądam się temu z zadziwieniem.

– To miejsce... – mamroczę, mój głos rozplywa się, a ja po raz kolejny rozglądam się wokół. – Nigdy niczego podobnego nie widziałam.

Dominic śmieje się, nisko i mrocznie.

– Sin chciał, żeby było tu tak, jak podobno bywało na starożytnych orgiach. W sąsiednim pomieszczeniu mieści się rzymska łaźnia. Chcesz tam zajrzeć?

Zerkam na Kirę i Duncana. Duncan całuje ją po szyi, lecz Kira utkwiała oczy w Dominicu i we mnie.

– Nie sądzę, żeby Kirze się to spodobało – zauważam, próbując ignorować fakt, że palce Doma wciąż znajdują się we mnie. – Obserwuj nas.

– Ona lubi mnie obserwować – odpowiada Dominic swobodnie. – Jest moją przyjaciółką od bardzo dawna.

– Najwyraźniej z twoim bratem też się przyjaźni – rzucam kwaśno. Dominic pochyla głowę, skubiąc zębami moją szyję, a ja mimowolnie wyginam się i opieram o niego.

– Czemu właściwie tu jestem? – pytam nagle. – Po co mnie tu przyprowadziłeś? Żeby ponownie dowieść, że jestem jak wszyscy?

Dominic przestaje się ruszać i unosi na mnie wzrok. Jego spojrzenie jest niebezpieczne i mroczne.

– Nie jesteś jak wszyscy – odpowiada. – Wiem, że nie jesteś. Ale chciałem, żebyś zobaczyła, czym jestem ja. Zanim każde z nas ruszy własną drogą i nigdy więcej się nie spotkamy, musiałem ci pokazać, że jestem popieprzony. Dzięki temu nie będziesz przez resztę życia zastanawiać się, czy dobrze postąpiliśmy, zrywając ze sobą. Możesz być spokojna, wiedząc, że owszem, dobrze. Bo nie zasłużyłaś sobie na kogoś takiego jak ja.

Zaskakuje mnie jego szczerłość, wpatruję się więc w niego. Wzrusza ramionami.

– Taka prawda. I dobrze o tym wiesz.

– Czemu niby jesteś popieprzony? – pytam, nie spuszczając Kiry z oka. Ona obserwuje mnie zwięzonymi oczyma, jej nogi oplatają nagie biodra Duncana.

– Czy to nie oczywiste? – pyta Dominic z błyszczącymi oczami. – Nie potrafię podniecić się normalnymi rzeczami. Potrzebuję czegoś mrocznego, jakiegoś tabu. O ile w ogóle udaje mi się podniecić. Jestem popieprzony, Jacey. Na tym poprzestańmy.

– Ale dlaczego jesteś popieprzony? – pytam obcesowo. – Powiedz mi choć tyle. Ten Dominic, którego ja znam, jest zabawny, dowcipny i inteligentny. I dobry, w głębi duszy, chociaż próbuje to ukryć. Ten Dominic, którego znam, nie jest popieprzony. Nie tak naprawdę.

Dominic patrzy na mnie, jego twarz przypomina doskonałą maskę.

– To dlatego, że nie znasz prawdziwego Dominica. Przeczuwałaś jego istnienie, przez cały czas. Widziałem to w twoich oczach. Dziś ci go pokazuję.

– Nie wierzę w to – szepczę, a słowa z sykiem wyślizgują się spomiędzy moich warg. – To nie jesteś ty. Z jakiegoś powodu chcesz jedynie być tą osobą. Uważasz, że nie zasługujesz na prawdziwe rzeczy – na dobre rzeczy. Więc pozwalasz sobie wierzyć, że na tym polega twoje życie. Ale ono może być dużo bogatsze, jeśli tylko na to pozwolisz, Dominic. Wiem to.

Odsuwam się od niego.

– Rozejrzyj się wokół siebie. To smutne. Owszem, oglądanie tego podnieca... ale tylko dlatego, że to takie perwersyjne i mroczne. Ci ludzie muszą wieść takie smutne życie – szczególnie te kobiety w klatkach. Nie mają nic zdrowego, nic znaczącego, więc przychodzą tutaj, by ktoś je poniżał. Spójrz na

Kirę! Jest w tobie zakochana, a właśnie uprawia seks z twoim bratem. O co w tym, kurwa, chodzi?

Dominic ściska mnie mocno za ramię.

– Z tymi ludźmi wszystko jest w porządku – oznajmia niskim głosem. – Po prostu to właśnie lubią. Większość z nich przypomina mnie. Są znudzeni i widzieli już wszystko, więc zwykłe sprawy już ich nie ruszają. A Kira... Ona nie jest we mnie zakochana. Lubi mnie. I też jest popieprzona, jak ja.

Znów na nią spoglądam, akurat w porę, by zauważyć łzę spływającą jej po policzku, zanim zamknie oczy. Wzdrygam się ze zdziwieniem.

– Ona płacze – pryham na Dominica. – Nie wydaje się, żeby nadal cię lubiła.

Ledwie te słowa padają z moich ust, a Kira podrywa się i biegnie przez salę ku pomieszczeniu wyglądającemu na łazienkę. Zanim zdążę to przemyśleć, odsuwam się od Dominica i ruszam za nią.

Znajduję ją siedzącą bezwładnie na ławce w bogato zdobionej łazience. Po twarzy płyną jej łzy, obejmuje się ramionami. Zbliżam się ostrożnie.

– Wszystko w porządku?

Nie odpowiada, tylko nadal płacze, gapiąc się w ścianę.

– Przykro mi – mówię cicho.

Spogląda na mnie.

– Naprawdę? – Jej słowa nie są ostre czy nieprzyjemne, to tylko proste pytanie. Kiwam głową.

– Widzę, że jesteś smutna. I jeżeli to moja wina, to naprawdę mi przykro.

Kira odwraca wzrok, ocierając oczy.

– To nie twoja wina. Jestem wściekła, bo nie powinnam była tego robić z Duncanem. – Znów odwraca wzrok, oczy ma wilgotne. – Wiesz, zawsze go pragnęłam... Dominica. Zawsze. Nawet przed śmiercią Emmy. A kiedy już umarła, trwałam przy nim. Przez te wszystkie lata byłam wszystkim, czego potrzebował, ale to nigdy nie miało znaczenia. Nigdy mu nie wystarczałam. Nie oszukuj się, sądząc, że ty mu wystarczysz, bo tak nie będzie. Ta, której on potrzebuje, nie żyje. I nigdy już nie wróci.

– Kira, przestań – odzywa się chłodno Dominic, a ja okręcam się gwałtownie, by dojrzeć go w drzwiach. Robi dwa kroki w naszą stronę i znów się zatrzymuje. Na jego twarzy maluje się śmiertelny spokój, głos ma lodowaty. – Musisz z tym skończyć.

Wlepiam w niego spojrzenie.

– Czy ty nadal kochasz się w Emmie? Czy to właśnie jest twój problem?

Bo nie mogę współzawodniczyć z martwą kobietą.

– To nie takie proste – stwierdza, zwracając się do mnie, ale Kira wybucha zimnym, pustym śmiechem.

– Właśnie, że tak. Kocha się w niej. Tak musi być. Nie wiem, co jest z nim nie tak ani czego mu trzeba. Nie wiem, czy on sam to wie. Nie trać na niego czasu. Zaufaj mi. Ja zmarnowałam całe lata. Wyssie z ciebie wszystko i zatoniesz razem z nim.

Patrzę na nią, potem na niego, a moje oczy wypełniają się łzami na myśl, że ona może mieć rację. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, że chcę go ocalić, ale tak właśnie jest. Chcę ocalić go przed tym... przed tym wszystkim.

Ale może Dominica nie da się uratować, dlatego że on po prostu nie chce zostać uratowany. A może sam nie wie, co właściwie mogłoby go uratować. Tak czy inaczej, sprawa wydaje się beznadziejna.

Dominic spogląda na Kirę i coś w jego oczach łagodnieje.

– Kira, przepraszam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pragniesz ode mnie czegoś więcej. Nigdy nic nie powiedziałaś, a ja nigdy się nie domyśliłem. Byłaś dla mnie taką dobrą przyjaciółką, przez tak długi czas. I byłaś też dobrą przyjaciółką dla... dla niej. Nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie? – Kira unosi wzrok, po jej policzku spływa kolejna łza.

– Nie – potwierdza Dominic stanowczo. – Przysięgam. Nigdy celowo bym cię nie skrzywdził.

– Ale i tak to zrobiłeś – odpowiada Kira miękko. – Tak, jak skrzywdziłeś Emmę. – Odwraca się do mnie. – I ciebie też skrzywdzi.

Spod powieki wymyka mi się łza... i płacę ze wszystkich możliwych powodów. Nad cierpieniem w jej głosie, nad beznadziejnością sytuacji, nad bólem, który dostrzegam w oczach Doma. I nad własnym sercem.

Bo jest złamane.

– Teraz rozumiesz? – pyta Kira cicho. Wręcza mi chusteczkę, a ja ocieram oczy. Rozumiem. Na własne oczy widzę, co mogłoby mi się przytrafić, przed czym Dominic od początku mnie przestrzegał.

Zakochałam się w nim, a on może jedynie mnie zniszczyć.

Ale tylko, jeśli mu na to pozwolę.

Nie powinno mnie tu być. W tej chwili coś do mnie dociera.

Różnica między zwykłymi ludźmi a mną zasadza się na tym, że ja nie podejmuję mądrych życiowych decyzji. Nigdy nie wiem, kiedy powiedzieć „dość”. Nigdy nie wiem, kiedy zaprzestać walki, kiedy uznać, że czas położyć sprawie kres, by móc chronić własne serce.

Dzisiaj z tym zrywam.

Pierwszy raz w życiu mam zamiar podjąć mądrą decyzję, nieważne, jak trudna może się okazać.

Poklepuję Kirę po plecach, a potem wychodzę.

Rozdział 25

DOMINIC

Jacey wymyka się z łazienki, nim zdążę ją powstrzymać.

Ruszam za nią spiesznie, prześlizgując się przez zatłoczoną salę, tylko po to, by nie dojrzeć jej już nigdzie na długim korytarzu. Prawie biegiem poruszam się po domu, między ludźmi, aż stoję pośród masy zaparkowanych samochodów. Akurat w porę, by dostrzec, jak Jacey odjeżdża.

Wiem, że powinienem pozwolić jej odejść.

Ale jestem na to zbyt samolubny.

Idę ku swojemu autu i już po chwili podążam za nią. Moje porsche dogania ją w niecałą minutę. Macham do niej, by zjechała na bok, ale ona się nie słucha. Widzę, że płacze, widzę czarne smugi tuszu do rzęs ściekające jej po policzkach. Znów macham, ale ona odmawia. Nie chce nawet na mnie spojrzeć.

Wyciskając z silnika, ile się da, wyprzedzam ją i zmuszam, by zjechała z drogi na opuszczonym terenie wokół posiadłości Sina. Wyłącza silnik i wysiada z auta, wbijając we mnie wściekłe spojrzenie.

– Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz, Dominic? Zdawałoby mi się, że skumasz, że skoro wyszłam, to oznacza koniec. Ale tak na wszelki wypadek: w ten właśnie sposób mówię „nie” – tobie, twojemu popieprzonemu życiu, jakimkolwiek dalszym zabawom z tobą dzisiejszej nocy. Rozumiesz?

Jej słowa wywołują we mnie uczucie paniki, choć nie wiem dlaczego. Wiem jedynie, że myśl o jej odjeździe, o tym, że miałaby mnie zostawić... Nie mogę tego znieść. Nagle ta myśl mnie przytłacza.

Łapię ją za ramię.

– Nie. Nie przyjmuję takiej odpowiedzi.

– Czemu? – pyta. Zaczyna padać. Deszcz uderza w jej twarz i lśni w świetle ulicznych latarni. – Zawsze powtarzasz, że „nie” znaczy „nie”. Nie masz zbyt wielu zasad, ale przynajmniej tej przestrzegasz. Nigdy mnie nie chciałeś, Dominic. Pragniesz martwej kobiety, a ponieważ nie możesz jej mieć, zapragnąłeś gierki. I ja w nią grałam. Ale teraz mam już dość.

Odsuwa się i kroczy z mocą ku autu, ale ja znów ją łapię, okręcam i przyciągam do siebie.

– To nie jest żadna gierka. Nie kłamałem, mówiąc, że jestem popieprzony. Ale nie kłamię też teraz, gdy mówię, że nie chcę, by to się skończyło. Czymkolwiek to jest... ty i ja... cokolwiek robimy, nie chcę, żeby to dobiegło końca, Jacey. Nie jestem gotowy.

Wpatruje się we mnie w oszołomieniu, jej piękna twarz wyraża szok.

– Więc chcesz, żebym została przy tobie, aż wreszcie będziesz gotowy, by to przerwać? Aż ze mną skończysz? Chcesz, żebym skończyła jak Kira... jako szlochający wrak człowieka na podłodze łazienki? Nie, dziękuję, Dom. To nie dla mnie. Już nie. Od jakiegoś czasu staram się robić postępy i chyba wreszcie pojmuję, że zasługuję na coś lepszego. Że jestem więcej warta.

Przełykam z trudem, w moim gardle tkwi potężna gula, choć nie jestem pewien dlaczego.

– To z Kirą to nie moja wina – bronię się dziko. – Od początku powtarzałem jej, co jestem w stanie zaoferować. A ona i tak chciała ze mną być. Od zawsze wiedziała. Ona mnie zna, Jacey. Zawsze mnie знаła.

– Ja też cię znam, Dom – odpowiada Jacey z rezygnacją. – Tu nie chodzi o Kirę. Chodzi o mnie i to ja

wiem, że mnie skrzywdzisz. Wiem, że chociaż nie chcę się w tobie zakochać, jest już za późno. Nie mogę jeszcze tego pogarszać. Po prostu nie mogę. Muszę znaleźć w sobie dość siły, aby odejść. Od początku mi mówiłeś, że nie jesteś dla mnie odpowiedni. I wiesz co? Rzeczywiście nie jesteś.

Jej słowa sprawiają, że żołądek wiąże mi się w ciasny węzeł. Wiem, że nie jestem dla niej odpowiedni. Dla nikogo nie jestem odpowiednim partnerem, ale dla niej, dla Jacey, chciałbym nim być.

Nie wiem, co zrobię, jeśli ją stracę.

– Jacey – ciągnę, starając się opanować głos. – Nie wiem, co mogę ci dać. Ale spróbuję dać ci więcej niż... niż to. Wiem, że zasługujesz na więcej. Wierz mi, wiem o tym. Jesteś inna od wszystkich ludzi, których znam. Jesteś niczym powiew świeżego powietrza, a ja pragnę nieustannie się tobą zaciągać. To, jak na mnie, poważna sprawa – nie masz nawet pojęcia.

– Nie wiesz, co możesz mi dać? – powtarza wolno, jej brązowe oczy spoglądają na mnie pełne bólu. – A może na przykład... siebie? Daj mi siebie, a zostanę. Ale chcę cię całego. Chcę związku. Chcę ciebie, twoje problemy, prawdę, całą jej brzydotę. Chcę wiedzieć wszystko. Jesteś w stanie to zrobić?

No właśnie, jestem?

Myśl o wyznaniu Jacey wszystkiego sprawia, że moje serce uderza jak szalone, a w głowie pojawiają się straszliwe obrazy. Zlewają się w jedno... zimne dłonie Emmy, jej blada twarz, krew. Światła karetki. Krew. Jej nagrobek. Moje poczucie winy. Krew.

Na chwilę zamykam oczy, a pod powiekami mam czerwono od krwi, której widoku nie mogę się pozbyć. Bezradnie je otwieram i nie potrafię nic powiedzieć. Nie umiem zmusić języka do posłuszeństwa.

Mogę jedynie chwycić Jacey i przyciągnąć ją do siebie, miażdżąc jej wargi swoimi. Jej są miękkie i uległe, przez krótki moment odpowiadają na pocałunek, a potem Jacey się cofa. A gdy to robi, po jej twarzy znów płyną łzy, ściekając czarnymi strumyczkami po policzkach, mieszając się z deszczem.

– Tak właśnie sądziłam – rzuca cicho, skoro ja nic nie mówię. – Powiedz mi jedną rzecz, Dominic. Tylko szczerze. Choć raz bądź całkowicie, brutalnie szczerzy, proszę. – Przelyka z trudem ślinę, dłonie ma zaciśnięte, spogląda mi prosto w oczy. – Czy wciąż kochasz się w Emmie? Tak czy nie?

Równie dobrze mogłaby rozjechać mnie ogromną ciężarówką. Gapię się na nią w milczeniu, usiłując znaleźć sposób, by jej to wytłumaczyć.

– To nie jest proste pytanie – stwierdzam bezradnie. Ale ona kręci głową.

– To pytanie, na które można odpowiedzieć tylko „tak” lub „nie”, Dom. To ty nauczyłeś mnie tej gry. Czy wciąż kochasz się w Emmie? Tak czy nie?

Wpatruje się we mnie wyczekująco. Po wyrazie jej oczu domyślam się, że jest rozdarta pomiędzy chęcią poznania prawdy a obawą przed nią.

– Tak czy nie? – szepcze.

Biorę rozedrgany oddech.

– Tak.

Jacey wypuszcza powietrze z miękkim sykiem i trzęsącymi się palcami odgarnia włosy z oczu.

– Słowo „tak” nigdy jeszcze tak nie bolało. – Jej głos to ledwie szept, tak cichy, że tylko z trudem jestem w stanie go dosłyszeć. Wyciągam ku niej rękę, ale ona porusza ramionami, odsuwając się poza mój zasięg.

Odchodzi zgarbiona, wsiada do auta i odjeżdża.

Stoję w deszczu przez czas, który zdaje się wiecznością, obserwując, jak tylne światła jej samochodu znikają w strumieniach wody, jak noc połyka pojazd.

Stoję tam i pozwalam, by deszcz spływał mi do oczu, aż nic już nie widzę.

Aż nie widzę już, że mnie zostawiła.

Kiedy wsiadam do swojego wozu, czuję się w środku pustej, bardziej pustej i odrętwiałej, niż zdarzyło mi się to od wielu lat. Bardziej pustej niż kiedykolwiek w życiu.

Jest tylko jedno miejsce, które przychodzi mi do głowy i w które mógłbym pojechać, które pochłonie mój ból. Gdy mijam bramę katolickiego cmentarza Mount Olivet, otacza mnie ciemność i odczuwam pewną pociechę... dotyk czegoś znajomego.

Nie byłem tu od lat, ale bez trudu odnajduję nagrobek Emmy. Idę wprost ku niemu. Łatwo go wypatrzyć. Jej rodzice kupili ogromną płytę z białego marmuru otoczoną anielskimi skrzydłami.

Klękam przed nią i przesuвам palcami po jej imieniu.

Emma Brandt.

Nie była aniołem, ale i tak ją kochałem. Płyta jest zimna w dotyku... zimna jak lód, zimna jak moje serce. Myślę o piosence Sina.

Twe serce zimne, zimne jak lód, ale należy do mnie.

Moje serce jest zimne jak lód. I takie już pozostanie... dzięki Emmie. Zwijam się w kłębek przed jej imieniem i leżę z policzkiem przytulonym do nagrobnego kamienia, gapiąc się w noc.

Zniszczyła mnie. Może więc mnie dostać.

Nie nadaję się dla kogokolwiek innego.

Po pewnym czasie znów zaczyna padać, drobny chłodny deszczyk wsiąka w moje ubrania i błądzi po mojej skórze. W ogóle mnie to nie obchodzi i, szczerze mówiąc, ledwie go zauważam. Nie może zmyć tego, kim jestem, co zrobiłem albo kim byłem dotąd. Zasypiam, słuchając kropel deszczu padających na nagrobek Emmy.

Kiedy ponownie otwieram oczy, jest rano.

Ubrania mam mokre, a w gardle drapie mnie od oddychania przez cały ten czas wilgotnym nocnym powietrzem. Siadam prosto i rozglądam się wokół, ignorując dziwne spojrzenia, jakie posyła mi pracownik cmentarza. Wraca do pielenia grządkki z kwiatami, ale od czasu do czasu nadal na mnie zerka, pewnie zastanawiając się, czy jestem szalony. Powinienem zaoszczędzić mu kłopotu i po prostu potwierdzić jego domysły.

Spoglądam na telefon i znajduję dziesięć wiadomości od Tally'ego. Bo – kurwa. Przegapiłem lot do domu. Powinienem być teraz na planie. Wzdycham i wdrapuję się z powrotem do samochodu.

Wydaje się, że wszystko rozpada się na kawałki, a ja nie wiem, jak powstrzymać ten proces. Właśnie dlatego tak uważam, by pozostawać niezaangażowanym – zawsze. Jestem chłodny, spokojny i pozbierany i robię rzeczy, które trzeba zrobić. Zawsze. Robię je, żebym sam nie rozsypał się na kawałki.

Ale teraz pojawiła się Jacey.

I nic już nie jest tak, jak było.

JACEY

Nic nie widzę przez łzy spływające mi po policzkach. Są gorące i słone i wsiąkają w moje ubrania.

Biorę komórkę i wybieram numer Maddy, pragnąc wypłakać jej się na ramieniu, otrzymać od niej mądre rady, ale zgłasza się poczta głosowa.

Czekam, a po kilku minutach próbuję ponownie, ale nadal nie odbiera.

Jadę bez celu, aż nagle zdaję sobie sprawę, dokąd się kieruję.

Brand.

Potrząsam głową. Oczywiście, że jadę do Branda. Zawsze udaję się do niego, gdy potrzebuję pomocy czy pocieszenia.

Wiem, że nie powinnam już do niego uciekać, bo on pragnie pocieszać mnie w sposób, którego ja nie chcę. Pragnie ze mną być. Tak na serio.

Ale mogę myśleć jedynie o Dominicu. Serce boli mnie tak bardzo, że prawie mnie to oślepia. Tylko to czuję.

Parkuję przed apartamentowcem Branda i niemal biegiem docieram do jego drzwi. Kiedy pod nimi stoję, z trudem łapię oddech, makijaż mam rozmazany i jestem pociągającym nosem wrakiem. Brand otwiera w spodenkach treningowych i bez koszulki, wlepia we mnie wzrok.

– Co u diabła, Jacey? – pyta szybko, wciągając mnie do środka. – Co się stało? Nic ci nie jest?

Kiwam głową, potem nią potrząsam, wreszcie opadam na kanapę i zaczynam płakać. On niezgrabnie siada obok mnie, poklepując mnie po plecach swymi wielkimi dłońmi.

– Powiedz mi, co mam zrobić, a zrobię to – oświadcza bezradnie. – Czy on cię skrzywdził? Jeśli tak, to wybiję mu zęby, do cholery.

Kręcę głową, a potem jednak kiwam.

– Ale nie tak, jak myślisz – dodaję pospiesznie, bo Brand natychmiast zaczyna się podnosić. Ze względu na swoje wojskowe doświadczenia, gdy tylko słyszy słowo „skrzywdzić”, automatycznie zakłada, że chodzi o krzywdę fizyczną. – Nie tknął mnie palcem.

Brand nieruchomieje, spoglądając na mnie ze zdezorientowaniem w niebieskich oczach.

– No to co zrobił? – pyta z wahaniem.

Ukrywam twarz w dłoniach, potrzebując chwili na złapanie oddechu.

– Unicestwił mnie – odpowiadam drętwo.

Zwijam się w kłębek na boku, chowam twarz w poduszkach sofy i szlocham. Opłakuję wszystkie te rzeczy, o których nie mogę opowiedzieć, których nie potrafię ująć w słowa. Fakt, że Dominica tak bardzo dręczą demony przeszłości, że jest taki złamany i to, że zdawało mi się, iż mogę mu pomóc, pokazując mu ludzką dobroć. Pokazując mu, że nie wszyscy go zranią. Opłakuję fakt, że nie potrafię mu tego uświadomić. I to, jak sprawia, że czuję się pełna życia oraz seksowna, a jednak musi być dla mnie toksyczny... ponieważ teraz czuję się pusta i to jego wina.

Płaczę z tych wszystkich powodów.

Z powodu tych wszystkich rzeczy, o których Brand nie ma pojęcia.

A mimo to wciąż siedzi blisko mnie, poklepując mnie, pocieszając. I zostaje na swoim miejscu, po prostu pozwalając mi płakać, aż więcej już nie mogę. Robi to, co zawsze... poprawia mi samopoczucie, jedynie przy mnie trwając.

Gdy wreszcie siadam, pieką mnie zmęczone oczy.

– Co on zrobił? – powtarza Brand spokojnie, w jego spojrzeniu widzę stałość i siłę. – Powiedz.

– Od samego początku ostrzegał mnie, bym się do niego nie przywiązywała – przyznaję. – Ale ja to zignorowałam. Mówił mi, Brand. To nie jego wina. Chyba w głębi duszy sądziłam, że będę umiała jakoś go uleczyć. On ma problemy. Jego dziewczyna umarła, a on wciąż ją kocha, więc to gówniana i poplątana sprawa.

Brand wpatruje się we mnie ze współczuciem.

– Jace, powinnaś już wiedzieć, że nikogo nie można uleczyć. A skoro jego dziewczyna umarła... no cóż, trudno stwierdzić, jak to na niego wpłynie. Żałoba miewa dziwaczne skutki.

– Ale to było sześć lat temu – wyjaśniam. – Dominic, z jakichś porąbanych powodów, obwinia o to siebie. Nie wiem czemu, bo nie chce o tym mówić.

Brand spogląda na mnie, a w jego oczach coś połyskuje. Widywałam go już w takim stanie, ściganego przez własne demony i zasmuconego. Ale potem to ukrywa i wzrusza ramionami.

– Jeśli nie chce o tym mówić, to może obwinia się słusznie. Może to istotnie jego wina – sugeruje miękko.

– Wątpię – mamrocę. Ale w następnej chwili widzę minę Branda oraz jego łagodne spojrzenie, co po raz kolejny przypomina mi o faktycznym stanie rzeczy.

Dla niego nie jestem już niczym młodsza siostra. Jego uczucia do mnie dojrzały. Nie mogę już wypłakiwać mu się w rękaw z powodu problemów z facetami. Nie kiedy on się we mnie kocha.

Boże. Czemu tu przyjechałam? Serce mi się ściska i chwytam dłonie Branda.

– Brand, tak mi przykro, że to na ciebie wylałam. To nie w porządku, skoro już wiem, co czujesz...

Urywam, jak ostatnia kretynka. Ale Brand wbija we mnie nieruchome spojrzenie.

– Co czuję? – dopytuje cicho. Jest pełen wahania, podenerwowany, przerażony. Gdybym próbowała skłamać, stanowiłoby to dla niego obrazę.

– Widzę, co do mnie czujesz – oznajmiam bezzadnie. – Przykro mi, Brand. Chciałabym odwzajemnić to uczucie. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam. To dlatego zawsze do ciebie przychodzę, bo jesteś cholernie niesamowity. Chciałabym cię kochać tak, jak tego pragniesz.

Rumieni się, pierwszy raz w życiu widzę go w takim stanie.

– W porządku – odpowiada cicho. – To ja muszę sobie z tym poradzić, nie ty. Nie twoja wina, że moje odczucia się zmieniły, a twoje nie. Jakoś się z tym uporam. Między nami nic się nie zmieni, Jace.

Wpatruję się w niego, w dobroć bijącą z jego oczu i z jego serca. Brand jest po prostu taki... dobry. Do cna. Być może przez cały ten czas uganiałam się za nieodpowiednimi facetami, podczas gdy to, co byłoby dla mnie najlepsze, miałam tuż przed nosem.

Wiedziona impulsem, pochylam się i całuję go. W usta.

Brand odpowiada na pocałunek. Przez ułamek sekundy. Potem się odsuwa. Próbuję do niego przylgnąć, lecz on mnie odpycha.

– Pociesz mnie, Brand – mamrocze błagalnie. – Proszę.

Brand wbija we mnie spojrzenie i oddycha głęboko.

– Jezu, Jacey. Daj mi chwilę.

Bierze się w garść, ja zaś oddycham urywanie na drugim końcu sofy. W końcu odwraca się i patrzy na mnie, w jego oczach dostrzegam ból.

– Nie chcesz mnie – mówi, jakby wygłaszał oczywistość. – Nie tak naprawdę. Ja to wiem i ty to wiesz. Chcesz Dominica Kinkaide'a, ale nie możesz go mieć, więc próbujesz wykorzystać mnie, aby zapełnić pustkę odrzucenia, którą czujesz. To nie w porządku, Jace. Ani wobec mnie, ani wobec ciebie.

Oddycha ciężko, obserwując mnie, czekając na reakcję. Zamykam oczy, a on ciągnie:

– Zawsze to robisz, Jacey. Robiłaś to już, kiedy byłaś nastolatką. Przyglądałem się temu z boku. Twojego taty nigdy nie było w domu, nigdy o ciebie nie dbał, więc szukałaś akceptacji i aprobaty u przypadkowych facetów. A kiedy któryś cię odrzuci, biegniesz prosto w ramiona kolejnego. Ale nie możesz dłużej tak postępować.

Dławię się łzami, ponieważ wiem, że ma rację. Ponieważ sama to wiem i ponieważ to właśnie powiedziała mi moja terapeutka. To poniżające, prawdziwe i okropne.

– Nie wiem, co jest ze mną nie tak – mamrocze, nim znów zacznę płakać. – Jestem okropna i słaba. Przepraszam, jeśli cię zwodziłam, Brand. Nie chciałam. Kocham cię. Jesteś dla mnie jak brat i nie mogę znieść myśli, że miałabym żyć bez ciebie.

Brand znów bierze mnie w ramiona, przygarniając do piersi, w której chowam twarz. Usiłuję ignorować fakt, że mój biust przyciska się do jego torsu. Nigdy wcześniej się tym nie martwiłam i mierzi mnie fakt, że teraz o tym myślę.

– Po pierwsze, nigdy nie będziesz musiała żyć beze mnie. Nigdy. Rozumiesz? – Brand spogląda na mnie z góry, jego oczy mają surowy wyraz. Kiwam głową.

– A po drugie, nie jesteś okropna. Jesteś piękna i silna. I co więcej, już prawie sobie z tym burdelem poradziłaś. Postanowiłaś odejść od Dominica, bo nie może ci dać tego, czego potrzebujesz. To już połowa wygranej, Jacey. Teraz musisz jedynie wymyślić, co zrobić, aby nie szukać pocieszenia u nowego faceta. Nie potrzebujesz ich akceptacji, Jacey. Jesteś wystarczająco silna, by dać sobie z tym radę sama.

Pociągam nosem wtulonym w jego koszulę, wciągając znajomy zapach jego wody kolońskiej.

– Nie sądzę – wzdycham. – Nie czuję się silna. Odkąd Jared... zrobił to, co zrobił, starałam się nie okazywać słabości. Próbowałam się zmienić, ale zaczynam myśleć, że to niemożliwe. A przynajmniej nie w moim przypadku. Bo wbrew zdrowemu rozsądkowi zakochałam się w Dominicu, Brand. Wiedziałam,

że nie powinnam, a i tak to zrobiłam. A on był najgorszą możliwą osobą, w jakiej mogłam się zakochać.

– Ale odeszłaś od niego, Jacey. To ma ogromne znaczenie.

– Taaak – mamroczę. – A potem przyjechałam tu i próbowałam narzucać się tobie.

Gdy Brand się odzywa, jego pierś dudni od głosu, który od zawsze potrafił mnie ukoić, nawet teraz, gdy Brand jest we mnie zakochany, a ja wypłakuję sobie przed nim oczy z powodu innego faceta.

– Chcesz wiedzieć, co raz powiedziała mi twoja babcia? – pyta, a ja unoszę głowę.

– Moja babcia?

Brand kiwa głową.

– Tak. To było pewnego lata, kiedy razem z wami spędzałem wakacje w ich domku nad jeziorem. Siedziałem z twoją babcią na brzegu i smuciłem się z powodu jakiejś dziewczyny... Zerwała ze mną, a ja sądziłem, że świat się wali. Powiedziałem twojej babci, że nigdy już nikogo nie pokocham, ponieważ zakochywanie się to najgłupsza rzecz na tym świecie, bo tak bardzo boli.

Muszę się uśmiechnąć, bo praktycznie widzę nastoletniego Branda wygłaszającego te uwagi. Brand od zawsze taki był: jeśli się angażuje, to na sto procent.

– Co babcia na to?

– Twoja babcia była najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. – Kiwa głową. – Spojrzała na mnie i powiedziała: „Branden, najlepsze rzeczy w życiu warte są największego ryzyka. Zakochywanie się to jedna z tych rzeczy. Czy możliwe, że skończymy ze złamanym sercem? Tak. Jak najbardziej. Ale częściej niż rzadziej, zanim upadniemy, mamy szansę wzlecieć”.

– Co to ma u licha znaczyć? – pytam w niezrozumieniu. Brand znów kiwa głową.

– O to samo zapytałem. Nie miało to żadnego sensu. Ale kiedy już mi wyjaśniła, uznałem tę myśl za doskonałą. Oznajmiła, że jesteśmy jak ptaki, które po raz pierwszy wyskakują z gniazda, przerażone, że rozbiją się o ziemię w dole i umrą. Ale ptak prawie zawsze wzleci, zanim zdąży runąć na spotkanie śmierci. My tak samo i dlatego nie powinniśmy się obawiać robić rzeczy, które przynoszą najwspanialszą nagrodę... jak zakochywanie się.

– Ale co, jeśli zakochamy się w niewłaściwej osobie? – jąkam. – Bo mnie zdarzyło się to już ze sto razy i za każdym razem albo ja, albo ktoś inny na tym cierpiał. Jestem już tym zmęczona. Ile razy musimy upaść, żeby wreszcie wzlecieć?

Brand kręci głową i uśmiecha się kwaśno.

– O to twojej babci nie pytałem.

Ja też potrząsam głową, lecz Brand palcem unosi mi podbródek.

– Najpierw może przytrafić ci się kilka porażek, ale w końcu się uda. Nie wiem, czy uda ci się z tym facetem czy nie, ale z każdej nieudanej próby czegoś się nauczysz. Przynajmniej tyle.

Nie mogę przestać się w niego wpatrywać.

– Nie jestem pewna, czy to pocieszające.

Brand śmieje się cicho.

– Wiem. I tak właśnie myślałem wtedy, gdy odbywaliśmy tę dyskusję z twoją babcią. Ale zastanów się nad tym, a kiedy już to zrobisz, zrozumiesz, że mówiła prawdę. Zanim upadniemy, wzlatujemy, Jacey. Teraz albo później – w końcu się to zdarzy. Obiecuję.

– Mam tylko nadzieję, że zdarzy się, zanim połamię skrzydła – mruczę, zwijając się w kłębek przy jego piersi. Śmieje się cicho i poklepuje mnie po plecach. Przez chwilę jeszcze tak leżę, a potem siadam i wyglądam ubranie.

– Przepraszam, Brand – mówię, patrząc mu w oczy. – Przepraszam, że zawsze do ciebie przybiegam. Że zawsze musisz mnie podnosić i składać do kupy. Przepraszam, że wygląda to, jakbym cię wykorzystywała. Nie miałam nigdy takiego zamiaru. Chodzi tylko o to, że... gdzieś w głębi duszy zawsze czuję, że nie jestem wystarczająco dobra. A ty sprawiasz, że to poczucie mija. Ale przestanę polegać w tej kwestii na tobie – będę musiała przypominać sobie o tym sama.

Brand pochyła się i przyciska wargi do mojego czoła.

– Po prostu bądź sobą, Jacey. Zawsze jesteś wystarczająco dobra, a nawet więcej. Naprawdę przebyłaś długą drogę od czasu wydarzeń z Jaredem. Tak trzymaj. Dzisiaj zaliczyłaś tylko drobne poślizgnięcie. Przyjechałaś do mnie, bo jestem czymś znajomym. To wszystko. Świetnie ci idzie.

Kiedy podnoszę się i wychodzę, nie mogę powstrzymać uśmiechu. Jeszcze w drzwiach oglądam się za siebie.

– Dziękuję. Nie wiesz nawet, jak bardzo cię kocham.

Brand uśmiecha się, lecz dostrzegam w tym uśmiechu smutek.

– Nie martw się – mówi swobodnie, w swoim zwykłym brandowym stylu. – Wiem. Ja też cię kocham, ale przez jakiś czas będę potrzebował nieco przestrzeni, Jace. Zamierzam wziąć się w garść i jakoś to rozwiązać, żeby móc kochać cię tak, jak powinienem... tak, jak ty kochasz mnie. Zawsze możesz do mnie przyjść, gdybyś mnie potrzebowała, ale postaraj się przez jakiś czas mnie nie potrzebować, dobrze?

Kiwam głową, a serce podchodzi mi do gardła na myśl o tym, jak niechcący zraniłam jedną z najdroższych mi osób.

– Dobrze – przytakuję. – Dam ci trochę przestrzeni. Przepraszam, Brand.

Kierując się do samochodu, jestem pogrążona w smutku, ale muszę przyznać, że czuję się też silniejsza. Przebywanie w towarzystwie Branda zawsze sprawia, że czuję się silniejsza. On mnie zna. Od zawsze. Z czegoś tak znajomego płynie pociecha. Nienawidzę myśli, że nie mogę dać mu tego, czego pragnie, a to dziwnym trafem zbliża mnie do Doma.

Ponieważ wiem, jak on się czuje.

Sam też nie może dać mi tego, czego ja pragnę.

Wzdychając, odpędzam łzy mrugnięciem i ruszam w noc.

Rozdział 26

DOMINIC

Świat się sypie.

Po tym, jak z kilkugodzinnym opóźnieniem docieram na plan, dostaję opieprz od reżysera, odbębniam wszystkie sceny, potem lecę do domu... a jeszcze później wracam do pracy w centrum sportowym. Przez cały ten czas nic nie czuję. Jestem kompletnie odrętwiały. Ale gdy wchodzę na salę, oddech mi przyspiesza, bo po raz pierwszy od kilku dni coś odczuwam.

Pragnienie, by ujrzeć Jacey.

A kiedy rzeczywiście ją widzę, kiedy na nią wpadam, ona odwraca się, jakby mnie tu nie było, jakbym w ogóle nie istniał, w ten sam sposób, w jaki ja traktowałem ją w przeszłości setki razy. I w tej właśnie chwili upewniam się, że świat rozpieprza się na kawałeczki.

Potrzebuję jej.

Potrzebuję jej w moim życiu. Wcześniej wiedziałem, że jej pragnę, ale świadomość, że jej potrzebuję to coś całkiem innego, coś przerażającego, i już na samą myśl serce łomocze mi w piersi. Problem polega na tym, że ona nie potrzebuje mnie. Ledwie zauważa moją obecność, ledwie zerka w moją stronę.

Niewątpliwie nauczyła się sztuki bycia wycofaną od najlepszych.

To jest ode mnie.

Znalezienie się po drugiej stronie takiej lodowatej bariery okazuje się beznadziejne. Po raz pierwszy od wielu lat boli mnie serce... ponieważ je otworzyłem, otwierając się też na cierpienie. To kłujące przypomnienie, dlaczego zawsze się zamykam, odcinam od ludzi.

Bo ten ból nie jest tego wart.

Wycierając blaty w kuchni, rozglądam się wokół, rozmyślając o tym, jak wiele się zmieniło w ciągu kilku tygodni. Właśnie skończyłem przygotowywać dwadzieścia kanapek z masłem orzechowym i pakować je w folię. Czemu?

Ponieważ Joe nalega, byśmy odsyłali chłopaków do domów zaopatrzonych w kanapki, bo tak wielu z nich niedojada. Czemu to sygnalizuje zmianę? Ponieważ zorientowałem się, że zapisuję w pamięci, aby kupić parę przedpłaconych kart debetowych, z którymi część chłopaków mogłaby wybrać się w drodze do domu po zakupy. Nie powinni się martwić o jedzenie.

Ale miesiąc temu coś podobnego w ogóle nie przyszłoby mi do głowy.

Miesiąc temu nie bolałoby mnie też serce. Tkwiłoby, całe i zdrowe, w lodowej klatce. Nie jestem pewien, która sytuacja jest lepsza.

Jacey wtyka głowę do kuchni, przerywając moje rozmyślenia i odzywając się do mnie po raz pierwszy tego dnia:

– Hej, widziałeś gdzieś drabinę? – pyta cicho, z wahaniem. Równocześnie omiatamy wzrokiem całe pomieszczenie.

– Nie – odpowiadam niepotrzebnie. – Tu jej nie ma.

Zaczyna się odwracać, ale wołam ją po imieniu, więc spogląda na mnie ponownie. Zatrzymuje się z wahaniem w drzwiach, a jej oczy mówią to, czego nie wypowiedzą jej wargi.

Ufałam ci. Ale to był błąd i więcej tego nie zrobię.

To sprawia, że nieruchomieję, a potem zamykam usta, przełykając wszystkie słowa, które chciałem wygłosić.

Czuję się rozdarty. Może i jej potrzebuję, ale to nie zmienia faktu, że nie potrafię jej dać tego, czego potrzebuje ona.

Jacey wygląda na zniecierpliwioną, ale ja mogę jedynie potrząsnąć głową.

– Nieważne.

Odwraca się i odchodzi, ale wcześniej zdążam jeszcze zauważyć, jak po jej twarzy przemyka cień rozczarowania.

Aby odwrócić swoją uwagę od myślenia o Jacey oraz od faktu, że być może pozwoliłem, by wymknęła mi się z rąk jedyna dobra osoba, jaką na tym świecie znam, układam kanapki w kilka porządných stert i składam serwetki, które do nich dołączę.

Składam akurat ostatnią, kiedy słyszę z głównej sali jakieś poruszenie. Zaciekawiony, ruszam, by sprawdzić, co się dzieje, i zastaję grupę chłopców zgromadzonych tłumnie wokół stojącej na środku drabiny. Niektórzy klęczą, inni stoją, wszyscy tworzą jednak krąg wokół czegoś na ziemi.

Serce zaczyna mi kołatać, kiedy pomiędzy ich nogami dostrzegam różową tenisówkę Jacey.

Przepychając się przez zbiorowisko, docieram na miejsce w tej samej chwili co Joe.

Jacey tkwi nieruchomo na podłodze, a moje serce zamiera, kiedy patrzę w dół, na jej bezwładną sylwetkę. Leży powyginana, całkiem bez ruchu, twarz ma pozbawioną koloru, oczy zamknięte.

Kurwa mać. Nie mogę oddychać. Bo nie mogę jej stracić. Bo ona sobie na to nie zasłużyła.

Bo nie dam rady znów przez to przechodzić.

– Co tu się, u diabła, stało? – szczerka Joe, klękając przy niej. Ja stoję nieruchomo, zmartwiały, wlepiając wzrok w jej zastygłe ciało.

– Zmieniała żarówkę, jak pan prosił – wyjaśnia Tig pospiesznie. – Ale potknęła się, kiedy schodziła po drabinie. Wydaje mi się, że mocno walnęła głową o beton.

– Jezu – mamrocze Joe, obmacując jej głowę. – Spory guz. Niech ktoś zadzwoni na pogotowie. – Nikt się nie rusza, więc warczy: – Już!

Jake wystrzela w kierunku gabinetu, a mnie wreszcie udaje się poruszyć.

Rękami jak z drewna rozpycham się wśród chłopaków i opadam na kolana u jej boku. Ujmuję jej dłoń, a jej palce okazują się takie zimne... Ten chłód rozsyła po całym moim ciele fale paniki, więc potrząsam ją za ramię. Mocno.

– Jacey, obudź się – rozkazuję stanowczo, z sercem na dobre osiadłym w gardle. – Obudź się.

Nawet nie drgnie.

To nie może się znowu dziać.

– Jacey. – Potrząsam nią. – Jacey.

Ogarnia mnie teraz panika, zalewają emocje i nie myślę jasno. Czuję, jak otacza mnie nieodparte wrażenie déjà vu, wspomnienie dawnej sytuacji, która ostatnim razem nie skończyła się dobrze.

To nie może się znowu zdarzyć.

Tym razem jedyne, o czym mogę myśleć, to że muszę obudzić Jacey, nieważne jak. Ściskam jej dłoń i potrząsam ramieniem, powtarzając jej imię.

– Ostrożnie, synu – radzi Joe. – Nie powinienes ruszać jej szyi.

– Nie jestem twoim synem – odpowiadam, nawet nie podnosząc wzroku. – Musi się obudzić.

– Tak – zgadza się Joe ze spokojem. – Musi. Ale nie przesuвай jej.

Puszczam jego słowa mimo uszu i ponownie lekko nią potrząsam, i obaj jesteśmy zaskoczeni, kiedy Jacey otwiera oczy. Przebiega mnie dreszcz tak silny, jakby ktoś poraził mnie prądem.

– Dominic? – pyta Jacey w zamroczeniu, patrząc na mnie zamglonymi oczyma, starając się zogniskować spojrzenie. – Co się stało?

Zalewa mnie obezwładniająca ulga. Dzięki ci, Panie.

– Spadłaś – tłumaczę łagodnie. – I uderzyłaś się w głowę, ale nic ci nie będzie. Zabierzemy cię do szpitala.

– Karetka już jedzie – woła Jake, nadbiegając z gabinetu. – Potknęłaś się o tę bolącą stopę, Jace? – pyta, przyklękając koło mnie i wpatrując się w nią.

Jacey w oszołomieniu kręci głową.

– Nie wiem.

Gryzie mnie poczucie winy, bo nawet nie wiedziałem, że ta stopa wciąż jej dokucza. Wiem tylko, że dorobiła się tej kontuzji przeze mnie. Broniąć mnie.

Siedzę przy niej bez słowa, trzymając ją za rękę, aż zjawiają się sanitariusze. Wpakowują ją na nosze na kółkach i wtaczają na tył karetki, ja zaś upieram się, by pozwolono mi jechać z nią. Wciąż jest zdezorientowana i nie mogę znieść myśli, że miałbym ją puścić samą.

– Jest pan członkiem rodziny? – pyta mnie sanitariuszka, przyglądając mi się z ciekawością. Widzę, jak spływa na nią olśnienie. – Czy ty nie jesteś Dominic Kinkaide?

– Taaak. – Kiwam głową. – Jestem jej bratem.

W tej chwili Jacey znów ma zamknięte oczy, powieki jej drgają, a sanitariuszka patrzy na mnie, wiedząc, że kłamię, ale nie podając moich słów w wątpliwość.

– Pilnuj, żeby siostra pozostawała przytomna – instruuje. – A ja podłączę kroplówkę.

Ściskam Jacey za rękę.

– Jacey, musisz być przytomna. Porozmawiajmy o diabelskim młynie na Navy Pier. Albo o wyścigach. Chcesz wrócić na tor?

– Nie z tobą – odpowiada sennie, jej powieki trzepoczą. – Nigdzie już z tobą nie pójdę, Dom. Jesteś kurewsko toksyczny.

Sanitariuszka zerka na mnie, wbijając igłę w przewód kroplówki.

– Pewnie jest zdezorientowana. To częste przy urazach głowy.

Jacey nie jest zdezorientowana. Wcale. Nigdy nie mówiła z większym sensem. Ale też jej słowa nigdy nie były boleśniejsze.

– Już dobrze, Jace – oznajmiam. – Pogadamy o tym, kiedy poczujesz się lepiej. Teraz musisz tylko pozostać przytomna. Porządnie uderzyłaś się w głowę. Wybrałaś sobie do upadku jedno z nielicznych miejsc, których nie kryje mata. Zdaje się, że powinnaś była trochę lepiej to zaplanować.

Na jej ustach nie zjawia się nawet cień uśmiechu. Oczy nadal ma zamknięte, ale wiem, że nie odpłynęła, bo wciąż ściska mnie od czasu do czasu za rękę.

Rozmawiam z nią przez całą drogę do szpitala, ale gdy docieramy na miejsce, uwożą ją na popiskujących noszach, a mnie każą zostać w poczekalni.

Poczekalnia na izbie przyjęć przypomina pustkowie, po którym błakają się zagubione dusze. Ludzie są zgarbieni i zmęczeni, inni są chorzy, jeszcze inni skuleni i smutni. Wysysa to ze mnie energię, przysiadam więc na skraju krzesła, mając nadzieję, że nikt mnie nie rozpozna. Zdecydowanie nie mam na to nastroju.

Chowam nos w podniszczonych magazynach, aż po godzinie mnie wzywają.

– Jest pan jej bratem? – pyta doktor. Kiwam głową. Czymże jest kolejne kłamstwo wobec nieskończoności wszechświata?

– Siostra ma lekki wstrząs mózgu. Właściwie miała dużo szczęścia, bo z tego, co mi powiedziano, upadła z dość wysoka. Możemy zatrzymać ją przez noc, ale wygodniej by jej było we własnym łóżku. Rzecz w tym, że nie powinna zostawać sama. Czy pan albo ktoś inny będzie w stanie dotrzymać jej towarzystwa? Trzeba ją budzić co parę godzin i upewniać się, że normalnie odzyskuje świadomość. Gdyby zachowywała się dziwnie albo gdybyście nie mogli jej obudzić, proszę dzwonić po karetkę. Czuje się pan komfortowo z tą sytuacją?

Kiwam głową.

– Oczywiście. Osobiście z nią zostanę.

Lekarz uśmiecha się ze zmęczeniem.

– Świetnie. Uporam się tylko z papierkową robotą i wkrótce będzie gotowa do drogi.

Więcej czekania.

Zegar tyka powoli, a ja wzdycham. Najwyraźniej obserwowanie go wcale nie przyspiesza biegu czasu.

Kupuję kubek gównianej szpitalnej kawy, załatwiam, by rachunek za leczenie Jacey przesłano do mnie, a kiedy pielęgniarka wtacza ją na wózk, siedzę już z powrotem w poczekalni. Jacey wygląda na niezadowoloną, a jeszcze mnie nawet nie dostrzegła.

– Nie potrzebuję, żeby mnie ktoś niańczył – burczy w stronę pielęgniarki, kiedy się podnoszę. Muszę się uśmiechnąć na tę jej postawę.

Pielęgniarka spogląda na mnie z ulgą, pewnie nie mogąc się doczekać, kiedy będzie mogła pozbyć się Jacey.

– Twój brat zabierze cię do domu. Będziesz dziś pod jego obserwacją.

Jacey podrywa głowę i rozgląda się wokół.

– Gabe tu jest? – pyta, a podekscytowanie w jej głosie mnie rani. Mierzi mnie, że będę musiał ją rozczarować.

– Nie, tylko ja – wyjaśniam. – Posiedzę dziś z tobą.

Gapi się na mnie, mina z miejsca jej rzadnie, ale nie informuje pielęgniarki o moim kłamstwie. Odczekuje, aż w dokładnie pięć minut później znajdziemy się sami w moim aucie, by się na mnie rzucić.

– Co, do kurwy nędzy? – prychna, gdy wyjeżdżam z zadaszzonego parkingu i kieruję się ku jej małemu domkowi. – Myślisz, że możesz mnie wykorzystać, kiedy jestem w dołku? Serio? Tak właśnie działasz? Nie chcę, żebyś ze mną zostawał, Dominic.

– Chcę tylko pomóc – zapewniam, rzucając szybkie spojrzenie na Jacey, która pociera głowę. – Przykro mi, że upadłaś, Jacey. Czuję się odpowiedzialny, bo rozwaliłaś sobie tę nogę przeze mnie. Pozwól mi tylko dziś się tobą zaopiekować, potem zostawię cię w spokoju. Obiecuję.

– Nie – syczy Jacey, wbijając we mnie spojrzenie krzeszących iskry brązowych oczu. – Po prostu... nie. Zatrzymaj się, a ja zadzwonię do kogoś innego.

– Na przykład do Branda? – pytam uszczypliwie. – Chcesz, żeby po raz kolejny przybył ci na ratunek, a ty będziesz udawać, że nie wiesz, co on do ciebie czuje?

Jacey wpatruje się we mnie, a potem spuszcza wzrok i przez moment wstyd mi, że na nią naskoczyłem. Ale, cholera jasna. Nie może biec do niego za każdym razem, gdy ma jakiś problem.

– Jestem zbyt zmęczona, by się kłócić – odpowiada w końcu Jacey ze znużeniem, opierając głowę o szybę. – Brand i ja odbyliśmy pogawędkę od serca i miałeś rację, dobra? To właśnie chcesz usłyszeć? Miałaś rację. Brand jest we mnie zakochany. Ja nie odwzajemniam jego uczuć i to wbija się między nas klinem, więc nie mogę do niego zadzwonić. Jestem sama. Po prostu... Jeśli chcesz pomóc, zawieź mnie do domu i znikaj. Jestem taka zmęczona, że nie dam rady utrzymać oczu otwartych.

Jestem zdumiony kwestią jej i Branda. Zdumiony, że przyznała mi rację. Zdumiony, że nie ma zamiaru mimo wszystko do niego zadzwonić, bo przecież we wszystkim na nim polega.

Jakaś część mnie odczuwa przemożną satysfakcję, że dziś się do niego nie zwróci.

Zamiast tego jestem przy niej ja.

– Przykro mi z powodu Branda – oznajmiam. – Wiem, jak bardzo go kochasz.

– Nie rozmawiajmy o nim – ucina stanowczo. – Po prostu... nie.

– Okej – odpowiadam, ignorując lodowate brzmienie jej głosu. – Powiem ci w takim razie, że nie jesteś sama. Ja tu jestem. I to normalne, że czujesz się senna. Możesz się położyć, kiedy dotrzemy do ciebie do domu, ale muszę z tobą zostać i budzić cię co dwie godziny. Tak kazał lekarz.

– Och, po prostu, kurwa, świetnie – mamrocze, zamykając oczy. – Nie mogę się doczekać.

Gdy jesteśmy już na miejscu, Jacey przebiera się w piżamę i wdrapuje do łóżka.

– Możesz spać na sofie – oznajmia nieznoszącym sprzeciwu tonem, kiedy podciągam jej koce pod samą brodę. Kiwam głową.

– Jasne, jeśli tylko poczujesz się przez to komfortowo.

– Poczuję się komfortowo, gdybyś sobie poszedł – burczy i przewraca się na drugi bok, odprowadzając mnie. Układam się na sofie.

Nie śpię, czytam książkę, aż nadchodzi pora, by po raz pierwszy ją obudzić.

Patrząc na nią, nie sposób nie zauważyć, jak niewinnie i pięknie wygląda, kiedy śpi. Sprawia wrażenie bezgranicznie ufnej. Delikatnie potrząsam ją za ramię, a ona otwiera oczy.

– Jacey, dobrze się czujesz?

Kiwa głową.

– Tak czy nie? – uściślam.

– Tak – wzdycha.

– Jak brzmi twoje pełne imię i nazwisko?

– Jaselyn Elizabeth Vincent.

– Nie wiedziałem – mówię. – Ładnie.

Pasuje do niej. Ale tego już nie dodaję.

– To po babci. – Ziewa. – Kiedy się urodziłam, Gabe nie potrafił tego poprawnie wymówić. Nazywał mnie Jacey i w końcu wszystkim się udzieliło. Czy mogę już wrócić do spania?

– Nie wydaje mi się – odpowiadam niepewnie. – Muszę się najpierw przekonać, że myślisz jasno.

Spogląda na mnie i widzę, że opuszczają ją resztki snu, a ich miejsce zajmuje pełna świadomość. Jej twarz przybiera twardszy wyraz.

– Czemu tu jesteś, Dominic? – pyta nagle. – Mogłeś powiedzieć w szpitalu prawdę – a wtedy poprosiliby o namiary do kogoś innego, kogo mogliby wezwać. Nie musiałeś tam czekać i nie musisz teraz przy mnie zostawać. W co ty sobie pogrywasz?

Drga mi mały mięsień szczęki.

– Nie wiem – przyznaję szczerze. – Ale to nie żadna gra. Przynajmniej raz w życiu to nie jest gra. Chcę tu być.

Wzdycha, cichutki dźwięk wśród nocy.

– Ale dlaczego? Tylko wszystko pogarszasz. Przeciągasz to, podczas gdy musimy po prostu sprawę zakończyć. Tak będzie lepiej. Mniej boleśnie. Wierz mi, wiem wszystko o rozstaniach.

– Ja nie chcę tego kończyć – oświadczam schrypniętym głosem. Wiem, że jej odpowiedź może mnie zmiażdżyć, ale nie mogę cofnąć tych słów. – Nie chcę tego kończyć – powtarzam.

Gdy wypowiadam to zdanie na głos, jeszcze utwierdzam się w przekonaniu, iż tak właśnie czuję. Naprawdę nie chcę tego kończyć. Nie wiem, czego chcę, ale na pewno nie tego. Jakimś cudem, mimo usilnych starań, wpuściłem ją do środka. I teraz, gdy już tu jest, nie mogę jej wypuścić. Nie mogę znów doświadczyć tego rodzaju straty.

Jacey zamyka oczy.

– Nie możesz mi dać tego, czego potrzebuję, Dominic – oznajmia prosto. – Więc jaki w tym cel? Nie zgodzę się na mniej. Już nie.

Rodzi się we mnie panika, pozostawiając gorzki posmak na języku, ponieważ ona może mieć rację. Nie dlatego, że nie chcę dać jej tego, czego potrzebuje, ale dlatego, że być może nie jestem do tego zdolny.

Ale mogę spróbować, do kurwy nędzy.

– Czego potrzebujesz? – pytam, a słowa drapią mnie boleśnie w gardle.

– Ciebie – odpowiada z prostotą. – Ciebie całego... A tego nie potrafisz mi dać.

Mój oddech przyspiesza, szybko wciągam i wypuszczam powietrze, niemal dyszę. Nie wiem, jak wygląda atak paniki, ale czuję się, jakbym znalazł się od niego o krok. Mam wrażenie, że moje żebra to

stalowe pręty, które ściskają płuca jak w imadle. Gwałtownie zaczerpuję powietrza, a potem powoli je wydycham.

– Skąd wiesz? – pytam wreszcie. – Jeszcze nie próbowałem.

– Bo cię znam – mówi ona bez ogródek, oczy ma zamknięte, jej ciemne rzęsy kontrastują z bladymi policzkami. – Znam cię.

– Tak? – rzucam, w moim głosie pobrzmiwa pustka. – Czy aby na pewno?

Jacey otwiera oczy i dostrzegam w nich milion rzeczy, bolesnych, pełnych dezorientacji.

Oraz nadziei.

– W porządku. Skoro faktycznie cię nie znam, to może mi opowiesz? – sugeruje miękko. – Opowiedz mi, kim jesteś. Opowiedz mi o Emmie. To jakiś początek.

Jezu. Nie mogę oddychać.

Imadło obejmujące płuca przesuwa się teraz ku sercu, ściskając je, miażdżąc, ścierając na miazgę, a ja wciąż nie mogę oddychać.

Udaje mi się zaczerpnąć powietrza, wlepiam wzrok w kąt pokoju, w ciemność.

– Czemu o tym? – wykrztuszam. – Czemu muszę mówić o Emmie? Ona nie ma na nas dwoje żadnego wpływu.

Jacey wbija we mnie ponure spojrzenie.

– Czyżby? – pyta łagodnie. – Jesteś w niej zakochany, Dominic. I można ją dostrzec... w każdej najmniejszej rzeczy, jaką robisz.

Zaciskam mocno powieki, usiłując obronić się przed prawdą. Ale wiem, że Jacey ma rację. Wszystko, co robię, wszystko, co jest we mnie spieprzone, wiąże się z Emmą. I jeśli kiedykolwiek chcę sobie z tym poradzić, jeśli kiedykolwiek chcę w życiu czegoś dobrego i prawdziwego, muszę stawić temu czoła. Muszę stawić czoła jej.

– Widzisz? – rzuca Jacey cicho. – Wiedziałaś, że nie dasz rady. Po prostu już idź, Dom. Poproszę Kaylie, żeby ze mną posiedziała.

Otwieram gwałtownie oczy.

– Nie – oznajmiam z przekonaniem, napędzany desperacją. – Pozwól mi spróbować. – Jacey przygląda mi się z powątpiewaniem, bojąc się żywić nadzieję. – Nie jestem zakochany w Emmie. Ona nie żyje. Wiem o tym. Ale nie mogę nic poradzić na to, że ją kocham. Była moim pierwszym wszystkim. To z nią przeżyłem pierwszy pocałunek, pierwszą miłość, pierwszy raz. Zawsze będę ją kochał. Przez to wszystko, co się z nią stało, nigdy się od tego nie uwolnię. Od niej.

Milknę na chwilę, pozwalając, by Jacey przyswoiła sobie te słowa.

– Emma nie żyje. Umarła okropną śmiercią i była to najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Nie sądzę, żeby udało mi się opisać tę noc, nie potrafię nawet ująć tego w słowa. Nigdy nie byłem w stanie o tym z kimkolwiek rozmawiać... nawet z moją rodziną. Myślę o jej twarzy z tej ostatniej nocy i zastygam. Słowa zamierają mi na ustach i nie mogę ich wypowiedzieć. Ale jeśli tego potrzebujesz... jeśli właśnie tego potrzebujesz... spróbuję.

Powietrze między nami jest jak naładowane, wisi ciężko. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ dzieje się jedyna rzecz, na której mi zależy... Twarz Jacey łagodnieje na dźwięk moich słów i dziewczyna kiwa głową.

– Przykro mi – szepcze miękko. – Wiem, że to trudne. Ale naprawdę tego potrzebuję. Muszę zrozumieć, co się stało, bo uważam, że to wyjaśni wszystko. Muszę cię poznać, Dom.

Czuję osłabiającą ulgę, ale jednocześnie jestem spięty. Wiem, że mam tylko jedną szansę wytłumaczenia tego, sprawienia, że ona zrozumie, i muszę się postarać, żeby wyszło dobrze. Chociaż w tej popieprzonej sprawie z Emmą nie ma żadnego „dobrze”. Wszystko wyszło źle. Na każdym poziomie.

Gdy mówię, spoglądam przez okno na nocne niebo. Nie potrafię patrzeć Jacey w twarz... Widok jej reakcji mógłby mnie dobić. Nie ma szans, żebym obserwował jej minę w momencie, kiedy usłyszy, co

zrobiłem. Kim byłem. Jak się zachowałem.

– Emma i ja dorastaliśmy razem – zaczynam. – Stale była u nas w domu, razem z Kirą, bawiąc się z Duncanem, Sinem, Fioną i ze mną. Wszyscy byliśmy jak rodzina.

– Dopóki nie zaczęliście randkować – wtrąca Jacey. Uśmiecham się leciutko na wspomnienie pierwszej randki z Emmą.

– Właśnie. Do naszej pierwszej randki doszło przypadkiem... gdy byliśmy w drugiej klasie liceum. Jej samochód zepsuł się na naszej drodze dojazdowej. Ja właśnie dokądś się wybierałem, więc zgarnąłem ją i wziąłem ze sobą. Jechałem starą klasyczną nową taty... której w odtwarzaczu utknęła kasetka. Jeżeli chcieliśmy czegoś posłuchać, naszą jedyną opcję stanowiła *Brown Eyed Girl*. Tamtego wieczoru przesłuchaliśmy tę piosenkę chyba z pięćdziesiąt razy... ale to w niczym nie przeszkodziło, bo spotkanie skończyło się pożegnalnym pocałunkiem. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że nie czujemy się już jak brat z siostrą.

Jacey wpatruje się we mnie, jej oczy przepełnione są zrozumieniem.

– To stąd wiedziałeś o Brandzie. Rozpoznałeś w nim te same objawy, które przytrafiły się tobie i Emmie.

Kiwam głową.

– Chodziliśmy ze sobą przez całe liceum. Nikt nie wypowiadał naszych imion oddzielnie... byliśmy jak jedna osoba. Dom-i-Emma. Ale potem, w ostatniej klasie...

Mój głos rozmywa się, gdy przeszywa mnie ból. Wspomnienia są tak żywe, tak kurewsko żywe, że muszę zamknąć oczy, by się przed nimi bronić.

Krew, cierpienie w oczach Emmy. Poczucie winy, Jezu Chryste, to poczucie winy.

Na samo wspomnienie czuję się, jakby ktoś wyrывał mi kręgosłup.

Przełykam z trudem ślinę, potem jeszcze raz. Jacey czeka cierpliwie, ale wyczuwam na sobie jej wzrok, wiem, że zastanawia się, czy zdołam to zrobić.

– Emma zabiła się przeze mnie – wykrztuszam wreszcie ochryłym głosem, a mój język przypomina coś martwego, tkwiącego mi w ustach.

Cała ta krew, jej krew, przez chwilę pływa mi przed oczami, widzę jedynie czerwień. Zaczynam się zastanawiać, czy stanie się ona jedynym kolorem, jaki dane mi będzie w dalszym życiu oglądać.

Jacey wciąga nierówny haust powietrza, jej oczy się rozszerzają.

– O mój Boże. Jezu, Dominic. – Bierze kolejny wdech. – Co się stało?

Próbuję się znieczulić, co robię zawsze, gdy o tym myślę, gdy myślę o Emmie.

Sięgam do kieszeni, nieustannie obracając w palcach akwamarynowy naszyjnik. Jak zwykle świadomość, iż nosiła go na szyi, gdy była jeszcze cała i zdrowa, uspokaja mnie na tyle, że jestem w stanie mówić.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – rzucam w końcu. – Ważne, że to zrobiła. I to z mojej winy.

Jacey wlepia we mnie spojrzenie, jej oczy wciąż przepełnione są zgrozą, lecz dostrzegam w nich coś jeszcze. Ciekawość. Potrzebę poznania faktów. Potrzebę zrozumienia. A pod tym wszystkim – nadzieję, że się myślę. Że wcale nie należy mnie obwiniać.

A jednak należy.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jakim cudem to mogła być twoja wina – odpowiada wolno. – Samobójstwo to osobisty wybór. Nie mogłeś jej zmusić do czegoś takiego. Ale jeśli uważasz, że tak było, to musimy o tym porozmawiać, ponieważ to na pewno miało na ciebie wpływ.

Mrugam, usiłując odgonić czerwień, a następnie biorę kolejny wdech.

– Emma zdradziła mnie z Crisem. Powiedziała mi o tym z płaczem. Było jej tak przykro. Podobno pewnego wieczoru, kiedy ja wyszedłem z innymi znajomymi, upili się razem. Jedna rzecz prowadziła do kolejnej i skończyło się seksem. Jej było przykro, a ja byłem zdruzgotany.

Teraz Jacey zamiera, nie odrywa swoich oczu od moich.

– To dlatego nienawidzisz Crisa.

Kiwam w milczeniu głową.

Jacey patrzy na mnie jeszcze chwilę, a potem odzywa się z wahaniem:

– Okej. Rozumiem, czemu się na niego wściekasz. Ale do tego stopnia? Byliście jeszcze dziećmi, Dom. No wiesz, nastolatkami. Nawet dorośli popełniają ten błąd.

– Wiem – wzdygam. – Ale Emma zaszła w ciążę, Jacey. A ponieważ my zawsze używaliśmy prezerwatyw, mieliśmy całkiem sporą pewność, że dziecko jest Crisa.

Odwracam wzrok.

– Pamiętam, jak stałem w łazience Emmy nad stertą testów ciążowych, z których wszystkie pokazywały niewyraźny różowy znak plus. Gdybym mógł się cofnąć w czasie, wróciłbym do tej właśnie chwili. Rozegrałbym to wszystko inaczej.

Nie unicestwiłbym jej.

Jacey gwałtownie wciąga powietrze, wykręca dłonie na podołku.

– Jezu. Nie wiem, co powiedzieć, Dom. Co dalej?

Zawiodłem ją.

– Byłem na nią taki wściekły – przyznaję. – Wrzeszczałem, a ona płakała, ale ostatecznie wszystko sprowadzało się do jednego. Kochałem ją. Bardziej niż cokolwiek innego. I ta miłość miała większe znaczenie niż ciąża, niż jej zdrada.

– Więc z nią zostałeś? – pyta Jacey z wahaniem. Widzę, że ta koncepcja nie pasuje do mojego obrazu, który zamieszkuje jej głowę. To dlatego, że tamta wersja mnie umarła wraz z Emmą.

– Przysięgła mi, że to była jednorazowa sprawa, wypadek. Że czuła się samotna, bo ja tak często wyjeżdżałem, by zwiedzać różne uczelnie. Trochę się od niej odsunąłem, a zbliżył się Cris. Wskoczył na moje miejsce i cały swój czas spędzał z nią. Powinienem był się domyślić, do czego zmierza, ale się nie domyśliłem. Był moim najlepszym przyjacielem, a ja byłem ślepy.

– Więc uważasz, że to z twojej winy Emma cię zdradziła? – pyta Jacey z powątpiewaniem.

Ignoruję to i biorę łyk wody.

– Ponieważ widziałem, że to prawda, że Cris się na nią zaczął, podczas gdy ja ją zaniegadałem, wybaczyłem jej. On ją wykorzystał. I byli pijani. Ale w zamian za wybaczenie zażądałem jednej rzeczy.

Milknę, wyglądając znów za okno, przypominając sobie, jak głowa Emmy opadła, gdy jej to oznajmiłem. Jak stałem nad nią i nie czułem się źle, prosząc o to. Nie obchodziło mnie, że to ją zdruzgotało. Nie obchodziło mnie nic poza mną samym i moim własnym bólem.

A wtedy nie znałem jeszcze nawet prawdziwego bólu. Tyle że jeszcze o tym nie wiedziałem.

Nie chcę wypowiadać tych wstrętnych słów przy Jacey. Nie chcę, by je usłyszała. Ale ona mnie ponagla.

– Czego zażądałeś? – pyta cicho, ale w jej głosie słychać jakiś rodzaj domysłu, bolesną, delikatną nutę. Ona wie.

– Aborcji. Zażądałem, żeby poddała się aborcji. Nie byłem w wystarczającym stopniu mężczyzną, by wychowywać jego dziecko. Przebaczyłem jej, ale tego nie mogłem zrobić.

Jacey jest teraz cicha, nieruchoma. Przygląda mi się, czekając na ciąg dalszy. Nie chcę kontynuować, ale wiem, że muszę. Pocisk został już wystrzelony. Nie da się wcisnąć go z powrotem do lufy.

– Mieliśmy tylko osiemnaście lat – mówię cicho, gapiąc się w ścianę. – Szykowaliśmy się na wspólny wyjazd na studia. Mieliśmy zacząć od nowa, z dala od Crisa. Ale uzależniłem swoje wybaczenie od tej jednej rzeczy. Musiała dokonać aborcji. Jeśli by odmówiła, to z mojej strony koniec. Wyraziłem się w tej kwestii bardzo jasno.

Twarz Emmy tkwi w mojej głowie, tak niewinna i młoda, gdy próbowała mnie przekonywać.

„Dominic, nie mogę – szlochała. – Rodzice by mnie zabili. A poza tym tak nie można, Dom. To złe”.

– Mocno na nią naciskałem – odzywam się w końcu ponownie, choć to zdanie to poważne

niedopowiedzenie. – Każdego dnia. W każdej godzinie. Ona płakała, a ja się wściekałem i nie zamierzałem się poddać. Nie dbałem o to, że jej rodzina należała do konserwatywnych katolików. Nie dbałem o to, że w jej mniemaniu narażała własną duszę, że jej rodzice nigdy by jej nie wybaczyli. W mojej głowie dziecko stało się tym czymś, błędem Crisa. Nie myślałem o nim jako o faktycznej istocie ludzkiej. Byłem zbyt zaślepiony przez gniew, urazę i nienawiść, by troszczyć się o cokolwiek poza sobą samym.

Robię pauzę i spoglądam na Jacey.

– Widzisz, jakim byłem egoistą?

Jacey jest trupio blada, kiedy wbija we mnie wzrok, przez jej oczy przemyka milion emocji.

– Każdy na twoim miejscu byłby zdenerwowany – oświadcza wreszcie z wahaniem. Widzę, że nie wie, co powiedzieć. Nie mogę jej za to winić... no bo kto by wiedział?

Odwracam się, znów patrząc w ciemność, aby skoncentrować się na nocy, nie zaś na wspomnieniach w mojej głowie.

– Zawiozłem ją na zabieg. Jechaliśmy w ciszy. Nie pozwolili mi z nią pójść, więc musiała to przetrwać sama. W drodze powrotnej wtuliła się w drzwi auta i płakała. Całymi dniami się do mnie nie odzywała. Ale rozmawiała z Crisem. Wiem, bo w kilka dni później, w dniu zakończenia liceum, wybrałem się do niej i dotarłem pod dom akurat w momencie, gdy on wychodził. Uderzyło mi do głowy. Oznajmiłem jej, że już nigdy nie chcę jej widzieć, że jeśli chce Crisa, to może go sobie wziąć. Także po tym, jak zmusiłem ją do poddania się dla mnie aborcji, i tak ją zostawiłem.

Jacey wydaje z siebie dziwny dźwięk, gardłowy odgłos, jakiego nigdy wcześniej od niej nie słyszałem. Jej knykcie ocierają się o zęby, kiedy przyciska zaciśniętą pięść do ust.

– Emma nie poszła na żadną z imprez z okazji zakończenia szkoły. Nie zjawiała się, a mnie to nie obchodziło. Tamtego wieczoru wybrałem się na imprezę z Sinem i Duncanem, postanowiwszy, że się upiję i całkiem o niej zapomnę. I tak też zrobiłem. Taylor McKay tańczyła mi właśnie na kolanach, kiedy Emma zadzwoniła. Było późno, a ona bełkotała, nie mogłem nic zrozumieć z tej paplaniny... poza tym, że podcięła sobie żyły. I że mnie potrzebuje.

– Pojechałeś? – szepcze Jacey i po jej twarzy poznaję, iż lęka się odpowiedzi.

– Oczywiście, że pojechałem. Ale było już za późno, by ją ocalić.

Jacey potrząsa teraz głową z niedowierzaniem, jakby sądziła, że snuję zmyśloną opowieść, odgrywam jakąś scenę.

– Dom... Ja...

Nie ma słów. Bo kolejna kwestia w tej rozmowie nasuwa się sama. Jestem okropnym człowiekiem. Potworem.

Kiwam krótko głową, raz, zdeterminowany zachować zimną krew.

– Emma była promyczkiem światła. Każdy, kto ją poznał, o tym wiedział. Była dla mnie za dobra. A ja ją zawiodłem. Zaufała niewłaściwej osobie, bo odwróciłem się od niej, kiedy najbardziej mnie potrzebowała. Porzuciłem ją. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że mimo to mnie kochała.

To prawda. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy zobaczyła, że wchodzę do pokoju. Zupełnie jakby wszystko na świecie wróciło do porządku, choć ona umierała w morzu własnej krwi.

– Co się wydarzyło, gdy już tam dotarłeś? – szepcze Jacey.

Jestem teraz jak z drewna, wymuszam z siebie kolejne słowa. Znów wpatruję się za okno, odwróciwszy wzrok od wstrząśniętej Jacey; w głowie widzę wspomnienia.

– Łóżko skąpane było we krwi, a Emma była blada, roztrzęsiona i zimna. Rozcięła sobie przedramiona od nadgarstków aż po łokcie, więc wiedziałem, że to nie wołanie o pomoc. Chciała umrzeć. Nie chciała, żeby ktoś ją uratował. Wokół niej leżały rozrzucone wiersze, które napisała, wszystkie o śmierci. Nie wiem, jakim cudem nie dostrzegalem, że złamałem ją do cna.

Milknę, próbując rozplątać język, próbując przełknąć emocje, które tkwią w gardle, próbując

przełknąć wspomnienia, aby móc choć udawać opanowanie. Jestem pieprzonym aktorem, na miłość boską. Potrafię odegrać opanowanie.

Jakoś mi się to udaje, bo moje słowa rozbrzmiewają w monotonnym, drewnianym monologu:

– Było tyle krwi. Wszędzie krwawe odciski palców. Nigdy nie widziałem krwi w takiej ilości.

Chwyliła mnie za koszulę i przywarła do mnie, a jej dłonie były tak zimne. Wargi miała sine.

Była taka blada.

Krew.

Krew.

Krew.

Urywam.

– Było tyle krwi. Owinęliśmy jej ręce ręcznikami, ale już po chwili całkiem przesiąkły. Weszli sanitariusze, a ona zachowywała się, jakby ich nie dostrzegała. Wciąż tylko mnie przepraszała. Mówiła, jak jej przykro, że zabiła nasze dziecko... dziecko, którego ja i tak nigdy nie chciałem. Błagałem ją, żeby wytrzymała, aż dowiozą ją do szpitala, błagałem, by spróbowała. Ale nie dotrwała nawet do karetki. Błagałem ją, ale mimo to umarła.

W pokoju panuje teraz cisza, całkowita cisza, jeśli nie liczyć płytkich oddechów Jacey. Zamykam oczy, a pod powiekami odtwarza mi się film. Film mojego życia. Film z nocy, która mnie zniszczyła.

– Było tyle krwi – mamroczę, widząc to wszystko, jakby wydarzyło się wczoraj. Do mojego głosu prześliznęły się pewne emocje, ale tylko niewiele. Wciąż nad sobą panuję. Na razie. – Nigdy nie widziałem jej tak dużo. Całe łóżko Emmy było w niej skąpane. Ręczniki były nią przesiąknięte, tak samo moje ubrania. Była wszędzie, na moich rękach, na twarzy. Jej mama krzyczała, dzwoniąc na pogotowie... jej tata płakał. Emma i ja siedzieliśmy na jej łóżku, a ona coraz bardziej słabła, tak szybko, a potem usiłowała mi coś powiedzieć, ale nie potrafiłem rozróżnić słów. Ale w końcu zrozumiałem.

Odwracam się, by spojrzeć na Jacey.

– Powtarzała imię Crisa.

Jacey otwiera usta, lecz zaraz z powrotem je zamyka. Nie ma tu nic do powiedzenia.

– Zignorowałem to. Udałem, że nie dosłyszałem. Zamiast tego zapewniłem ją, że jest mi tak przykro, że na nią naciskałem. Zapewniłem, że ją kocham i że zawsze będę ją kochał, niezależnie od tego, co wydarzyło się z Crisem. W tamtej chwili nic innego się nie liczyło, bo wiedziałem, że ona umiera. Wiedziałem, że zostało jej tylko kilka minut i nie chciałem przeznaczac ich na nieprzyjemne słowa. W ostatecznym rozrachunku jedyną liczącą się rzeczą jest życie. Zapominasz o brzydocie, zapominasz o bólu. Na tę jedną chwilę.

Pieką mnie oczy i wyglądam za okno, widząc twarz Emmy. Była taka piękna, nawet wtedy, nawet ze zsiniałymi wargami, z szeroko otwartymi oczyma pełnymi strachu i smutku. Gdy ją trzymałem, jej ciało zdawało się takie nikłe, tak chłodne.

– Umarła w moich ramionach.

Jacey siedzi w kompletnej ciszy, z przerażeniem w oczach. Nie wiem, co innego mógłbym zrobić, więc mówię dalej.

– Byłem pijany, ale nigdy nie zapomnę, jaka była nieruchoma. Na początku nawet się nie zorientowałem, że odeszła... Przyciskałem ją do siebie, błagałem ją, a potem nagle zdałem sobie sprawę, że nie odpowiada, odsunąłem się, tylko troszeczkę, a ona wyglądała jak szmaciana lalka. Oczy miała puste. – Milknę, biorąc głęboki oddech, napełniając płuca, które nie zasługują na tlen. – Trzymałem ją, gdy umierała, a ja nawet nie zauważyłem. Nie wiem, w którym momencie wydała swe ostatnie tchnienie. Nawet na samym końcu okazało się, że zasługiwała na kogoś o niebo lepszego ode mnie.

– Jezu – wzdycha Jacey, a gdy zwraca na mnie wzrok, jej oczy pełne są lęku. Wreszcie widzi we mnie potwora, którym jestem, ale nie odczuwam z tego powodu żadnej satysfakcji. – Dominic, jej postępek nie był twoją winą. Byliście młodzi i przestraszeni, więc poprosiłeś ją, żeby dokonała aborcji. Nie prosiłeś,

żeby się zabijała. Zrobiła to z własnej woli.

– Ja to zrobiłem – upieram się stanowczo. – Unicestwiłem ją. Naciskałem. Kochała mnie tak bardzo, że chciała jedynie ze mną być. Zanedbując ją, praktycznie wepchnąłem ją w ramiona Crisa. To była moja wina. A potem pragnęła tylko mojego przebaczenia, a ja zmusiłem ją do niewyobrażalnej rzeczy. Nie potrafiła tego znieść. Nie umiała żyć z poczuciem winy.

Jacey wyciąga rękę i znów ujmuje moją dłoń, jej palce są drobne i chłodne. Trzyma ją, a ja jej na to pozwalam, lecz moje serce pozostaje zimne i puste. Po raz pierwszy od czasu tamtych wydarzeń komuś o nich opowiedziałem. I nie jest to przyjemne uczucie.

– Nikt nie wie – dodaje niemrawo. – Nawet jej rodzice nie wiedzą. Nie zostawiła listu. Tylko te cholerne wiersze o śmierci. Nie widziałem sensu w informowaniu ich o wszystkich tych nieprzyjemnych kwestiach.

– Może mogliby dzięki temu jakoś rozliczyć się z tą sprawą – zauważa Jacey z wahaniem. – Pewnie wciąż gnębi ich pytanie, dlaczego to zrobiła.

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznaję roztrzęsionym głosem. – Tak bardzo byłem pogrążony we własnym żalu. Po pogrzebie się wyprowadzili. Pan Brandt dostał pracę w Nowym Jorku, więc przenieśli się do New Jersey. Nie mogli znieść dalszego mieszkania w domu, w którym ona umarła.

Nie w domu, gdzie jeden z pokoi skąpany był we krwi ich jedynej córki.

– Nie sposób ich za to winić – mówi Jacey cicho.

– Właśnie – zgadzam się. – To jeden z powodów, dla których ja przenieśliem się do Kalifornii i rzadko wracam do domu. Wierz mi, doskonale ich rozumiem.

– A Cris – zaczyna Jacey z wahaniem. – Nigdy nie rozmawiałeś o tym z Crisem?

– Kurwa, pewnie, że nie – wypluwam z siebie ze złością. – Wybaczyłem Emmie to, co się stało, ale Crisowi nigdy, kurwa, nie wybaczę.

– Wciążnosisz w sobie tyle gniewu i nienawiści – stwierdza Jacey wolno. – Obwiniasz Crisa, obwiniasz siebie. Jesteś wściekły na Emmę, ale ją kochasz. To sporo nieuporządkowanych emocji do udźwignięcia, Dom. Jesteś niesprawiedliwy wobec samego siebie. Gdy tak bardzo kogoś nienawidzimy, zdaje nam się, że go tym ranimy. Ale to nieprawda. Ranimy jedynie samych siebie, bo pielęgnowanie takiej ilości złych uczuć jest toksyczne.

W gardle tworzy mi się gęstwa, ciężka i twarda. Nie mogę przez to przełknąć śliny i szczypią mnie oczy. Spoglądam w górę na sufit, spoglądam za okno, spoglądam na podłogę. Robię wszystko, by uniknąć patrzenia na Jacey.

– Dominic – odzywa się ona łagodnie. – Spójrz na mnie.

Z wahaniem spełniam jej prośbę.

– To nie twoja wina, że Emma umarła. Umarła z powodu czegoś, czego nie powinna była robić. Gdybyś wiedział wcześniej, spróbowałbyś ją powstrzymać.

W milczeniu kiwam głową. Przynajmniej to jest prawdą.

– I nie możesz wciąż obwiniać się za tak okropny wypadek. Bo to był wypadek, Dominic. Emma nie była wówczas przy zdrowych zmysłach. Sama była tylko dzieckiem.

Biorę oddech, rozedrgany oddech w ciemnościach.

– Nie mogła żyć z poczuciem winy. Zanim zaczęła wzywać Crisa, wciąż płakała, szepcząc nieskładnie o poczuciu winy. Powiedziałem, że ja jej wybaczyłem, ale ona tylko potrząsnęła głową. Nie potrafiła wybaczyć samej sobie, nie mogła też zaufać mojemu wybaczeniu. Więc się zabiła. Może i nie podciąłem jej żył, ale i tak ją zabiłem.

Rozdział 27

JACEY

Coś w piersi dosłownie mnie boli, kiedy patrzę na twarz Dominica... na to, jaki jest rozbity... jaki był rozbity przez cały ten czas.

– Nośłeś to w sobie tak długo – wyduszam wreszcie. – A to tak wielki ciężar, Dominic.

Siedzi przygarbiony na krześle przy moim łóżku z rękami na kolanach. Trzymam jedną z nich, lecz jego palce leżą bezwładnie. Uważa, że nie zasłużył nawet na pocieszenie. Ta myśl może złamać serce i czuję, że moje własne roztrzaskuje się na milion maleńkich kawałeczków.

– Dom – szepczę. – Nie wepchnąłeś jej w ramiona Crisa. To nie była twoja wina. Ona dokonała wyboru. Nie ty.

Nic nie mówi, zamyka jedynie oczy. Dostrzegam, że trzęsą mu się dłonie, i na ten widok znów pęka mi serce. Taka młoda dziewczyna, taka strata... i Dominic. Boże. On też był młody. Zbyt młody, by unieść takie brzemię.

Serce wali mi w piersi, lecz ignoruję je, wysmykuję się z łóżka i klękam przed Domem.

– Spójrz na mnie – polecam mu miękko. Oczy nadal ma zamknięte, więc powtarzam z większym zdecydowaniem: – Spójrz na mnie, Dom.

Otwiera oczy, które zdają się tak bardzo, bardzo ciemne. Wypełnione żalem, wypełnione poczuciem winy, wypełnione niewyobrażalnymi rzeczami.

Rzeczami, które on naprawdę widział.

– Czy to dlatego do nikogo nie chcesz się zbliżyć? – szepczę, ściskając mocno jego rękę. – Uważasz, że dla nikogo się nie nadajesz, bo zabiłeś Emmę. Czy tak? Tak właśnie myślisz?

Tylko się we mnie wpatruje.

– Tak czy nie? – pytam prosto.

Mija chwila, a potem doczekuję się pojedynczego skinięcia głową.

Serce mi pęka i czuję, że po policzku spływa mi łza.

– I nie potrafisz nikomu zaufać, uwierzyć, że nikt więcej tak cię nie zrani, prawda? Ona cię zmiotła. Umarła i zostawiła cię... zostawiła cię z całym tym poczuciem winy, a ty byłeś na nią za to wściekły, prawda?

Zamyka oczy.

– Tak czy nie, Dominic? – Wiem, że moje słowa brzmią ostro, ale on musi stawić temu czoła, bo inaczej nigdy sobie z tym nie poradzi. Nie jestem ekspertką, ale tyle wiem.

Znów kiwa raz głową.

– Złość to normalna odpowiedź na czyjąś śmierć – oznajmiam mu cicho. – Wierz mi, ja wiem. Pamiętasz, jak powiedziałam, że mój ostatni chłopak zrobił coś okropnego? No cóż, był psychopatą. I nie powinnam była do niego wracać, ale byłam słaba i to zrobiłam. A potem, z powodu mojego postępowania, zginął mój dobry przyjaciel. Zginął, próbując mnie ratować. I kiedy umarł, byłam taka wściekła. Byłam wściekła na niego, za to, że próbował mi pomóc, ale byłam też wściekła na siebie... bo gdybym nie okazała się tak słaba, w ogóle nie doszłoby do sytuacji, w której musiałby mnie ratować.

– To nie mogła być twoja wina – odzywa się w końcu Dominic. Spoglądam na niego.

– Nie? Tak sobie wmawiam. Ale nie jestem pewna, czy w to wierzę. Nie w głębi duszy. Coś o tym wiesz, prawda?

Dominic przytakuje skinieniem głowy.

– Ale twoja sytuacja różni się od mojej.

Potrząsam głową.

– Nie, wcale nie. Ktoś, kogo kochałam, nie żyje z powodu podjętej przeze mnie decyzji. Ty uważasz, że Emma umarła przez ciebie. Różnica między tobą a mną polega jedynie na tym, że mój przyjaciel naprawdę zginął z mojej winy. Emma umarła w wyniku wyboru, którego sama dokonała.

– Twój przyjaciel też samodzielnie dokonał tego wyboru – oświadcza Dominic głosem, w którym pobrzmiwa mrok widoczny również w jego oczach. – Postanowił ci pomóc.

– Wiem – odpowiadam cicho. – Codziennie o tym myślę. Ponieważ był mi bliski, ponieważ mnie kochał. Trudno dźwiga się takie poczucie winy. Ale wiem też, że muszę się od niego uwolnić... i pracuję nad tym. Pracuję nad tym od tamtego koszmarne dnia. Ty też musisz się uwolnić, Dominic. Musisz spróbować. Niezależnie od powodów, które do tego doprowadziły, Emmy już nie ma. Nie możesz przywrócić jej życia, a wieczne obwinianie się niczego nie zmieni. W niczym nie pomoże.

– Wiem – przyznaje miękko. – Musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że zrobiłbym wszystko, by się od tego wyzwolić. Czuję się, jakby ktoś przykuł mnie łańcuchem, do niej... do tego, co się stało. To wszystko sprawia, że czuję się jak w pułapce. Wciąż mnie otacza. Nigdy nie będę mógł od tego uciec. Każdego dnia zdaję sobie sprawę, co jej zrobiłem. Kocham ją i nienawidzę jednocześnie. Mam wrażenie, że przede mną wznosi się mur, który nie pozwala mi iść naprzód. Oddałbym wszystko, aby móc się przez niego przebić i ruszyć dalej.

– Możesz to zrobić, Dominic – zapewniam go pospiesznie, ściskając jego dłonie. – Naprawdę. Musisz tylko przejść kolejno wszystkie kroki.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć – odpowiada bezradnie. – Kiedy cię spotkałem, kiedy miałem okazję lepiej cię poznać... po raz pierwszy od śmierci Emmy odczułem potrzebę zbliżenia się do kogoś, do ciebie. Ale nawet ty nie możesz mnie przed tym ocalić. Nie możesz pomóc. Nikt nie może. A jeśli będziesz próbowała, Kira miała rację... utoniesz razem ze mną.

– Chcesz się do mnie zbliżyć? – pytam cicho, niedowierzająco, bo jego postępowanie w ostatnim czasie całkiem temu zaprzeczało.

– Chciałem – przyznaje Dominic, odwracając wzrok. – Ale potem uświadomiłem sobie, że to nie w porządku wciągać cię w moje toksyczne życie. Wtedy właśnie zerwałem nasz układ. Nie dlatego, że naprawdę tego chciałem, ale dlatego, że zasługujesz na kogoś dużo, dużo lepszego ode mnie.

– Czemu nie pozwolisz mi samej o tym zdecydować? – podsuwam łagodnie. Ale Dom nie patrzy w moją stronę, szczęki ma zaciśnięte. Po jego oczach poznaję, że myśli o Emmie, o tym, jak dopuścił ją do siebie, a ona dokonała w nim spustoszenia. O swoim przekonaniu, że to on ją zabił. Że nie zrobił wystarczająco wiele, by ją ocalić, jakby to w ogóle leżało w granicach jego możliwości.

Wyraz jego twarzy, tak smutny, tak bezbronny, tak pozbawiony nadziei... rozrywa mnie na strzępy. Robię więc jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

Całuję go.

Zbieram cały swój żal nad nim, cały rozdzierający ból serca i przelewam je w ten pocałunek. Tylko taki plan działania znam. Chcę odebrać mu cały jego smutek, wchłonąć go w jedyny znany mi sposób.

Na początku Dominic pozostaje bezwładny, siedzi nieruchomo, gdy biorę go w ramiona. Ale po chwili jego dłoń sunie już w górę moich pleców i czuję ciepło jego ściskających mnie palców. Jego oddech przyspiesza, robi się drżący i nierówny.

– Nie powinnaś ze mną być – powtarza desperacko. Ale ja puszczam to mimo uszu.

Znów się całujemy, a potem jeszcze raz, nasze ręce są wszędzie, ogarnięte nagłym, gorączkowym

szaleństwem. Pragnę go. Pragnę wziąć jego ból i zastąpić go czymś dobrym. Zasługuje na to... Gdyby tylko udało mi się sprawić, że sam to dostrzeże. Jego serce bije przy moim, głośne i silne, gdy zsuwam dłonie po jego piersi, aż do klamry paska.

– Nie sądzę, żebym był w stanie to zrobić – dyszy Dom przy moim uchu. – Chcę tego. Ale nie sądzę, żebym potrafił. Nie udało mi się... być z nikim od śmierci Emmy. Mam w sobie ten obezwładniający lęk przed ponownym zaufaniem komuś. Gdy Emma umarła, nie uporałem się ze swoim żalem. Zdusiłem go. Tak bardzo skupiłem się na strachu i poczuciu winy, że urosły we mnie w potwora, którego nie mogę teraz wyminąć. Jest we mnie coś pękniętego, Jacey.

Wpatruję się w jego oczy, w jego złamane serce, i cała topnieję.

– Więc naprawmy to.

Uciszam jego protesty swoimi wargami, wdrapując mu się na kolana, wysysając z niego cierpienie. Wdycham je, podczas gdy moje dłonie głaszczą go całego, jego twarz, jego tors, jego ramiona. Zabieram jego poczucie winy, jego smutek i jego gniew. Moja pierś przyciska się do jego piersi, moje serce bije wraz z jego sercem.

Oba galopują szaleńczo, łomoczą, pękają.

– Napraw mnie, Jacey – szepcze Dominic, jego dłonie ciągną za moją koszulę nocną, podwijając ją i zdejmując mi przez głowę. – Jeśli potrafisz.

Och, potrafię.

Szarpię się z jego ubraniem, aż nie ma między nami nic poza skórą oraz gorącem. Gorącem oraz skórą. Poza jego cudownym zapachem, dotykiem jego palców i jego języka. Wokół nas unosi się teraz tyle emocji, że moje ciało zdaje się wyjątkowo wrażliwe, naelektryzowane. Na każdy dotyk jego palców wzbijam się ku niebu, wyginając plecy, przyciągając go do siebie.

Ponieważ chcę od niego więcej.

Wreszcie dostanę go całego.

Razem padamy na moje łóżko, z rękami Doma za moją głową. Całuje mnie raz po raz, a ja mam wrażenie, że to nasze gorąco wkrótce eksploduje ognistym deszczem emocji. Nie jestem pewna, czy dam radę znieść taką ilość doznań. To nie do wytrzymania.

Wszystko jest teraz rozmazaną smugą... smugą złożoną z emocji, potrzeb i gorąca. Jego dłoni, jego twarzy, jego oczu... jego bólu.

Jego poczucia winy.

Wszystko to mnie oplata, a ja się tym zaciągam. Chcę go od tego uwolnić.

W tej chwili on chce się zmienić, a ja chcę mu w tym pomóc.

– Bądź ze mną, Dom – szepczę. – Bądź ze mną.

Energia w pokoju jest namacalna, kiedy jego palce, chłodne i długie, wślizgują się we mnie płynnie. Jego ciało nachyla się nade mną w ciemności, jego ciepły oddech muska moją twarz.

– Nie jestem pewien, czy będę w stanie – powtarza znów, nieprzekonany. – Ja...

– Uda nam się – zapewniam go z przekonaniem. – Tobie się uda.

Mnie się uda.

Wymykam się spod niego i przekręcam go, siadając okrakiem na wysokości jego bioder, patrząc na niego w dół. Jego twarz wygląda pięknie w mroku, mimo widocznego na niej udręczenia.

– Pragniesz mnie? – szepczę miękko, pochylając się, by przesunąć palcami po jego policzku. Czuję, jak jego penis w erekcji przyciska się do mnie, sztywny i twardy. – Wiem, że tak.

Kiwa głową, a ja unoszę brew.

– Tak czy nie?

Uśmiecha się, leciutko, lecz w tym uśmiechu również dostrzegam ból.

– Tak – mruczy, jego dłonie ściskają moje biodra i przyciągają mnie bliżej. Jednym ruchem unoszę się, a potem opadam na niego, skrywając go głęboko w sobie. Wsuwa się we mnie bez trudu, głęboko,

całkowicie.

W tym momencie wszystko zamiera, jakby świat się zatrzymał.

Jakby to było coś tak cholernie uroczystego.

Jakby wszechświat wiedział, jakie to znaczące.

Jednocześnie wciągamy powietrze, a potem Dominic wydaje z siebie pomruk, zamykając oczy, gdy otacza go moje ciepło, gdy po raz pierwszy od sześciu lat zanurza się w kobiecym ciele.

– Jezu – mamrocze, a jego palce wbijają się w moją skórę, podczas gdy ja się na nim kołyszę. Na początku wolno, ale nie mogę powstrzymać stopniowo wzrastającej gorączkowości. Chcę go zadowolić, sprawić mu przyjemność... uratować go.

Patrząc całościowo, to, co robimy, to dużo więcej niż prosta czynność. Dużo więcej niż zwykłe bzykanko. I oboje o tym wiemy.

To istotne na tysiąc różnych sposobów.

Świat zanika, kiedy przypatruję się jego twarzy... minie wyrażającej zdziwienie, zachwyt i czystą przyjemność. W tej chwili zdaję sobie sprawę, że on naprawdę wierzył, iż nie będzie potrafił tego zrobić. Naprawdę miał psychiczną blokadę i sądził, że nigdy jej nie pokona. Dopiero moje naciskania... i to, że wzięłam sprawy w swoje ręce, go do tego zmusiły.

– Boże, to cudowne uczucie – mruczy, otwierając oczy i spoglądając w moje. Pochyliłam się i całuję go, nasze języki splatają się, moje gorąco przelewa się w niego.

– Widzisz? – pytam, znów kołysząc się na nim spokojnie. Wyciąga ręce i ujmuje moje piersi, ugniatając skórę, jego kciuki pocierają moje sutki, najpierw delikatnie, potem mocniej. – Myślałeś, że działają na ciebie tylko mroczne i zakazane rzeczy. Sądziłeś, że na to zasłużyłeś. Że zasłużyłeś na ciemne kąty i ukryte pokoje. Ale na to też zasługujesz, Dom. Zasługujesz na miłość.

Dom nieruchomieje i patrzy na mnie, jego oczy otwierają się szeroko.

– Ty mnie kochasz?

Głos ma cichy, pobrzmiwa w nim szok. Ja jestem co najmniej tak samo zszokowana, iż wypowiedziałam te słowa na głos.

Przestaję się poruszać, odgarniam włosy z twarzy i wbijam w niego spojrzenie. Przeraza mnie perspektywa takiego odsłonięcia się, ofiarowania się w ten sposób. Ale muszę to zrobić.

On musi wiedzieć.

– Kocham cię – szepczę z wahaniem. – Tak.

Dominic zamyka oczy, zaciska powieki, a jego dłonie zsuwają się po moich plecach, paznokcie zadrapują skórę.

– Nie rób tego – odszeptuje. – Nie kochaj mnie.

Pochyliłam się i ujmuję jego twarz w dłonie, całuję go w usta.

– Za późno – odpowiadam z wargami przy jego wargach. – Już na to za późno.

Z oka Dominica wymyka się maleńka kapka wilgoci, spływając mu po policzku. Ocieram ją, a Dominic otwiera oczy.

– Cóż, w takim razie niech Bóg ma cię w opiece – mówi prosto.

Jęczy i przekręca się ze mną, przygważdżając mnie do łóżka, a następnie zanurzając się we mnie, mocno i szybko, głęboko, tak głęboko, jak się tylko da. Odchyła głowę w tył i wydaje z siebie coś, co jest praktycznie warknięciem. Ściskam go za plecy, drapiąc go i całując jego ramię.

– Więcej – polecam mu spieszenie. – Daj mi więcej.

Napiera na mnie mocniej i szybciej, jęcząc w moją szyję, skubiąc zębami moją skórę. Wyczuwam bicie jego serca, jego ciepło, czuję wilgoć na jego skórze. Otacza mnie jego zapach, tak unikalny, a ja wdycham go, wciągając go w siebie wraz z całą resztą Dominica.

– Więcej – powtarzam, a on znów na mnie napiera.

Gdy to robi, patrzy mi nieporuszenie prosto w oczy. Jego zielone oczy są teraz niemal czarne i

wszystkie sekretne rzeczy, które zwykle się w nich czają, zniknęły. Jego intensywne spojrzenie otwarło się – i to wszystko dla mnie.

Przywieram bezwolnie do jego pleców, aż wreszcie Dominic drży, odrzuca głowę w tył i opada na mnie, przyciągając mnie blisko. Dyszy mi w szyję, a jego dłonie głaszczą moje plecy. Upływa sporo czasu, nim się odzywa.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznaje w końcu cicho.

– Nic nie mów – odpowiadam łagodnie. – Nie musisz.

I naprawdę tak sędzę. Słowa nie są teraz potrzebne. Wiem, czego się obawia. Wiem, za kogo się uważa. Moją rolą będzie pokazanie mu, że nie ma się czego bać.

Oczy Dominica otwierają się gwałtownie.

– Nie zabezpieczyliśmy się – mówi roztrzęsionym głosem. – Jezu. Nie pomyślałem o tym. Od dłuższego czasu nie musiałem się tym przejmować.

– I teraz też się nie przejmuj – uspokajam. – Biorę tabletki i od bardzo dawna nie uprawiałam seksu bez zabezpieczeń. Jestem zdrowa. Nie musisz się martwić, że zajdę w ciążę. Nie będziesz musiał ponownie przez to przechodzić. Przysięgam.

Zamyka oczy i czuję, jak rozluźnia się na łóżku obok mnie.

– Dobrze. Będę więc martwił się jedynie, czy to, jaki jestem popieprzony, nie rozpieprzy też ciebie – mamrocze, biorąc mnie w ramiona.

– Tym też się nie martw – przykazuję mu łagodnie, wyciskając pocałunek na jego zwilgotniałym czole. – Jestem wystarczająco rozpieprzona sama z siebie.

Uśmiecha się, oczy wciąż ma zamknięte, a ja mimowolnie zastanawiam się, czy ja powinnam się martwić. Opuszczając powieki, postanawiam, że nie będę. Nie dziś.

Mogę odłożyć te cholerne lęki do jutra.

A na razie zasypiam w ramionach mężczyzny, którego kocham.

Kocham.

Kocham.

Kocham.

Kocham go.

Odrzucił mnie, ale wrócił. Ja twardo obstawałam przy swoim, a on chce spróbować. Może jest dla nas obojga nadzieja.

Kocham go.

Jest smutny i złamany, i cudowny, i seksowny, i dręczony demonami z przeszłości. To wszystko prawda, a ja go kocham. To dla mnie zdumiewająca rzecz, ostatnia, o jakiej zdążę pomyśleć, nim odpłynę w sen.

Rozdział 28

DOMINIC

Podpieram się na łokciu i przyglądam się śpiącej Jacey. Promienie słońca padają jej na twarz, przez co wygląda niemal anielsko. Uśmiecham się na myśl, jak wielkie byłoby jej oburzenie, gdybym jej to powiedział.

Zerkam na zegar, a potem sięgam po telefon, aby zadzwonić do Joego. Niemożliwe, żeby Jacey musiała iść dzisiaj do pracy, nie po tym, jak z konieczności budziłem ją w nocy co dwie godziny. Będzie wyczerpana. Na szczęście Joe to rozumie. Rozłączam się i zwracam się z powrotem ku Jacey, a wtedy widzę, że na mnie patrzy.

– Dzień dobry – odzywa się lekko, ale jej spojrzenie jest ciężkie. – Więc... ta noc to było... coś.

Uśmiecham się leciutko i potrząsam głową.

– Jeśli przez „coś” rozumiesz w moim wypadku życiowy przełom na miarę trzęsienia ziemi, to tak. To było coś.

Jacey również się uśmiecha i sięga ku mnie, przyciągając mnie do siebie.

– Ta noc była intensywna – przededagowuje swą wypowiedź.

Mam wrażenie, że moje serce jest dziwnie odrętwiałe, lecz pod odrętwiałymi warstwami po raz pierwszy od wielu lat odczuwa radość. Czuję, jak wargi Jacey układają się w uśmiech przy mojej skórze.

– I co dalej zrobimy? – pyta Jacey cicho, z twarzą wciąż przyciśniętą do mojego ciała.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – To dla mnie całkiem nieznanie terytorium.

– Coś wymyślimy – oznajmia z przekonaniem. – Nie martw się.

– Nie martwię się – zapewniam. I zdaję sobie sprawę, że to prawda. To tak kurewsko przyjemne uczucie. – Nie wiem, jak poukładać sobie wszystko, co zaszło, ale wczoraj po raz pierwszy byłem w stanie o tym rozmawiać. Ty i ja to... krok we właściwą stronę. To musi coś oznaczać.

– I oznacza. Coś wymyślimy. I nie musisz dziś ze mną zostawać – dodaje, z wargami przy mojej szyi. – Czuję się dobrze. Boli mnie głowa, ale to wszystko.

– Och, doprawdy? – rzucam przeciągle, przesuając dłońmi w górę jej pleców, usiłując rozluźnić atmosferę. – Od miesiąca pragnęłaś mnie w swoim łóżku, a kiedy w końcu się tu znalazłem, każesz mi zniknąć?

Jacey odsuwa się i spogląda na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Owszem, pragnę cię w swoim łóżku – potwierdza. – Ale pragnę też wielu innych rzeczy. Będziemy musieli o tym porozmawiać, Dominic. Wczorajsza noc była cudowna, ale to tylko początek. Chcę ciebie, Dom. I będziemy musieli przedyskutować kwestię tego, jak wiele z siebie gotów jesteś ofiarować.

Wpatruję się w nią, w jej duże brązowe oczy, szczupłe ramiona, pełne wargi.

– Możesz mieć mnie całego – oświadczam prosto. – Nie wiem, czemu tego chcesz, ale możesz to dostać.

Wbija we mnie wzrok, wargi jej drży, a potem rzuca mi się w ramiona, chowając twarz tuż obok mojej piersi.

– W takim razie to wezmę – ogłasza. – Ale to będzie wymagało pracy, Dom. To będzie stopniowy

proces. Cierpisz wewnątrz. I ta rana nie zagoi się w ciągu jednej nocy. Wiesz o tym, prawda?

Wzdycham i kiwam głową.

– Wiem. Póki co zadowolę się po prostu byciem z tobą. Czy to ci odpowiada?

Przytakuje skinięciem, a potem się waha.

– Tak. Ale jest coś jeszcze. Cris mówił, że o pewnych sprawach nie wiesz. Naprawdę uważam, że aby faktycznie zacząć posuwać się naprzód, musisz dowiedzieć się absolutnie wszystkiego. Nie zgodzisz się?

Przewracam oczami, niezdolny do ukrycia swej odrazy.

– Nie chcę już nigdy widzieć Crisa na oczy – oświadczam szczerze. – Nie przenoszę własnej winy na niego, wierz mi. Siebie winię w znacznym stopniu. Ale on jest tak samo odpowiedzialny. A nie ma zamiaru tego przyznać. Nie chcę z nim rozmawiać.

– Ale on wie coś, o czym powinieneś się dowiedzieć – przypomina Jacey. – A twoje rany muszą się zagoić. Proszę, Dom. Chcę z tobą być. Naprawdę. Ale trzeba, byś zaczął tę podróż z otwartym umysłem, gotowy na związek ze mną. Żeby to osiągnąć, musisz raz na zawsze zakończyć swój związek z Emmą.

Jej słowa dryfują wokół nas po pokoju, w promieniach słońca, w powietrzu, a ja wiem, że ma rację. Ale to nie znaczy, że będę potrafił to zrobić.

Bo nie potrafię.

Odrzucam kołdrę i wstaję, wciągając ciuchy.

– Nie mogę – oznajmiam prosto. – Chcę spróbować z tobą być, ale tego nie mogę zrobić. Jeszcze nie.

Wychodzę, zostawiając ją samą w sypialni, wślizguję się do swojego auta i odjeżdżam.

Czuję się pusty i zmiażdżony, dziwnie odcięty od obecnej sytuacji. Ale zawsze byłem w tym dobry, w odcinaniu się, gdy tylko zaistnieje taka konieczność. Tak właśnie musiałem postępować, aby przetrwać.

Nie dojechałem nawet do końca ulicy, kiedy dostaję wiadomość od Jacey.

„Nie odrzucaj tego, Dom. Zasługujesz na szczęście. Nie uciekaj ode mnie”.

Te słowa sprawiają, że momentalnie się zatrzymuję, na samym środku drogi. Nie obchodzi mnie, że ktoś za mną trąbi.

Nie uciekaj.

To właśnie robię od lat. Uciekam przed tym, co się stało, żywiąc nadzieję, że uda mi się przed tym skryć, że nigdy nie będę musiał się z tym zmierzyć.

Ucieczka.

Tylko pieprzone mięczaki się na nią decydują.

Zawracam i pokonuję tę samą drogę w przeciwnym kierunku, wielkimi krokami przemierzam chodnik, nie zadaję sobie nawet trudu, by zapukać do drzwi. Po prostu wchodzę do domu Jacey, która zamiera w drzwiach sypialni, ubrana jedynie w koszulkę oraz majtki. Nie wygląda na zaskoczoną moim widokiem.

– Dobra – rzucam krótko. – Wysłucham Crisa, ale nie mogę obiecać, że nie przywalę mu w szczenę.

Jacey uśmiecha się szerokim, rozanielonym uśmiechem.

– Nie mogę prosić o zbyt wiele – wzdycha. – Ale to dobra decyzja, Dom. Poważnie. Zadzwonimy do niego i zaprosimy go tutaj czy pojedziemy do twoich rodziców? Gdzie najlepiej będzie się z nim spotkać?

– U Sina – odpowiadam automatycznie. – Nie uśmiecha mi się spotkanie się u rodziców i robienie z tego dramatu. I nie chcę, żeby postawił stopę w twoim domu. Zrobimy to u Sina. Nie będzie miał nic przeciwko.

– Okej – zgadza się Jacey po cichu. – Dziękuję, że to dla mnie robisz, Dominic. Mam nadzieję, że dostrzegasz, że tak naprawdę robimy to także dla ciebie.

Kiwam głową, a wyraz jej twarzy sprawia, że coś ściska mi się w brzuchu. Jest szczerzy, prawdziwy i pełen miłości.

Ona mnie kocha.

Kiedy docieramy na miejsce, w domu Sina panuje spokój, aż Jacey odwraca się do mnie ze zdumieniem.

– Nigdy nie widziałam, by było tu tak pusto – stwierdza, gdy podchodzimy do frontowych drzwi. – Jest ktoś na dole?

Wiem, co ma na myśli, mówiąc „na dole”, więc potrząsam głową.

– Nie. Imprezy Sina nie ciągną się bez przerwy, chociaż takie sprawiają wrażenie. W ciągu dnia zazwyczaj nikogo tam nie ma. Poza tym Sin wie, że przyjeżdżamy na spotkanie z Crisem. Jestem pewien, że będzie chciał usiąść z nami i posłuchać. Od lat ciekawi go, co się stało.

Jacey wsuwa swoją dłoń w moją, a ja po raz pierwszy od dawna czuję się z tym komfortowo. Nie wiem dlaczego. Wiem jedynie, że mam ochotę jej dotykać i po raz pierwszy to pragnienie wydaje się w porządku.

Przechodzimy do salonu, gdzie już czeka na nas Sin. Włożył nawet koszulkę.

– Wcześniej wstałeś – zauważam. Sin szczyrzy zęby.

– Od kiedy czwarta po południu to wcześniej?

– Wcześniej jak na ciebie – poprawiam się.

– Co się dzieje? – Sin spogląda na mnie z ciekawością. – Skąd ta nagła zmiana w podejściu do Crisa?

Potrząsam głową.

– Nie mówiłem wcale, że coś się zmieniło w moim podejściu. Powiedziałem, że chcę z nim porozmawiać. Jacey mnie do tego namówiła. Dobrze będzie się wszystkiego dowiedzieć, żebym mógł odsunąć od siebie wszystko, co związane z Emmą.

Sin kiwa głową z pełną zaskoczenia aprobatą.

– Już czas, Dom. Najwyższy czas.

– Wiem – przyznaję prosto. – I Sin, jeśli zamierzasz tu dzisiaj być, jest parę rzeczy, o których dotąd nie wiedziałeś... Pewnie lepiej będzie, jeśli od razu ci powiem. Emma zaszła w ciążę, jeszcze w liceum. I dziecko nie było moje.

– Co? – pyta Sin nieswoim głosem, jego twarz nagle robi się śmiertelnie blada. Ale nie ma czasu na odpowiedź, bo Cris odchrząkuje od drzwi.

– Jestem – ogłasza. Jacey ściska mnie za rękę, aby dodać mi otuchy, by mnie uspokoić, by powstrzymać mnie przed uderzeniem Crisa w twarz na samym wstępie. Zerkam na nią w dół, a ona odwzajemnia się pełnym poparcia spojrzeniem.

– Dasz radę – zapewnia cicho.

Kiwam głową. Wiem o tym. Przez chwilę widzę wszystko z absolutną jasnością. Cały ten bajzel zaczął się od Crisa, od tego, co Cris zrobił z moją dziewczyną. To on powinien czuć presję, nie ja.

Gestem zapraszam Crisa do środka, a Sin, oczywiście, nalewa mu drinka, wciskając szklanekę do rąk.

– Zgaduję, że to ci się przyda – stwierdza. – Siadaj, gdzie masz ochotę.

Cris wybiera krzesło naprzeciwko mnie i zajmuje miejsce, jego stopa uderza dziko o nogę krzesła. Gdy spostrzega, że na nią patrzę, nieruchomieje.

– Fiona nie przyjechała? – pytam z ciekawością. – To do niej niepodobne.

Cris wzrusza ramionami.

– Uznała, że to sprawa pomiędzy nami dwoma. Nie chciała opowiadać się po żadnej ze stron.

Och, doprawdy? Teraz tak zdecydowała? Inaczej czuła ostatnim razem, kiedy widzieliśmy się tu, u Sina, i kiedy nawrzeszczała na mnie za bycie świrem. Interesujące.

– No dobra. – Biorę głęboki oddech. – Dziękuję, że się zjawiłeś. Ja... uznałem, że to już czas, bym porozmawiał o tym, co się stało z Emmą. O tym, czego ja nie wiem, a ty tak.

Cris z wahaniem kiwa głową, patrząc mi w oczy. Przez chwilę dostrzegam w nim dzieciaka, którym był... wówczas, gdy byliśmy jeszcze najlepszymi przyjaciółmi. Jest podenerwowany. Dzięki temu wiem, że to, co ma mi do powiedzenia, nie będzie przyjemne. W jego oczach tkwi zapowiedź czegoś

złowieszczygo.

– Po prostu mi powiedz – mówię prędko. – Po prostu to z siebie wyrzuć. Już widzę, że nie będzie to miłe.

Cris odwraca wzrok.

– Tak naprawdę nie wiem nawet, od czego zacząć. Minęło tyle czasu. Myślałem o tym tysiące razy, próbując znaleźć sposób na przekazanie ci tego, gdybyś kiedykolwiek dał mi szansę, próbując stwierdzić, czy w ogóle powinienem coś mówić. Ale pozwól, że zacznę od powiedzenia, że... jest mi przykro. Przykro mi, że to nas poróżniło. Przykro mi z powodu udziału, jaki miałem w tym, że stałeś się tak... złamany.

Mówi „złamany”, choć wiem, że w rzeczywistości myśli: „popieprzony”. Nie mogę go za to winić. Reszta rodziny sądzi tak samo, bo taka jest prawda. Wpatruję się w niego bez słów.

Odwzajemnia spojrzenie.

– Zawsze było coś... Coś, przed czym chciałem cię chronić. Coś złego, Dom.

Nie reaguję, przygotowując się, siedzę i czekam.

Cris spogląda na mnie.

– Mam powiedzieć wprost? – pyta wreszcie. – Czy wolisz, żebym trochę to złagodził?

– Czy wyglądam, jakbym chciał, żebyś coś złagodził? – odpowiadam sztywno. – Po prostu powiedz.

Cris odwraca wzrok.

– Obserwowałem cię przez wszystkie te lata – przyznaje. – Nigdy nie straciłem cię z oczu. Wiedziałem, gdy skończyła studia, chociaż w międzyczasie musiałaś zrobić przerwę na nakręcenie *Wewnętrznej potrzeby*. Oglądałem cię w wywiadach, których udzielałaś po tym, jak twój pierwszy film okazał się hitem. Patrzyłem, jak wycofujesz się z życia publicznego na tyle, na ile tylko ci pozwolili. Patrzyłem, jak twoja twarz staje się zmęczona, udręczona. I wiedziałem, potrafiłem to z niej wyczytać, że sprawa Emmy prześladowuje cię tak samo jak mnie.

Milknie, a Jacey ściska mnie za rękę.

Dasz radę.

Praktycznie słyszę, jak wypowiada te słowa. Odwzajemniam się, również ściskając jej dłoń.

– Oczywiście mnie prześladowała – prześladowuje – z innego powodu niż ciebie – ciągnie Cris. – Prześladowuje mnie fakt, że ją zawiodłem. W zaufaniu powierzyła mi tajemnicę, którą nosiłem w sobie tak, jak prosiła, ponieważ uznaliśmy, że tak będzie lepiej. Będąc jeszcze dzieciakiem, nie rozumiałem, że niektóre sekrety powinny zostać wyjawione, a niektóre obietnice – złamane. Więc dotrzymałem tajemnicy. Powinienem być bardziej się starać ci o tym powiedzieć, bo pod koniec Emma zmieniła zdanie. Chciała, byś wiedział. Zawiodłem ją, bo nie potrafiłem sprawić, żebyś mnie wysłuchał.

Niecierpliwość narasta we mnie niczym nagle załamująca się fala.

– Teraz słucham – przerywam ostro. – Po prostu mi powiedz, do kurwy nędzy.

Cris wbija we mnie nieruchome spojrzenie.

– Czy pamiętasz, że w dniu pogrzebu Emmy... próbowałem z tobą rozmawiać, ale ty nie chciałaś słuchać? Udało mi się wydusić tylko parę słów, nim pchnąłeś mnie na ścianę. Pamiętasz, co takiego powiedziałem?

Przypominam sobie tamten dzień, dzień wypełniony czernią... czarnymi sukienkami, czarnymi garniturami, czarnymi emocjami. Było tyle czerni, że nie potrafiłem myśleć jasno. Cris usiłował ze mną porozmawiać, a ja nie mogłem tego znieść. Nie mogłem znieść dźwięku jego głosu. Ale doskonale pamiętam, co powiedział.

– Powiedziałaś, że to nie byłeś ty – rzucam. – Co to miało, do cholery, znaczyć?

Cris wzdycha i wbija wzrok w podłogę, przypominając sobie przeszłość, która odtwarza się w jego głowie, pewnie tak samo jak i w mojej... niczym senny koszmar.

– Emma oznajmiła ci, że pewnego wieczoru nas poniosło, prawda? – pyta Cris głosem jak z ołowiu.

Kiwam głową. – Oznajmiła, że siedzieliśmy w starym domku na drzewie i na spólkę piliśmy butelkę likieru twojego taty, podczas gdy ty i Duncan byliście w Chicago. Czy nie tak właśnie ci powiedziała?

Muszę zapanować nad sobą wielkim wysiłkiem woli, by zdobyć się na kolejne skinienie.

– Wiesz, że tak powiedziała.

Cris przytakuje ruchem głowy.

– Spytała mnie, czy mogłaby ci tak powiedzieć. Ale nie tak było. To znaczy, było dokładnie tak. To wszystko prawda. Tylko że ja nie brałem w tym udziału. Chłopak, z którym wtedy była, chłopak, z którym zaszła w ciążę... to nie byłem ja.

Oddech gwałtownie opuszcza moje ciało, wypada spomiędzy moich warg, mieszając się z otaczającym mnie powietrzem, podczas gdy usiłuję pojąć, co Cris właśnie powiedział.

Nie on?

– Kłamiesz – wypluwam z siebie. – Po co miałbyś w takim razie przez wszystkie te lata znosić brzemień winy? To niedorzeczne. Kto na całym świecie mógłby okazać się tak ważny, że poświęciłbyś dla niego naszą przyjaźń? Byłeś moim najlepszym przyjacielem, człowieku. I sam przyznałeś, że to byłeś ty.

– Nie – sprzeciwia się. – Nie ja. Emma powiedziała ci, że to byłem ja. Ja tylko jej na to pozwoliłem.

– Więc kto to, kurwa, był?

Cris stoi nieruchomo, ręce zwisają mu bezwładnie, wargi ma zaciśnięte.

– Sam już nie wiem, czy to dobry pomysł – oświadcza wreszcie, jak przystało na takiego tchórza. – Może lepiej nie budzić śpiącego licha.

– Pierdolę to – warczę. – Już za późno. Powiedz mi.

Wtrąca się Sin:

– Poczekaj chwilę, Dom. Rozwiążmy to spokojnie. Weź głęboki wdech, a potem...

Ale wyciszam dźwięk głosu mojego brata, widząc jedynie Crisa, który potrząsa głową... potrząsa głową, jakby nie zamierzał mi powiedzieć.

Wtedy robi mi się ciemno przed oczami.

Po raz kolejny falująca czerwień napływa z kącików moich oczu i nacieram na niego niczym wściekły byk, rycząc jak dzikie zwierzę, wskakując na niego i okładając po twarzy pięściami. Moje knykcie spotykają się z jego kością policzkową z przyprawiającym o satysfakcję chrupnięciem.

– Kto to był? – pytam natarczywie raz po raz.

Ale Cris nie broni się ani nie odpowiada. Spokojnie przyjmuje cios za ciosem. Wszystko staje się smugą złożoną z dźwięków, emocji oraz kolorów i w ogóle nie rozumiem, co kto do mnie mówi.

Poza jedną kwestią. Potworne słowa przebijają się przez moją furję, rozcinają czerwone chmury, które zaburzają logiczne myślenie.

– To byłem ja.

Głos należy do Sina.

Rozdział 29

JACEY

Wszyscy zamieramy na dźwięk tych słów.

„To byłem ja”.

Świat przestaje się kręcić, gdy Dom odwraca się szybko i spogląda na brata z rozdzierającym wyrazem szoku i poczucia zdrady na twarzy.

– Ty? – Nie dowierza. Jest w kompletnym szoku. I ja również.

Sin kiwa głową.

– Ale nie wiedziałem, że zaszła w ciążę, Dom...

Dominic przerywa, wypluwając z siebie ohydne słowa:

– Ty. Pierdolony. Nic niewarty. Śmieciu. Zawsze robiłeś wszystko, na co przyszła ci ochota... ale to? To jest, kurwa, niewybaczalne.

Sin podnosi się, wyglądając na dezorientowanego i wciąż zdumionego.

– Dom, ja... my... To był wypadek. Siedzieliśmy razem, upiliśmy się i to się stało. Nie powiedzieliśmy ci, bo nie chcieliśmy cię zranić. Nie wiedziałem, że zaszła w ciążę. Aż do dziś nie wiedziałem, aż do teraz. To nic dla nas nie znaczyło. To był... wypadek. Nic więcej – tak sądziłem. Nie miałem pojęcia, że... to stanowiło tego wynik. Byliśmy tylko dziećmi, Dominic.

– To żadne usprawiedliwienie – stwierdza Dom zimno, podchodząc bliżej. – Ty nie byłeś dzieckiem. Miałeś dziewiętnaście lat. Napalony bezwartościowy sukinsyn, który zerznął dziewczynę własnego brata. Emma i ja mieliśmy plany na całe życie, Sin. A ty to zniszczyłeś.

Sin unosi dłoń.

– Dom, uspokój się. To było dawno temu. Nie chciałem cię skrzywdzić. Sądziłem, że to rozejdzie się po kościach, że wyjedziecie na studia, a ty nigdy się nie dowiesz. Przykro mi. Jej też było przykro. Po wszystkim płakała.

Dom wpatruje się w niego, w jego spojrzeniu widać lód.

– I to ma mnie pocieszyć? Co mam niby zrobić z tą informacją?

Oczy Sina wypełniają się poczuciem winy.

– Dom, przysięgam na Boga, że nie wiedziałem, że mam cokolwiek wspólnego z jej śmiercią. Szczerze wierzyłem, że spiknęła się z Crisem i że nie mogłeś im tego wybaczyć. Tkwiący we mnie dupek był z tego faktu zadowolony, cieszył się, że możesz skupić gniew na nich i nigdy nie odkryć, co ja zrobiłem. Wyrzuciłem to z głowy i starałem się udawać, że nigdy się nie wydarzyło.

Dominic krzywi twarz w grymasie.

– A jednak się wydarzyło. Przeleciałeś Emmę. Przez cały ten czas myślałem, że mój najlepszy przyjaciel zerznął moją dziewczynę, że zrobił jej dziecko, a ja zmusiłem ją do aborcji. Sądziłem, że to ja popchnąłem ją do samobójstwa. Ale to od początku byłeś ty, Sin. To byłeś ty.

Wszyscy zatrzymują się w pół ruchu, wszyscy zamierają. I chociaż to, co się stało, tak naprawdę nie ma teraz znaczenia, bo i Emma, i dziecko nie żyją... to jednak na milion różnych sposobów ma znaczenie.

Dominic obwiniął się od tak dawna... Nosił w sobie poczucie winy, które być może powinno ciążyć

na kimś innym. To jeszcze tysiącrotnie pogarsza całą tę tragiczną sytuację. Odwracam się do niego.

– Dom – szepczę. – Będzie dobrze.

Spogląda na mnie, jego ciemne oczy są po brzegi wypełnione bólem, a potem znów patrzy na brata.

– Czyżby? Jestem prawie pewien, że nie będzie dobrze. Mój pieprzony brat, Jacey.

Zaczynam coś mówić, ale Dom rzuca mi spojrzenie.

– Wiem, że to ja naciskałem na nią w sprawie aborcji. Wiem o tym. Ale wtedy sądziłem, że zdradziła mnie z Crisem. Myślałem, że mogę jej wybaczyć. Ale gdybym wiedział, że dziecko jest Sina, nie potrafiłbym przejść nad tym do porządku dziennego. Gdybym wiedział, zostawiłbym ją. Bo tego za nic w świecie bym nie przebaczył.

Cris wpatruje się w nas z pobladłą twarzą.

– Sądziłeś, że pod koniec Emma powtarzała moje imię, ponieważ coś między nami było. Ale ona je wypowiadała, bo chciała, żebym powiedział ci prawdę. Sama nie potrafiła się na to zdobyć, ale chciała, byś wiedział. Zawsze kochałem ciebie i Sina jak braci, Dom. Nie chcę wbijać między was klina.

– To nie ty wbiłeś między nas klin – prycha Dominic gniewnie, odwracając się do Crisa plecami. – Zrobił to mój brat.

Robi krok do przodu, a następnie wymierza Sinowi cios prosto w usta. Sin upada, waląc się na podłogę pod siłą uderzenia. Kiedy podnosi wzrok na brata, z ust płynie mu krew.

– Dominic. Kocham cię. Nigdy nie chciałem cię zranić. Tak się stało, choć nie powinno.

Dom odwraca się, by spojrzeć na brata.

– Tak, masz rację. To nie powinno być się stać. Ale się stało.

A potem wychodzi, zostawiając nas gapiących się na siebie nawzajem.

Mam zamiar za nim ruszyć, ale Sin łapie mnie za ramię.

– Lepiej daj mu teraz trochę przestrzeni. Zaufaj mi.

Patrzę na niego.

– Zaufać ci? Zaufać kolesiowi, który nie potrafił utrzymać fiuta w gaciach?

Sin sprawia wrażenie zranionego, a ja odwracam wzrok.

– Przepraszam. Wiem, że też byłeś tylko dzieciakiem. To wszystko jest takie... tragiczne i okropne. Nie wiem, w jaki sposób pomożemy Dominicowi. Już zanim poznał prawdę, był tym przygnieciony. Nie wiem, jak teraz do niego dotrzemy. Naprawdę nie wiem.

Sin wręcza mi butelkę whisky, a ja pociągam długi łyk, ciesząc się ciepłem, które spływa w stronę brzucha.

– Powiedz mi jedno – zaczyna Sin z nagłym wyrazem oczu. – Czy wierzysz, że nie chciałem tego zrobić? Że nie chciałem skrzywdzić Dominica?

Wpatruję się w niego, w przystojnego rockmana, którego kocha cały świat, stojącego tuż przede mną i drżącego w oczekiwaniu na wyrok. Świat powinien zobaczyć go w tej chwili, myślę.

– Wierzę, że nie chciałeś go skrzywdzić – odpowiadam cicho. – Sam byłeś ledwie dzieciakiem. Miałeś, ile, dziewiętnaście lat? To była pomyłka. Niestety tragizm sytuacji wzrósł, bo Emma umarła. I ponieważ to wszystko jest tak popieprzone, to nie mam pojęcia, jak uzdrowimy Dominica.

Oddaję Sinowi butelkę.

– Będziesz tego potrzebował bardziej niż ja. Muszę znaleźć Doma.

Nie wiem, jak go uleczyć ani co mu powiem, by poczuł się lepiej, ale wiem, że muszę spróbować.

– On ucieka – stwierdza Sin schrypniętym głosem. – Daj mu trochę czasu na ochłonięcie, a potem spotkaj się z nim u niego w domu. Możesz skorzystać z mojego odrzutowca.

Niepewnie stoję pod drzwiami Dominica. Lot do Kalifornii trwał kilka godzin i każda z nich zdawała się nie do zniesienia, bo nie mogłam się z nim skontaktować.

Ale wiem, że tu jest.

W sercu przeczuwam, że wycofał się tutaj, do swej cichej kryjówki. Wiem to, bo Sin zadzwonił do prywatnego hangaru, by zapytać, czy Dom korzystał z samolotu i dokąd się udał. Wiem to, bo jego porsche stoi przed budynkiem, a maska jest ciepła.

Jest tutaj.

Ale nie podchodzi do drzwi. Na szczęście kiedy naciskam klamkę, te otwierają się szeroko. Nie zamknął na klucz.

– Dominic! – wołam, wchodząc do środka. Moje obcasy stukają na kamiennych płytkach podłogi. Bez odzewu. Ruszam dalej, wyglądając na zewnątrz, by sprawdzić, czy tam go nie ma, ale nie. Przemierzam salon, jadalnię, wszystkie pomieszczenia na parterze.

Gdy docieram do schodów, słyszę jakiś odgłos dobiegający z góry.

Krok po kroku zbliżam się do tego dźwięku, który okazuje się mową.

Odzywa się kobiecy głos.

Oddech zamiera mi na wargach, kiedy rozróżniam słowa, wypowiedane raz po raz, gdy Dominic zatrzymuje nagranie, przewija i puszcza od nowa.

„Kocham cię, Dom. Nie znienawidź mnie”.

„Kocham cię, Dom. Nie znienawidź mnie”.

„Kocham cię, Dom. Nie znienawidź mnie”.

Z wahaniem staję w drzwiach jego sypialni i zastaję go siedzącego na otomanie przed telewizorem ze wzrokiem utkwionym w ekranie. Koperta od Emmy, teraz otwarta, leży obok niego, porwana na kawałki. W odtwarzaczu tkwi płyta DVD.

Twarz Dominica jest zamknięta, ściągnięta, chłodna.

Nie podnosi na mnie spojrzenia, lecz wie, że tu jestem.

– Zrobiłem to, wiesz. Znienawidziłem ją. Przez całe lata kochałem ją i nienawidziłem. Ale ponieważ ona odeszła, skoncentrowałem swą nienawiść na Crisie. I nigdy, nigdy bym nie pomyślał, że powinienem koncentrować ją na Sinie. Nienawidzę jej, Jacey. Wiedziała, że się zabije. Zaplanowała to i nagrała tę pierdoloną płytę w ramach przeprosin. Zostawiła ją u mnie w aucie. Znalazłem kopertę dopiero w dzień po jej śmierci. Nigdy jej nie otworzyłem, bo nie chciałem wiedzieć, co miała do powiedzenia.

Głos ma lodowato zimny, tak samo zimny jak w jego mniemaniu zimne jest jego serce. A to sprawia, że moje serce pęka.

– Dom – zaczynam, ruszając spieszenie w jego stronę. Upadam przed nim na kolana, chwytam jego dłonie. Pozwala mi je trzymać, ale nie odwzajemnia uścisku. Są tak samo zimne jak jego głos. – Dom, nienawiść do niej to nic złego. Wiem, że część ciebie tak właśnie czuje. Ale inna część ją kocha i w tym też nie ma nic złego. To popieprzona sytuacja. Naprawdę. I przez wiele lat odczuwałeś jej ciężar na swoich barkach. Nic dziwnego, że i ty czujesz się popieprzony.

Wbija we mnie spojrzenie swych ogromnie ciemnych oczu.

– To ma mi niby pomóc?

Ignoruję jego lodowaty ton.

– Myślę, że ta sprawa stała się takim koszmarem po części ze względu na związane z nią tajemnice. Czuję, że nie możesz o tym mówić. Ale teraz wszystkie sekrety ujrzały światło dzienne i wszyscy o nich wiedzą. Aby z czymś sobie poradzić, musisz stawić temu czoła. I teraz, gdy wiesz, z czym masz do czynienia, będzie o wiele, wiele łatwiej.

– Nie chcę tego wiedzieć – oznajmia Dominic mdło, wyłączając telewizor. Twarz Emmy znika, zastępuje ją czarny ekran. – Chcę zapomnieć, że cokolwiek z tego kiedykolwiek się wydarzyło. Nie chcę nawet patrzeć na Sina. Minie sporo czasu, nim będę w stanie to zrobić.

Patrzę na niego z bólem serca.

– Rozumiem – zapewniam. – Chęć pogrzebania tego i próba wyparcia z myśli to naturalna reakcja. Ale

nie wydaje mi się, by było to najzdrowsze wyjście ani nawet, by to było możliwe. I Dom. Tylko tak, żebyś wiedział: Sin potwornie się tym gryzie. Był tylko dzieciakiem, jak ty, i przez cały ten czas nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swoich czynów.

Dominic zamyka oczy.

– Proszę, tylko nie wspominaj mi teraz o Sinie. Jestem w tej chwili wściekły na cały świat, Jacey. Nie jestem pewien, czy powinnaś tu ze mną siedzieć. Chyba powinienem zostać sam. Nie nadaję się do towarzystwa.

– Zdziwiłabym się, gdybyś się nadawał – mówię szczerze. – Ale nigdzie się nie wybieram. Nie zostawię cię samego. Pójdę na dół i posiedzę sobie sama. I jeśli najdzie cię ochota, by z kimś pogadać – a nawet, by odreagować i wyrzeshczyć to wszystko – przyjdź do mnie.

Dominic kiwa powoli głową.

– Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłem.

– Samym istnieniem – odpowiadam szczerze. – Istniejesz, a ja cię kocham. Całego. Wszystkie potwory, całą nienawiść i brzydotę. A także dobroć, szczerść i tę osobę, którą, jak wiem, w głębi duszy jesteś.

Dominic zamyka oczy, a ja wyślizguję się z pokoju.

Rozdział 30

DOMINIC

Siedzę tak przez dość długi czas, lecz w końcu pokój jakby się wokół mnie zacieśnia, ciemny i cichy. Ściany się zapadają, a ja zamachuję się na nie, wybijając dziurę w gipsowej ścianie. Ale to nie wystarcza. Zerkam w lustro i widok własnej wyniszczzonej twarzy przepęlnia mnie nienawiścią, więc chwytam ciężki kamienny wazon i rzucam nim w lustro. Roztrzaskuje się i rozsypuje po podłodze.

Już po chwili w drzwiach zjawia się Jacey, pełna wahania i piękna.

– Wszystko w porządku? – pyta, patrząc na rozbite szkło.

Wbijam w nią twarde spojrzenie.

– Nie.

Robi krok w moją stronę, ale ja ją powstrzymuję.

– Nie – ostrzegam. – Nie wchodź. Tu jest wstrętne, Jacey.

– Chcę pomóc – odpowiada miękko. – Powiedz mi, jak mogę ci pomóc, Dom.

Potrząsam głową, wciąż się w nią wpatrując. Na powierzchnię z bulgotem wypływają wszystkie uczucia, które tak długo w sobie tłumilem, zmieszane z nowymi, wywołanymi zdradą Sina, i czuję, że mnie pochłaniają. Pochłania mnie ohyda tego wszystkiego.

– Chcesz pomóc? – pytam przez zaciśnięte zęby, stawiając krok w jej kierunku. – Świetnie. Choć mi pomóż, Jacey.

Nie widzę jej. Nie tak naprawdę. Dostrzegam jej jasne włosy, jej dobroć, jej niewinność i swój ból. Dostrzegam wiele bólu. A ból napędza mój gniew.

Jacey chętnie wchodzi do pokoju, zbliża się do mnie.

– No już – zachęca cicho, jakby wiedziała, co chcę zrobić. Jakby wiedziała, czego potrzebuję, by pozbyć się tego przeklętego bólu.

Chwytam ją za ramię, mocno, popycham na łóżko i pochylam się nad nią.

– Mówiłem ci, żebyś się ze mną nie wiązała – warczę. – Mówiłem ci. Ostrzegałem cię. Powinnaś mnie była posłuchać.

Jacey spogląda na mnie bez strachu, ja zaś łapię ją za włosy na karku i przyciągam do siebie, aby pocałować ją gwałtownie. Nie ma w tym pocałunku śladu czułości. Jest jedynie brzydota. Szorstkość. Nienawiść i cierpienie.

Odpowiada na pocałunek, z gniewem, drapie mnie zębami.

– Świetnie. Chcesz się na mnie wyżyć? Wyżyj się na mnie, Dom. No już. Zrób to. Wyżyj się we mnie, jeśli tego potrzebujesz. Zniosę to.

Jej ciemne oczy rzucają mi wyzwanie i nagle ona też się wścieka.

– Używasz tej mroczności, tej szorstkości jako maski, Dom – oznajmia, jej brązowe oczy krzeszą skry. – Całymi latami tkwiłeś na granicy tabu, robiąc rzeczy, do których większość ludzi się nie posuwa, ponieważ wydawało ci się, że na to właśnie zasługujesz. I niesłusznie uwierzyłeś, że naprawdę to lubisz.

– Och, ja to lubię – odpowiadam stanowczo, przyciągając ją brutalnie do siebie i gryząc w szyję. Moje zęby pozostawiają czerwony ślad. – Niech ci się nie zdaje, że nie. Lubię ostro. Lubię ból, Jacey.

Podnoszę ją i rzucam na ścianę, przygważdżając ją i przyciskając biodra do jej bioder, patrząc jej w oczy.

– Wierz mi, robię to, bo tego chcę. Nie dlatego, że coś sobie ubzdurałem.

Unoszę jej uda i znów uderzam nią o ścianę, nie za mocno, lecz wystarczająco mocno, by dowieść prawdziwości swych słów. Mój kutas jest teraz twardy jak skała, napędzany złością oraz dotykiem jej szparki, do której się przyciska.

– Lubisz ból, bo pozwala ci zapomnieć o tym, co naprawdę cię boli, Dominic – mówi Jacey cicho. – To właśnie w tym lubisz.

Ale całuje mnie, a jej usta są miękkie i słodkie, przez co podbrzusze ściska mi się mimo woli, mimo całego dobra, które jeszcze w sobie mam.

– Nie chcesz teraz ze mną być – ostrzegam ją. – Uwierz mi.

Jacey spogląda mi w oczy.

– Nie mów mi, czego chcę – nakazuje spokojnie. – Cokolwiek dla mnie masz, zniosę to.

Szamocząc się z džinsami, wyciągam kutasa, podciągam jej spódniczkę i wbijam się w nią mocno, bez uprzedzenia, bez gry wstępnej. Jej oczy otwierają się szerzej, lecz przyjmuje to bez choćby jęku czy westchnienia.

Przygważdżam ją do ściany, jedną ręką trzymając jej nadgarstki nad głową, ściskając je mocno.

– Nadal chcesz to znosić? – warczę prosto w jej usta.

Kiwa głową, a jej oczy, co zaskakujące, szklą się... pożądaniem.

– Pieprz mnie – żąda bez tchu, podczas gdy ja raz po raz na nią napieram. – Zniosę to. Chcę tego.

A więc tak właśnie robię.

Pieprzę ją mocno, pieprzę ją, wbijając ją w ścianę, miażdżąc o nią jej plecy, dając ujście tkwiącej we mnie ohydzie. Ale gdy w końcu otwieram oczy, jej własne patrzą prosto na mnie.

I są brązowe. Nie niebieskie.

To Jacey, nie Emma.

I cała ta wściekłość, którą czuję, nie jest skierowana przeciwko niej. Ból, który czuję... to nie jej wina.

Zamieram, gdy spływa na mnie to objawienie. Zdaję sobie sprawę, że Jacey miała rację. Lubię ból, ponieważ to sposób na wyrażenie tego, co naprawdę czuję. Tak odreagowuję. A nie chcę odreagowywać na Jacey.

Odsuwam ją od ściany i niosę do łóżka.

– Przepraszam – szepczę gwałtownie, kolanem rozsuwając jej nogi. Bez sprzeciwu pozwala im się rozchylić, a ja się w nią wślizguję, tym razem delikatnie. – Przepraszam, Jacey.

Zamyka oczy i przyciąga mnie do siebie, układając sobie moją głowę w zagłębieniu ramienia. Wypełniająca pokój energia przekształciła się z frenetycznej w spokojną, z brutalnej w łagodną.

Dochodzę niespiesznie, w ciszy, wsiąkając w nią, trzymając ją blisko.

Niszczę każdego, kogo dotknę.

Jej nie mogę zniszczyć.

Rozdział 31

JACEY

Dominic może nie chcieć tego przyznać, ale ja czułam, jak w każdej chwili pęka mu serce.

Leżę w ciszy i patrzę na niego; mija sporo czasu, nim otworzy oczy. Kiedy to robi, maluje się w nich poczucie winy.

– Przepraszam – mówi prosto. – Tak mi przykro, Jacey. Byłem... zły. Na cały świat, na Sina, na Emmę, na ciebie za to, że miałaś rację. Miałaś rację. Podnieca mnie przyglądanie się, jak inni ludzie uprawiają seks, ponieważ mogę to robić, nie angażując się. Lubię ból podczas seksu, bo odwraca on moją uwagę od tego, co naprawdę sprawia mi ból. I to nie ty. Ty nie sprawiasz mi bólu. Nie mam prawa zrzucić na ciebie odpowiedzialności za coś, czego nie zrobiłaś. Przepraszam.

Serce mi się ściska.

– Wiem – odpowiadam miękko. – Wiem.

I mówię prawdę. Wiem, jak to jest – być tak przytłoczonym przez emocje, że nie da się myśleć jasno. Czułam się tak owego dnia, gdy Jared wywrócił mój świat do góry nogami.

Zwijam się w kłębek przy boku Dominica, a on trzyma mnie w ramionach, przywartą do niego.

– Jak myślisz, gdzie ona jest? – zastanawia się na głos po chwili, wyglądając przez okno. – Czasem się tym martwię.

Głaszczę go po ramieniu, wiedząc, że chodzi mu o Emmę.

– Nie wiem. Zadawałam sobie to samo pytanie odnośnie do ludzi, których ja kocham. Lubię myśleć, że są w lepszym miejscu. Że są gdzieś, gdzie nie istnieją już łzy i cierpienie.

– W takim razie mają tam lepiej niż my tu – stwierdza Dominic ze zmęczeniem.

– Możemy mieć taką nadzieję – przyznaję. – Śmierć dotknie w końcu nas wszystkich, Dom. Od nas zależy, jak sobie z tym poradzimy. To trudne, wiem.

Leży bez ruchu, a ja chwytam go za rękę. Pozwala na to, lecz widzę, że sam nie wkłada w ten gest serca. Palce ma zimne, oczy bez wyrazu.

Po paru kolejnych minutach odwracam się do niego, desperacko pragnąc mu uświadomić, że jest nadzieja. Sądziłam, że po takim gniewnym seksie poczuje się trochę lepiej, że było to ujście dla jego wściekłości. I było.

Ale teraz sprawia jedynie wrażenie pozbawionego nadziei.

– Dominic, wiem, że jesteś wkurzony na cały świat. Ale przebrniemy przez ten etap. Zobaczysz, że możesz ufać ludziom, których kochasz. Czasami podejmują złe decyzje, ale wszyscy to robimy. Taka już ludzka natura. Przebrniemy przez to.

– Cris przez cały ten czas wiedział, do cholery – rzuca Dominic, wbijając we mnie mroczne spojrzenie. – Mógł mi powiedzieć już lata temu. Mimo że nie chciałem z nim gadać, mógł znaleźć jakiś sposób.

Kiwam głową.

– Wiem. Nie rozegrał tego dobrze. Ale on też czuje się okropnie. Nie wiedział, co ma zrobić. I rozegrał to kiepsko. Tak jak ty. Kochał was obu, ciebie i Sina, tak bardzo, że poświęcił swą przyjaźń z

tobą, by uratować twoją relację z bratem. Uważam, że to wiele mówi. I jeśli to choć trochę cię pocieszy, rozstali się z Fioną. Wkurzyła się, że nikomu nie powiedziała.

Dominic kiwa głową, odwracając się w stronę okna, odwracając się ode mnie. Mam wrażenie, że emocje tego dnia są po prostu zbyt przytłaczające, by mógł dać im w tej chwili radę.

Rozumiem, jakie to uczucie. Sama czuję się podobnie.

Oplatam go ramionami i przyciskam twarz do jego pleców, pozwalając swoim zmęczonym oczom się zamknąć; zdaje mi się, że ciężar świata spoczywa na moich powiekach.

Cisza wciąż narasta, aż w końcu Dominic zasypia. Zostaję z nim bardzo długo, obejmując go ciasno. Jeśli ktokolwiek zasługuje na zapomnienie, jakie przynosi sen, to właśnie on.

Budzi się tylko raz, po tym, jak dostarczono mi chińszczyznę. Pozostaje na jawie wystarczająco długo, by zjeść razem ze mną oraz zasugerować, żebym położyła się w pokoju gościnnym, co pozwoli mi nieco wypocząć.

– Ja będę się wiercił i przewracał z boku na boku – oznajmia kwaśno. – A ty wykazałaś się już dzisiaj wystarczającą cierpliwością względem mnie. Zasługujesz na przerwę.

Nie chcę przerwy, ale nie spieram się z nim.

Dominic wślizguje się z powrotem do swej pogrążonej w półmroku sypialni, a ja zamykam drzwi pokoju gościnnego. Skoro pragnie samotności, pozwolę mu jej zażyć.

Niech ma, czego tylko mu trzeba, by jakoś to wszystko przetworzyć.

Rozdział 32

DOMINIC

Próbuję spać.

Ale, o dziwo, po latach poszukiwania samotności, jest ona ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnę. I nie chcę tylko czyjegokolwiek towarzystwa... Chcę Jacey.

Spoglądam na zegar. Druga siedemnaście. Zamykam zmęczone oczy, zaciskając powieki, potem znów je otwieram, odrzucam okrycia i wstaję z łóżka. Człapię do pokoju Jacey.

Śpi spokojnie, z podbródkiem opartym na zwiniętej dłoni. Gdy wdrapuję się do łóżka obok niej, powieki jej drgają, a kiedy obejmuję ją ramionami, odwraca się i wtula we mnie.

Ogarnia mnie jej ciepło, wsiąkając w chłód, który od tak dawna mnie otacza.

– Dziękuję, że jesteś dla mnie taka dobra – szepczę. Za żadne skarby świata nie potrafię pojąć, dlaczego to robi. Niczym sobie na to nie zasłużyłem.

Wzdycha sennie i nie odpowiada. Jej dłonie muskają moją pierś, zsuwając się ku talii. To wystarczająca odpowiedź, a ja – tak po prostu, pod dotykiem opuszków jej palców – nagle jej pragnę.

Unosi biodra, a ja ściągam z niej bieliznę. Jej usta spotykają się z moimi, sennie, gorąco. A potem wślizguję się w nią.

Otacza mnie jej ciepło i jęczę, odrzucając głowę w tył, zatracając się w doznaniach... w niej.

Na plecach czuję jej dłonie, jej paznokcie. Słyszę jej pojękiwania, jej oddech. Czuję, jak świat eksploduje, a następnie opadam na nią bezwładnie, przetaczając się na bok, by jej nie przygnieść.

Potem śpimy.

Gdy się budzę, do sypialni wlewa się światło, a ja rozglądam się nieprzytomnie wkoło, próbując ustalić, co wyrwało mnie ze snu. Moja komórka znów wibruje.

Moja komórka.

Chwytam ją i skupiam na niej wzrok, znajdując wiadomość od Sina.

„Jesteś moim bratem i nie ma w moim życiu nic ważniejszego. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Przykro mi, że spieprzyłem”.

Odkładam telefon i zamykam oczy.

Rozdział 33

JACEY

Kończę rozmawiać z Joem, uśmiechając się na myśl o tym, na jakiego twardziela zawsze stara się pozować, a jak miękkie ma w rzeczywistości serce.

Wy tłumaczyłam, w niekonkretnych słowach, naszą sytuację, a on oznajmił, że nie musimy zjawiać się w pracy przed poniedziałkiem. W ogóle mu to nie przeszkadzało. Nie narazimy się na żadne kłopoty. To spora ulga, bo to ostatnia rzecz, jakiej nam jeszcze do tego wszystkiego trzeba.

Na palcach wracam do sypialni i patrzę na Dominica.

We śnie wygląda spokojnie. Gdy śpi, nic nie może go zranić i właśnie dlatego pozwoliłam mu spać przez całe dwa dni z rzędu. To prawie tak, jakby jego ciało potrzebowało tego, by przetrwać emocjonalny szok, jakiego doświadczył w ciągu ostatnich kilku dni.

Nocą wsuwam się do łóżka, a on obejmuje mnie ramionami i trzyma blisko. W ciągu dnia wstaję, lecz co jakiś czas do niego zaglądam. Kilkakrotnie obudził się, by napić się wody, ale nic więcej.

Kiedy tak nad nim stoję, odczuwam przemożną potrzebę, aby go chronić przed wszystkim, co mogłoby go skrzywdzić.

Właśnie dlatego, gdy w parę godzin później na progu staje Sin, waham się, czy go wpuścić.

– Wiem, że jest ci przykro – oświadczam z wahaniem. – Wiem o tym. Ale on jest w rozsypce, Sin. Śpi od dwóch dni. Nie sądzę, żeby był już gotowy na rozmowę z tobą.

Wpatruje się we mnie tym swoim ponurym spojrzeniem rockmana.

– Wiesz, miałem rację, gdy mówiłem, że jesteś dla Dominica dobra. Nieprawda?

Przełykam ślinę.

– Tak. I gdyby to zależało ode mnie, zaprosiłabym cię do środka i mógłbyś pogadać z Domem. Ale...

– W porządku. – Zza moich pleców rozlega się głos Dominica. – Niech wejdzie.

Odwracam się, by ujrzeć Doma siedzącego na najniższym stopniu schodów, wlepiającego wzrok w brata. Włosy ma rozwichrzone, ale nie licząc tego szczegółu, wcale nie da się poznać, że przespał dwa dni.

– Wszystko dobrze? – pytam cicho. Zerka na mnie, a w jego oczach dostrzegam coś mocarnego... coś potężnego i błyszczącego.

On mnie kocha. Nie powiedział tego, ale wiem, że to prawda. Przełykam ślinę, gdy Dom potwierdza skinięciem.

– Tak. W porządku, skarbie. – Zerka na brata. – Ignorowałem twoje wiadomości nie bez powodu, Sin. Nie chciałem z tobą rozmawiać.

Sin przełyka ślinę, a potem kiwa głową.

– Domyśliłem się. Ale odpowiedź odmowną przyjmuję z taką samą łatwością jak i ty. Dom, te paskudne rzeczy wydarzyły się sześć lat temu. Pomyśl o wszystkim, co działo się w ciągu tych sześciu lat. A teraz pomyśl, kto był przy tobie przez cały ten czas. Ja. Przysięgam na własne życie, że już nigdy tak nie nawalę.

Dom wzdycha, pocierając twarz, a potem spogląda w górę na brata.

– Wiem. Wiem, Sin.

Wypuszczam powietrze, bo dotąd wstrzymywałam oddech, a Sin gapi się na niego.

– Wiesz?

Dom przytakuje skinięciem.

– Tak. Wiem. Nadal jestem na ciebie wściekły, ale wiem.

Sin przypatruje mu się z wahaniem.

– Kiedy mówisz, że „wiesz”, co dokładnie masz na myśli?

Dominic wzdycha.

– Wiem, że to była tylko jedna noc. Oboje byliście pijani i nie myśleliście jasno. Miałeś dziewiętnaście lat i myślałeś fiutem. Nie wiedziałeś, że zaszła w ciążę. Nie wiedziałeś, że zmusiłem ją do przeprowadzenia aborcji. Nic w tym temacie nie wiedziałeś. Zrobił się z tego ogromny, zdrowo pieprznęty burdel, ale nie mogę już dłużej tym żyć. Poradzę sobie z tym. Na razie jeszcze sobie nie poradziłem, ale to zrobię.

– Naprawdę? – W głosie Sina pobrzmiwa nadzieja, ale i podenerwowanie. Dom kiwa głową.

– Taaak. Kiedyś, w końcu. Nie wierzę, że naprawdę to, do cholery, zrobiłeś, ale postaram się przejść nad tym do porządku dziennego. Jesteśmy braćmi i wiem, że teraz nigdy byś tego nie powtórzył. Prawda?

Sin natychmiast potrząsa głową.

– Jasne, że nie. Dorosłem, Dom. Nigdy nie próbowałbym odebrać ci tego, co twoje. Wtedy też nie próbowałem ci odebrać tego, co twoje, byłem tylko zbyt młody i zbyt głupi, by zapanować nad hormonami. Nie popełnię tego samego błędu po raz drugi.

Sin podciąga Doma na nogi i bierze go w ramiona. Trzyma się go niemal kurczowo, gdy szepcze wprost w jego włosy:

– Nie wiedziałem, stary. Przysięgam na Boga, że nie miałem pojęcia, że ponoszę winę za twoje późniejsze problemy. Przysięgam na Boga. Gdybym wiedział, powiedziałbym ci dawno temu.

Dom przez chwilę nie reaguje, ale później obejmuje brata, również go ściskając. Jest pełen rezerwy, lecz mimo to go przytula. To już coś.

– Przepraszam, stary – powtarza Sin, a ja słyszę szczyry smutek w jego głosie. – Wiesz, że kochałem Emmę... ale nie w ten sposób. Tamta noc to był jedynie błąd. Żadne z nas tego nie chciało.

– Wiem. – Dominic przytakuje skinieniem głowy. – Wiem.

Po jego twarzy poznaję, że nie blefuje. Naprawdę o tym wie. A to ogromny postęp w stosunku do tego Dominica, którego oglądałam dwa dni temu. Kiedy ruszamy w stronę werandy, zwracam się do niego:

– Chyba porządnie się wyspałeś.

Uśmiecha się leciutko.

– Nie wydaje mi się, że bym przespał całą noc od śmierci Emmy. Więc tak. Dobrze mi to zrobiło. Myślę teraz trzeźwiej.

Sin zatrzymuje się i odwraca do Doma, w jego ciemnoniebieskich oczach widnieje niepewność.

– Dom. Nie przyjechałem sam. W aucie czeka Cris. Jest w kiepskim stanie. Porozmawiasz z nim?

Zamieram, przyglądając się Domowi. Wie, że Cris usiłował chronić jego relację z Sinem, ale wiedzieć a wiedzieć to dwie różne rzeczy, ponieważ Dom zdaje też sobie sprawę, że Cris mógł przerwać milczenie już lata temu.

– Dobra – wzdycha Dom. – Kiedyś i tak będę musiał. Równie dobrze może to być dzisiaj.

Oddycham z ulgą, gdy tak stoimy z Sinem i patrzymy, jak okrąża ścianę budynku i kieruje się ku samochodowi. Po chwili dostrzegamy ich przez okna, jak siedzą przy kuchennym stole i rozmawiają od serca.

– Myślisz, że będzie dobrze? – pytam Sina nerwowo. Zerka na nich, nachylonych ku sobie, pochłoniętych rozmową.

– No cóż, póki co nie poląła się krew, to dobry znak.

Przewracam oczami.

– Och, bardzo pomocne.

Siedzą tam przez czas, który zdaje się wiecznością, a kiedy wreszcie wychodzą, obaj milczą.

– Musimy coś zrobić – oznajmia mi Dom, a głos ma poważny i mroczny. – Wszyscy musimy coś zrobić, by ostatecznie zamknąć tę sprawę. Ale do tego musimy wrócić do domu.

W przeciągu godziny znajdujemy się na pokładzie odrzutowca.

Rozdział 34

DOMINIC

Twarze wpatrujących się we mnie osób zgromadzonych wokół stołu w jadalni moich rodziców wyrażają tysiące emocji. Smutek, złość, dezorientację, żal, poczucie winy.

Moi rodzice, Fiona, Duncan, Cris, rodzice Emmy oraz oczywiście Sin i Jacey, wszyscy zebrali się tu, abyśmy mogli porozmawiać o tym, co spotkało Emmę. O tym, co zrobiłem ja, co zrobiła Emma, co zrobili Emma z Sinem. Nie jest to łatwa dyskusja, ale należy ją odbyć.

To, co Jacey powiedziała kiedyś o rodzicach Emmy, o tym, że potrzebują rozliczenia z przeszłością, okazuje się prawdą. Choć z niechęcią słuchali o wydarzeniach, w których brał udział Sin i ja, o aborcji swej córki, to przynajmniej teraz już wiedzą.

Znają powód jej samobójstwa, sensowne wyjaśnienie.

– Więc możecie winić mnie – oświadczam na koniec cicho. – Emma i Sin się pośliznęli, ale byli tylko dziećmi. To ja skłoniłem ją do przeprowadzenia aborcji. Wina spada na moje barki.

Pan Brandt mocno zaciska dłonie, tak mocno, że palce mu bieleją. Ale nic nie mówi. Tylko gapi się w stół.

Pani Brandt spogląda na mnie jasnoniebieskimi oczyma Emmy, które wypełniły się łzami. Walczę z ochotą, by odwrócić wzrok, lecz udaje mi się wytrzymać jej spojrzenie. Spodziewałem się, że dojrzę w nim nienawiść, ale wcale jej tam nie ma.

– Dominic, to nie twoja wina. To tragedia, z którą po prostu musisz się pogodzić. Musisz.

Po raz milionowy w tym miesiącu w gardle tworzy mi się gęsia skórka, więc z trudem przełykam ślinę.

– Pomyśleliśmy po prostu, że powinni państwo wiedzieć – mówię cicho. – Prawda zawsze jest niezbędnym czynnikiem, gdy naprawdę chce się zamknąć jakąś sprawę. Nauczyła mnie tego pewna mądra osoba.

Ściskam dłoń Jacey pod stołem.

Wszyscy rozmawiają po cichu z innymi i choć jest niezręcznie, jakaś część mnie odczuwa ulgę. Jacey miała rację. Z pewnymi sprawami łatwiej sobie poradzić, gdy już ujrzą światło dzienne. Słuchając przyciszonych głosów, wyłączam się i wyglądam za okno.

W dole, nad stawem, z drzewa zwiesza się drewniany domek, wyblakły i stary. Na sam jego widok ściska mi się serce, myślę o całym tym czasie, który spędziłem tam z Emmą. I o tym, co zrobiła w nim z Sinem. Przełykam z trudem i unoszę wzrok, by przekonać się, że przygląda mi się ojciec.

– Dom, chodź ze mną na chwilę. Chcę ci coś pokazać.

Wyprowadza mnie z domu, do szopy, a ja wpatruję się w niego zdezorientowany, gdy wręcza mi wielki młot.

– Chcesz mi pokazać młotek? – Unoszę brew.

– Czy nie mówiłeś, że Sin i Emma... że byli wtedy właśnie w tym starym domku na drzewie? – pyta tata cicho.

Kiwam głową.

– To pięknie, że Sin przeprosił. I obaj wiemy, że nigdy nie chciał cię zranić tak, jak cię zranił. I znowu:

wszystko pięknie. Ale póki ten domek tam tkwi, będzie ci przypominał o tym, co zaszło. Będzie ci przypominał o wszelkiego rodzaju nieprzyjemnych kwestiach. Idź go rozebrać, synu. Rozbierz go, a już nigdy nie będziesz musiał na niego patrzeć.

Wlepiam w niego spojrzenie, trzymając w dłoniach ciężki młot, i wiem, że ma rację. Rozwalenie tego starego paskudztwa sprawi, że poczuje się lepiej.

Ruszam w stronę stawu i wspinam się na rozchwianą starą drabinkę biegnącą wzdłuż pnia. Za pierwszym uderzeniem wybijam dziurę w dachu. Trzy kolejne zamachnięcia i dach kompletnie się zawala. W jego ślad idą ściany. Potem podłoga.

Do tego czasu ramiona mi płoną, bicepsy bolą. Ale nie przestaję machać młotem. Bo tata miał rację. Nie rozwalam jedynie domku na drzewie. Rozwalam wspomnienie. Nie przestaję, aż nie roztrzaskam go na milion kawałeczków; oderwałem nawet drabinkę od pnia.

Kiedy kończę, domek zniknął.

Każda deska, każde złe wspomnienie leży przede mną w postaci sterty drzazg. Już nigdy nie będę musiał na nie patrzeć.

Nie wiem, dlaczego poprawia mi to samopoczucie, ale tak się dzieje. Skoro domku już nie ma, pamięć również może zacząć blednąć. Nie będę udawał, że to nigdy się nie wydarzyło, ale wspomnienia nie będą przynajmniej tak potężne, tak żywe. Nie będą mieć nade mną takiej samej władzy.

Odwracam się, by wrócić do domu i wtedy zauważam Jacey siedzącą na brzegu stawu z nogami podciągniętymi pod siebie. Przygląda mi się z zaniepokojeniem.

– Wszystko u ciebie w porządku? – pyta, gdy podchodzę bliżej. Kiwam głową.

– Tak. Mogę to powiedzieć po raz pierwszy od dłuższego czasu... o ile załatwię jeszcze jedną rzecz. – Podnoszę ją na nogi i pociągam za sobą do szopy.

Stara nova stoi w tylnym rogu, przykryta plandeką. Ściągam ją i wlepiam wzrok w samochód. Ma teraz parę zarysowań więcej niż dawniej, a na przedniej szybie widnieje pęknięcie, ale sam jego widok przywołuje tysiące wspomnień.

– W tym wozie straciłem dziewictwo – oznajmiam Jacey. – I Emma, i ja przeżyliśmy w nim nasz pierwszy pocałunek. Za dużo informacji jak na twój gust?

Jacey wygląda na nieco zbolaną, ale potrząsa głową.

– Wybraliśmy się nim na tysiące randek. Nim też pojechałem do jej domu tamtej nocy... tej ostatniej nocy. Tata musiał wymienić wycieraczki podłogowe, bo zostało na nich tyle krwi z moich butów. Szczerze mówiąc, nie mogę zdzierżyć jego widoku. Pojedziesz ze mną?

Jacey nie pyta nawet dokąd, kiwa tylko głową i zajmuje miejsce na zakurzonej foteli pasażera.

Przekręcam kluczyk i cudownym zrzędzeniem losu okazuje się, że akumulator jest wystarczająco naładowany, by silnik ruszył. Z głośników płynie *Brown Eyed Girl*, znajome słowa wypełniają mi uszy.

– Musiałem słyszeć tę piosenkę milion razy – stwierdzam, kierując stary samochód w stronę stawu. – Jeśli mam być szczery, już nią rzygam.

Gdy docieramy nad brzeg wody, wyciągam z kieszeni naszyjnik Emmy, kamień w moich palcach jest chłodny.

Zamykając oczy, przywołuję obraz z czasów, gdy go nosiła, tego, jak leżał na jej piersi. Jak idealnie odpowiadał kolorem barwie jej oczu.

Unoszę powieki i wieszam go na lusterku wstecznym.

A potem chwytam dźwignię zmiany biegów i wrzucam luz.

– Pomożesz mi popchnąć? – Spoglądam na Jacey, a jej oczy otwierają się szeroko w zdumieniu, ale kiwa głową.

Razem wpychamy stary, wypełniony wspomnieniami samochód do jeziora.

Wydaje się to odpowiednie. Stoimy i patrzymy, jak tonie, wokół niego bulgoczą bańki powietrza, aż wcale go już nie widać. Wyobrażam sobie, jak opada na samo dno, gdzie zostanie na zawsze.

Jacey patrzy na mnie.

– Twój tata nie będzie zły? To był klasyk.

Uśmiecham się lekko.

– Neeee. Kupię mu inny. Z działającym odtwarzaczem.

Choć stare auto zniknęło, pogrążając się w toni, przysięgam, że wciąż słyszę tę piosenkę. *Czy pamiętasz, jak śpiewaliśmy... sza-la-la-la-la-la-la-la-la-te-da...*

Kiedy odwracam się przez ramię, staw sprawia wrażenie cichego i niesamowitego, na środku tworzą się ostatnie bąbelki stanowiące jedyny dowód na to, że stał się wodnym grobem moich wspomnień.

– Żegnaj, Emmo – mamroczę.

Jacey ściska mnie za rękę i ruszamy w stronę domu. Gdy idziemy krętą starą ścieżką, zatrzymuję się, patrząc w brązowe oczy Jacey, oczy, które zawierają w sobie tyle ciepła i dobroci.

– Kocham cię – mruczę, w końcu będąc w stanie wykrzusić te słowa. – Myślę, że wiem to już od dłuższego czasu. Przepraszam, że tyle mi zajęło powiedzenie tego. Cholera, tak bardzo cię kocham.

Uśmiecha się promiennym, białym uśmiechem.

– Liczy się tylko to, że mówisz to teraz – stwierdza łagodnie. – Ja też cię kocham. Kocham cię ogromnie. Wiesz o tym, prawda?

Wiem.

– Chcę, żebyś wiedziała, że chociaż Emma stanowi tak dużą część mojej przeszłości, to ty jesteś moją przyszłością. Ty jesteś moją teraźniejszością. Jesteś wszystkim, Jacey. Muszę mieć pewność, że o tym wiesz. Kocham cię ponad wszystko, ponad życie.

– Wiem – szepcze miękko, a po delikatnym wyrazie jej twarzy poznaję, iż mówi szczerze.

Przyciągam ją do siebie i całuję, dogłębnie i słodko, z nutką dzikości. Na takie właśnie pocałunki zasługuje... taka właśnie jest. Słodka, z nutką dzikości.

Nie ma w niej ani śladu brzydoty.

Rozdział 35

JACEY

Miesiąc później

Podekscytowany głos mojego brata odbija się głośnym echem w mojej głowie, aż muszę nieco odsunąć telefon od ucha.

– Elijah Gabriel Vincent. Waży trzy kilo siedemset i jest piękny, Jacey. Jest tak cholernie piękny.

Uśmiecham się i gratuluję starszemu bratu, jestem taka szczęśliwa, słysząc, że i on jest szczęśliwy. Był taki czas, że nie sądziłam, iż dożyję takiego dnia. Ale proszę, oto nadszedł. A Gabriel na to zasługuje.

– Brand był akurat u nas, kiedy Maddy odeszły wody. Żałuj, że nie widziałas jego miny – pieje Gabe. –

O mój Boże. Bezcenna. Już myślałam, że zemdleje.

Śmieję się.

– Wyobrażam sobie. Pozdrów go ode mnie. Tęsknię za nim. Nie widziałam go od paru tygodni.

To go otrzeźwia.

– Sama go pozdrów. Stoi tuż obok.

Nim zdążę cokolwiek powiedzieć, Gabe wręcza telefon Brandowi, a Brand wzdycha do głośnika.

– Cześć, Jacey.

Serce mi się ściska. Zraniłam go. Zraniłam najniezwykłej łagodnego twardziela na tej planecie.

– Hej, Brand – odpowiadam pogodnie, wymuszając z siebie entuzjazm. – Jak się masz?

– No cóż, widziałem wody płodowe na podłodze. Mogę to skreślić z listy atrakcji do zaliczenia przed śmiercią. I po przysłuchiwaniu się wrzaskom Maddy podczas porodu nie mam pojęcia, jak wy, kobiety, to robicie.

Niemal widzę, jak się wzdryga, i uśmiecham się, domyślając się, że siedział tuż pod salą porodową i czekał, by się upewnić, że wszystko poszło dobrze.

– Em. Przepraszam, Brand. Za wszystko – odzywam się ostrożnie. Nie przychodzi mi do głowy nic poza przeprosinami. Bo tak właśnie się czuję – jest mi przykro... Nie wiem tylko, jak dostatecznie to wyrazić.

Znowu wzdycha.

– W porządku. Nie myśl już o tym więcej. To mój problem, nie twój. Poradzę sobie z tym i wszystko wróci do normy, dobra?

W jego głosie pobrzmiwa zmęczenie oraz smutek, a to bardzo mi się nie podoba. Ale znam go i wiem, że nie chce się nad tym rozwodzić. Więc kiwam głową.

– Dobra. Chcę, żebyś wiedział, że cię kocham. Nie tak, jak byś sobie tego życzył, ale mimo to cię kocham.

– Wiem. Pogadamy później, Jace.

Przekazuje komórkę z powrotem mojemu bratu, pozostawiając mnie ze ściśniętym w piersi sercem.

– Nic mu nie będzie, Jacey – zapewnia mnie po cichu brat. – Tak tylko, żebyś wiedziała. Więc nie martw się o niego. Myślę, że od zawsze wiedział, że nie było wam to pisane.

Kiwam głową.

– Wiem. Ale mimo to boli mnie fakt, że go zraniłam.

– Nic mu nie jest – upiera się Gabe. – Maddy pracuje nad zeswataniem go z jedną ze swoich przyjaciółek. Wierz mi, nic mu nie będzie.

– Tego jestem pewna – przyznaję. – Jest silny. Przetrwiał katastrofy gorsze ode mnie.

– I tu masz rację, mała. Kiedy przyjedziesz zobaczyć swojego bratanka? Jak nowa praca? Jak ma się nazywać ta nowa sieć restauracji?

Wspominam dzień sprzed kilku tygodni, gdy Dom, Duncan i Sin kłócili się o nazwę dla nowej sieci restauracji, którą wspólnie otwierali. Spierali się godzinami, aż wreszcie ja wtrąciłam się do rozmowy.

„A może Pies na Baby? Bo każdy z waszej trójki tym właśnie jest. Cholernym psem na baby. Perwersyjnym jak diabli”.

Wpatrywali się we mnie zszokowani, a potem toastem uczcili nową nazwę, gdyż wiedzieli, że pasuje do nich jak ulał. A potem Sin zaproponował, żebym pracowała u nich w dziale rozwoju biznesu, skoro mam „doświadczenie w branży restauracyjnej”.

Ponieważ za parę tygodni otrzymam dyplom z biznesu, miało to sens, więc się zgodziłam.

– Pies na Baby. Zamierzamy serwować owoce morza i rzemieślnicze piwa. Właściwie to już zaczęłam na pół etatu, bo odeszłam z Saffron, ale za kilka tygodni, kiedy oficjalnie zakończę studia biznesowe, ruszam pełną parą.

– Jestem z ciebie taki dumny, Jacey – oznajmia Gabriel radośnie. – Naprawdę zebrałaś się do kupy.

– Wiem – odpowiadam. – Przykro mi tylko, że po drodze przysporzyłam ci tylu problemów.

– Nie szkodzi – rzuca, chichocząc. – Tak jak Brand, ja też przeżyłem katastrofy gorsze od ciebie.

Śmieję się.

– No dobra. Muszę lecieć. Postaram się przyjechać tam do was w ciągu paru tygodni. Ucałuj ode mnie dziecko i przyslij jakieś zdjęcia, co? I przekaz Maddy, że ją kocham.

Gabriel obiecuje, że tak zrobi, i rozłączamy się.

– Gotowa, skarbie?

Odwracam się, by ujrzeć Dominica opartego leniwie o futrynę. Jak zwykle zapiera mi dech w piersiach. Taki jest seksowny. Ma dziś na sobie ciemne spodnie w kant oraz ciemną koszulę, wystroił się na ceremonię przecięcia wstęgi w nowo wyremontowanych „Gladiatorach Joego”.

– Tak. Jestem gotowa.

Idę za nim przez swój mały domek do samochodu, gdzie otwiera mi drzwi. Kiedy sam wsiada, ja rzucam okiem na mój dom.

– Będę tęsknić za tym mieszkankiem, Dom. Jesteś pewien, że chcesz kupić luksusowy apartament na czas naszych pobytów w Chicago? Moglibyśmy po prostu zatrzymać się tutaj. W niczym by to nie przeszkadzało.

Dom również zerka na bungalow.

– Em. Nie ma tu garażu na moje auto.

Przewracam oczami.

– Jak sobie chcesz. Nie ma sprawy. Możemy kupić luksusowy apartament. Ale wiesz, że jesteś rozpieszczony.

Śmieje się, odrzucając głowę w tył.

– Serio? I to mówi kobieta, która właśnie kupiła cztery nowe komplety pościeli absolutnie bez powodu?

– Nie osądzaj mnie. Dobra pościel to podstawa. – Unoszę wysoko podbródek, a on pochyla się, by mnie pocałować.

– Nic nie szkodzi, skarbie – dodaje. – Chcę cię rozpieszczać.

Pięć minut później zatrzymujemy się przed królestwem Joego, które ledwie rozpoznaję. Budynek

całkowicie odnowiono, zarówno w środku, jak i z zewnątrz. Teraz to centrum sportowe z najwyższej półki, z totalnie nowym sprzętem oraz gabinetami, programem popołudniowych posiłków, a nawet bieżnią na tyłach.

Czekali, aż się zjawimy, więc gdy podchodzimy bliżej, wręczają Dominicowi ogromne nożyce, aby mógł ciachnąć czerwoną aksamitną wstążkę zagrządzającą wejście.

– W imieniu Fundacji Emmy Brandt mamy przyjemność oznajmić państwu ponowne otwarcie „Gladiatorów Joego”! – woła Dominic. Błyskają flesze, a Dom choć raz nie ma nic przeciwko temu, że robią mu zdjęcia.

Ściska dłoń Joego, który wygląda na niezmiernie zadowolonego tak dużą frekwencją. Wiem, że prasa zjawiała się w ogromnej mierze ze względu na Dominica, ale i tak. Są tutaj, a każdy skrawek uwagi, jaki zyskają przy tej okazji dzieciaki z gorzej sytuowanych rodzin, jest tego wart.

– Dominic, dlaczego wasza fundacja wybrała akurat ten projekt? – wykrzykuje jeden z reporterów.

Dominic się uśmiecha. Jake macha z boku do kamery i wszyscy wybuchają śmiechem.

– Wybraliśmy ten projekt, ponieważ zauważyliśmy potrzebę. Mamy tu dobre dzieci, którym trzeba jedynie dać szansę. Czasami spotykają nas złe rzeczy, niesprawiedliwe rzeczy... i jedyne, co możemy zrobić, to rozegrać taką sytuację najlepiej, jak się da. W większości przypadków, z małą pomocą z zewnątrz, wychodzimy z niej zwycięsko. Pewna mądra osoba powiedziała mi kiedyś... że zanim upadniemy, mamy szansę wzlecieć. My chcemy po prostu dać tym dzieciom sposobność do wzlotu.

Wszyscy biją brawo, a ja wręcz pękam z dumy, słuchając Dominica.

Kierujemy się ku recepcji, gdzie gawędzimy z chłopakami, jemy i pijemy poncz. Kiedy w końcu wracamy z powrotem do samochodu, do głębi przepełnia mnie radość.

– Na pewno nie przeszkadza ci, że nazwaliśmy fundację na cześć Emmy? – pyta Dom, gdy wdrapujemy się do auta. Spoglądam na niego.

– Chyba znasz mnie na tyle, żeby samemu to wiedzieć. Uważam, że to była jedyna opcja. Ona nigdy nie miała szansy, by wprowadzić w życie swoje marzenia. Musimy zapewnić taką możliwość innym dzieciakom.

Dominic uruchamia silnik, a następnie odwraca się do mnie.

– Wiesz, co uwielbiam? To, że zawsze mówisz „my”. Nigdy nie mówisz „ja”. Albo „ty”. To zawsze jesteśmy my.

Wzruszam ramionami.

– Tak o nas myślę. W mojej głowie stanowimy drużynę. Zawsze będziemy „nami”, Dom. Przyzwyczajaj się.

Całuje mnie, długo i dogłębnie. Kiedy się odsuwa, brakuje mi tchu.

– Mam dla ciebie niespodziankę – oświadczam. – Będiesz zachwycona. Mam nadzieję.

– Ooch. Uwielbiam niespodzianki – mówię mu, chociaż już to wie. – Nie dawaj mi żadnych wskazówek. Chcę być naprawdę zaskoczona.

Muszę przyznać, że jestem zdumiona, gdy kierujemy się ku wiejskim terenom, wyjeżdżając z miasta. Ale potem przybliżamy się do Palos Park, dzielnicy jego dzieciństwa.

– Jedziemy do Twierdzy Kinkaide’ów? – pytam zdezorientowana. Uśmiecha się chytrze, ale nie odpowiada.

Kiedy zatrzymujemy się przed domem jego rodziców, na trawniku czeka żółto-czarno-czerwony balon na gorące powietrze. Jest ogromny i majestatyczny, gdy tak kołysze się na tle nieba.

– Powóz czeka, milady. – Dom kłania się nisko.

Przewracam oczami.

– Chryste. I coś takiego będzie mnie czekało przez cały czas trwania zdjęć? Wiem, że lubisz się wczuwać w postać, ale zdajesz sobie sprawę, że tak naprawdę nie jesteś rycerzem, co?

Dom przygotowuje się obecnie do rozgrywającego się w szesnastym wieku filmu kostiumowego, co

uczyniło nasze życie ciekawym, by ująć to łagodnie. W krótkim czasie spodziewam się ujrzeć go spacerującego po domu w pełnej zbroi.

Potrząsa głową.

– Możesz się po prostu przyłączyć?

Chichoczę.

– W porządku. Tak, mój giermku. Z przyjemnością wybiorę się na przejażdżkę twoim zacnym powozem.

– Giermku? – Tym razem to Dom przewraca oczami. – Chyba raczej „mój panie”. Jestem rycerzem, Jace.

Ale ujmuję mnie za rękę i pomaga wsiąść do balonu, przedstawiając mnie pilotowi. Już po kilku minutach unosimy się nad Palos Park, nad Chicago. Z góry miasto wygląda niesamowicie, zachodzące słońce odbija się w całym tym szkłe.

– Zapiera dech w piersiach – szepczę, spoglądając w dół. – Dziękuję, Dom. Co to za okazja?

Dominic odwraca się do mnie, spojrzenie ma ciemne i poważne. Jest to spojrzenie, które sprawia, że w piersi trzepoczą mi motyle.

– Jacey, zanim cię poznałem, sądziłem, że zasługuję w życiu jedynie na ciemności. Ciemne kąty, tabu, niewymowne rzeczy. Ale ty dałaś mi świeży start. Nowe życie. Nowe spojrzenie. Nie wiem, co zrobiłem, by sobie na ciebie zasłużyć, ale na zawsze pozostanę wdzięczny, że dostrzegłaś we mnie potencjał. Że dostrzegłaś coś, czego nikt inny nie widział. Przebiłaś wzrokiem dupka, aktora, nazwisko. I ujrzałaś mnie. Kocham cię za to. Kocham cię za to, że zawsze sprowadzasz mnie na ziemię, zawsze przypominasz mi o tym, co ważne. Kocham cię za to, że zawsze jesteś moim powiewem świeżego powietrza, wyzwaniem idealnie dopełniającym moją prawdę.

Robi pauzę, a mnie serce łomocze w piersi.

Czy on...? Czy to są...?

I wtedy Dominic klęka na jedno kolano.

A więc tak.

Omójbóże.

– Pani – zaczyna z przesadnym angielskim akcentem, nad którym pracuje od tygodnia. – Pragnę ci zadać jedno tylko pytanie. O jedną łaskę z twej ręki chcę prosić, jeśli taka twa wola.

Wpatruję się w niego, w oczach mam śmiech, a w sercu największą możliwą radość.

– Proś, mój dobry rycerzu. Jakiegokolwiek twe życzenie.

Dom spogląda na mnie, jego oczy iskrzą, i porzuca akcent.

– Wyjdiesz za mnie? Tak czy nie?

Wyciąga przed siebie pierścionek z przepięknym kwadratowym diamentem, a ja czuję się, jakbym miała zemdleć. To najśliczniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam, tkwiąca w dłoni najseksowniejszego mężczyzny na świecie.

Unoszę na niego wzrok, gubiąc się w jego jakże ciemnych oczach.

– Tak.

Wciąga gwałtownie powietrze.

– Tak? Jesteś pewna, że mnie chcesz? Znasz wszystkie potwory, które we mnie siedzą, Jace. I mimo to mnie chcesz?

Kiwam głową, czując ucisk w gardle.

– Chcę cię właśnie z powodu tych potworów – odpowiadam. – One uczyniły cię tym, kim jesteś, a ja nie potrafię sobie wyobrazić, bym mogła cię kochać jeszcze bardziej. Będę cię chciała każdego dnia swojego życia. Obiecuję.

Dominic uśmiecha się łagodnie, wsuwając mi pierścionek na palec i przyciągając do swojego boku. Całuje mnie powoli i delikatnie, a potem obejmuje mnie za ramiona i oboje patrzymy na miasto, które

przemyka w dole.

I gdy tak patrzymy, rozmyślam o wszystkim, co się zdarzyło... nam obojgu. Oboje jesteśmy w pewien sposób dotknięci przeszłością, oboje z tym walczymy. To długi proces, ale już się zaczął. Wszystko, co nas spotkało, uczyniło nas silniejszymi, każde z osobna, a także razem.

Zerkam w górę na Dominica, muskam palcami jego policzek.

– Jesteś szczęśliwy? Tak czy nie?

Dominic spogląda na mnie, a w jego oczach dostrzegam tysiąc obietnic, tysiąc wieczności.

– Cholernie szczęśliwy, tak.

Uśmiecham się.

Tylko tyle chciałam usłyszeć.

Epilog

JACEY

Pędzę wśród tropikalnych kwiatów, przez zarośla i po krętej ścieżce prowadzącej do naszej małej wynajętej chatki tuż przy najpiękniejszej hawajskiej plaży. To idealne miejsce na miesiąc miodowy, prawdziwy rajski ogród.

– Idziesz? – wołam przez ramię do mojego męża.

Mój mąż.

Słowa dzwonią mi w głowie i choć brzmią obco, to nie pozostawiają po sobie poczucia obcości. Dominic i Jacey Kinkaide'owie. Złączeni na zawsze. „Miłością i żądzą, i wszystkim, co pomiędzy”. Tak ujął to Duncan wcześniej, podczas ceremonii na plaży. Specjalnie na tę okazję wyrobił sobie certyfikat uprawniający do udzielania ślubów.

Dominic dogania mnie i porywa w ramiona.

– Sądziłaś, że sama przejdziesz przez próg? – pyta łobuzersko. – Nie ma szans.

– Ale to nie jest nasz dom – zaczynam. Lecz potem milknę. Skoro mój mężczyzna chce mnie nosić na rękach, niech nosi. Układa mnie sobie w ramionach i zanoszi do łóżka z czterema kolumnkami, okrytego przejrzystą tkaniną.

Stawia mnie na ziemi i zdejmuje mi suknię, całując przy tym każdy skrawek mojego ciała. Kiedy wreszcie kończy i stoję przed nim naga, umieram z tęsknoty do niego.

– Potrzebuję cię – oznajmiam mu prosto. – Wypełnij mnie, Dominic. Uczyni mnie swoją.

Uśmiecha się tym uśmiechem, który tak kocham, prywatnym... tym, który należy wyłącznie do mnie.

– Zawsze byłaś moja – szepcze. – Tylko o tym nie wiedziałaś.

Popycha mnie w tył na łóżko i znów całuje, jego język jest taki gorący, wilgotny i doskonały, kiedy spotyka się z moim.

– A ja zawsze byłem twój – dodaje. – Tylko sam o tym nie wiedziałem. Ale teraz już wiem i to się liczy.

Siada na mnie okrakiem, pochylając się nade mną, biorąc mnie w posiadanie.

Doskonale wie, co zrobić, by moje ciało mrowiło, by popchnąć mnie w stronę urwiska orgazmu, wsuwając palce we wszystkie odpowiednie miejsca.

Wzbierają we mnie emocje, obezwładniające i gorące. Miłość, żądza i wszystko, co pomiędzy.

Ściskam ramiona Doma, przyciągając go do siebie, coraz bliżej i bliżej. Oplatam nogą jego biodro, wciągając go głębiej.

Wydaje z siebie pomruk, a potem przesuwa językiem po moich sutkach. Okrąża je, a następnie ssie, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa.

Wyginam się w łuk, Ignąc do jego mocnej piersi, a on znów mruczy, napierając na mnie, mięśnie jego pleców się napinają. Krzyczę i drapię go, wbijając palce w jego ciało, chowając twarz w jego ramieniu i wciągając zapach jego skóry.

– Kocham panią, pani Kinkaide – dyszy, wślizgując się i wyślizgując ze mnie, teraz wolniej, delikatniej. – Na zawsze.

Mam ochotę przewrócić oczami i powiedzieć mu, że zachowuje się wielce teatralnie, że to nie filmowy scenariusz. Ale nie robię tego. Ponieważ jak zwykle, wyuczone czy spontaniczne, jego słowa są idealne.

Przylegam do niego ściśle, wyginając się, gdy fale orgazmu unoszą mnie daleko stąd. A potem on odrzuca głowę w tył i idzie w moje ślady. Mija kilka minut, nim wracam do terażniejszości, nim znów jestem w stanie myśleć logicznie.

– Ja też cię kocham – odpowiadam wreszcie, kiedy udaje mi się złapać oddech. – Na zawsze.

Zasypiam w jego ramionach.

Budzi mnie jakiś dźwięk, gdy świat wokół chatki spowijają ciemności, a bryza powiewa przezroczytymi kotarami. Siadam i rozglądam się wokół, tylko po to, by przestraszyć się kobiety przycupniętej na krześle koło łóżka.

Cichutko nuci pod nosem *Brown Eyed Girl*.

Jej oczy w kolorze akwamaryny spotykają się z moimi i wiem już, kim ona jest. I, co dziwne, nie boję się.

– Emma – szepczę. Kiwa głową, jej twarz wygląda młodo i pięknie wśród nocy. – Czy to sen?

Uśmiecha się.

– A jak myślisz?

Nie wiem. Musi tak być.

– Chciałam, żebyś o czymś wiedziała – odzywa się po cichu, a jej głos przywodzi na myśl piosenkę, jest łagodny i delikatny. Patrzy w dół na Dominica, jej spojrzenie przepełnia się miłością. – Wybrałam cię dla niego – mówi cicho.

Wpatruję się w nią zdezorientowana.

– Co?

– Nie pamiętasz mnie? Spotkałyśmy się. Całe lata temu, na plaży Goose Beach. Byłam tam z mamą, a ty z babcią. Odzyskałaś moje pieniądze na lody z rąk takiej okropnej dziewczynki.

Napływa mgliste wspomnienie, lecz z trudem składam wszystkie kawałki w całość.

– Heather Edel. Najwredniejsza spośród szóstoklasistek. Ty miałaś na sobie czerwony kostium kąpielowy.

Emma kiwa głową.

– Byłam przerażona, ale ty się jej postawiłaś, jakby nigdy nic, i odebrałaś jej moje pieniądze.

– Dałaś mi muszelkę – dopowiadam wolno, przypominając sobie, jak tamta mała dziewczynka mi ją wręcza, a potem odbiega ze swoją mamą. – Białą.

Emma się uśmiecha.

– Kiedyś je zbierałam.

Do głowy przychodzi mi wspomnienie malutkich muszelek w czarnym aksamitnym pudełku Dominica, a także muszli w jej naszyjniku... Gapię się na nią bez słowa, oddech łaskocze mi wargi.

– Byłam pełna podziwu dla ciebie – ciągnie. – Dla tego, jaka okazałaś się dzielna, że postawiłaś się w imieniu kogoś, kogo nawet nie znałaś. Wydawało się, że niczego się nie boisz. Tamtego dnia ze sto razy dopłynęłaś do linii boi, podczas gdy ja bałam się ruszyć za mierzeję. Wróciłam do domu i już nigdy więcej cię nie widziałam. Ale kiedy Dominic potrzebował ocalenia, wiedziałam, że to musisz być ty. Potrzebował kogoś odważnego i silnego, więc sprowadziłam cię do niego.

Wpatruję się w nią jak zahipnotyzowana.

– To dziwaczny sen.

Emma śmieje się, a dźwięk ten podzwania wśród nocy.

– Nie ma nic złego w takim założeniu – zapewnia mnie. – Pewnych rzeczy nie da się wytłumaczyć, więc pewnie lepiej nie próbować.

– Ale jak niby „sprowadziłaś mnie do Dominica”? – pytam z powątpiewaniem. – Tyle z pewnością

potrafisz wyjaśnić.

Uśmiecha się cierpliwie.

– Czy to nie zadziwiające, jakim sposobem narkotyki znalazły się w aucie Dominica... skoro oboje przysięgaliście, że nie należały do was? To prawie tak, jakby po prostu same się tam zjawiły.

Oczy mi się rozszerzają.

– Ty – wyduszam. – Dlaczego?

Uśmiecha się i cały pokój zdaje się od tego rozjaśniać.

– Ponieważ miłość przyćmiewa śmierć, Jacey. Jest wieczna. I ponieważ go kocham, chcę, żeby był szczęśliwy. Wiedziałam, że ty możesz go uszczęśliwić, więc zetknęłam was ze sobą jedynym sposobem, jaki przyszedł mi do głowy. Teraz jestem spokojna. Przekaż mu to. Przekaż mu, że cieszę się, że idzie naprzód, że o mnie zapomina. Pożegnaj go ode mnie.

– On wcale o tobie nie zapomina – protestuję. – Nigdy cię nie zapomni. Jesteś teraz zdrowym wspomnieniem, już nie bolesnym. To wszystko. I to dobrze.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Wiem. Tylko tego zawsze pragnęłam. Dziękuję, Jacey. Dziękuję, że go ocaliłaś. Wiedziałaś, że dasz radę.

Przesuwa palcami wzdłuż jego nogi, ruszając w stronę drzwi. Gdy do nich dociera, odwraca się przez ramię, w mroku jej twarz wydaje się świetlista.

– Och, i Jacey? Opiekuj się nim.

Kiwam głową, oszołomiona i zdumiona.

– Będę.

Odchodzi, nucąc.

Czy pamiętasz, jak śpiewaliśmy... sza-la-la-la-la-la-la-la-la-la-te-da... Jesteś moją... dziewczyną o brązowych oczach.

Usiłuję się obudzić, lecz uświadamiam sobie, że wcale nie śpię. Nie przypominam sobie momentu budzenia się. Ani tego, żebym w ogóle spała. Wszystko jest mgliste. Rozmyte. Poza wspomnieniem uderzająco niebieskich oczu Emmy wpatrujących się we mnie z odległości pół metra.

Siadam prosto na łóżku, próbując ogarnąć to rozumem.

To nie mogło... To się nie... to się nie wydarzyło.

Odwracam się do Dominica, by go obudzić i podzielić się z nim tym szalonym snem, gdy moją uwagę przykuwa coś leżącego na nocnym stoliku. Coś, co połyskuje perłową bielą w księżycowej poświacie.

Muszelka.

Kotary szeleszczą unoszone bryzą, fale oceanu rozbijają się o plażę, a moje serce łomocze. A kiedy łagodny wietrzyk odgarnia mi włosy z twarzy, słyszę to.

Sza-la-la-la-la-la-la-la-la-la-te-da...

Odległe dźwięki *Brown Eyed Girl* napływające znad wody.

Od Autorki

„Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania”^[2].

To mój ulubiony cytat z Ernesta Hemingwaya, doskonale podsumowujący powody, które skłoniły mnie do napisania tej serii.

Im robię się starsza, tym bardziej wydaje mi się, że każda osoba na świecie jest w jakiś sposób złamana, czy to za sprawą rozwodu, śmierci, narkotyków, czy jeszcze czegoś innego. Chciałam pisać historie, z którymi ludzie będą mogli się utożsamić, historie, których bohaterom daleko będzie do doskonałości, a za których czytelnicy mimo to będą trzymać kciuki, życząc im, by pokonali swe osobiste demony.

Choć w trosce o przyjemność czytania często wyolbrzymiam problemy moich postaci w stosunku do problemów życia codziennego, to ich przyczyny są zawsze twardo osadzone w rzeczywistości.

Faktem pozostaje, że rzeczywistość bywa suką. Zdarza się, że wymierzy ci policzek, będzie tobą pomiatać, a potem skopie cię, kiedy upadniesz.

Ale zawsze należy pamiętać o tej istotnej prawdzie:

Życie bywa ciężkie, ale złamie cię jedynie wtedy, gdy mu na to pozwolisz.

Niezależnie od wszystkiego, musisz kroczyć naprzód z wysoko uniesioną głową. Musisz stawiać kolejne kroki, nawet jeśli wcale nie masz na to ochoty. Pokaż swoim problemom środkowy palec i walcz, by ułożyć sobie życie wedle własnego konceptu.

Twoje życie należy do ciebie. Jeśli go nie lubisz, jeśli cię zasmuca, jeśli każdego dnia napełnia cię niechęcią – zmień je. Zmieniaj w nim wszystko aż do momentu, w którym zakochasz się we własnym życiu i uczynisz je dokładnie takim, jakiego pragnąłeś.

Jeśli Dominic, Jacey, Madison, Gabriel, Pax i Mila czegokolwiek cię nauczyli, to mam nadzieję, iż właśnie tego. Że w życiu może trafić ci się naprawdę beznadziejne rozdanie, ale to ty masz moc, by przetasować karty. Klucz do szczęścia trzymasz w ręku.

Każdy z nas ma tylko jedno życie. Żyj jego pełnią.

Podziękowania

Zawsze mam tyle osób, którym chcę podziękować. To dlatego, że z biegiem lat odkryłam, że do napisania dobrej książki potrzeba więcej niż jednego człowieka. Potrzeba drużyny. A ja muszę skromnie powiedzieć, że trafiła mi się najlepsza drużyna na świecie.

Po pierwsze – dziękuję mojej rodzinie. Są najlepszymi kolegami z drużyny, jakich ktokolwiek mógłby sobie wymarzyć. Moja córka, moja najmniejsza asystentka, nosi przy sobie papier i długopis na wypadek, gdyby do głowy przyszedł mi świetny pomysł. Moi nastoletni synowie pozwalają mi grzebać w swoich umysłach – abym mogła sprawdzić, jak naprawdę myślą chłopcy. A mój mąż wykazuje się wobec mnie wielką cierpliwością, kiedy siedząc obok niego w łóżku, stukam w klawisze laptopa o drugiej w nocy, bo wpadłam na pomysł, który po prostu nie może poczekać do rana. Poza tym często jedzą na mieście, gdy nie mogę sobie przerwać, żeby zrobić kolację. Na zawsze będę im wdzięczna i Kocham ich bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

Mojej najlepszej przyjaciółce i współpracownicy zbrodni, M. Leighton. Pewnie znacie ją z jej książek. Jest najlepszą krytyczką oraz przyjaciółką, jaką dziewczyna może sobie wymarzyć. Zawsze można do niej zadzwonić i zawsze otrzyma się dobrą radę. Odwodzi mnie od skoku, gdy stoję nad przepaścią, i powstrzymuje przed rwaniem włosów z głowy. Kocham ją do końca świata i jeszcze dalej.

Mojej redaktorce, Amy Pierpont z Forever. Nigdy nie liczyłam na redaktora o takiej przenikliwości. Amy potrafi zerknąć na scenę i zobaczyć trzy różne rzeczy, których ja nawet tam nie szukałam, bo nie przyszło mi to do głowy. Jej wiedza oraz doświadczenie to dla mnie błogosławieństwo, tak samo jak jej umiejętność natychmiastowego przechodzenia do sedna. Mam szczęście, że z nią pracuję.

Mam też szczęście, że pracuję z Madeleine Colavita z Forever. Zawsze z miejsca udziela mi pomocy, nieważne, o co ją proszę. Jest radosna i przyjacielska, niezależnie od wszystkiego. Jej entuzjazm dla mojego bohatera imieniem Brand zawsze przywołuje uśmiech na moje usta. Kocham ją straszliwie.

Mojej agentce, Catherine Drayton. Jest niesamowita i mądra, doświadczona i cudowna. Nie mogę nachwalić się jej wystarczająco, pozostaje mi stwierdzić, że mam cholerne szczęście, że na nią trafiłam. Wie, co robi, i zawsze robi to z klasą. To najlepsza agentka, jaka istnieje, bez dyskusji.

Moim pierwszym czytelnikiem... Autumn z Autumn Review, Natashy z Natasha is a Book Junkie, Momo z Books Over Boys. Dziewczyny, jesteście niesamowite. Wasze uwagi i opinie pomogły mi nadać tej książce obecny kształt. Pomogłyście mi ją wypolerować na błysk. Dziękuję!!!

Muszę też szczególnie podziękować Autumn za bycie moim guru w sprawach seksu w tej książce. Gdy studiowałam... em... ciemniejszą stronę życia seksualnego, wkład Autumn okazał się nieoceniony. Dziewczyna zna się na seksie. Dzięki, że podzieliłaś się ze mną swoją mądrością! Hehe.

Mojemu zespołowi marketingowemu. Kelly Simmon z Inkslinger PR oraz Jessice, Marisie, Morgan i Jane z Forever. Dajecie czadu, wykonując swoją robotę, i cieszę się, że mam was u swego boku.

Mojej asystentce, Avery. Dziękuję, że czynisz moje życie łatwiejszym, zadanie po zadaniu. Jesteś super i dobrze o tym wiesz.

I... WAM. Moim niesamowitym, cudownym czytelnikiem. Bez was te książki nigdy by nie powstały. Mogę robić to, co robię, właśnie dzięki wam. Jestem wam wdzięczna każdego dnia mojego życia. Dziękuję, że jesteście tak niesamowicie cudowni.

Przypisy

- ^[1] W oryginale gra słów: angielskie *sin* znaczy „grzech” (przyp. tłum.).
- ^[2] Cytat z powieści *Pożegnanie z bronią* w przekładzie Bronisława Zielińskiego (przyp. tłum.).

Table of Contents

[Tytułowa](#)
[Redakcyjna](#)
[Prolog](#)
[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Epilog](#)
[Od Autorki](#)
[Podziękowania](#)
[Przypisy](#)